



# NICCI FRENCH

## CZERWONY POKÓJ

NIC NIE JEST TAKIE, JAKIM SIĘ WYDAJE

-Książnica-

# **French Nicci**

## **Czerwony pokój**

**Kit Quinn jest młodą kobietą, która porusza się po niebezpiecznym terytorium: po miejscach zbrodni, mieszkaniach podejrzanych kryminalistów, szpitalach dla psychicznie chorych przestępców. Taką ma pracę.**

**Ciężko ranna wskutek brutalnej napaści, musi po jakimś czasie wrócić do miejsc, które wciąż budzą w niej ogromny lęk. Policja prosi ją o współpracę w śledztwie dotyczącym nieskomplikowanego z pozoru morderstwa. Bezdomna dziewczyna zostaje znaleziona martwa nad londyńskim kanałem. Głównym podejrzany jest młody mężczyzna - ten sam, który w ataku furii rzucił się niegdyś na Kit. Okazuje się jednak, że sprawa wcale nie jest prosta.**

**Kit nie zgadza się na grę pozorów i wbrew policji, tłumiąc wciąż w niej żywy strach, odkrywa nowe tropy, nowe ofiary, kolejnych podejrzanych...**

Strzeż się pięknej pogody. W słoneczny dzień spotyka cię nagle coś złego. Może dlatego, że kiedy czujesz się szczęśliwy, stajesz się nieostrożny. Wystrzegaj się planów. Koncentrujesz się na nich i w tej samej chwili zdarza się coś, co znajduje się poza twoim polem widzenia. Któregoś razu pomagałam mojemu profesorowi w badaniach naukowych nad nieszczęśliwymi wypadkami. Nasza grupa przeprowadzała rozmowy z ludźmi, którzy zostali przejechani, wciągnięci w tryby maszyn, wyrzuceni w chwili zderzenia z samochodem. Przeżyli pożary, stoezyli się ze schodów, spadli z drabiny. Przerwały się sznury, pękły liny, podłoga się pod nimi zawaliła, usunęły się ściany, sufit spadł im na głowę. Nie ma na świecie takiej rzeczy, która by nie obróciła się przeciwko tobie. Jeśli nie walnie cię w czaszkę, to stanie się śliska jak lód pod stopami. Albo głęboko cię zrani, albo przypadkiem ją połkniesz, albo będziesz chciał się jej uchwycić. A kiedy przedmioty dostają się w ręce istot ludzkich, to dopiero zaczyna się piekło.

Z tymi badaniami mieliśmy od początku mnóstwo problemów. Kluczowe ofiary nieszczęśliwych wypadków były dla nas niedostępne, ponieważ postradały w nich życie. Czy miałyby coś nowego do przekazania? W chwili, gdy platforma usuwa się spod nóg czyszcicieli okien, a oni sami, spadając

z wysokości dwudziestego piętra, ciągle ściskając w rękach mokre gąbki, czy myślą o czymkolwiek prócz: „O, kur...”? Co do innych, znajdowali się w tym gronie ludzie, którzy w chwili wypadku byli zmęczeni, radośni, przybici depresją, pijani jak bela, znarkotyzowani, niezdarni, nieprzeszkoleni, rozkoja-rzeni. Stali się ofiarami wadliwych urządzeń czy tego, co z pewnym ociąganiem nazwiemy pechem. Jednakże wszystkich charakteryzowało jedno: w chwili wypadku myśleli o czymś innym. No, ale to przecież jest definicja wypadku. To coś, co wkrada się do twego mózgu, gdy jesteś zaabsorbowany czymś innym. Jak złodziej, który cię napada na cichej uliczce.

Kiedy doszło do podsumowania naszych badań, okazało się, że było to zadanie jednocześnie i łatwe, i trudne. Łatwe, bo większość naszych wniosków była oczywista. Tak, jak się czyta na tabliczce: „Nie podchodź do urządzeń mechanicznych, gdy jesteś pod działaniem alkoholu”. Nie zdejmuj zaworu z prasy mechanicznej, nawet jeśli ci się wydaje, że bez niego będzie lepiej funkcjonowała, nie zatrudniaj przy niej piętnastolatka po tygodniowym przysposobieniu zawodowym. Zanim wejdziesz na jezdnię, rozejrzyj się w lewo i w prawo, czy nikt nie nadjeżdża.

Powstały jednak problemy, nawet w związku z tym ostatnim zagadnieniem. Pragnęliśmy, żeby badani skupili się na tym, co przychodziło im wtedy do głowy. Jednakże to właśnie okazało się niemożliwe, bo ludzie nie potrafią myśleć o wszystkim jednocześnie. Jeśli obracamy się twarzą w kierunku grożącego niebezpieczeństwa, ktoś może wykorzystać tę okazję i zaatakować nas od tyłu. Kiedy patrzysz w lewo, ktoś od prawej ma szansę cię napaść.

Pewnie właśnie to zakomunikowałyby nam śmiertelne ofiary wypadków. I może wcale nie chcemy się wykaraskać z tych wszystkich skomplikowanych sytuacji. Ilekroć się zakochiwałam, nigdy mi się nie zdarzyło, żeby obiekt moich gwałtownych uczuć okazywał się na miarę moich potrzeb, czyli był uroczym facetem, którego przedstawili mi przyjaciele. To niekoniecznie oznacza, że za każdym razem był mężczyzną nie do przyjęcia, ale ogólnie rzecz biorąc, nie powinien był się poja-

wie w moim życiu. Któregoś lata spędziłam miłe wakacje z kimś, kogo spotkałam, bo był kolegą mojego kolegi, który przyszedł pomóc w przeprowadzce mojej najlepszej przyjaciółce. Przyszedł w zastępstwie kolegi, który musiał wziąć udział w meczu piłkarskim, bo któryś z zawodników złamał nogę.

Zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę. Ale moja wiedza wcale nie jest użyteczna. Pomaga jedynie zrozumieć, gdy coś się już stało. A zresztą, to też nie jest żadną regułą. No, ale się stało. Co do tego nie ma wątpliwości. I, jak sądzę, właśnie to wywołało we mnie potrzebę spojrzenia i w drugą stronę.

Zdarzyło się to któregoś majowego popołudnia, w czasie pięknej pogody. Usłyszałam stukanie do drzwi gabinetu i zanim zdążyłam zareagować, otworzyły się i spostrzegłam uśmiechniętą twarz Francisa.

- Odwołano ci konsultację - oznajmił mi.

- Wiem - odpowiedziałam.

- A więc jesteś wolna...

- No... - zaczęłam. W szpitalu Welbeck trzeba się mieć na baczności, mówiąc, że nie ma się konkretnych zajęć, bo natychmiast coś wynajdą, i to coś takiego, czym nie chcą się zajmować starsi stażem lekarze.

- Czy możesz za mnie przeprowadzić badanie? - zapytał szybko Francis.

- No...

Uśmiechnął się całą gębą.

- Jasne, że naprawdę mówię ci: „Zrób za mnie badanie”, ale ujmuję to w formę zdania pytającego, zgodnie z konwencjonalnymi zasadami uprzejmości.

Jedną z niewygód pracy w środowisku terapeutów polega na tym, że trzeba odpowiadać ludziom w typie Francisa Herscha, który, po pierwsze, nigdy nie powie normalnie: dzień dobry, tylko doda do tego zwrotu ironiczny cudzysłów, od razu z jakimś komentarzem, a po drugie... Ach, szkoda wyliczać. Co do Francisa, to mogłabym dojść do „po dziesiątą” i dalej ciągnąć.

- O co chodzi?

- Jakaś sprawa z policją. Schwytano faceta wrzeszczącego na ulicy lub coś w tym rodzaju. Wybierałaś się już do domu?

- Tak.
- To świetnie. Możesz wpaść po drodze na posterunek przy Stretton Green, szybko go zdiagnozujesz, a gliny już go potem odeślą, gdzie trzeba.
- Dobrze.
- Spytaj o detektywa-inspektora Furtha. On tam na ciebie czeka.
- Od kiedy?
- Od pięciu minut.

Wykręciłam numer do Poppy, powiedziałam jej, że trochę się spóźnię na drinka. Krótka sprawa służbowa.

Kiedy ktoś zachowuje się w ten sposób, zakłócając porządek publiczny, okazuje się zaskakująco trudne do ustalenia, czy jest cholerykiem, pijanym, chorym psychicznie, cierpi na chorobę somatyczną, ma problemy emocjonalne, wpadł w chwilowy amok, czy też stanowi prawdziwe zagrożenie. Zazwyczaj policja sama się zajmuje takimi osobnikami, wzywając nas tylko w skrajnych przypadkach. Jednakże rok temu facet, którego zatrzymano na parę godzin i następnie wypuszczono, pojawił się wkrótce potem na sąsiedniej ulicy z siekierą w ręce. Ciężko zranił dziesięć osób; jedna z jego ofiar, staruszka po osiemdziesiątce, zmarła parę tygodni później. Wszczęto publiczne śledztwo, które zakończyło się w zeszłym miesiącu ogłoszeniem raportu, więc na razie gliny ciągle nas wzywają, żeby się zabezpieczyć. Posterunek przy Stretton Green dobrze znam, bywałam tam nieraz sama i z Francisem. Śmieszne, choć w gruncie rzeczy raczej beznadziejnie smutne było to, że usiłując odgadnąć stan umysłu u większości zrezygnowanych, skołowanych, brudnych aresztantów siedzących za kratkami, przede wszystkim dostarczaliśmy policji alibi. Gdyby po wypuszczeniu zatrzymanych znowu do czegoś doszło, można by było zwalić odpowiedzialność na nas.

Detektyw-inspektor Furth był przystojnym mężczyzną, niewiele starszym ode mnie. Gdy mnie przywitał, miał rozbawioną minę, jakiś błysk nieprzyzwoitości w oczach, co zmusiło mnie do natychmiastowej inspekcji mego ubrania. Czyżby spódnica mi się zadarła? Dopiero po chwili zorientowałam się,

że to jego stały wyraz twarzy, bariera ochronna przeciwko światu. Furth miał zaczesane do tyłu blond włosy i szczękę, która wyglądała jak zaprojektowana wyłącznie pod kątem prostym, za pomocą linijki. Na policzkach zauważyłam dzioby. Pewnie miał trądzik młodzieńczy.

- Doktor Quinn - odezwał się z uśmiechem, wyciągając do mnie rękę. - Proszę mi mówić po imieniu, Guy. Jestem tu nowy.

- Miło mi - odrzekłam i aż się zgięłam z bólu od uścisku jego dłoni.

- Nie wiedziałem, że jesteś... taka młoda.

- Przykro mi - zaczęłam się usprawiedliwiać, po czym przywołałam się do porządku. - A ile lat powinnam mieć?

- Tu mnie złapałaś - odparł ciągle z tym samym uśmiechem. - Masz na imię Katherine, ale należy zwracać się do ciebie Kit. Doktor Hersh powiedział mi o tym.

Kit było przez długi czas imieniem zarezerwowanym dla bliskich przyjaciół. Chociaż straciłam nad tym kontrolę wiele lat temu, ciągle mnie drażni, gdy słyszę je w ustach nieznajomego. Czuję się wtedy tak, jakby ktoś wtargnął do mego pokoju, gdy stoję rozebrana.

- Gdzie on jest?

- Tędy. Podać kawę czy herbatę?

- Dzięki, ale trochę się spieszę.

Szedł przodem przez dużą salę i zatrzymał się przy biurku, żeby wziąć stamtąd kubek w kształcie piłki do rugby, z czubkiem ściętym jak w jajku na miękko.

- Mój talizman - rzekł.

Podążałam za nim przez drzwi prowadzące do dalszej części budynku. Zatrzymał się przed pokojem przesłuchań.

- Z kim mam zatem do czynienia? - zapytałam.

- Ze zbrojeńcem nazwiskiem Michael Doli.

- No i?

- Kręcił się koło szkoły podstawowej.

- Zagadywał dzieci?

- Nie wprost.

- To co tam robił?

- Rodzice uczniów założyli komitet. Rozdają ulotki. Zauważyli go i sprawy potoczyły się szybko.
- Innymi słowy, czego się po mnie spodziewacie? Furth unikał mego wzroku.
- Przecież znasz się na tym, prawda? Powiedziano mi, że pracujesz w Market Hill.
- Owszem, na pół etatu. - W istocie pracuję i w Market Hill, który jest szpitalem psychiatrycznym dla przestępców, i w przychodni Welbeck, świadczącej usługi dla depresyjnych pacjentów z klasy średniej.
- Wiesz, on jest dziwny. Gada coś do siebie, mamrocze. Zastanawialiśmy się, czy nie jest schizofrenikiem.
- Co o nim wiecie?

Furth pociągnął nosem, jak gdyby chcąc wyczuć odór faceta po drugiej stronie drzwi.

- Ma dwadzieścia dziewięć lat. Niczym się nie zajmuje. No, czasami jeździ jako taksówkarz.
- Czy był notowany jako przestępca seksualny?
- Powiedzmy. Przyłapano go na obnażaniu się w miejscu publicznym. Potrząsnęłam głową.
- Czy nie uważasz, że to trochę bez sensu?
- A co będzie, jeśli okaże się niebezpieczny dla otoczenia?
- Masz na myśli, że jest osobnikiem, który w przyszłości może się uciec do przemocy? O takie sprawy pytałam przełożonych, gdy zaczęłam pracować w przychodni. Dowiedziałam się, że tego od razu nie da się wykryć, a potem będziemy gorzko żałować.

Furth spoważniał.

- Spotkałem takich skurczysynów jak Doli, gdy już popełnili zbrodnię. Ale obrońcy zawsze wynajdują kogoś, kto pojawia się na procesie i truje o ciężkim dzieciństwie.

Michael Doli miał kasztanowe włosy do ramion, całe w lokach, i pociągnął twarz z wyraźnymi kośćmi policzkowymi. Usta wygięte w łuk Kupidyna wyglądały jak wargi młodej kobiety. Ale jego oczy były nieprzeniknione i nie mogłam odgadnąć, czy patrzył na mnie, czy raczej w jakiś punkt poza mną.



Miał śniadą cerę charakterystyczną dla człowieka, który dużo przebywa na świeżym powietrzu. Sprawiał wrażenie zaszczutego. Duże dłonie z licznymi odciskami złożył na kolanach, jakby jedna z nich miała pilnować, by druga nie drżała.

Miał na sobie dżinsy i szarą wiatrówkę, w której wyglądałby całkiem zwyczajnie, gdyby nie to, że była krótka i ciasna; wystawał spod niej obszerny pomarańczowy sweter. W odmiennych okolicznościach byłby przypuszczalnie całkiem atrakcyjny, ale teraz dziwaczność biła od niego niczym odór.

Gdy weszliśmy, mówił coś szybko, prawie niezrozumiale do znudzonej policjantki. Na nasz widok kobieta odsunęła się z wyraźną ulgą. Siadłam naprzeciwko Michaela Dolla i przedstawiłam się. Nie wyciągnęłam notesu z torby. Uważałam, że nie będzie mi potrzebny. - Zadam panu kilka prostych pytań - rzekłam.

- Oni mnie prześladowają - wymamrotał Doli. - Zmuszają, żebym się do czegoś przyznał.

- Nie jestem tu po to, by pana przesłuchiwać. Chcę tylko sprawdzić, jak się pan czuje. W porządku?

Rozejrzał się podejrzliwie wokół.

- Nie wiem. Pani jest z policji?

- Nie. Jestem lekarzem. Wybałuszył oczy.

- Pani myśli, że jestem chory? Szalony?

- A co pan o tym myśli?

- Nic mi nie jest.

- Dobrze - odparłam, nie znosząc protekcyjnego tonu w swoim głosie.

- Czy pan przyjmuje jakieś leki? - Robił wrażenie zaskoczonego. - Chodzi mi o lekarstwa. Jakieś pastylki?

- Biorę proszki na niestrawność. Mam ataki bólów. Kiedy coś zjem. -

Podrapał się w pierś.

- Gdzie pan mieszka?

- Wynajmuję pokój. Tam, w Hackney.

- Mieszka pan sam?

- Taaa... Coś w tym złego?

- Nic. Ja też mieszkam sama.

Doli skrzywił usta w uśmiechu. Nie wyglądało to zbyt miło.

- Ma pani chłopaka?

- A pan?

- No wie pani, nie jestem pedałem.

- To znaczy, chodzi mi o to, czy ma pan dziewczynę.

- Pani odpowie pierwsza - rzekł ostrym tonem.

Miał szybki refleks, to pewne. I wyraźną skłonność do manipulacji. Ale nie był w większym stopniu nienormalny niż pozostałe osoby w pokoju.

- Przyszłam tu, żeby zbadać pana - odparłam.

- Pani jest taka sama jak oni! - krzyknął z gniewem w głosie. - Chce mnie pani zmusić, żebym coś wyznał.

- A do czego miałabym pana zmusić?

- Nie wiem. Ja... Ja... - zaczął się jąkać, nie mógł z siebie wyrzucić reszty zdania. Chwycił się obiema rękami blatu stołu. Żyłki pulsowały mu w skroniach.

- Michael, nie zastawiam na ciebie pułapki - rzekłam, wstając.

Popatrzyłam na Furtha. - Skończyłam - zakomunikowałam suchym głosem.

- No i?

- Wydaje mi się, że jest w porządku.

Z boku usłyszałam bełkot Dolla, jakby odgłosy ze źle nastawionego radia.

- Czy nie zapyta go pani, co robił pod szkołą?

- Po co?

- Bo to zboczeniec, po to - odrzekł Furth, już się więcej nie uśmiechając. - Stanowi zagrożenie i nie powinien kręcić się w pobliżu dzieci. - Ta uwaga była przeznaczona dla mnie. Teraz zaczął mówić wprost do Dolla: - Mickey, nie myśl, że ci to ujdzie na sucho. Już my cię znamy.

Rozejrzałam się wokół. Doli zastygł z otwartymi ustami, jak żaba czy ryba. Odwróciłam się do wyjścia i w tym momencie resztką świadomości odnotowałam dźwięk rozbijanego przedmiotu. Wrzask. Silne uderzenie. Straszliwy ból rozrywanej skóry. Ciepła ciecz zaczęła spływać mi po twarzy i szyi. Podłoga niebezpiecznie się do mnie zbliżyła. Z łoskotem upadłam na linoleum. Poczulałam na sobie czyjś ciężar. Krzyki. Do pokoju wpadli jacyś ludzie. Chciałam wstać, ale się ślizgałam.

Moja ręka była mokra. Spojrzałam na nią. Krew. Wszędzie mnóstwo krwi. Niewiarygodne ilości. Wszystko stało się czerwone. Ktoś mnie ciągnął do innego pomieszczenia, potem postawił na nogi. To był wypadek. Po prostu wypadek.

## Rozdział 1

- I powiedziałem: tak, tak, wierzę w Boga, ale Bóg może być wiatrem w gałęziach drzew albo błyskawicą na niebie.

Mężczyzna pochylił się w moją stronę i wymierzył we mnie widelec. Nie był to ktoś, z kim pod koniec wieczoru poszłabym do domu, a wręczoną mi wizytówkę postanowiłam wyrzucić.

- Bóg może być twoim sumieniem, może być imieniem miłości. Może również być Wielkim Wybuchem.

- Tak - odrzekłam. - Wierzę, że nawet Wielki Wybuch może być powodem wiary.

- Mogę ci dolać? - usłyszałam w odpowiedzi. Doszliśmy do typowego stadium przyjęcia. Sześć butelek

wina na osiem osób i tylko jedno danie. Nieapetyczna zapiekanka z ryby i groszku. Poppy jest najgorszą kucharką, jaką znam. Gotuje gigantyczne ilości jadła całkiem bez smaku. Zerknęłam na nią. Z twarzą czerwoną jak burak dyskutowała o czymś zawzięcie z Kathy, przesadnie gestykulując.

Jednym z rękawów zahaczyła o talerz z resztką dania. Miała skłonność do dyrygowania ludźmi, czym nadrabiała brak pewności siebie, może była nieszczęśliwa, ale zawsze hojna. Wydała przyjęcie z okazji mego powrotu do zdrowia i zapewne do pracy. Poczula na sobie mój wzrok i spojrzała na mnie. Uśmiechnęła się i w tym momencie stała się znów młodą dziewczyną, studentką, którą poznałam dziesięć lat temu.

Światło świec sprawia, że każdy wygląda w nim pięknie. Twarze wokół stołu jaśniały tajemniczym blaskiem. Rzuciłam okiem na Seba, męża Cathy, psychiatrę. Nasze terytoria zawodowe graniczyły ze sobą. To on tak się kiedyś wyraził. Nigdy nie myślałam, że mam jakieś terytorium, ale on czasami sprawiał wrażenie psa stróżującego na swej działce - czekał, gdy tylko ktoś się do niej zbliżał. Jego kanciasta sylwetka wydawała się bardziej opływowa w łagodnym świetle. Cathy już nie była przyciężką szatynką, lecz delikatną, złotawą blondynką. Jej mąż siedzący przy drugim krańcu stołu znajdował się częściowo w cieniu. Mój sąsiad po lewej był pokryty cętkami światła.

- Powiedziałem jej: „Wszyscy musimy w coś wierzyć. Bóg może być naszymi marzeniami. Każdy musi mieć marzenia”.

- To prawda. - Włożyłam do ust widelec z kawałkiem dorsza.

- Miłość - ciągnął mój sąsiad. - Czym jest życie bez miłości? - I głośno powtórzył, żeby wszyscy przy stole usłyszeli: - Czymże jest życie bez miłości?

- Za miłość! - wzniosła toast Olive siedząca naprzeciwko mnie. Podniosła pusty kieliszek i roześmiała się skrzekliwie. Wysoka brunetka o rzymskich rysach, miała włosy upięte w dramatyczny węzeł na czubku głowy. Zawsze sądziłam, że powinna być raczej modelką niż pielęgniarką na oddziale geriatrycznym. Pochyliła się i wpiła się w usta swego nowego chłopaka, który siedział z niezbyt przytomną miną.

- Dołożyć komuś zapiekanki?

- Czy jest ktoś w twoim życiu? - zamruczał mój sąsiad. Bez wątpienia był trochę zalany. - Ktoś do kochania?

Zamrugalam powiekami i próbowałam niczego sobie nie przypominać.

Kiedyś, na innym przyjęciu, w innym świecie, zanim prawie umarłam i zostałam przywrócona do życia jako kobieta ze szramą biegnącą przez całą twarz, zastałam w sypialni gospodarzy Albiego w towarzystwie innej dziewczyny. Jego ręce ścigały ramiączka jej różowej jak lukier sukienki, jej pełne piersi w jego dłoniach stawały się coraz większe. Ona miała zamknięte oczy, głowę zwieszoną w bok, rozmazaną

szminkę. Usłyszałam, jak mówił pijackim szeptem: „Nie, nie możemy”, ale mimo to pozwalał - miękki i całkowicie bierny - rozpinąć sobie spodnie. Stałam w drzwiach jak słup soli. Nie mogłam się ruszyć, wydobyć z siebie głosu. Gapiąc się na tę scenę, myślałam o ograniczonej liczbie czynności seksualnych. Gesty, które uważamy za własne, są najwyraźniej dość powszechne. Patrzyłam, jak masowała kciukiem jego dolną wargę. Ja też tak robiłam. I w tym momencie Albie mnie dostrzegł. Przyszło mi wówczas na myśl, jak niewiele jest też sposobów przylapywania na zdradzie kochanka. To takie nieoryginalne. Jego śliczna koszula, wyciągnięta ze spodni, wisiała na nim niechlujnie. Wpatrywaliśmy się w siebie, podczas gdy tamta tkwiła między nami. Wlepiając w niego wzrok, czułam bicie serca. Czymże jest życie bez miłości?

- Nie - odparłam. - Teraz nie mam nikogo.

Poppy stuknęła trzonkiem noża w kieliszek. Z góry rozległ się wrzask dziecka. Po chwili usłyszeliśmy głucho walenie w sufit. Seb się wzdrygnął.

- Chcę wznieść toast - oznajmiła Poppy i chrząknęła.

- Chwileczkę, daj napełnić kieliszki.

- Trzy miesiące temu Kit przeszła okropne... doświadczenie.

Mój sąsiad obrócił się do mnie i popatrzył na moją twarz. Uniosłam rękę, żeby zakryć bliznę, jakby jego wzrok mnie palił.

- Została zaatakowana przez szaleńca.

- No... - zaprotestowałam słabo.

- Każdy, kto ją widział w szpitalu, tak jak ja... Co on jej zrobił... Byliśmy zrozpaczeni. - Wypite wino i wzruszenie sprawiały, że Poppy z trudem ukrywała drżenie w głosie. Gapiłam się w talerz, czerwona ze wstydu. -

Ale nikt nie powinien sądzić jej po pozorach. - W jej oczach zauważyłam niepokój. Spojrzała na mnie. - Nie mam na myśli, że ty... no wiesz. -

Znowu zakryłam twarz rękami. Ciągle tak teraz robiłam, w geście samoobrony; jeszcze nie potrafiłam się kontrolować. - Ona wygląda jak sama łagodność, ale jest dzielną, stanowczą kobietą. Nigdy się nie poddaje i - uwaga - w najbliż-

szy poniedziałek wraca do pracy. Ten wieczór jest na jej cześć. Pragnę, aby wszyscy wypili za jej rekonwalescencję, no i... to właściwie tyle. Nigdy nie potrafiłam wygłaszać przemówień z takich okazji. W każdym razie - za zdrowie naszej kochanej Kit!

- Za Kit! - rozległ się chór głosów. Uniesionymi nad resztkami jedzenia kieliszkami stuknęliśmy się nad stołem. Na twarzach wokół mnie ujrzałam uśmiechy, lekko zamglone w świetle świec. - Za Kit.

Zmusiłam się do grymasu, który miał naśladować radość. Wcale nie miałam ochoty na toasty, źle reagowałam na takie przejawy sympatii.

- No, Kit, zabierz głos! - Te słowa wypowiedział Seb, wpatrując się we mnie z uśmiechem. Znacie taki typ człowieka -jego minę, jego barwę głosu. Tacy jak on zawsze wygłaszają kategorię opinie na dowolny temat, począwszy od seryjnych morderców przez koszmarny senne nękające małe dzieci do przejawów szaleństwa tłumu. Seb prawi mi komplementy, uśmiecha się i robi wszystko, abym się dobrze poczuła, ale w istocie widzi we mnie beznadziejnego nowicjusza w naszym zawodzie.

- Kit, nie możesz tak skromnie siedzieć. Powiedz coś!

- No dobrze - zmusiłam się do odpowiedzi. Przemknął mi przez myśl Michael Doli, który rzucił się na mnie z podniesioną ręką. Ujrzałam jego twarz, błysk w oczach. - W rzeczywistości wcale nie jestem walecznym człowiekiem, wręcz odwrotnie. Ja... - przerwałam, słysząc nad głową kolejny huk. Po chwili znowu coś upadło na podłogę nad naszymi głowami.

- Och, na miłość boską! - krzyknęła Poppy, zrywając się z krzesła. - Inne dzieci śpią jak susły o wpół do jedenastej, wcale się ze sobą nie bijąc. Poczekajcie chwilę.

- Nie, siedź, ja tam pójde - powiedziałam, wstając od stołu.

- Daj sobie spokój!

- Naprawdę mam ochotę tam zajrzeć. Przez cały wieczór ich nie widziałam. Chcę przynajmniej powiedzieć im dobranoc.

Niemal wybiegłam z pokoju. Gdy wspinałam się po schodach, usłyszałam ciężkie kroki na korytarzu i czyjś szloch. Jednakże kiedy weszłam do sypialni, Amy i Megan leżały w łóżeczkach przykryte po samą brodę. Starsza z dziewczynek, siedmioletnia Megan, udawała, że śpi, choć jej zaciśnięte powieki drgały. Pięcioletnia Amy miała szeroko otwarte oczy. Obok siebie trzymała królika z aksamitu z długimi uszami i oczkami z koralików.

- Hej, moje małe - rzekłam do nich, przysiadłszy na skraju łóżka młodszej z sióstr. W przyćmionym świetle lampki nocnej zauważyłam czerwone znamię na jej szyi.

- Kitty - odezwała się Amy. Prócz Albiego tylko one dwie tak się do mnie zwracały. - Megan mnie uderzyła.

Megan natychmiast usiadła.

- Kłamczucha! A zresztą ona mnie podrapała, zobacz, jakie mam ślady! - Wyciągnęła rączkę w moim kierunku.

- Ona powiedziała, że mam ptasi mózdzek!

- Nic podobnego!

- Przyszłam, żeby powiedzieć wam dobranoc. Patrzyłam na nie, jak siedziały w swych łóżeczkach, ze zmierzwionymi włosami, błyszczącymi oczami i zaróżowionymi policzkami. Przyłożyłam rękę do czoła Amy. Było gorące i wilgotne. Wokół niej unosił się zapach mydła i dziecięcego potu. Miała piegi na nosku i wyraźnie zarysowaną brodę.

- Jest już późno - dodałam.

- Amy mnie zbudziła - rzekła Megan.

- Och! - Otwarte usta młodszej z dziewczynek wyrażały skrajne oburzenie.

Z dołu dochodził szmer rozmów, brzęk sztućców, czyjś śmiech.

- Jak mam was zachęcić do snu?

- Czy to boli? - Amy dotknęła wskazującym palcem mego policzka.

Cofnęłam się instynktownie.

- Teraz już nie.

- Mama mówi, że to było straszne - odezwała się Megan.

- Tak powiedziała?

- Tak, i dodała, że Albie sobie poszedł. - Albie je rozpiesz-



czał, przynosił lizaki, naśladował pohukiwanie sowy, przykładając złożone dłonie do ust.

- To prawda - odpowiedziałam.

- Więc nie będziesz miała dzieci?

- Szs, Amy, to niegrzeczne.

- Może któregoś dnia - odparłam. Poczułam jakąś dziwną tęsknotę. - Ale nie teraz. Czy mam wam opowiedzieć bajkę?

- Taaak - odparły zgodnym chórem. Doczekały się.

- Ale to będzie krótka opowieść. - Szukałam w myślach odpowiedniej historii. - Dawno, dawno temu była sobie dziewczynka, która miała dwie wstrętne siostry i...

Z obu łóżek rozległ się jęk.

- Nie, nie tę!

- Może więc o Śpiącej Królewnie? Albo o trzech wesołych świnkach? Albo o Kopciuszku?

- Nuudne! Opowiedz nam jakąś własną historię, prawdziwą.

- O dwóch dziewczynkach! - wtrąciła Amy.

- ...które miały na imię Amy i Megan...

- i przeżyły straszne przygody w zamku.

- Dobrze, już dobrze. Zastanówmy się. - Zaczęłam opowiadać bez żadnego planu. - Były sobie dwie dziewczynki, które nazywały się Megan i Amy. Megan miała siedem lat, a Amy pięć. Któregoś dnia się zgubiły.

- W jaki sposób?

- Poszły na spacer z rodzicami. Był wczesny wieczór, rozszalała się burza, pioruny waliły wokoło, wył wiatr. Dziewczynki ukryły się w spróchniałym pniu drzewa, ale kiedy przestało lać, zorientowały się, że zostały samiutkie w ciemnym lesie i nie mają pojęcia, w którym kierunku się udać.

- Dobrze się zaczyna - zawyrokowała Megan.

- A zatem Megan zdecydowała, że muszą iść przed siebie, aż dojdą do jakiegoś domu.

- A co ja na to?

- Amy powiedziała, że muszą zebrać jeżyny z krzaków, żeby nie umrzeć z głodu. I tak szły, szły, aż upadły i zraniły sobie kolana. Robiło się coraz ciemniej, niebo przesywały błys-

kawice, wielkie czarne ptaszysko nie dawało im spokoju, lecąc nad nimi z łopotem skrzydeł i z ohydny krakaniem. W zaroślach dostrzegły dziesiątki oczu, które się w nie wpatrywały. To były ślepie dzikich zwierząt.

- Panter.

- Nie sądzę, żeby w tym lesie były...

- Panter - powtórzyła Megan stanowczym tonem.

- Zgoda, panter. Nagle Megan zauważyła w gąszczu światło...

- A co się stało...

- Amy również je dostrzegła. Ruszyły w tym kierunku. Kiedy dotarły na miejsce, zobaczyły, że to świeciła lampa naftowa zawieszona na haku wbitym w stare drewniane drzwi. Prowadziły do zrujnowanego domostwa, które wyglądało groźnie i tajemniczo. Ale dziewczynki były tak wyczerpane, przemarznięte i zaleknione wędrówką przez las, że postanowiły zaryzykować. Zastukały do drzwi, lecz z głębi odpowiedziało im tylko echo, głośnie jak bicie w bęben. - Zamilkłam na chwilę. Siostry siedziały cicho, z półotwartymi ustami. - Nikt jednak nie nadszedł, a wielkie czarne ptaszyska krążyły coraz bliżej, z groźnym krakaniem. Zrobiło się ich tyle, że były jak czarna chmura nad ich głowami. Ptaszyska, niebo rozdierane błyskawicami, coraz głośniejsze grzmoty, gałęzie szarpane wiatrem. Megan pchnęła więc drzwi, które otworzyły się z ohydny zgrzytem. Amy zdjęła z haka lampę naftową i obie dziewczynki weszły do zrujnowanego zamku. Trzymając się za rączki, popatrzyły wokół.

- Z sieni prowadził korytarz w głąb domu, ze ścian spływała kaskadami woda. Doszły do komnaty, która była pomalowana na niebiesko, z niebieską fontanną bulgoczącą pośrodku, z błękitnym sufitem. Dochodził stamtąd łoskot fal rozbijających się o brzeg. Znalazły się w wodnej komnacie oceanów i odległych wysp. Poczuły, że są tak daleko od domu, jak nigdy przedtem. Ruszyły więc dalej przed siebie i weszły do innej komnaty. Była cała zielona, z paprociami i drzewami w donicach. Przypominała im park, w którym się bawiły, i to wspomnienie sprawiło, że jeszcze bardziej zatęskniły za domem.

Trzymając się za ręce, poszły kawałek dalej i stanęły przed trzecią komnatą. Drzwi do niej, pomalowane na czerwono, były jednak zamknięte. Nie wiedzieć czemu przeraziły się tego pokoju, jeszcze zanim nacisnęły klamkę.

- Dlaczego? - zapytała Megan.

Ścisnęłam obiema dłońmi wyciągniętą do mnie rączkę.

- Za czerwonymi drzwiami znajdowała się czerwona komnata.

Dziewczynki wiedziały, że w tym pokoju jest wszystko, czego się najbardziej boją. Megan, czego się najbardziej lękasz?

- Nie wiem.

- Wysokości?

- Taaak. I wypadnięcia z łodzi, i umierania, i ciemności. I tygrysów. I krokodyli.

- To wszystko czekało na Megan w czerwonej komnacie. A Amy?

- Amy nie znosi pajaków - orzekła Megan. - Wtedy strasznie wrzeszczy.

- Tak, i jadowitych węży. I fajerwerków wybuchających w moich włosach.

- No dobrze, to co teraz dziewczynki zrobiły?

- Uciekły!

- O, nie. Chciały zobaczyć, co tam jest. Pragnęły ujrzeć te tygrysy i łodzie, i krokodyle...

- I jadowite węże.

- Tak, nawet jadowite węże. Więc nacisnęły klamkę i weszły do czerwonej komnaty. Rozejrzały się po jej wnętrzu, które było całe czerwone - czerwone ściany, czerwony sufit, czerwona podłoga.

- Ale co było w środku? - przerwała Megan. - Gdzie siedziały krokodyle? Zamilkłam, zbita z tropu. Czym właściwie była czerwona komnata?

Opowiadając im tę historię, wcale się nad tym nie zastanawiałam.

Rozmyślałam teraz, czy żywy tygrys połknie je obie.

- Tam był mały pluszowy tygrysek - powiedziałam. - I taki sam krokodylek.

- I wąż-zabawka.
  - Tak, i malutka łódeczka, a na stole było pyszne jedzenie, obok stało mięciutkie łóżko. Czekali tam rodzice. Położyli Megan i Amy do łóżka, okryli kołdrą, ucałowali je i dziewczynki zasnęły.
  - Z zapaloną lampką nocną.
  - No pewnie.
  - Opowiedz coś jeszcze - zażądała Megan. Pochyliłam się i pocałowałam oba zmarszczone czołka.
  - Innym razem - rzekłam, zbierając się do wyjścia.
  - Myślę, że zmarnowałaś końcówkę. - Obejrzałam się za siebie. W drzwiach stał Seb ze swoim ironicznym uśmiechem. - Skąd to wzięłaś? Ze zbioru opowiadań na dobranoc Brunona Bettelheima?
- Na jego szyderczą uwagę odpowiedziałam całkiem serio:
- To był sen, jaki przyśnił mi się w szpitalu.
  - Nie sądzę jednak, że w twojej czerwonej komnacie były zabawki i miękkie łóżko. A więc co tam ujrzałaś?
  - Nie wiem - odparłam. Kłamałam. Poczułam skurcze w żołądku na wspomnienie tego snu.

Nieco później odmówiłam memu pijanemu sąsiadowi, gdy zaproponował, że odwiezie mnie do domu. Nie chciało mi się z nim sprzeczać, czy Wielki Wybuch był tożsamy z Bogiem. Z domu Poppy i Seba przeszłam spacerem do mego mieszkania w Clerkenwell. Czułam na twarzy chłodny rześki wiatr, który nieco drażnił moją bliznę.

Towarzyszył mi półksiężyc płynący w chmurach, pomarańczowe światło lamp ulicznych oświetlało drogę. Byłam trochę smutna, trochę szczęśliwa i odrobinę nietrzeźwa. Na przyjęciu wygłosiłam przemowę, jakiej ode mnie oczekiwano, o przyjaciółach, którzy pomogli mi przejść przez najgorsze, wyrecytowałam wszystkie te podniosłe i prawdziwe zdania o większym przywiązaniu do życia po wypadku, a na koniec zjadłam szarlotkę. Przeprosiłam zebranych, że dłużej już nie mogę zostać, i wyszłam. Teraz byłam sama. Moje kroki odbijały się echem w pustych uliczkach, na

jezdniach błyszczały kałuże, a puszki po piwie, gonione wiatrem, grzechotały w bramach. Kot otarł mi się o nogi i równie szybko zniknął w ciemnościach ścieżki.

W domu zastałam wiadomość na automatycznej sekretarce. Od ojca. - Halo - usłyszałam jego niepewny głos. - Halo, Kit? Tu mówi tata. - I tyle. Dochodziła druga w nocy, ale mój mózg pracował na najwyższych obrotach. Wcale nie chciało mi się spać. Postanowiłam zrobić sobie herbatę - to proste, gdy się mieszka samemu. Wystarczy zanurzyć torebkę we wrzątku, dolać trochę mleka. Czasami jem na stojąco, opierając się o lodówkę, albo krążę po kuchni. Parę plasterków sera, jabłko, czerstwa bułka, kęs herbatnika. Sok pomarańczowy prosto z kartonu. Albie gotował wyszukane dania w ogromnych ilościach - udziec barani z ziołami i przyprawami, używał mnóstwa rondli, kładł na parapecie dziwacznych kształtu sery, żeby dojrzały w odpowiedniej temperaturze, odkorkowywał wcześniej butelki wina. Przypomniałam sobie jego śmiech grzmiący w pokojach. Usiadłam na kanapie, popijając herbatę. Ponieważ byłam sama i na dodatek w sentymentalnym nastroju, wyciągnęłam jej fotografię.

Była wtedy w moim wieku, pamiętałam o tym, ale wyglądała niewiarygodnie młodo. Wydawało się to wieki temu. Była jak dziecko, któremu ktoś przygląda się przez furtkę na końcu ogrodu. Ubrana w spłowiałe dżinsowe szorty i czerwony podkoszulek siedziała na trawniku, mając za sobą drzewo. Padał na nią promień słońca, oświetlając krągłe kolana. Długie kasztanowe włosy zaczesła za uszy, prócz jednego kosmyka, który spadał jej na oko. Chwilę później na pewno odgarnęłaby go z czoła. Miała puciołowatą twarz obsypaną malutkimi piegami - skutek letniej opalenizny - i szare oczy. Wyglądała tak jak ja. Wszyscy, którzy ją znali, zawsze mówili o mnie: „Wykapana matka!”. I dodawali: „Biedactwo”, mając na myśli ją, mnie i nas obie, jak sądzę.

Umarła, zanim zdołałam ją zapamiętać, chociaż wielokrotnie usiłowałam się przedrzeć przez mgłę wspomnień z wczesnego dzieciństwa, pragnąc ujrzeć jej niewyraźny wizerunek. Pozostały mi po niej zdjęcia i opowieści krewnych. Każdy za-

pamiętał ją inaczej, a ja otrzymywałam tylko ich niejasne słowa. Tak więc naprawdę nie tyle tęskniłam za matką, ile za najczulszą ideą matki. Ponieważ ojciec swoim precyzyjnym charakterem pisma odnotował datę na odwrocie zdjęcia, wiedziałam, że była już wtedy w ciąży, chociaż jeszcze niewidocznej. Brzuch był płaski, ale ja już się tam rozwijałam, niewidzialna jak tajemnica. Dlatego tak uwielbiam tę fotografię: ponieważ nikt inny nie wie, że jesteśmy na niej razem. Ona i ja, a przed nami miłość. Dotknęłam zdjęcia palcem. Wydało mi się, że jej twarz rozświetliła się w tym momencie. Ciągle płaczę, kiedy oglądam to zdjęcie.

## Rozdział 2

W sylwestra zawsze jestem zdenerwowana. Nie bardzo mogę uwierzyć w nowy początek. Któraś z moich przyjaciółek orzekła, że wobec tego jestem bardziej protestantką niż katoliczką. Myślę, że chodziło jej o to, iż wlokę za sobą cały bagaż życia: złe wspomnienia, niepotrzebny balast. Niemniej jednak pragnęłam, aby mój powrót do pracy stał się nowym początkiem. Mieszkanie było zagracone rzeczami, które Albie zostawił, wyprowadzając się ode mnie. Choć minęło pół roku, ciągle znajdowałam jego koszule w szufladzie komody, znoszoną parę butów pod łóżkiem. Nie wyrzuciłam go ze wszystkim. Jego ślady stale się pojawiały w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, jak rzeczy z rozbitego statku wyrzucane po sztormie na brzeg.

Tamtego niedzielnego wieczoru włożyłam białe bawełniane spodnie i pomarańczową bluzkę z rękawami do łokci, obszytą koronką wokół szyi. Nałożyłam tusz na rzęsy, błyszczczyk na wargi i dotknęłam korkiem od perfum miejsc za uszami. Wyszczotkowałam ciągle jeszcze wilgotne włosy i zebrałam je na czubku głowy. Nie miało to żadnego znaczenia. On przyjdzie i zaraz potem odejdzie, a ja zostanę znowu sama, w mieszkaniu z otwartymi oknami, ale zaciągniętymi zasłonami, z kieliszkiem oziębionego wina w ręce, a w tle grać będzie muzyka. Znowu zapanuje tu spokój. Stałam przed dużym lustrem w sypialni, ironicznie unosząc brwi.

Oczywiście, przyszedł później, niż się umawiał. Zawsze się trochę spóźnia. Zazwyczaj pojawia się zdyszany, uśmiechnięty, gadając już od drzwi. Tokuje na taki czy inny temat, wybucha śmiechem. Słyszałam jego śmiech, zanim rozlegały się kroki. Odwracałam się - i stał przede mną, zachwycony sobą w sposób godny pozazdroszczenia, jak sobie nieraz myślałam.

Tego dnia był jednak wyciszony, z niewyraźnym uśmieszkiem.

- Hej, Albie.

- Świetnie wyglądasz - powiedział, patrząc na mnie jak na jakieś dzieło sztuki, co do którego nie miał sprecyzowanej opinii. Pochylił się i pocałował mnie w oba policzki. Jego zarost podrapał mi skórę, podrażnił bliznę. Silnie ujął mnie za ramiona. Zauważyłam ślady czarnego tuszu na jego palcach.

Spojrzałam na niego i zrobiłam krok do tyłu, żeby wyzwolić się z jego uścisku.

- Rozgość się.

Zdawał się wypełniać sobą cały przestronny pokój.

- Kitty, jak się masz?

- Doskonale - odparłam stanowczo.

- Wiesz, że odwiedziłem cię w szpitalu, kiedy dowiedziałem się o wypadku? Pewnie nie pamiętasz. Na pewno nie. Boże, jak ty wtedy wyglądałaś... - Uśmiechnął się i przeciągnął palcem po mojej bliźnie. - Dobrze się goi. Myślę, że blizny mogą być piękne.

Odwróciłam się do niego plecami.

- Bierzemy się do roboty?

Zaczęliśmy od kuchni. Wziął stamtąd swój nóż do grzybów, z pędzelkiem na końcu do czyszczenia kapeluszy, potem naczynie do fondue z sześcioma widelcami, koszmary fartuch w pasy, w którym zawsze paradował, przyrządzając kolację, trzy książki kucharskie.

Przypomniałam sobie jego potrawkę z węgorza. I suflet z owoców, który za bardzo wyrósł i oblepił ścianki piecyka. Meksykańskie tacos z nadzieniem z mielonego mięsa, śmietany i cebulki. Pałaszował wszystko ze smakiem, wymachując widelcem, pakując sobie wielkie porcje do



ust i pochylając się nad stołem, żeby mnie pocałować. Na ostatnie Boże Narodzenie zjadł tyle gęsiny, podlewając ją ogromnymi ilościami burgunda, że poczuł się źle i kazał się zawieźć na ostry dyżur, sądząc, że dostał ataku serca.

- A co z tym? - zapytałam. Trzymałam w ręce miedziany garnek, który kiedyś kupiliśmy razem.

- Zatrzymaj go.

- Jesteś pewien?

- Jestem pewien.

- A te hiszpańskie talerze, któreśmy...

- Należą do ciebie.

Jednakże zabrał swój szlafrok, płyty z muzyką gitarową Ameryki Łacińskiej, wybór poezji, podręczniki fizyki, fioletowy krawat.

- Myślę, że to wszystko.

- Chcesz kieliszek wina? Zawahał się, w końcu pokręcił głową.

- Lepiej, żebym sobie poszedł. - Wziął do ręki torbę. - Śmieszny dawny świat, co?

- To tyle?

- Co?

- Twoje epitafium na koniec naszego związku. Śmieszny dawny świat.

Wzdrygnął się. Nad jego nosem pojawiły się dwie pionowe zmarszczki.

Uśmiechnęłam się uspokajająco, dając mu do zrozumienia, że jest mi już wszystko jedno. A on ciągle się uśmiechał, gdy wynosił się ze swoimi rzeczami, gdy pocałował mnie na pożegnanie, nawet kiedy ruszał sprzed domu. Od tej chwili miałam patrzeć przed siebie, nie za siebie.

Przychodnia Welbeck znajduje się w mieszkalnej części dzielnicy King's Cross. Kiedy ją zbudowano pod koniec lat pięćdziesiątych, chodziło o to, by nie odstraszała swoim wyglądem. Przecież miała być budynkiem, w którym mądrzy psychiatrzy rozwiązują problemy pacjentów i przywracają ich światu - szczęśliwych, pełnych oczekiwań. Taka przychodnia

nie mogła mieć kształtów wiktoriańskiej kamienicy z pseudo-gotyckimi wieżyczkami i wąskimi oknami.

Na nieszczęście projekt okazał się tak świetny i tyle razy nagradzany, że pod jego wpływem powstały liczne nowe budowle - szkoły podstawowe, ośrodki medyczne, domy starców. Dlatego przychodnia Welbeck stała się tym, czym nie miała być - z daleka rozpoznawalnym budynkiem użyteczności publicznej. Zazwyczaj nie zwracałam na nią uwagi, tak jak nie byłam świadoma, że oddycham. Chodziłam tam codziennie, pracowałam, rozmawiałam, pogłębiałam studia, piłam kawę. Ale teraz, wchodząc na schody po kilkutygodniowej przerwie, ujrzałam, że budynek wyraźnie się postarzał, beton w wielu miejscach popękał i szerniał. Dolna krawędź drzwi zahaczała o kamienny próg, wydając przy otwieraniu obrzydliwy zgrzyt.

Od razu skierowałam się do pokoju Rosy, która wyszła mi naprzeciw i objęła z całych sił. Następnie odsunęła się, żeby mi się przyjrzeć z nieco żartobliwą miną. Była ubrana w spodnie marengo i granatowy sweter. Miała już teraz zupełnie siwe włosy, a kiedy się uśmiechała, jej twarz pokrywała siateczka zmarszczek. O czym myślała? Kiedy ujrzałam ją po raz pierwszy, siedem lat temu, znałam jej fenomenalne studia nad rozwojem dziecka. Niekiedy ta superspecjalistka od pediatrii klinicznej, sama bezdzietna, zaskakiwała mnie swoimi uwagami. Zastanawiałam się wtedy, czy my wszyscy zatrudnieni w Welbeck nie rywalizujemy o jej względy, pragnąc zostać jej ulubionym synem czy córką. Rosa rządziła w przychodni trochę jak wielka matka, ale lepiej było nie wierzyć w jej matczyną łagodność czy dar wybaczenia. Była obiektywna aż do bólu.

- Kit, tęskniliśmy za tobą - odezwała się. - Witaj.

Nie odpowiadałam. Zrobiłam tylko minę, która miała świadczyć o wdzięczności. W brzuchu kotłowało mi się ze zdenerwowania. Czułam się jak uczennica w pierwszej klasie gimnazjum.

- Wyjdźmy przed dom i porozmawiajmy sobie - rzekła Rosa. - Chyba się przejaśniło. Co za dziwna pogoda!

Ruszyliśmy w stronę ogrodu na tyłach przychodni, po drodze napotykając Francisca. On też był swobodnie ubrany, w dżinsy i niebieską koszulę. Jak zwykle nieogolony, włosy w nieładzie. Ten człowiek chciał wyglądać jak artysta, a nie jak uczoney. Kiedy mnie dostrzegł, wyciągnął ręce i przez kilka sekund dość niezręcznie szliśmy tak naprzeciw siebie, zanim teatralnym gestem padłam mu w ramiona.

- Kit, jak to dobrze, że już wróciłaś! Jesteś pewna, że podołasz?

Skinęłam głową.

- Potrzebuję pracy. To jest tak, jak... dosiąść z powrotem konia, z którego się spadło.

Francis zrobił głupawą minę.

- Z ulgą oświadczam, że nigdy nie stałem nawet w pobliżu konia.

Najlepiej w ogóle na niego nie wsiadać.

Przedtem trochę padało, ale teraz wyszło słońce i mokre słupy błyszcząły w ostrym świetle. Ławki były jednak nasiąknięte wodą, więc stanęliśmy w półkolu jak goście na przyjęciu, którzy właśnie zostali sobie przedstawieni.

- Przypomnij mi, co masz dziś na tapecie - odezwała się Rosa, najwyraźniej po to, żeby przełamać milczenie.

- Dziś rano mam zobaczyć Sue. - Była to dwudziestotrzy-letnia anorektyczka, która sprawiała wrażenie istoty przezroczystej. Jej prześliczne oczy były jak dwa stawy w skurczonej, małej twarzyczce. Wyglądała zarazem jak dziewczynka i jak staruszka.

- Dobrze - odparła Rosa. - Przeznacz na to tyle czasu, ile uważasz za konieczne. I daj nam znać, jeśli będziesz potrzebowała pomocy.

- Dzięki.

- I jeszcze jedna sprawa.

- Tak?

- Odszkodowanie.

- Och!

- Tak. Francis uważa, że absolutnie powinnaś skierować sprawę do sądu.

- To jasne jak słońce - rzekł Francis. - Zostałaś okaleczo-

na pieprzonym kubkiem policjanta, prawda? Co on sobie w ogóle myślał! Zerknęłam na Rosę.

- A co ty o tym myślisz?

- Raczej jestem ciekawa, jakie jest twoje zdanie.

- Nie wiem, co sądzić. Uważam, że to wszystko jest pokręcone. Czy wiesz, że prokuratura... - usiłowałam sobie przypomnieć słowo po słowie list, jaki otrzymałam przed paroma dniami - ...postanowiła nie występować z aktem oskarżenia przeciwko Dollowi? Może to był błąd policjantów. Może mój. A może po prostu nieszczęśliwy wypadek. Nie jestem pewna, o co miałabym ich skarżyć.

- O dobrych parę setek funtów, naszym zdaniem - rzekł Francis z uśmiechem.

- Nie jestem przekonana, czy Doli rzeczywiście chciał komuś zrobić krzywdę. On się miotał w panice. Chwycił kubek, walnął nim o ścianę, skaleczył się, a potem mnie zranił. Jeszcze zanim policjanci go okiełznali, był w okropnym stanie. Wiecie, co dzieje się z ludźmi wtrąconymi do aresztu. Wpadają w szal. Próbują się zabić albo atakują innych.

Powinnam była to przewidzieć. - Spojrzałam na Rosę i Francisa. -

Jesteście zaskoczeni? Uważacie, że powinnam reagować z wściekłością?

Domagać się krwi Dolla? - Zadrżałam. - Gliniarze straszliwie go zbili przed wrzuceniem do celi. Sądzieli pewnie, że wyrządzą mi tym przysługę. Musieli przyjąć z furią nakaz wypuszczenia go na wolność.

- Owszem - rzekła Rosa suchym tonem.

- A to był błąd Furtha, chociaż to jasne, że on się nigdy do tego nie przyzna. Ale także i mój błąd. Przypuszczalnie nie byłam wystarczająco skoncentrowana. Tak czy inaczej, nie mam zamiaru występować przeciwko policji na drogę sądową. W czym by to miało pomóc?

- Ludzie powinni być pociągani do odpowiedzialności za swoje błędy - rzekł Francis. - Mogłaś przecież umrzeć.

- Ale nie umarłam i czuję się całkiem dobrze.

- Przynajmniej zastanów się nad tym.

- Stale nad tym rozmyślam - odparłam. - Śnię po nocach.

I jakoś nie przemawia do mnie idea otrzymania rekompensaty pieniężnej.  
- Słyszę, co mówisz. - Francis skomentował moje uwagi takim głosem, że miałam ochotę wytarosić go za nos.

Gdy wracałam do domu, rozpętała się burza. Ciepły letni deszcz zmywał przednią szybę mego auta i rozpryskiwał się w bajeczne tęcze wokół opon mijających mnie z hukiem ciężarówek. Popołudniowy ruch gęstniał, spaliny drażniły mi spojówki i ścisnęły w gardle. Kiedy podjechałam pod dom, ujrzałam jakiegoś mężczyznę stojącego przed drzwiami. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, trzymał ręce w kieszeniach. Usłyszał, jak zatraskuje drzwiczki i obejrzał się. Hełm blond włosów błyszczał w kroplach deszczu, wąskie usta rozchyliły się w uśmiechu. Przez dłuższy czas patrzyłam na niego bez słowa, a on nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Detektyw-inspektor Guy Furth - odezwał się wreszcie.

Czułam się pod tym natarczywym spojrzeniem jak podczas rewizji osobistej, ale nie drgnęłam.

- Kit, dobrze wyglądasz - powiedział i uśmiechnął się do mnie, jakbyśmy byli dobrymi kumplami.

- O co chodzi?

- Czy mogę wejść na chwilę?

Wzruszyłam ramionami. Doszłam do wniosku, że łatwiej będzie się zgodzić niż odmówić.

### Rozdział 3

- Nigdy tu przedtem nie byłem - rzekł, rozglądając się wokoło.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

- Jakże, na miłość boską, miałbyś znać moje mieszkanie? Spotkaliśmy się tylko raz. Pamiętasz?

- Odnoszę wrażenie, jakby to było więcej razy - odparł, przechadzając się po mieszkaniu jak ktoś, kto ma zamiar je kupić. Podszedł do okna w głębi, wyrzwał na trawnik. - Niezły widok. Szkoda, że nie jest taki od frontu.

Przyjemny kawałek zieleni.

Nie odpowiedziałam. Zwrócił się w moją stronę z uśmiechem, ale oczy zdradzały stan jego ducha. Baczenie wszystko obserwowały, jakby w obawie, że jakiś zwierz rzuci się na niego od tyłu. Zawsze odnosiłam wrażenie, że moje mieszkanie zmienia się w zależności od tego, kto tu wchodzi. Oglądałam je ich oczami. A raczej wyobrażałam sobie, co widzą. W oczach Furtha moje domostwo było zbyt puste, pozbawione wygód i dekoracji. Na lakierowanej podłodze z desek stała sofa, obok niej leża! nieduży dywan. W kącie stara wieża stereo i masa porzrzuconych kompaktów. Mnóstwo książek na półkach, a te, które się nie zmieściły, leżały stosami na podłodze. Pomalowane na biało ściany, niemal gołe. Niemal wszystkie obrazy, które na nich kiedyś wisiały, denerwowały mnie. Albo jeszcze gorzej: przestały mnie nawet irytować. Re-

agowałam z przykrością na fakt, że obraz po paru tygodniach czy miesiącach ekspozycji na ścianie stawał się niezauważalny, jakby w ogóle nie istniał. Kiedy przestawałam go odnotowywać wzrokiem, pozbywałam się go. I w ten sposób zredukowałam domową kolekcję do dwóch. Jeden z nich przedstawiał dwie butelki na stole. Otrzymałam go od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny. Był dziełem beznadziejnego malarza - jego przyjaciela, a nawet dalekiego krewnego. Nigdy jednak nie potrafiłam przejść obok niego obojętnie. Drugi był fotografią dziadka, ojca mojego ojca, w towarzystwie jego brata i siostry, chyba z połowy lat dwudziestych. Dziadek miał na sobie strój marynarski. Cała trójka uśmiechała się dziwnie, jakby wstrzymując się od chichotu po wysłuchaniu dowcipu, który dla nas był poza zasięgiem wzroku i słuchu. Uważałam, że to urocza fotografia. Kiedyś, może za sto lat, ktoś powiesi ją na ścianie i z ciekawością zada sobie pytanie, na które nie znajdzie odpowiedzi: „Kim są te dzieci?”.

Zerknęłam na Furtha. Dla niego, oczywiście, ta fotografia nic nie znaczyła. Zresztą jak i całe mieszkanie. Raczej go zaskoczyło, ale w negatywny sposób. Pewnie mówił w myślach: To wszystko? Do tego miejsca Kit Quinn wraca każdego wieczoru po pracy?

Stał zbyt blisko i patrzył mi oczy z taką troską, aż rozboleł mnie brzuch.

- Jak się teraz miewasz? Z twarzą wszystko w porządku? Cofnęłam się o krok, zanim dotknął mojej blizny.

- Nie sądziłam, że się jeszcze spotkamy - powiedziałam cichym głosem.

- Okropnie przeżyliśmy twój wypadek, Kit - rzekł Furth, i szybko dodał: - Nie uważamy, że to była czyjaś wina. On się zachowywał jak oszalone zwierzę. Trzeba było wezwać czterech ludzi, żeby go obezwładnić.

Powinnaś była wziąć pod uwagę moje słowa, że to zboczenie.

- Czy przyszedłeś tu, by mi to zakomunikować?

- Nie.

- A więc co cię sprowadza?

- Chcę pogadać.

- O czym? Zachmurzył się.
  - Pragniemy pewnej rady.
  - Czego? - Byłam tak zdumiona, że nie mogłam opanować śmiechu. - Czy przyszedłeś tu w związku z jakimś dochodzeniem?
  - Otóż to. Chcielibyśmy z tobą porozmawiać. Masz coś do picia?
  - Co masz na myśli?
  - Na przykład piwo?
- Poszłam do lodówki i wyciągnęłam butelkę z jakimś bawarskim piwem. Przyniosłam ją do pokoju, postawiłam przed nim.
- Czy nie będzie ci przeszkadzało, jak zapalę?
- Znalazłam spodek w kuchni. Furth odsunął szklanekę i pociągnął piwo z butelki. Po chwili zapalił papierosa i zaciągnął się kilka razy.
- Zajmuję się teraz morderstwem nad kanałem Regent -odezwał się w końcu. - Słyszałaś coś o tym?
- Zamyśliłam się przez chwilę.
- Coś czytałam na ten temat w gazecie, parę dni temu. Znalezione tam zwłoki, prawda?
  - Tak, co o tym myślisz?
  - To smutne. - Zrobiłam odpowiednią minę. - Krótka notatka na dole strony. Młoda dziewczyna bez stałego miejsca zamieszkania. Jedynym powodem tego doniesienia były straszne rany na ciele ofiary. Nawet nie wiadomo, jak się nazywała, prawda?
  - I nadal nie wiemy. Ale mamy podejrzanego. Pokręciłam głową.
  - Dobra robota. A teraz... Furth uniósł rękę do góry.
  - Zapytaj mnie o nazwisko podejrzanego.
  - Co?!
  - No, pytaj. - Uśmiechnął się szeroko, umościł wygodniej na krześle i skrzyżował ręce. Czekał na moją reakcję.
  - Dobrze - odpowiedziałam posłusznie. - Jak brzmi nazwisko podejrzanego?



- Anthony Michael Doli.

Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem. On tymczasem spoglądał na mnie z wyraźnym triumfem w oczach.

- Teraz widzisz, dlaczego jesteś idealną osobą do tego zadania? Po prostu nie ma lepszej.

- Aha, mam okazję się zemścić - odezwałam się po chwili. - Straciłam okazję dokopać mu w areszcie, to teraz mogę pomóc w skazaniu go za morderstwo. Na tym polega wasz pomysł, tak?

- Nie, nie - odparł uspokajającym tonem. - Mój szef jest zainteresowany współpracą z tobą. Nie obawiaj się, dostaniesz za to pieniądze. I może nawet się wciągniesz. Zapytaj swego kolegi Seba Wellera.

- Wciągnę się - odrzekłam. - Jak mogłabym odmówić? Świetnie się bawiliśmy ostatnim razem.

Podeszłam do lodówki i wyjęłam otwartą butelkę białego wina. Nalałam pełną szklankę i przez chwilę trzymałam ją pod światło. Potem pociągnęłam łyk i poczułam, jak lodowaty płyn ścieka do gardła.

Wyrzałam przez okno, kontemplując purpurowe słońce nisko zawieszone nad szafirowym niebem. Rozpogodziło się, zapowiadał się piękny letni wieczór. Odwróciłam się w stronę Furtha.

- Dlaczego uważasz, że sprawcą jest Doli?

Moje pytanie najpierw go zaskoczyło, a po chwili ucieszyło.

- Widzisz? Już się wciągnęłaś. On spędza nad tym kanałem całe dnie, łowiąc ryby. Bywa tam codziennie. Zgłosił się do nas, kiedy zaapelowaliśmy do ludzi, którzy przebywali w okolicy i mogli nam przekazać jakieś informacje. - Spojrzał na mnie spod zmarszczonych brwi. - Czy to cię dziwi?

- Co?

- Ze facet sam się zgłasza.

- Niekoniecznie. Jeśli jest niewinny, to lepiej dla niego, żeby go sprawdzono. A jeżeli jest winny... - Zamilkłam. Nie chciałam uczestniczyć w rozmowie, w której argumentem były podejrzenia być może wysane z palca.

Furth mrugnął jednak, jakby mnie złapał na gorącym uczynku.

- Jeżeli jest winny - ciągnął - to może chciał być wciągnięty w dochodzenie, nawet marginalnie. Co o tym myślisz?

- To się zdarza - odparłam.

- Oczywiście, że się zdarza. Tacy ludzie jak on to uwielbiają. Chcą być blisko śledztwa, żeby radować się własnym sprytem. To taka dodatkowa podnieta. Popieprzone skurwysyny.

- No więc co on zeznał?

- Jeszcze go nie przesłuchiwałam.

- A dlaczego?

- Chcemy, żeby trochę zmiękł. Ale nie próżnowaliśmy. Oddelegowaliśmy do niego młodą policjantkę nazwiskiem Colette Dawes. Fajna dziewczyna, obrotna. Ma go lepiej poznać. Oczywiście, robi to w cywilu. Skłoni go do wyznań, no wiesz, jakie są sposoby: parę drinków, trochę uwodzenia, noga założona na nogę, kusa spódniczka. Pokieruje odpowiednio rozmową. Ma ukryty magnetofon, nagrała z nim już mnóstwo taśm, wiele godzin.

- I na tym polega wasze dochodzenie? - spytałam, lekko wytrącona z równowagi. - Wysłanie policjantki, żeby z nim flirtowała?

Furt zbliżył do mnie pełną napięcia twarz.

- Nic więcej nie powiem - wyszeptał z miną konspiratora. - Pragniemy tylko zasięgnąć u ciebie opinii o nim. W dyskretny sposób. To nie zajmie ci wiele czasu. Zerkniesz do jego akt, pogadasz z nim chwilę. Wiesz, o co chodzi - wstępna diagnoza.

- Chcecie, żebym z nim porozmawiała?

- Pewnie. Masz z tym problem?

Jasne, że miałam, ale też zrozumiałam, iż nie potrafię odmówić.

- Nie, żadnego - odparłam. - A ta kobieta, Colette Dawes, zdaje sobie sprawę z tego, co robi?

Furth wydał wargi.

- Pewnie, to doświadczona policjantka. A my zawsze kręcimy się w pobliżu. Kit, posłuchaj, rozumiem, że możesz zareagować nerwowo. Sądziłam jednak, że taka konfrontacja ci pomoże. - Znów sięgnął po piwo. Pomyślałam w duchu, że ka-

zano mu wybadać, czy będę występowała do sądu o odszkodowanie.

- Dzięki, doktorze - odpowiedziałam. - Może masz rację.

- Więc co na to powiesz?

Wstałam i podeszłam do okna, żeby popatrzeć na pas trawnika częściowo ukrytego za biurowcem. Choć zapadł już wczesny wieczór, nadal było zupełnie jasno, zmierzch nie nadchodził. Światło straciło ostrość, było miękkie i złote.

- Czy wiesz, że tu był zbiorowy grób ofiar dzumy? - zapytałam.

- Co takiego?

- W czasie zarazy zwłoki wrzucano tutaj i polewano wapnem.

Przykrywano je następnie darnią i zapomniano o nich.

- Dość koszmarnie.

- Niezupełnie - odparłam. - Teraz powiem ci tylko jedno. Nic nie wiem o twoim dochodzeniu. Myślę, że ta kobieta zgrywająca się na Matę Hari to dość obłąkany pomysł. Nie wiem, kto cię do tego upoważnił i nawet nie chcę wiedzieć. Dla mnie to nieodpowiedzialne, może nawet sprzeczne z prawem. Jestem jednak lekarzem, a nie prawnikiem.

- Poinformujesz mnie o swojej decyzji?

- Tak.

- Kiedy?

- Za parę dni, dobrze? Muszę najpierw porozmawiać z kimś na ten temat.

- Zatelefonujesz?

- Tak.

Furth w końcu wyszedł. Przez dłuższy czas gapiłam się przez okno. Nie na niego, nie stałam przy oknie frontowym. Wpatrywałam się w trawnik, obserwując, jak nasyczona zieleń blednie i ciemnieje w zapadającym zmierzchu czarownego wieczoru. Zwłoki. Wszędzie zwłoki.

## Rozdział 4

Zatelefonowałam natychmiast do Rosy, pod jej prywatny numer. Nie mogłam zwlekać ani chwili.

- Złożył mi wizytę Furth - rzekłam.

- Kto?

- Detektyw. Ten, który był na posterunku, gdy zostałam zaatakowana.

Opowiedziałam jej wszystko po kolei. W miarę jak mówiłam, cała ta sprawa wydawała mi się coraz bardziej dziwaczna, prowadzona w sposób zupełnie nieprofesjonalny.

- I co mu odpowiedziałas? - spytała Rosa na koniec.

- Byłam zaskoczona.

- Ale i zaciekawiona.

- Zaciekawiona? To mało - ciągnie mnie do tego.

- Kit, co przez to rozumiesz?

- Wciąż jeszcze budzę się w nocy. Nadal rozmyślam nad tym wypadkiem, jakby zdarzył się przed chwilą. Czuję się tak, jakbym ciągle wracała do tego pokoju, w którym wszędzie jest krew. Moja. Jego.

- Chcesz więc spotkać się znowu z Doilem i zredukować go do ludzkich rozmiarów.

- Jesteś bardzo przenikliwą kobietą, prawda?

- Wiesz, Kit, nigdy nie uważałam, że przenikliwość jest aż taka istotna.

Posłuchaj, zaraz cię spytam o dwie sprawy, które z pewnością miałaś na myśli, kiedy postanowiłaś do mnie za-

telefonować. Po pierwsze, czy sądzisz, że zrobisz sobie przysługę, spotykając tego człowieka? A po drugie, czy w ogóle bierzesz pod uwagę swoje dobro? Po prostu dostajesz konkretne zadanie. Czy potrafisz je wykonać?

- Tak mi się zdaje.

W słuchawce zapadła cisza.

- Kit, to niebezpiecznie prosić o radę. Możesz usłyszeć nie to, czego się spodziewałaś. - Rosa westchnęła. - Przykro mi. Moim zdaniem nie powinnaś się w to mieszać. A teraz, czy potrafisz mi odpowiedzieć, dlaczego się obawiam, że nie weźmiesz pod uwagę tego, co ci powiedziałam?

- Bo to źle zabrzmiało.

- Tak, pewnie masz rację.

Odłożyłam słuchawkę. Wreszcie zapadł zmierzch. Znowu deszcz zabębnił o parapety, zmoczył drzewa naprzeciwko okna. Szalony lipiec z ciepłymi nawałnicami. Nie mogłam oderwać wzroku od ogrodu targanego wiatrem, od trawnika nasiąkniętego wodą.

Para trzymająca się za ręce biegła dziedzińcem, przedzierając się przez namoknięte krzaki, przeskakując przez płytkie kałuże. Ona zwróciła twarz ku niemu, ich śmiech rozległ się w gęstniejącym mroku. Odeszłam od okna. Miłość i praca, oto co pozwala przetrwać. Telefon przerwał moje rozmyślenia.

- Czy to ty, Kit?

Głos wydawał się dochodzić z oddali. Jakieś trzaski. Ktoś dzwoni z zagranicy? Nie, raczej nie. Połączenie z Nowego Jorku jest lepsze niż z południowego Londynu.

- Tak, to ja.

- Tu Julie. - Głucha cisza. Julie. Julie. Julie. Nikt o takim imieniu nie przychodził mi do głowy. - Julie Wiseman.

- Och, Julie. Myślałam, że jesteś... - Odjechała, daleko. Wypadła mi z pamięci. - Jestem znowu w Londynie.

Znowu? Ale skąd? Czy powinnam o tym wiedzieć? Usiłowałam sobie uprzytomnić, jak wyglądała, kiedy po raz ostatni ją widziałam. Ciemne kręcone włosy, zdaje się zaczesane do góry. Ten wysiłek pamięci był jak podmuch gorącego powie-

trza, sprawiał mi przyjemność. Wspólny papieros późno w nocy w tanich knajpkach. Któregoś wieczoru tak się zasiedziałyśmy w jednej z nich, że kucharze wyszli z kuchni z butelką wina, którą postawili na naszym stoliku. Razem ją wypiliśmy. Przede wszystkim jednak Julie robiła to, na co ja, mówiąc głośno, że chciałabym to zrobić, nigdy bym się nie odważyła. Była nauczycielką matematyki w gimnazjum i któregoś razu złożyła wymówienie, by ruszyć w podróż żaglowcem naokoło Ameryki Południowej, czy równie daleko. Poczułam, że mięknę. Powiedziałam, że stęskniłam się za nią i że z przyjemnością ją zobaczę. Odrzekła, że z rozkoszą mnie odwiedzi. A potem szybko wyszło na jaw, że chodzi jej o coś więcej. Przypomniałam sobie teraz, że wyjeżdżając, zlikwidowała wynajmowane mieszkanie. A co zrobiła z meblami? Znając ją, domyśliłam się, że pewnie rozdała. Taka była. Czy mogłaby się u mnie zatrzymać na dzień lub dwa? Na chwilę zamilkłam. Nie przychodził mi do głowy żaden powód, by odmówić. Może i lepiej, żebym miała na jakiś czas towarzystwo.

Stała w drzwiach, wnosząc powiew egzotyki. Z takim rozmachem zrzuciła na podłogę ogromny plecak i płócienną torbę podróżną, aż uniósł się kurz. Miała na sobie brązowe półbuty, zniszczone spodnie koloru khaki, niebieską watowaną kurtkę, która wyglądała na wyrób tybetański. Jej twarz była nie tyle opalona, ile zbrązowiała, spalona wiatrem, tak samo jak dłonie i nadgarstki, a oczy, połyskujące niczym kamienie półszlachetne, mrużyła, jakby czając się z jakimś żartem.

- O matko! Kit, co, na miłość boską, stało się z twoją twarzą?

- No, jak by ci powiedzieć...

Ale Julie już się nachyliła, grzebiąc w plastikowej torbie.

- Mam tu coś dla ciebie - obwieściła. Spodziewałam się ujrzeć ręcznie rzeźbioną figurkę Buddy, ale była to butla dżinu ze sklepu wolnocłowego.

- Pomyślałam, że masz może w domu tonik. Jak nie, to mogę skoczyć i kupić.

Nie ulegało kwestii, że chciała natychmiast otworzyć butelkę i wypić nawet bez żadnych dodatków.

- Tak, mam chyba jakiś tonik.

- I mogę sobie zrobić coś do zjedzenia? Przez trzynaście godzin męczyłam się w samolocie.

- Skąd wracasz?

- Zatrzymałam się na parę tygodni w Hongkongu - wyjaśniła. - Fantastycznie tam. Może zrobiłabyś jajka sadzone?

- Z bekonem?

- O, to by było świetnie. I trochę chleba podsmażonego na tłuszczu, jeśli masz coś takiego. Przez parę ostatnich miesięcy marzyłam o powrocie do Anglii i o zjedzeniu ogromnego talerza jaj na bekonie, z grillowanymi pomidorami i smażonymi kromkami chleba.

- Kupię trochę pomidorów. Tuż za rogiem jest całodobowy sklepik.

- O, jeszcze mam coś dla ciebie. - Wyciągnęła podwójny karton marlboro.

- Ale ja nie palę.

- Tak właśnie myślałam - odparła z porozumiewawczym uśmiechem. - Mogę zapalić?

- Proszę uprzejmie.

Kwadrans później siedziałam naprzeciwko Julie przy stole kuchennym i sączyłam dzin z tonikiem. Ona na zmianę piła alkohol i brunatną herbatę, atakując ogromny talerz z bardzo, bardzo późnym śniadaniem.

Jednocześnie snuła opowieść o szlakach wysokogórskich, o spływach kajakiem, o autostopie, ogniskach przy namiocie, egzotycznych potrawach, o powodzi, strefach przyfrontowych, paru przygodach miłosnych, o jakimś szalonym romansie w mieszkaniu z widokiem na zatokę w Sidney, o pracy na jachcie krążącym między wyspami południowego Pacyfiku, o kelnerowaniu w San Francisco, na Hawajach i w Singapurze, a może to było w Sao Paulo czy na Santo Domingo?

Wszystko to - dała mi do zrozumienia - było jak reklamówka filmowa zapowiadająca dalsze atrakcje. Szczegółowe opowieści z szerokim tłem zapowiedziała na potem.

- Uwielbiam to mieszkanie. Zawsze mi się podobało - oświadczyła w pewnym momencie.

Zaskoczyła mnie.

- Czy już tu mieszkałam, kiedy szykowałeś się do podróży?
- Oczywiście - odparła, wycierając resztki żółtka kromką ociekającego tłuszczem chleba. - Byłam tu wiele razy. Raz nawet na kolacji.
- Tak, teraz sobie przypominałam. W jej głosie zabrzmiała duma. Julie dokonała tak wiele, widziała tyle niezwykłych zachodów słońca, oglądała zdumiewające pejzaże, zdobyła mnóstwo doświadczeń, podczas gdy ja tkwiłam w Clerkenwell, chodząc codziennie do kliniki i co najwyżej kazałam odmalować ściany. Moja praca wydawała mi się taka ważna, że nawet nie wzięłam ani dnia urlopu w czasie, gdy Julie poszerzała swoje horyzonty. Zerknęłam na swoje odbicie w lustrze. Miałam bladą twarz. Poczułam się tak, jakby Julie wróciła z krainy słońca, odsunęła kamień i znalazła tam mnie - białą i chorowitą larwę.
- Ale w pewnym sensie trochę ci zazdroszczę - rzekła, choć było ewidentne, że wcale tak nie myśli. - Ja zesłam z drabiny. Mam oczywiście na myśli szczeble kariery. Teraz, kiedy wróciłam, muszę znaleźć sposób, żeby znów się na nią wspiąć. Oto jestem. Przybyłam, całkowicie nie nadając się do pracy zawodowej. - Roześmiała się. Było jasne, że jest z siebie dumna. - A ty? - spytała, i tego właśnie obawiałam się najbardziej. - Jak ci poszło? Skąd masz tę seksowną bliznę?
- Ktoś rzucił się na mnie na komisariacie policji.
- Boże! - To zrobiło na niej wrażenie. - Dlaczego?
- Nie wiem. Chyba dlatego, że spanikował.
- Koszmarne. - Przez chwilę ciężko oddychała. - Mocno to przeżyłaś?
- Dość mocno. Ten wypadek miał miejsce trzy miesiące temu, a dopiero dzisiaj po raz pierwszy poszłam do pracy.
- Dzisiaj? Mam nadzieję, że wybaczysz mi moje najście, prawda? - Na jej twarzy ukazał się grymas zaniepokojenia.
- W porządku, pod warunkiem, że nie potrwa zbyt...
- I co jeszcze się zdarzyło? To znaczy, prócz tego ataku, od którego mało nie umarłaś.
- Zastanawiałam się przez chwilę, co mnie jeszcze spotkało.
- Albie i ja się rozstaliśmy. Tym razem na dobre.



- Ach, tak... - rzekła ze współczuciem. - Pamiętam, jak mówiłaś, że miałaś z nim problemy.

O kur... - jęknęłam w duchu. Już wtedy? Trzy lata temu? Wydawało mi się, że żyłam jak ci dawni nurkowie, którzy przemierzali dno morskie w butach z podeszwami z ołowiu, stąpając krok za krokiem. Julie przerwała mi rozmyślenia:

- Masz kogoś nowego?

- Nie - odparłam. - Rozstaliśmy się niedawno.

- Och! A co z twoją pracą?

- Nadal pracuję w przychodni.

- Och! - powtórzyła.

Doszłam do wniosku, że muszę szybko coś wymyślić. Inaczej będę musiała rzucić się do telefonu i wzywać pomocy.

- Zwrócono się do mnie z prośbą o współpracę z policją. Może to się zmieni w systematyczne konsultacje. - Mówiąc to głośno, nadałam informacji walor faktu dokonanego.

Julie przełknęła solidny łyk dzinu i ziewnęła. Ujrzałam jej białe zęby, różowy język i połyskliwy tunel gardła.

- Zdumiewające - skomentowała. - Czy już ci opowiadałam o tym facecie, który poderwał mnie i moją koleżankę, jak się wspinałyśmy w górach?

Nie opowiadała, więc przeniosłyśmy się na kanapę, gdzie usłyszałam całą historię. Było to uspokajające. Julie zwinęła się jak syty kot, popisując się mrozącymi krew opowieściami, ale ponieważ niebezpieczeństwo było odległe, rozkoszowałam się nim, co parę minut popijając dzin z tonikiem.

Za oknem bardzo powoli zapadała noc. Wreszcie Julie zasnęła ze szklanką trunku w zaciśniętej ręce. Mózg pewnie tłumaczył jej silnemu, śniademu ciału, że już nie jest w Tajlandii ani w Hongkongu i że dochodzi trzecia w nocy. Wyjęłam z jej ręki szklankę, a wtedy coś zamruczała niezrozumiale. Wyciągnęłam kołdrę z komody w sypialni i przykryłam ją aż po brodę. Westchnęła i okręciła się nią cała. Wyglądała jak chomik w norce. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Ten włóczykij czuł się w moim mieszkaniu lepiej niż ja.

Poszłam do sypialni i rozebrałam się. To był bardzo dziwny dzień - tyle szalonej aktywności po tygodniach rekonwa-

lescencji. W głowie huczało mi od myśli. Skórę miałam zimną, wystawioną na chłód, niczym gałązka odarta z kory. Myknęłam do łóżka i też okręciłam się kołdrą. Ale nie było mi zbyt wygodnie, ciągle jakiś fragment ciała był odsłonięty. Znowu zaczęłam się zastanawiać nad tą dziewczyną, którą znaleziono martwą nad kanałem. Lianne, tak miała na imię, czy raczej tak o sobie mówiła. Jedynie Lianne. Biedna ofiara, nawet bez nazwiska. Niedługo dowiem się o niej czegoś więcej. Może już jutro. Powinnam zasnąć, żeby obudzić się z jasnym umysłem. Jutro zobaczę Dolla. Dotknęłam blizny. Zamknęłam oczy.

Lianne bez nazwiska. Z pewnością nie leży już przy kanale, tylko w metalowej szufladzie, po sekcji zwłok. Poczułam niemal fizycznie, jak Londyn rozciąga się wokół mnie we wszystkich kierunkach. Tyle złego dzieje się w niektórych domach. Próbowałam jednak przekonać siebie, że statystycznie nie ma to większego znaczenia. Trzeba myśleć o milionach domostw, w których zdarza się wiele dobrego, a przynajmniej nic gorszego niż samotność czy porzucenie. To naprawdę fantastyczne - tyle domów, gdzie nie czyni się zła. Nie pocieszyło to mnie zbyt, ale przynajmniej pozwoliło zasnąć.

## Rozdział 5

Izdebka Michaela Dolla była tak mała, jak tani punkt strzyżenia psów. Mieściła się w Homerton, na ulicy pełnej podrzędnych i brudnych sklepików, których widok zawsze każe mi się zastanawiać, z czego żyją ich właściciele. Był tam warsztat wy-pychacza zwierząt, zakurzone ptaszysko gapiło się z wystawy szklanymi oczami. Kto to kupuje? Obok znajdował się sklep tekstylny z kwiecistymi fartuchami i spodniami z krempliny. Sąsiedował z nim lokalik, w którym wszystkie towary kosztowały poniżej funta. W następnym, czynnym całą dobę, na półkach stały piramidki puszek, a tłusty sprzedawca za ladą dłuwał w nosie. W ten sposób dotarliśmy do domu z numerem 24 A. Jedno z okien było zasłonięte spłóviałą firanką. We wnętrzu świeciła się żarówka. Spojrzałam na Furtha.

- Wiesz co, wszystko powinno się odbywać na odwrót. Uważam, że powinieneś siedzieć nad sprawą i zastanawiać się, kto może być przestępcą, a nie śledzić podejrzanego i kombinować, w jaki sposób dopasować go do sprawy. Robię to tylko dlatego, że spałaś wszystko, wysyłając tu urocą Colette z ukrytym magnetofonem, łyskającą zgrabnymi nogami.

- Jasne, Kit - odparł bez przekonania, rozglądając się po ponurej ulicy. - Ale czujesz się w porządku, tak?

- Czuję się doskonale. - Nie miałam zamiaru zdradzić mu, że niewiele spałam, ćwicząc w myślach tę scenę.

Gdy wysiedliśmy z samochodu, poczułam skurcz strachu i z całej siły zacisnęłam ręce w pięści. Miałam na sobie czarne dżinsy i biały podkoszulek, a na nim - starą zamszową marynarkę. Włosy związałam tasiemką. Chciałam wyglądać swobodnie, ale i odrobinę zawodowo. Byłam przecież lekarzem - przyjaznym człowiekiem, lecz nie kumplem. Nacisnęłam dzwonek, ale nie mogłam usłyszeć, czy rozległ się na piętrze. Nie było żadnej reakcji, więc zadzwoniłam jeszcze raz. Nadal nic się nie działo. Pchnęłam drzwi. Stały otworem. Weszłam do sieni i zawołałam: „Hej, Michaeli”. Mój głos zawisł w dusznym i wilgotnym powietrzu.

Na górę prowadziły wąskie, niewyściełane schody. Pod każdym stopniem zebrały się kłęby kurzu. Klatkę schodową pomalowano na ponurą zieleń. Położyłam rękę na zniszczonej poręczy, ale natychmiast ją zdjęłam. Była lepka od brudu. Kręcone schody były tak wąskie, że nie mogliśmy wchodzić obok siebie. Ruszyłam pierwsza, Furth szedł za mną. Miałam wrażenie, że prowadzą na wieżyczkę średniowiecznego zamku. Gdy dotarłam wreszcie na podest ostatniego piętra, poczułam silny odór gnijącego mięsa. Nagle pojęłam, że robię coś bez sensu.

- Nie możemy tam wejść - szepnęłam do Furtha.
  - O co ci chodzi? - warknął. - Złękłaś się? Pokręciłam głową.
  - Nie, nie. Muszę się z nim zobaczyć sama.
  - Kobieto, o czym ty gadasz? Nie mogę do tego dopuścić.
  - Nie rozumiesz? Znowu on, ty i ja. Co on sobie pomyśli? Furth rozejrzał się z rozpaczą w oczach, jakby liczył, że pojawi się na klatce ktoś, kto przejmie kierownictwo.
  - Nie wejdiesz tam sama.
  - Powtarzałeś, że to mały pospolity zboczeniec. W czym więc problem?
  - Powiedziałem ci, że to on może okazać się zabójcą. Zastanawiałam się przez chwilę.
  - Zostaniesz na schodach. Powiem mu, że tu jesteś. To na pewno podziała odstrasząco.
- Furth przez chwilę stał w milczeniu.

- Dobrze, zostanę tutaj. Gdy tylko krzykniesz, ja rzucę się na niego.

Słyszysz? W razie najmniejszej wątpliwości wezwiesz mnie na pomoc.

- Świetnie. - Wzięłam głęboki wdech. - Stań kilka stopni niżej, dopóki nie wejdem - rzuciłam. I krzyknęłam: - Michael? - Jednocześnie mocno zastukałam do drzwi, pomalowanych tą samą farbą, co reszta klatki schodowej.

Ktoś założył łańcuch i po chwili uchylił je na parę centymetrów.

- Czego chcesz?

Ujrzałam w szczelinie fragment twarzy Dolla. Miał trochę przekrwione oczy, a na czole dostrzegłam mnóstwo krost. Odór stawał się nie do wytrzymania.

- Michael, tu Kit Quinn. Doktor Quinn. Policja zatelefonowała do mnie z prośbą, żebym do ciebie wpadła.

- Ale ja się pani nie spodziewałem. Ja nie... Tu jest straszny bałagan.

Przyszła pani za wcześnie. Tu taki bajzel...

- To nie ma żadnego znaczenia.

- Chwileczkę, proszę poczekać. - Drzwi się zamknęły, rozległy się jakieś szurania, odgłos rzeczy przesuwanych po podłodze, zasuwanie szuflad, wreszcie szum wody z kranu.

Kilka minut później drzwi otworzyły się na całą szerokość. Stał w nich Doli. Zmusiłam się do uśmiechu, on też się uśmiechnął na mój widok. Zrobiłam krok do przodu. Zaczesał rozkudłane włosy za uszy, spryskał się jakimś płynem kosmetycznym. Ten zapach w połączeniu z odorem jego ciała stanowił nieznośną mieszankę.

Wyciągnęłam rękę. Zauważyłam, że nie drży. Potrząsnął nią delikatnie, jakby była bombą, mogącą w każdej chwili eksplodować. Jego dłoń była spocona i miękka. Bał się spojrzeć mi w oczy.

- Witaj, Michael.

Cofnął się, żeby wpuścić mnie do pokoju. Gdy przekraczałam próg, usłyszałam groźne warknięcie i jakiś cień ruszył w moim kierunku.

Ujrzałam żółte zęby, czerwony jęzor, błyszczące ślepia i poczułam na twarzy cuchnący oddech. Doli szybko odciągnął zwierzę.

- Kenny, leżeć! - Kenny było gromnym, brązowo-czarnym kundlem z dużą domieszką wilczura. - Przepraszam, bardzo panią przepraszam.

- W porządku. Nawet mnie nie dotknął. - Ciągle czułam w swoim krwiobiegu chemiczne skutki paniki. Z gardzieli psa nadal wydobywał się charkot.

- To dobrze! Jest mi przykro, naprawdę!

- Och, masz na myśli to? - Dotknęłam palcem policzka w miejscu, gdzie ciągnęła się blizna.

- Przepraszam - powtórzył. - Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Wcale tego nie chciałem. Sposób, w jaki się do pani odnosili... To naprawdę nie moja wina, po prostu była tam pani, a oni wygadywali...

- Michael, nie przyszłam tu, aby wracać do tego wypadku.

- Ale pani z nimi trzyma.

- Wcale nie. Chcę ci coś powiedzieć prosto z mostu. Jestem lekarzem. Rozmawiam z ludźmi, którzy mają kłopoty, którzy potrzebują albo po prostu chcą z kimś porozmawiać. A policji udzielam różnych rad. Owszem, policjanci przywieźli mnie tutaj, ale czekają na zewnątrz. Chciałam z tobą pogadać w cztery oczy.

- Tak. Oni mnie pobili, pani wie. Oboje oberwaliśmy.

Spojrzałam na niego, zastanawiając się, dlaczego taki człowiek jak Michael Doli nigdy nie znajdzie normalnej pracy, dlaczego odstrasza ewentualne partnerki. Nie przyszło mi do głowy żadne sensowne wyjaśnienie. Po prostu wszystko w nim było trochę pokręcone.

Pomyślałam, że w ten sposób zachowują się pijani, którzy udają trzeźwych: niby normalnie rozmawiają, ale każdy i tak zauważy ich stan. Doli usiłował być zwykłym przedstawicielem społeczeństwa. Dołożył nawet starań w związku z moją nieoczekiwaną wizytą. Zapiął wszystkie guziki od koszuli i zawiązał krawat. Ten krawat nie miał w sobie nic szczególnego, tyle że węzeł był zaskakująco mały, mocno zaciśnięty. Podniszczona sztruksowa marynarka, trochę za duża, miała jeden rękaw wywinięty na zewnątrz, a drugi do środka, więc na lewym widać było podszewkę, a na drugim nie. Pasek od spodni najwyraźniej popękał, bo Michael zale-

pił go taśmą klejącą. Chłopak ogolił się na moje przyjście, ale pod brodą zostawił kępkę szczeciny. Nie umiałam określić, czy mam do czynienia z nieporadnym człowiekiem, czy też z psychopatą. Łatwo było odgadnąć, że żył w biedzie. Mieszkał sam. Czasami odnoszę wrażenie, że najważniejsze słowa, jakie słyszymy od innych, nie brzmią: „Kocham cię”, ale „Nie możesz się pokazać w takim stanie”. Ludzie nam to powtarzają, gdy jesteśmy dziećmi, a kiedy stajemy się dorośli, sami to sobie nakazujemy. Rozwijamy się, imitując to, co robią inni, co inni mówią, i w ten sposób nie rzucamy się w oczy. Ale są istoty takie jak Michael Doli, których nikt nie pouczał, jak mają wyglądać, a przynajmniej czynił to w niewłaściwy sposób. Dla takich jak on postępowanie typowe dla ludzi jest obcym językiem, którym posługują się z najwyższym trudem, zawsze przekręcając słowa.

- Kawy? Herbaty? - Zauważyłam na jego czole krople potu.

- Chętnie napiję się herbaty.

Wyciągnął z szafki dwa kubki, jedyne znajdujące się tam naczynia. Na jednym z nich widniała podobizna księżnej Diany, drugi był wyszczerbiony.

- Który pani woli?

- Mogę dostać ten z Dianą?

Skinął głową, jakbym poprawnie odpowiedziała na test.

- To był ktoś, Diana.

Na chwilę nasze oczy się spotkały, ale Michael szybko zerknął w bok.

Włożył sobie rękę pod koszulę i zaczął się drapać.

- Uwielbiałem ją. Czy pani chce... - Wskazał na sofę. Siadłam energicznie i odparłam:

- Tak, mnóstwo ludzi ją kochało.

Zmarszczył czoło, jakby szukając odpowiedniego słowa, po czym powiedział:

- Ona była wyjątkowa.

W rogu izdebki, która służyła za salonik i kuchnię, leżały dwie duże kości. Unosił się nad nimi rój much, brzęcząc natrętnie. Miska psa była prawie pełna żarcia. Na ścianie nad zatłuszczonej kuchenką wisiał kalendarz z podobiznami cycaty

kobiet o wyuzdanych uśmiechach na twarzach. Na palniku stał garnek ze stwardniałą na kamień pieczoną fasolą. W drugim rogu na małym wysłużonym telewizorze ukazywały się nieme obrazy; fonia była wyłączona. Przez całą szerokość ekranu biegł biały pas. Kanapę, całą w psich kłakach, pokrywały plamy niewiadomego pochodzenia. Na podłodze poniewierały się puste puszkę po piwie, kopiasto zapełnione popielniczki, celofanowe torebki po krakersach. Przez uchylone drzwi mogłam zerknąć do sypialni. Na całej ścianie wisiały wyrwane z pism fotografie młodych kobiet - od erotycznych ujęć z trzeciej strony popołudniówek po ewidentnie pornograficzne.

Na regale nie dojrzałam ani jednej książki, za to stało tam pełno rupieci - tancerka z plastiku z oderwaną nogą powyżej kolana, sześć lub siedem starych radioodbiorników, dzwonek od roweru, dwa zabłocone patyki, obroża, zeszyt z wizerunkiem tygrysa na okładce, jo-jo bez sznurka, wyszczerbiony dzbanek, opaska ze sztuczną różyczką, jeden błękitny sandałek, szczotka do włosów, kawałek łańcucha, cynowe naczynko, kłębek włóczki, kupka kolorowych spinaczy do papieru, kilka starych butelek. Wyobraziłam sobie, że połowa brytyjskiej opinii publicznej byłaby przekonana, iż Michael Doli zasługuje na dożywocie choćby za to, co zrobił ze swoim mieszkaniem.

Zauważył, że oglądam jego zbiory, więc ni to z dumą, ni to tłumacząc się, oznajmił:

- To jest moja kolekcja, znad kanału. Aż trudno uwierzyć, co ludzie wyrzucają.

Obserwowałam, jak wkłada torebkę herbaty do każdego z kubków i sypie do swego cztery łyżeczki cukru. Ręka trzęsła mu się tak mocno, że część rozsypał na blat.

- Lubię słodką - zakomunikował. - Chce pani herbatniki? Czułam, że nie mogłabym tknąć niczego, na co on nawet popatrzył.

- Nie. Zjedz sam.

Wyciągnął z paczki dwa suche ciasteczka i umoczył je w herbacie, zanurzając w niej końce palców. Rozmoczyły się tak bardzo, że musiał je podtrzymywać drugą ręką. Uniósł je



do ust i przełknął, oblizując skórę na dłoni. Miał gruby język z szarawym nalotem.

- Pardon - rzekł z grymasem.

Zbliżyłam usta do brzegu kubka, udając, że piję.

- A zatem, Michael, czy wiesz, po co przyszłam?

- Oni mówili, że powinienem pani opowiedzieć o tej dziewczynie.

- Jestem lekarką zajmującą się ludźmi, którzy popełniają takie przestępstwa.

- Jakie?

- No, zbrodnie, gwałty na kobietach. W każdym razie policja poprosiła mnie o poradę w związku z tą sprawą nad kanałem. - Zauważyłam błysk zainteresowania w jego oku. Po raz pierwszy Michael popatrzył na mnie z uwagą. - Pragnę porozmawiać z każdym, kto cokolwiek widział. Byłeś jednym z tych, którzy podeszli do tego miejsca. Znajdowałeś się w tych okolicach.

- Łowię tam - powiedział.

- Wiem.

- Przesiaduję nad kanałem codziennie. To znaczy, kiedy nie pracuję. Tam jest spokój, człowiek przebywa z dala od hałasu. Jakby był na wsi.

- Lubisz ryby?

Doli zrobił okropną minę.

- Nie znoszę ryb - rzekł z niesmakiem. - Śliskie, śmierdzące. Pani też by nie tknęła niczego wyłowionego z tej wody. Kiedyś przyniosłem do domu rybę, dałem psu. Nie ruszył jej! Teraz po prostu trzymam je w siatce, a pod koniec dnia wrzucam z powrotem do wody.

- Byłeś bardzo bliska miejsca, w którym znaleziono ofiarę.

- Zgadza się.

- Czy wiesz, co się tam wydarzyło?

- Szukałem wiadomości w gazetach. Niewiele tego było. Ona nazywała się Lianne. Obejrzałem jej zdjęcie, zrobione, kiedy jeszcze żyła. Taka zwyczajna dziewczyna. Zdaje się, że miała siedemnaście lat. No, zwykła dziewczyna. To było okropne.

- I dlatego się zgłosiłeś.
  - Policja wypytywała. Chcieli rozmawiać z ludźmi, którzy byli w pobliżu.
  - A jak blisko byłeś ty?
  - Paręset metrów. W stronę rzeki. Siedziałem tam przez cały dzień. Jak już mówiłem, łowiłem ryby.
  - Gdyby Lianne szła tamtędy, musiałbyś ją zauważyć.
  - Nie widziałem jej. Ale ona mogła tamtędy przechodzić. Jak łowię, niewiele widzę wokół siebie. Widziała ją pani?
  - Co takiego?
  - No, czy widziała pani jej zwłoki?
  - Nie.
  - Miała poderżnięte gardło.
  - To prawda.
  - Czy to szybka śmierć?
  - Jeśli się przetnie główne arterie, to zgon następuje szybko.
  - Ale wtedy byłoby mnóstwo krwi, no nie? Zabójca byłby nią poplamiony.
  - Pewnie tak. Ale ja się tym nie zajmuję. Myślałeś o tym?
  - O, taaak, jasne. Nie mogę przestać o tym myśleć. Dlatego chciałem się dowiedzieć, co policja robi w tej sprawie.
- Udałam, że piję herbatę.
- Czy jesteś zainteresowany dochodzeniem? - spytałam.
  - Nigdy z czymś takim się nie spotkałem. Pomyślałem, że może się przydam. Chciałem być pomocny.
  - Powiadasz, że nie możesz się otrząsnąć z myśli o tej zbrodni.
- Zaczął się kręcić na krześle. Wziął kolejnego herbatnika, ale go nie zjadł. Łamał w palcach, aż na stole zostały same okruchy.
- Jakoś sobie z tym poradzę.
  - Z czym?
  - Z tą dziewczyną, która jak gdyby nigdy nic szła sobie wzdłuż kanału i nagle ktoś jej podciął gardło i ona umarła.
- Wyciągnęłam z kieszeni pudełko papierosów, wzięłam je specjalnie z zapasów Julie. Michael zerknął uważnie. Poczęsto-

wałam go, wziął jednego papierosa. Pchnęłam w jego kierunku pudełko zapalek gestem mającym wskazywać kumplostwo.

- Policja musiała pytać, czy było coś, co zapamiętałeś.

- Tak.

- Ja podejść do tej sprawy od innej strony, żeby ci odświeżyć pamięć.

Powiedz mi, co czujesz?

- Co pani przez to rozumie?

- Co czujesz na wieść o zamordowaniu Lianne? Wzruszył ramionami.

- Myślę o tym.

- Bo byłeś niedaleko?

- Chyba tak.

- Co o tym myślisz?

- No, ciągle mi to chodzi po głowie.

- Co?

- No, to. Myślę, jak to się musiało odbyć.

- No i, twoim zdaniem, jak to się musiało odbyć? Roześmiał się.

- Chyba na tym polega pani zawód? Czy nie próbuje sobie pani wyobrazić, jak to jest, gdy się zabija kobiety?

- Powiedziałaś, że nie możesz się uwolnić od tej myśli.

- No tak, bo niczego nie widziałem. Próbuję więc sobie wyobrazić.

- To właśnie mnie interesuje - rzekłam. - Jeżeli niczego nie widziałeś, to po co się zgłosiłeś?

- Bo byłem w pobliżu. Policja rozpytywała.

- Michael, czy dobrze się czujesz? Rozmawiałeś z kimś o sobie?

- Pani ma na myśli doktora?

- Tak.

- Po co?

- Czasami człowiekowi pomaga, gdy się wygada.

- Rozmawiałem o sobie.

- Z kim?

- Z kolegą.

- No i?

Znowu wzruszył ramionami.

- No, gadaliśmy.

Zapadła cisza. Po chwili zapytałam:

- Ciekawi cię ta sprawa. Czy jest coś, o czym chciałbyś wiedzieć?

Spojrzał w bok. Unikał mego wzroku?

- Jestem ciekawy, co robi policja. Chciałbym wiedzieć, jak to śledztwo się posuwa. Czuję się dziwnie, że byłem tam i nic nie wiem.

- Kiedy nie możesz przestać o tym myśleć, jakie obrazy masz przed oczami?

Zastanowił się.

- Tak, jakby ktoś gasił i zapalał latarkę, bardzo szybko. Widzę kobietę.

- Konkretną kobietę?

- Nie, jakąś. Widzę, jak idzie ścieżką wzdłuż kanału. Ktoś zachodzi ją od tyłu, chwyta ją, podcina jej gardło. Widzę to w jednej chwili, która ciągle się powtarza.

- I co wtedy czujesz? Pokręcił głową, zadrżał.

- Nie wiem. Nic. Ale nie mogę się z tego widoku otrząsnąć. Ciągłe wraca. Chciałem tylko pomóc. - Mówił wysokim, cienkim głosem, jak mały chłopiec.

Zapamiętałam szczegóły jego życiorysu opisane w aktach, które pokazał mi Furth, gdy zajrzałam wczoraj na komisariat. Oddany do adopcji w wieku ośmiu lat, porzucony przez matkę alkoholicką, bity przez ojczyma. Dwadzieścia sierocińców i dziesięć zastępczych rodzin do czasu, gdy skończył szesnaście lat. Moczzenie nocne, ucieczki. Najpierw był prześladowany przez rówieśników w kolejnych szkołach, potem się na nich odgrywał. U jednych opiekunów zamęczył na śmierć kota, u innych podpalił swoją piżamę. Mając lat trzynaście, został umieszczony w zakładzie specjalnym, ponieważ coraz częściej uciekał się do przemocy. Gdy osiągnął pełnoletność, dostał mieszkanie opłacane przez opiekę społeczną i włóczył się po ulicach i parkach, szpiegując dziewczęta.

- Nikt nie słucha - odezwał się płaczliwym tonem. - Nigdy nikt nie słucha. Odezdziesz się i nikt nie zwraca na ciebie

uwagi, bo traktują cię jak śmiecia albo coś gorszego. Tak cię przezywają. Patrzą na ciebie jak na powietrze. Dlatego chodzę łowić ryby, gdzie nikogo nie spotykam. Mogę tam siedzieć cały boży dzień. Nawet jeśli pada, a zresztą mnie deszcz nie przeszkadza.

- Więc nigdy nikt cię nie wysłuchał?

- Nikt. Nigdy. Ona też nie. - Domyśliłam się, że mówi o swojej matce. - Ona nigdy się o mnie nie troszczyła. Nie zajrzała do mnie, kiedy mnie wzięli. Nie odwiedziła. Nawet nie wiem, czy nadal żyje. Gdybym kiedykolwiek miał malutkiego bobaska - chłopczyka czy dziewczynkę - jego głos stał się sentymentalny - kołysałbym go, tulił i nigdy nie pozwolił go sobie odebrać. - Popiół z papierosa spadł mu na spodnie.

- A kiedy byłeś w różnych domach - spytałam - też nikt ciebie nie wysłuchał?

- Tamci? - prychnął. - To kpina, tyle powiem. Czasami robiłem coś złego, bo nie mogłem się powstrzymać, czułem, jak w środku coś mi rośnie, co chciałem z siebie wyrzucić, a wtedy mnie bili, zamykali w pokoju i nie pozwalali wyjść, chociaż płakałem i płakałem. - Oczy napełniły mu się łzami. - Nikt nie słucha.

- No, a koledzy? - zapytałam ostrożnie. Wzdrygnął się, zgasił niedopałek.

- Dziewczęta?

To go ruszyło. Najpierw zagapił się na płamę na nogawce, potem utkwiał wzrok w podłodze.

- Jest pewna dama - szepnął. - Lubi mnie, przynajmniej tak twierdzi.

Opowiadałem jej różne rzeczy.

- Jakie?

- No, co czuję. Pani wie.

- Rozmawiałeś o uczuciach?

- Taaa, o uczuciach. I o innych sprawach. Pani wie.

- Co czujesz do kobiet? Wymamrotał coś pod nosem.

- Michael, co czujesz do kobiet? Czy one cię niepokoją?

- Nie wiem.

- Czy je lubisz?

Pokręcił się nerwowo na krześle, po czym rzekł:

- Jasne. Pod tym względem u mnie wszystko w porządku.

- Pytam, czy lubisz je jako partnerki. Czy masz w swoim gronie koleżanki?

Pokręcił głową, zapalił następnego papierosa.

- Kiedy rozmyślasz o zamordowanej dziewczynie, co odczuwasz?

- Ze Lianne była dziewczyną, która uciekła z domu. Nie winię jej za to. Wie pani, ja też uciekałem. Zawsze myślałem, że moja mama mnie odnajdzie i przyprowadzi z powrotem. Ale teraz przyłałbym jej w gębę, gdyby się tu pojawiła. Rozbiłbym na jej głowie jedną z tych butelek i biłbym tak długo, aż by została miazga. To by ją nauczyło.

- Czyli chcesz pomóc policji, bo oni wiedzą, że znajdowałaś się w pobliżu?

- Tak jest. Ciągle mi to chodzi po głowie. Bez przerwy. Wymyślam o tym różne historie. - Spojrzał na mnie i zaraz spuścił oczy. - Wracam nad kanał, siadam tam i rozmyślam. To się może powtórzyć. Może, prawda? Może się zdarzyć jeszcze raz, tuż obok mego stałego miejsca, gdy tam będę.

- Czy to budzi w tobie lęk?

- Coś w tym rodzaju. - Oblizął wargi. - Robię się nerwowy i... no wie pani.

- To cię podnieca?

Wstał i zaczął krążyć po izdebce.

- Pani mi wierzy?

- Wierzy w jakim sensie?

- No, czy pani mi wierzy. Odpowiedziałam po chwili wahania:

- Michael, przyszedł tu, żeby cię wysłuchać. Tym się właśnie zajmuję: słucham innych.

- Wróci tu pani jeszcze? Myślałem, że będę wściekły, po tym, no wie pani... co się stało. Ale pani nie traktuje mnie jak drania.

- Pewnie że nie.

- No i pani jest taka ładna. Proszę nie zrozumieć mnie źle.

Ja ..ja się nie narzucam. Pani jest damą. Lubię pani oczy. Szare. Podoba mi się, jak na mnie patrzają.

Furth siedział na stopniu z ponurą miną. Omal się o niego nie potknęłam.

- A więc co o tym sądzisz? - zapytał, jakbym właśnie wyszła z pawilonu jadowitych owadów.

Zeszliśmy w milczeniu ze schodów, wsiedliśmy do auta. Doli pewnie będzie się nam przyglądał z okna. Zobaczy mnie z Furthem. Co sobie pomyśli? Spuściłam boczne okienko, żeby poczuć na twarzy letni wiatr. Kilka kropel deszczu spadło na przednią szybę, niebo zaciągnęło się na nowo.

- Biedak.

- To tyle? Taki jest jego profil w twojej interpretacji? Biedak? To człowiek, który rozorał ci twarz. Pamiętasz?

Westchnęłam.

- OK. Biedny, smutny, niewykształcony, niekochany, pokręcony, użalający się nad sobą, uważający się za człowieka prawego, zły, samotny, zdegenerowany, przestraszony.

Furth się skrzywił.

- To dopiero przekąska. Teraz nastąpi główne danie.

## Rozdział 6

Po powrocie na komisariat spryskałam twarz zimną wodą i osuszyłam papierowym ręcznikiem, ścierając resztki makijażu. Przeczesałam się, ściągając gumką włosy do tyłu, żeby nie zwisały mi żadne pasemka. Zdjęłam kolczyki i wrzuciłam je do bocznej kieszonki torby. Ciągle czułam na sobie coś niewidzialnego, jakby cienką pajęczynę. Powietrze w toalecie było ciężkie, duszne. Już zużyte. Wdychałam w płuca coś, co ludzie z siebie wydalili. W lusterku nad umywalką ujrzałam fragment swego odbicia. Wyglądałam okropnie - napięta, blada twarz. I bez żadnej szminki. To akurat mi teraz odpowiadało.

Furth czekał na mnie, stojąc przy półkach pełnych teczek z aktami. Miał w uchu miniaturowy telefon, częściowo ukryty pod błyszczącymi włosami, ale na mój widok szybko wsunął go do kieszeni.

- Przeklęte aparaty, wcale nie łączą - rzekł ze złością. - Połowa komputerów już nie nadaje się do użytku. W większości pokoi nie ma na czym usiąść. Brak papieru toaletowego w ubikacjach. Idziemy na górę. Poszłam za nim do małego pomieszczenia z oknem zamalowanym burą farbą, z usychającym gumowcem stojącym w rogu. W drugim rogu dostrzegłam koślawe krzesło bez jednej nogi. Na stole pośrodku pokoju znajdował się duży magnetofon i sarta taśm w pudełkach, opisanych starannym charakterem pisma. Furth siadł, zajęłam miejsce naprzeciwko



niego. Nasze kolana prawie się stykały pod blatem, wobec czego trochę się cofnęłam i oparłam ręce na drewnianej poręczy krzeselka.

- Jesteś gotowa? - zapytał, unosząc rękę. - Cofnę taśmę, żebyś mogła posłuchać najbardziej interesującego cię fragmentu.

Kiwnęłam głową. Po chwili Furth nacisnął klawisz odtwarzania.

Z początku nie rozpoznałam głosu, bo wydał mi się dużo wyższy. I tempo, z jakim ten ktoś mówił, ciągle się zmieniało - czasami stawało się tak szybkie, że ledwie nadążałam za słowami, to znów tak wolne, że sylaby nie łączyły się ze sobą. Przez chwilę myślałam nawet, że magnetofon ma jakąś wadę albo baterie się wyczerpały. Ale zauważyłam, że wtyczka tkwi w kontakcie, a więc zasilanie było z sieci, a krążki obracały się równo.

- Chodzę tam. Idę tam nocą, kiedy nie mogę spać, a to mi się często zdarza. Dolly, kiedy myślę...

Nacisnęłam klawisz „stop”.

- Dolly? - spytałam zaskoczona. Furth odkaszlnął.

- Colette, ta policjantka Dawes, przybrała imię Dolores, zdrobniale Dolly. Widzisz, ona jest Dolly, on Doli. W ten sposób go zagadnęła. No, wiesz. „Co za zbieg okoliczności” - odezwała się, niby zdziwiona, trzepocząc długimi rękami. „Ja też jestem Doli”. Sprytne, nie?

- Jestem urzeczona. Roześmiał się.

- Kit Quinn, ciebie ciężko zadowolić. Jedziemy dalej?

- Tak.

- ...o kobietach. No, wiesz.

- Mów, Michael, mów dalej - odezwała się policjantka.

- Idę do miejsca, gdzie to się zdarzyło. Kiedy nikogo tam nie ma, stoję w ciemnościach - tam, gdzie ona stała.

- Tak?

- Tak, Dolly. Czy to w porządku?

- Sam przecież wiesz.

- Idę tam i wyobrażam sobie, że wszystko jeszcze raz się zdarza, tak jak wtedy. Ta dziewczyna idzie ścieżką i jest ładna, prawda? Młoda, ma, zdaje się, siedemnaście lat i długie włosy. Lubię długie włosy, jak twoje, Dolly, kiedy je rozpuścisz. I tak sobie marzę, że idę za nią, parę kroków z tyłu. Jestem tam, ale ona nie ogląda się za siebie. Choć wie, że tam jestem, wyczuwam to. Kark jej sztywnieje, przyspiesza kroku. Jest przestraszona. Boi się mnie. A ja czuję się wysoki i silny. No, wiesz, męski. Lepiej ze mną nie zadzierać. Ona idzie szybciej i ja przyspieszam. Zbliżam się do niej.

Zapadło milczenie. Słyszeć było tylko słaby świst oddechu. Policjantka Colette Dawes przerwała ciszę:

- Mów dalej - nakazała ostro, jakby była nauczycielką.

- Podchodzę bliżej - powtórzył. Powiedział to bardzo powoli. - Ona się odwraca, i kiedy to robi, widzę jej szeroko otwarte usta i wybałuszone oczy. Wygląda jak ryba, jak jedna ze złowionych przez mnie ryb na chwilę przed wrzuceniem z powrotem do brudnej wody. Jak ryba pod moimi palcami.

Wysłuchałam się w śmiech Michaela Doiła. Nerwowy, suchy. Na szczęście policjantka nie dołączyła.

Cisza. Furth i ja siedzieliśmy wpatrzeni w przewijającą się taśmę. Zerknęłam na stos pudełek. Zostały jeszcze trzy krążki, opisane i datowane. Znowu rozległ się głos Dolla:

- Czy to sprawia, że jestem złym człowiekiem? Czy to, co przed chwilą powiedziałem, oznacza, że jestem zły? Dolly?

- Michael, czy nienawidziłeś jej?

- Czy jej nienawidzę? - W głosie Dolla znać było zaskoczenie.

Natychmiast zwróciłam uwagę na zastosowanie przez niego innej formy gramatycznej. Żałowałam, że nie mam przed sobą notatnika, żeby zapisać kilka uwag i skupić się na nich. -Nie, wcale nie. Ja ją oczywiście kocham. Kocham ją. Kocham.

Furth nachylił się nad magnetofonem, zatrzymał taśmę, następnie rozsiadł się i skrzyżował ręce.

- No i?

Odsunęłam krzesło, wstałam. Pokój wydał mi się zbyt mały. Przeszłam parę kroków i stanęłam przy oknie. Utkwiłam

wzrok w murze naprzeciwko; z nieszczęsnej rynny sączył się strumyczek wody. Głowa mnie strasznie rozboleła, odnosiłam wrażenie, jakbym dźwigała na karku ciężkie ołowiane chmury.

- Chcę porozmawiać z policjantką Dawes.

- Zlituj się, Kit. Na miłość boską, to nie jest jakaś wielka sprawa.

Oczekujemy od ciebie jedynie profesjonalnej opinii, w oparciu o jego życiorys, o wrażenie, jakie na tobie gówniarz zrobił w czasie wywiadu, o jego zarejestrowane na taśmie wyznanie. Pragniemy się dowiedzieć, jakim typem osobowości jest Doli. No wiesz, o co nam chodzi.

Wysłuchałaś go. On to zrobił. Przecież przyznał się, że zabił tę dziewczynę, a teraz ciągle o tym myśli, branzlując się w swojej norze każdej nocy, gapiąc się na pornograficzne fotki, rozmyślając o swoim czynie. To zboczeniec, morderca. To nie jest ktoś, kogo byś chciała u siebie gościć. Ty akurat dobrze o tym wiesz. Zdajesz sobie sprawę, do czego jest zdolny. Napisz więc kilka zdań, co sądzisz na jego temat.

- Najpierw zamienię parę słów z Colette Dawes. Dopiero potem napiszę raport. W porządku?

Wzruszył ramionami. Głęboko westchnął. Wetknął ręce w kieszenie marynarki.

- Zobaczę, co da się zrobić - bąknął.

W drzwiach pojawiła się młoda kobieta z plikiem kopert biurowych w ręce. Natychmiast zrozumiałam, dlaczego Doli jej zaufała. Miała jasne włosy i miękką, jakby pozbawioną kości twarz. Błada cera z rumieńcami, które chyba nigdy nie zniknęły z jej policzków. Wyglądała jak nastolatka.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie.

- Czy Furth mówił pani o mnie?

- Niezupełnie - odparła. - Pani jest, zdaje się, lekarzem czy kimś w tym rodzaju.

- Tak. Furth poprosił mnie o opinię na temat Michaela Dolla. Zapoznałam się z jego aktami. Wysłuchałam fragmentów taśm.

Colette Dawes przycisnęła do piersi papiery, jakby chciała z nich zrobić tarczę ochronną.

- Tak? - zapytała z wahaniem.

- Chciałabym zamienić z panią słowo.

- Inspektor Furth wspomniał mi o tym. Nie mam wiele czasu. Porządkuję szafki.

- Zajmę pani nie więcej niż kwadrans. Może się przejdziemy?

Była nieufna, ale położyła koperty na biurku i mruknęła coś do oficera dyżurnego. Zeszliśmy gęsiego wąskimi schodami i znalazłyśmy się na ulicy. Posterunek policji przy Stretton Green mieści się przy cichym zaułku, ale po minucie dotarłyśmy do ruchliwej ulicy, Stretton Green Road. Usiadłyśmy przy stoliku w sklepie ze zdrową żywnością, gdzie w ciągu dnia podają kawę. Zamówiłyśmy dwie kawy u kelnerki, która siedziała za kontuarem i sprawdzała rachunki.

- Dziesięć - odezwałam się, gdy kelnerka odeszła, postawiwszy przed nami kubki.

- Co? - spytała zdziwiona policjantka.

- Kolczyków - odparłam. Trzy w jednym uchu, cztery w drugim, dwa w nosie i jeden w dolnej wardze. I kto wie, gdzie jeszcze.

Przełknęła trochę kawy, ale się nie odezwała.

- Colette, czy mogę się tak do ciebie zwracać?

- Jasne.

- Colette, to niesłychane, co ci się udało wyciągnąć od Doiła. - Zrobiła skromną minę. - To było trudne? - Wzruszyła ramionami. - Gdzie te rozmowy się odbyły?

- W różnych miejscach.

- Chodzi mi o tę, w czasie której on w szczegółach opisuje morderstwo.

- W jego mieszkaniu.

- Lubisz go?

Spojrzała na mnie ostro, potem spuściła wzrok. Na jej białej skórze ukazały się czerwone placki.

- Jasne, że nie.

- Czy miałaś dla niego trochę współczucia?

Pokręciła głową.

- Nie, nie, pani doktor...

- Mów mi Kit.

- Kit, posłuchaj. - Była zła, albo chciała się zezłościć. - Zapoznałaś się z raportem patologa?

- Nie moja działka. Ja się zajmuję wyłącznie Michaelem Doilem.

- To niebezpieczny facet, przecież wiesz.

- O tak, wiem.

- Czego więc chcesz? Odczekać, aż dojdzie do kolejnego morderstwa i dopiero wtedy go złapiemy? A może następna ofiara będzie z nim walczyła i sama go schwyta? Tego się spodziewasz?

Poprawiłam się na krzeselku. Nie odpowiedziałam. Mówiła więc dalej:

- To jest dochodzenie według sprawdzonych metod. Furth i jego koledzy spędzili dnie i noce, usiłując przesłuchać wszystkich, którzy znajdowali się w okolicy. Wtedy Furth natrafił na zeznania w sprawie Dolla. Nie powiedział ci o tym?

- Nie.

- Oswoiłam Dolla, zachęcałam go do rozmów. Nie było to miłe.

Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.

Łyknęłam trochę kawy, celowo zostawiając resztki na dnie filiżanki. Nie chciałam, żeby już sobie poszła.

- Chcę tylko zebrać wszelkie możliwe informacje na temat Dolla, rozumiesz?

Ledwie zauważalnym gestem kiwnęła głową.

- A zatem, Colette, jaki był plan, gdy już się poznałaś z Michaelem?

- Po prostu miałam go skłonić do zwierzeń.

- O morderstwie?

- Tak jest.

- Ale to trudne, prawda? Mogłabyś mi trochę więcej opowiedzieć o przebiegu waszych rozmów?

Kosmyk włosów spadł jej na policzek. Odgarnęła go niecierpliwym ruchem. Po chwili znowu się zsunął, więc postanowiła założyć go za ucho.

- Doli nie ma wielu kolegów. Myślę, że on rozpaczliwie szuka kogoś, by móc się wygadać.
- Lub rozpaczliwie szuka przyjaciela.
- Na to samo wychodzi.
- No tak - odparłam. - Od jak dawna go znasz?
- Od niedawna, od paru tygodni.
- Rozumiem, że nagrałaś z nim trzy rozmowy i że ta trzecia, jakiej wysłuchałam, była ostatnia.
- Tak jest.
- A jakie były dwie pierwsze?
- Co masz na myśli?
- Czy mówił o morderstwie?
- Nie.
- Poruszyłaś tę sprawę?
- Trochę.
- Czy rozmawiał o tym otwartym tekstem?
- Musiałam zdobyć jego zaufanie.
- To znaczy, że musiał ci zaufać, zanim zwierzył się, że kogoś zabił?
- On nie wyznał tego wprost. Dlatego wezwano ciebie. Oparłam oba łokcie o blat stołu, w ten sposób patrzyłam Colette prosto w twarz.
- Wiesz, rozmawiałam z wieloma osobami, które popełniły okropne czyny. I zawsze wtedy stoję przed zasadniczą trudnością: jak je przekonać do tego, żeby były ze mną uczciwe, że w ich interesie leży, by mi wszystko opowiedziały? Jak ty tego dokonałaś?
- Masz może papierosa? - spytała.
- Tak się złożyło, że mam - rzekłam, wyciągając z torby pomietą paczkę marlboro, z której częstowałam Dolla.
- Zachęcałam go, żeby był ze mną swobodny - odparła. - Powiedziałam, że pragnę poznać jego sekrety.
- Powiedziałaś, że chcesz poznać jego tajemnice, a on ci wyznał, że popełnił morderstwo?
- To nie było tak. Gadałam z nich o jego fantazjach.
- Nie w pubie, jak myślę. Te rozmowy odbywaliście w jego mieszkaniu.

- Tak.
- Pokierowałaś rozmową w stronę przemocy i seksu. Zaciągnęła się papierosem.
- Skłaniałam go do rozmowy. Tak, jak się to robi. Jak ty teraz robisz.
- Czy to był rodzaj *quid pro quo*? To znaczy, snułaś swoje fantazje i zachęcałaś, żeby on opowiedział swoje?
- Próbowałam go rozkręcić. Musiałam wykazać, że nie zaskoczy mnie nic z tego, co zechce mi opowiedzieć o sobie.
- Ale z pierwszych dwóch spotkań nic takiego nie wynikło?
- No nie.
- Z pewnością Furth i pozostali detektywi przesłuchiwali te dwie taśmy.
- Z pewnością.
- I zakomunikowali ci, że te rozmowy nic nie przyniosły.
- Bo nie przyniosły.
- I wtedy powiedzieli: „Wracaj tam i lepiej się postaraj”.
- No, może niedokładnie tak.
- Ale coś w tym guście.
- Co masz na myśli?
- Wyobrażam sobie, że to mogło być coś takiego: „Dlaczego Doli z niczym się nie wygadał? Musisz go bardziej zachęcić”.
- Nie wiem, o czym mówisz. Po prostu skłoniłam go do rozmowy.
- Jasne. To, co usłyszałam, to było coś. Naprawdę obrzydliwe. Co do tego, Colette, nie ma kwestii. Wróciłaś do Dolla i wyszłaś ze świetnym materiałem.
- Zrobiłam, co do mnie należało.
- Spotkałaś tego dziwnego, pokreconego, aspołecznego człowieka i za trzecim czy czwartym razem on ci się zwierzył ze swoich koszmarnych fantazji na temat mordowania kobiety. Wiesz, do czego zmierzam, prawda?
- Zrobiłam, co do mnie należało - powtórzyła jak automat. Nachyliłam się nad nią tak, że nasze nosy niemal się stykały.
- Uprawiałaś seks z Michaelem Doilem?

Mrugnęła powiekami.

- Nie - odparła prawie szeptem. I po chwili głośniejszym głosem: - Nie. Nie spuszczałam z niej wzroku.

- Miałaś na sobie całą tę aparaturę. Może seks byłby problemem. Pewnie to nie był dosłownie seks, tylko jakaś jego namiastka.

- Nie - odrzekła, potrząsając głową. Podrapała się w kącik prawego oka.

- Dobrze. Chodźmy już - powiedziałam cicho.

Wracałyśmy w milczeniu, aż doszłyśmy do schodków prowadzących do komisariatu. Tu stanęłam i wzięłam ją pod ramię.

- Colette.

Nie patrzyła w moją stronę.

- Kto cię przygotowywał do tego zadania? Kto podsuwał rady?

- Tylko Furth.

- Tak myślałam. Co w związku z tym czujesz?

- A co mam czuć?

- Może czujesz się zakłopotana?

- Dlaczego? Na tym polega problem z ludźmi twego pokroju. Próbujesz wmówić wszystkim, że są straumatyzowani.

- Odnosiłam się do ciebie ze współczuciem.

- Wcale nie potrzebuję twojej litości.

Rozstałyśmy się chłodno. Natychmiast zatelefonowałam do Furtha. W jego głosie usłyszałam pewność siebie.

- No i? - spytał.

- Muszę przesłuchać wszystkie taśmy - zakomunikowałam mu sucho.



## Rozdział 7

W nocy kilkakrotnie się budziłam, więc w końcu wstałam późno. W biegu wypilałam trochę kawy, szykując się jednocześnie do wyjścia. Julie pojawiła się w drzwiach gościnnego pokoju, mając na sobie jedynie mój stary żakiet, który musiała wynaleźć w głębi szafy. Ten pokój miał mi służyć za gabinet, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Teraz należał do niej. Miałyśmy serio porozmawiać. Moja sublokatorka wyglądała jak gryzoń po długim okresie hibernacji. Skłębione włosy, oczy jak szparki niechętnie światłu.

- Nie wiedziałam, że wstajesz tak wcześnie - odezwała się zaspanym głosem. - Przygotowałam ci śniadanie.
- Jest za dwadzieścia dziewięć - rzekłam. - Bardzo się spieszę.
- Zrobię zakupy.
- Daj sobie spokój.
- A właśnie, że nie dam.

Jechałam na posterunek policji ze świadomością, że oto muszę się zmierzyć z czymś, czego nie mogę uniknąć, jakbym miała znowu piętnaście lat i przystępowała do pierwszego w życiu egzaminu. Siedziałam wyprostowana jak struna i mocno ścisnęłam kierownicę. Mięśnie miałam napięte aż do bólu, kręgosłup wydawał mi się metalowym prętem.

W głowie mi huczało, jakby ktoś bił mnie pięściami w skronie. Mruczałam pod nosem: „Idiotka, idiotka, idiotka”, tkwiąc na skrzyżowaniu, bo bez względu na to, czy światło było zielone, czy czerwone, jakaś ciężarówka blokowała jezdnię. Lało jak z cebra. Przechodnie pod parasolami przeskakiwali kałuże i psie kupy na chodnikach. Szary, zapchany, śmierdzący Londyn. Na siedzeniu leżał mój raport. Związły i precyzyjny. Obok znajdowały się taśmy włożone do plastikowej torebki.

Przed komisariatem musiałam wrzucić wsteczny, żeby wjechać tyłem na parking i wtedy usłyszałam ohydny zgrzyt metalu o metal. Kiedy coś takiego się zdarza, ma się uczucie, jakby coś ostrego kaleczyło skórę. - Szlag to trafi! - krzyknęłam.

Zarysowałam lakier cholernie drogiego niebieskiego bmw. Wyskoczyłam w deszczu i zaczęłam się przyglądać długiej rysie na lśniącej nowością karoserii. Moje auto ucierpiało bardziej - zbiłam tylne światło i wygięłam zderzak. Wygrzebałam z torby notatnik i naskrobałam przeprosiny, podając numer rejestracyjny mojego samochodu i telefon domowy. Złożyłam kartkę kilka razy, żeby nie zamokła, i włożyłam ją za wycieraczkę bmw. Ponieważ nie miałam ze sobą parasolki, ociekałam wodą. Krople spływały mi z karku na plecy. Wzięłam z siedzenia raport i wetknęłam do torby.

Furth siedział za stołem w sali konferencyjnej, trzymając przed sobą jakąś teczkę z aktami, ale wstał na mój widok i przyjaźnie kiwnął głową. Prócz niego w pokoju znajdowali się: kobieta z przedwczesną siwizną, z gładką, spokojną twarzą, młody policjant i tęgi mężczyzna z wianuszkiem włosów wokół łysiny, z małymi przenikliwymi oczami.

- Oto i ona - odezwał się Furth. - Nie paliły cię uszy? Pomogę ci zdjąć płaszcz. Znasz Jasmine, prawda? Ach nie? To Jasmine Drake. A to jest inspektor Oban. Jest moim szefem. Kawy? Herbaty? Nic? Spojrzałam na Obana z lekkim strachem.

- Niech się pani nie przejmuję. Wpadłem do was tylko na chwilę.

- Dziękuję za herbatę - powiedziałam, siadając na pomarańczowym krześle z plastiku i kładąc na stole mój raport w czystej białej kopercie. - Państwo chcieli, żebym go dostarczyła osobiście. Oto jest.

- Ładny - orzekł Furth, spoglądając na Obana, a potem puszczając do mnie oko. - Ta dama wygląda na osobę łagodną, ale lepiej się jej strzeżcie. Podważyłam paznokciem róg koperty i rozerwałam ją.

- Chcecie się zapoznać z treścią? - spytałam.

- Zanim rozpoczniemy, może lepiej, żebyś się dowiedziała, iż postanowiliśmy aresztować Dolla.

- Co takiego?

- Niezależnie od treści twojego raportu, sprawy ruszyły z miejsca - ciągnął Furth. - W chwili, gdy tu jesteśmy, nurkowie przeszukują dno kanału. Zeznanie Dolla nie pozostawia złudzeń co do tego, że znajdował się on w pobliżu miejsca zbrodni, że zachowywał się podejrzanie przed wykryciem zwłok i potem, no i przede wszystkim mamy jego spowiedź zarejestrowaną na taśmie. Wszystko jest w pełni legalne, proszę się nie obawiać. Facet dostanie obrońcę z urzędu, Johna Coatesa. Zaraz powinien się tu zjawić. Chyba się znacie.

Spotkałam go raz, będąc tu z Francisem. Miły, uśmiechnięty. Prędzej by się nadawał na urzędnika bankowego niż na prawnika. Popatrzyłam na Jasmine Drake, ale rysowała coś w swoim notesie i nie podniosła wzroku. Zerknęłam na Obana naprzeciwko i zrobiło mi się niedobrze, gdy dostrzegłam jego wodniste źrenice wpatrujące się we mnie bez mrugnięcia. Wyciągnęłam z koperty pojedynczą kartkę papieru i położyłam ją przed sobą.

- To tyle? - spytał Furth.

- Doktor Quinn, proszę nam jednym zdaniem streścić raport - odezwał się Oban.

- Wypuście go.

Zapadła złowróżbna cisza. Słyszałam bicie własnego serca. Uderzało miarowo, spokojnie. Poczułam się lepiej, gdy w końcu przekroczyłam barierę lęku.

- Co takiego?

- Chyba że macie przeciwko niemu jakieś inne dowody, o których mi nie wspomnieliście. Bo na podstawie tych, do których miałam wgląd, nie macie punktu zaczepienia. Przynajmniej na razie.

Twarz Furtha przybrała kolor buraka. To była najgorsza chwila. Miałam być po jego stronie, a tymczasem się okazało, że jestem przeciwnikiem.

- Chyba nie wiesz, o czym mówisz - rzekł, nie patrząc mi w oczy.

Wzięłam głęboki wdech.

- Wobec tego nie należało mnie prosić o sporządzenie raportu.

- Właśnie mówię o twoim pieprzonym raporcie - wybuchnął Furth z komicznym grymasem, jakby dawał do zrozumienia, że ten dokument należy po prostu wyśmiać. -Zwrócono się do ciebie, żebyś przeprowadziła wstępną diagnozę Dolla. To wszystko. Krótko i węzłowato. On jest zboczeńcem, nie? To miałaś napisać. Że Anthony Michael Doli jest zboczony.

- On jest młodym człowiekiem z kłopotami psychicznymi, mającym tendencję do niebezpiecznego fantazjowania.

- No więc...

- Fantazjowania. Istnieje zasadnicza różnica między fantazją a czynem.

- On to wyznał i wyzna jeszcze raz. Przekonasz się.

- Nie, on fantazjował w czasie aktów seksualnych z policjantką Dawes. - Rozejrzałam się wokoło. To ich zamurowało. W sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. - Czy zdawałeś sobie z tego sprawę? Czy wiedziałeś, że kiedy ona zachęcała go, mówiąc jej słowami, do wyznań, jednocześnie go branzłowała i pozwalała się macać? Czy ty ją do tego skłoniłeś? A może wręcz kazałeś jej to robić? W dobrze pojętym interesie społecznym, i tak dalej. Bo przecież najpierw nie przyniosła wystarczającego materiału dowodowego. A zresztą to nie ma znaczenia. To nie jest wyznanie, lecz czysta pornografia.

- Kit, posłuchaj. - Furth był wciąż czerwony na twarzy. - Nigdy nie powinienem był wciągać w to ciebie. To mój błąd. Powinienem wiedzieć, że po tym wypadku twój osąd nie będzie obiektywny. W istocie ty się utożsamiasz z Mickeyem Doilem, chroniąc go w jakiś zagadkowy sposób. To się zdarza, ludzie zakochują się w swoich porywaczach. - Rzucił okiem na Obana, potem znów utkwiał spojrzenie we mnie. Jego mina wyrażała troskę. - Sądziliśmy, że powierzając ci to zadanie, przyjdziemy ci z pomocą, ale teraz widzę, że byliśmy w błędzie. To nastąpiło za wcześnie. Wobec tego najlepiej będzie, jak ci podziękujemy. Oczywiście, uiścimy stosowne honorarium.

Odrzekłam tak spokojnie, jak tylko mogłam:

- Kazałeś Colette Dawes wydobyć wyznanie od Michaela Dolla. Czy ona wiedziała, z czym ma do czynienia, czy też została wrobiona?

- To morderca! - krzyknął Furth z nieukrywanym wstrętem. - My o tym wiemy i ty też doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Pragniemy tylko dowieść jego winy przed ławą przysięgłych. Policjantka Dawes wykonała świetną robotę w trudnych dla siebie warunkach.

Popatrzyłam mu w oczy.

- To była twoja koncepcja? Z trudem panował nad sobą.

- Schwytaliśmy mordercę - rzekł. - Jestem o tym przekonany. Zbieramy przeciwko niemu materiały dowodowe. Mamy jego wyznanie. Jeśli nawet trochę naciągnęliśmy przepisy, to myślałem, że ty, Kit, zrozumiesz to lepiej niż ktokolwiek inny. Jesteśmy po stronie kobiet - tych, które zostały zabite, i tych, które będą następnymi ofiarami.

- Myślę, że mnie nie rozumiałeś. - Usłyszałam w swoim głosie lekkie drżenie. Nerwy czy raczej gniew? - Ja nie twierdzę, że Michael Doli nie zabił tej kobiety, lecz że nie macie przeciwko niemu dowodów. Jestem tu w roli lekarki, która pracuje z chorymi psychicznie, z patologicznymi kryminalistami, a nie w roli prawnika, ale w mojej opinii te taśmy nie zostaną przyjęte jako materiał dowodowy przez żaden skład

sędziowski. Co więcej, uważam, że jakikolwiek sędzia po zapoznaniu się z taśmami oddali cały proces jako przykład oczywistego manipulactwa.

- Spojrzałam na jego przystojną twarz. - Na twoim miejscu ukryłabym te taśmy jak najgłębiej, modląc się, żeby obrońca Doiła nigdy się o nich nie dowiedział. W każdym razie ja nie chcę mieć z tym więcej do czynienia. - To pierwsze sensowne zdanie, jakie wypowiedziałaś. Tego mi tylko brakowało.

- Cała ta sprawa - oświadczyłam, z trudem łapiąc oddech - jest pieprzoną groteską, skrajną nieprzyzwoitością. I pani - zwróciłam się do Jasmine Drake - powinna to wiedzieć. Nie chodzi o to, że pani jest policjantką, ale kobietą. I pana to też dotyczy - zwróciłam się do inspektora Obana, który siedział jak nieobecny, z maską obojętności na płaskiej, otyłej twarzy. Z furją spojrzałam na raport leżący przede mną, zredagowany suchym, naukowym językiem.

Oban nie odpowiedział. Wstał z miejsca, podszedł do wyjścia i gdy otwierał drzwi, ponuro popatrzył na Furtha, jak stary pomarszczony pies myśliwski.

- Wypuść go - rzekł łagodnym tonem.

- Kogo?

- Mickeya Dolla. Coś jeszcze? - Nikt się nie odezwał. Dopiero teraz Oban spojrzał na mnie. - Pani doktor, proszę przesłać nam rachunek albo pismo z wnioskiem o honorarium. Dziękuję. - W jego głosie nie słyhać było wdzięczności. Na pewno zmarnowałam mu dzień. Gdy zniknął za drzwiami, Jasmine Drake wstała od stołu i przechodząc obok, zmierzyła mnie wzrokiem spod przymkniętych powiek.

Zostałam sama z Furthem, który siedział w milczeniu, gapiąc się na ścianę naprzeciwko. Zaczęłam zbierać się do wyjścia. Zgrzyt plastikowych nóżek o linoleum wyrwał go z zamyślenia. Robił wrażenie zaskoczonego, że ciągle tu jestem. Odezwał się do mnie dziwnym głosem, jakby mówił przez sen:

- To będzie twoja wina, jeśli on to znowu zrobi. Zranił ciebie, zabił tę dziewczynę. I zwolniony z aresztu, łażąc bez celu,

z dużym prawdopodobieństwem, co chcę podkreślić, wybierze sobie następną ofiarę.

- Furth, żegnam-odparłam.-Ja, jak wiesz...

- Czytaj pilnie gazety - zawołał za mną. - W tym tygodniu, może w przyszłym, znajdziesz w nich wiadomość, na którą czekasz.

## Rozdział 8

Gdy wyszłam na ulicę, drżałam z tłumionych emocji. Chciałam wykonać jakiś niepoczytalny gest, rzucić czymś ciężkim w okno wystawowe albo wyjechać z Anglii, wyrobić sobie papiery na inne nazwisko i nigdy tu już nie wrócić. W najlepszym razie zamknąć się w domu i przez tydzień nie wychylać nosa.

Kiedy podeszłam do mego samochodu, bmw już odjechało. Bez wątplenia otrzymam wkrótce telefon z firmy ubezpieczeniowej jego właściciela. „Zostaliśmy powiadomieni przez naszego klienta...”

Podwójna rysa wzdłuż całego boku. Ile to może kosztować?

Z przyjemnością odkryłam, że mieszkanie jest puste. Julie gdzieś wyszła, co odebrałam jako zbawienny zbieg okoliczności. Odkręciłam kurek w wannie, nasypałam jakichś egzotycznych soli o wyszukanej nazwie, chwyciłam parę pism i jak foka wślizgnęłam się do ciepłej wody. Szybko odłożyłam gazety i zagłębiłam się w lekturę kolorowych tygodników.

Wczytałam w nich rady, gdzie spędzić uroczy weekend na wsi za niecałe sto funtów, przestudiowałam siedem sposobów na zadziwienie kochanka w łóżku i rozwiązałam test „Czy jesteś doma-torką, czy też zwierzęciem towarzyskim?”. Wyszło, że jestem osobą uwielbiającą przyjęcia.

Dlaczego tak rzadko na nich bywam?

Wreszcie dałam spokój lekturze i zanurzyłam się w wodzie po dziurki nosa. Przyjęłam do wiadomości brzęczyk telefonu,



potem pisk automatycznej sekretarki. Wyobraziłam sobie, że jestem w gigantycznym basenie. Sole dosypane do kąpielni sprawiły, że woda lekko mnie wypychała, mając dokładnie tę samą temperaturę, co moje ciało. Ciemność. Na czym to polega? Jest się całkowicie oderwanym lub bez reszty zaabsorbowanym? Odnosiłam wrażenie, że czas rozciągał się w nieskończoność, albo na odwrót - kurczył się, zwijał w ciasny kłębek. Nagle usłyszałam walenie do drzwi. Julie. Było tak głośne, jakby z całych sił kopała we framugę. Trzeba wracać do rzeczywistości. Wycierałam się powoli, żeby przedłużyć spotkanie z nieuniknionym, wreszcie owinęłam się wilgotnym ręcznikiem i wyszłam z łazienki.

- Fantastyczne! - krzyknęła Julie od progu. - Kąpiel za dnia! Przynajmniej człowiek wie, że żyje.

- Trochę czuję się winna - przyznałam, choć na dobrą sprawę byłam raczej poirytowana, że ktoś, kto spędził lata na włączaniu się po świecie, zarzuca mi oddawanie się drobnym przyjemnościom.

- Nie martw się o kolację - rzekła szybko. - Zajrzałam do twoich książek kucharskich i zrobiłam zakupy. Zostajesz w domu?

- Tak, ale nie planowałam...

- Świetnie. Daj mi się sobą zająć. Ugotuję coś... ale ci nie powiem. To sekret. Nie obawiaj się, bardzo lekkie danie. I nadzwyczaj zdrowe. O, zapomniałam ci powiedzieć, że masz na sekretarce wiadomość od kogoś, kto się przedstawił jako Rosa. Przepraszam, nie wiedziałam, że jesteś już w domu, czekałam na telefon. Nie jestem pewna, czy nacisnęłam odpowiedni klawisz. Może niechcący wymazałam tę wiadomość.

Owszem, tak właśnie zrobiła. Poszłam do sypialni i szybko się ubrałam w coś prostego. Nie wychodziłam z domu, wybrałam więc białe dżinsy i jasnobłękitny sweter. Odczuwałam pokusę zignorowania telefonu od Rosy. Nie miałam pojęcia, co chciała mi zakomunikować. W końcu jednak policzyłam do dziesięciu i wykręciłam jej numer.

- Musimy się spotkać - usłyszałam jej stanowczy głos.

- W jakim celu?

- W związku z policją. Wynika z tego, że nie usłuchałaś mojej rady. Nie jest to dla mnie niespodzianką, ale szkoda, że mnie nie poinformowałaś.

- Och - wybąkałam, czując, że odwaga mnie opuszcza. -Masz rację. Czy mogę wpaść jutro?

- Chcę się zobaczyć z tobą jeszcze dzisiaj. Czy mogę do ciebie przyjechać?

- Tak, nie ma sprawy.

- A zatem będę mniej więcej za godzinę - oznajmiła i odłożyła słuchawkę. Rzuciłam się do sprzątanía pokoju przy akompaniamencie odgłosów dochodzących z kuchni. Nie szło mi najlepiej. Nie minęły trzy kwadranse, gdy usłyszałam stukanie do drzwi. Zbiegłam ze schodków i otwierając, zrobiłam radosną minę, którą sobie z góry przećwiczyłam. Zamarłam jednak na widok gości. Zdołałam jedynie wykrztusić „och”. Zdaje się, że to samo powiedziałam Rosie przez telefon.

- Nie jestem sama - usłyszałam.

Rosa nie była sama. Towarzyszył jej inspektor Oban. Na podjeździe stał jego samochód, niebieski bmw.

- Tak mi przykro z powodu tej rysy - wybąkałam. Nie mogłam myśleć o niczym innym. Mówiąc to, uprzytomniłam sobie, że nawet jeśli człowiek jest skoncentrowany tylko na jednej rzeczy, to wcale nie musi jej werbalizować. Może się okazać, że to akurat będzie najgorsze. - To absolutnie moja wina. Zaraz zapłacę za szkodę. Wiem, że w wypadku kraksy obowiązuje zasada, by w żadnym razie nie przyznawać się do niczego, ale ja biorę winę na siebie.

Rosa wydawała się zaskoczona moim monologiem, natomiast Oban lekko się uśmiechnął.

- Kłopoty w czasie parkowania - wyjaśnił. Następnie spojrzał na mnie. - A więc to pani. Znalazłem kartkę, ale pismo było zupełnie nieczytelne, bo rozmył je deszcz. Proszę się nie martwić, zgłoszę to jako wypadek w czasie pełnienia obowiązków służbowych.

- No, w pewnym sensie tak było - dodałam szybko. Ponieważ nie miałam już nic więcej do powiedzenia, przytrzymałam drzwi i oboje weszli do środka. W pierwszej chwili w jakiś paranoiczny sposób sądziłam, że ich wizyta jest spowodowana porysowaniem bmw, że zostanę oskarżona o ucieczkę z miejsca przestępstwa. Czy dlatego przyszli tu oboje? Może

ktoś złożył na mnie oficjalną skargę? Ze zwieszoną głową szłam za nimi po schodach. Gdy dotarliśmy do saloniku, z kuchni wychyliła się Julie, wyglądająca niecodziennie w pasiastym rzeźnickim fartuchu, moim fartuchu. Miała zdziwioną minę. Dokonałam prezentacji.

Oban ścisnął rękę Julie z niewyraźną miną.

- Pani jest... hm...

- Julie zatrzymała się u mnie na parę dni - wtrąciłam.

Co on miał na myśli? Zerknęłam na moją koleżankę - wysoką, opaloną. Och, Boże, czyżby doszedł do wniosku, że ja i ona... Zastanawiałam się, czy mu nie wytłumaczyć, że nasz związek z Julie nie polega na tym, ale dałam temu spokój.

- Właśnie przygotowuję nam kolację - odezwała się Julie okropnym tonem pani domu. - Może państwo zostaną z nami?

- Nie, to spotkanie służbowe - dodałam pospiesznie. Myśl o Julie zabawiającej ze mną tę parę wydała mi się wstrętna.

- Pan naprawdę jest detektywem? - zapytała zalotnie Julie.

- Tak jest.

- To musi być pasjonujące.

- Przez większość czasu raczej nie. - Oban spojrzął na Rosę, która wyjęła z półki jakąś książkę i z pozornym zainteresowaniem powoli ją kartkowała. - Czy pani może nas zostawić samych? - zwrócił się do mojej współlokatorki z wyważoną uprzejmością.

- Ja? Zaraz wracam do kuchni - rzekła zdumiona Julie. Niemal wybiegła z pokoju. Kiedy wyszła, Rosa odłożyła książkę i popatrzyła na mnie.

- Proszę, usiądźcie - odezwałam się.

Rosa zajęła miejsce obok mnie na sofie, a Oban przysunął sobie krzeselko i siadł naprzeciwko, żeby patrzeć mi w twarz.

- Dan Oban zatelefonował do mnie dziś rano...

- Rosa - przerwałam - powinnam była...

Uniosła rękę, żeby mnie uciszyć.

- Czekaj - rzekła niecierpliwie. Zwróciła się do Obana. -Dan? - Z pewnością dobrze się znali.

- Przepraszam za wszystko. - Nie wytrzymałam. Wtrąciłam się, zanim on się odezwał. - Byłam zdenerwowana, bo tak mnie rozzłościła ta pułapka, cały ten pomysł, że nie mogłam się powstrzymać od wybuchu. To bardzo nieprofesjonalne i...

- Pani miała rację - zakomunikował Oban.

Nie mogłam dostrzec wyrazu jego twarzy, bo mówiąc, zakrył twarz dłonią, tarł oczy. Był z pewnością bardzo zmęczony.

- Co takiego?

- Cała ta koncepcja była katastrofą. Pani ma rację. Zasięgnąłem opinii w naszym departamencie prawnym. Powiedziano mi, że taśma byłaby nie do przyjęcia jako materiał dowodowy. Ta biedna dziewczyna wodziła Dolla za nos, że się tak wyrażę. - Zrobił głupawą minę i zerknął na Rosę. Pod jej nagannym wzrokiem natychmiast spoważniał.

- To dobrze - rzekłam z ulgą.

- Ale nie dlatego tu przyszliśmy. Zatelefonowałem do doktor Deitch, ponieważ chciałbym, aby pani nadal się zajmowała tą sprawą.

- Nadal?

- Pani raport był świetny - precyzyjny, rzeczowy. Chcę, aby współpracowała pani z nami w dalszym dochodzeniu.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Dlaczego?

- Z wielu powodów. Po pierwsze, czy wyobraża pan sobie, abym mogła dalej pracować z Furthem? W nim aż się gotowało ze złości.

- Furth to mój problem. W każdym razie nie jest już szefem dochodzenia w tej sprawie. Ja nim zostałem.

- Och! - wyrwało mi się. - Jednak nadal nie mam nic do zaoferowania. Zbyt rzadko zajmowałam się podobnymi sprawami. Prawdę mówiąc, nie mam w tym żadnego doświadczenia. Nie czuję w sobie talentu kryminologa.

Oban wstał, przeszedł parę kroków, zatrzymał się przy oknie.

- To prosta sprawa - rzekł. - Zwykle ohydne morderstwo. Znajdź kobietę w odludnym miejscu, zabij ją, ucieknij. Ten, kto to zrobił, nadal przebywa na wolności. Jak nam się trochę poszczęści, to go schwytamy.

- A dlaczego zatelefonował pan do Rosy, a nie wprost do mnie? - zapytałam podejrzliwie.

- Ponieważ Dan chciał wiedzieć, co ja o tym sędzę - odparła Rosa.

- To znaczy, czy jestem psychiczna? Wyprowadziłam ją na chwilę z równowagi.

- Nie zamierzam tego komentować - odrzekła wyniośle. - Dan pragnął się tylko upewnić, czy będzie fair, jeśli cię poprosi o współpracę.

- I co mu odpowiedziałas?

- Ze powinien o to spytać ciebie.

- To znaczy, czy będzie fair, jeśli mnie spyta? Wzruszyła ramionami.

- I co pani na to? - zagadnął Oban.

- Zastanowię się - odpowiedziałam opanowanym tonem.

- Dobrze. Naprawdę chciałbym mieć panią w naszym zespole. Proszę postawić warunki. Ma pani pełną swobodę w tym względzie. Zapłacę taką sumę, jakiej pani zażąda.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Stała w nich Julie z tacą w rękach. Skąd ona ją wytrzasnęła? Znajdowały się na niej trzy półmiski.

- Zanim cokolwiek odpowiecie - rzekła - chcę wyjaśnić, że to nie jest kolacja, tylko takie przegryzki. Panie detektywie, na pewno pan się skusi, prawda?

- Z chęcią - odparł Oban, przyglądając się półmiskom z wyraźnym apetytem. - Co to takiego?

- Ach, najprostsze dania. Trochę szynki ze świeżymi figami, sałatka z karczochów, omlet z cukinią. Przyniosę talerze.

Wróciła nie tylko z talerzami, ale i ze sztucami oraz z otwartą butelką czerwonego wina i czterema kieliszkami. Wynałazła ją gdzieś w kuchni, jeszcze ze zbiorów Albiego.

Bardzo drogie wino, o którym zapomniał, ale pewnie kiedyś się po nie zgłosi. Więc Julie na coś się jednak przydała. Nalała nam wszystkim po brzegi. Rosa i Oban rzucili się do półmisek.

- Julie, to świetne! - mruknęła moja szefowa.

- Doskonale - dodał Oban. - Muszę przyznać, że ślicznie podane. Jak długo pani i Kit, no, wiedzą panie...

- O, zaledwie od paru tygodni - rzekła rozpromieniona Julie.

Wypiłam wino jednym haustem.

## Rozdział 9

Następnego dnia, kiedy stawiałam się w Stratton Green na naradę, Oban objął mnie czule, jakbym była jego ulubioną siostrzenicą, a nie konsultantem. Po przywitaniu ruszyłam za nim do obszernego pomieszczenia, gdzie miał się zebrać nowy zespół powołany do prowadzenia śledztwa w sprawie morderstwa przy kanale.

- Dzięki za wczorajszy wieczór - zagadnął po drodze. - Wspaniałe jedzenie. Proszę mi powiedzieć, kiedy poznałyście się z Julie? - Obejrzał się z zagadkową miną.

- Nie pamiętam. Lata temu. Ona przyjaźniła się z którąś z moich koleżanek. Nie jestem naprawdę...

- To miłe. Obydwie tworzycie dobraną, mhm...

- Proszę posłuchać... - zaczęłam z naciskiem. - Myślę, że lepiej... - przerwałam, bo Oban wprowadził mnie do sali, która wyglądała jak po napadzie - otwarte szafki, wysunięte szuflady z aktami, na stołach rozrzucone papiery, brudne kubki po kawie zostawione w kartonach.

- Przeprowadzka - wyjaśnił.

- Tego się domyśliłam.

- Co za cholerny bajzel. Przenosiła się pani kiedyś?

- Tak, to okropne doświadczenie.

Rozejrzałam się ostrożnie, obawiając się spotkania z Fur-them. Na szczęście nigdzie go nie było. Zezłościła mnie moja reakcja. Dlaczego czułam się winna? Ja się o to nie prosiłam.

Zatrzymaliśmy się w odległym rogu sali. Oban dał znać ręką, żeby jego podwładni zakończyli czynności i zbliżyli się do nas. Przerwali więc rozmowy telefoniczne, zasunęli szuflady z aktami i otoczyli nas kółkiem - mała grupa detektywów, mężczyźni i kobiety. Oban na wstępie odchrząknął.

- Przedstawiam wam doktor Quinn, która pracuje w przychodni Welbeck oraz w szpitalu Market Hill dla patologicznych przestępców. - Następnie zwrócił się do mnie: - Na tym chyba zakończę prezentację. Najlepiej będzie, jak sami się poznacie.

- Witam. - Usiłowałam się uśmiechnąć do wszystkich obecnych. W tym momencie wkroczył Furth. Stał przy drzwiach z założonymi rękami.

- To właśnie ze względu na raport doktor Quinn wypuściliśmy Michaela Dolla - ciągnął Oban. Tej uwagi nie przyjęto ze zbytnim entuzjazmem. Rozległ się szmer, szuranie nogami. - Jeśli ktoś ma z tym problem, proszę, aby zgłosił się do mnie. Gdyby akt oskarżenia dotarł do sędziego, rzuciłby go nam w twarz. Nie będę powtarzał, co oznajmiłem w cztery oczy Guyowi, ale wróćmy do staroświeckich sposobów, dobrze?

Wymagać to będzie dużo pracy w terenie. A tymczasem zapewnijmy doktor Quinn dostęp do wszystkiego, czego będzie potrzebowała, zgoda?

- Głośniejsze pomruki. Nie ulegało kwestii, że większość była daleka od zachwyty w związku z moją rolą w dochodzeniu. - Kit, chciałabyś zabrać głos?

Zatkało mnie. Wcale się tego nie spodziewałam, nie byłam przygotowana do wystąpienia. Spojrzałam na ponure twarze przede mną.

- No więc - odezwałam się. Nie znoszę zaczynać zdania, kiedy nie mam pojęcia, co dalej powiedzieć. - Nie jestem tu po to, by was pouczać, jak macie wykonywać swoją pracę. Najlepiej będzie, jeśli okażę się pomocna, skierowując waszą uwagę w danym kierunku, sugerując to czy tamto.

- To był Doli - odezwał się ktoś. Nie zauważyłam, kto to powiedział.

- Czyżby? - odparłam, by zyskać na czasie.



- Taaa...

Teraz wyłowiłam wzrokiem mówiącego - faceta w koszuli z krótkimi rękawami, zbudowanego jak rugbista. Oban zrobił krok w jego kierunku.

- Skoro tak uważasz, Gil, to przedstaw niezbite dowody.

- A co się stanie, jak pani się myśli? Jeśli to Doli zamordował?

- Proszę posłuchać, nigdy nie twierdziłam, że Doli jest niewinny.

Uważam jedynie, że nie macie dowodów. Zamierzam jeszcze raz przeanalizować wasze dane, wykluczając z nich jego nazwisko. - Ktoś mruknął jakąś uwagę, która do mnie nie dotarła, ktoś inny roześmiał się ironicznie.

- No, dosyć tego - wtrącił Oban ostrym tonem. - Zebranie skończone.

Przykro mi, Kit - oświadczył, spoglądając na detektywów z wyrazem politowania. - Powiedziałbym, że to nie jest zła grupa ludzi, gdyby nie to, że zabrzmiałoby to teraz fałszywie. Ale wiem, że sama sobie doskonale poradzisz. Zostawiam cię z Guyem, w porządku?

- Świetnie. - Prawdę mówiąc, było akurat na odwrót.

Oban wyszedł, a inni udali, że rozchodzą się do pilnych zajęć. Nie wyglądali na zbytnio zaabsorbowanych. Spojrzałam na Furtha.

- Chcesz trochę herbaty? - zapytał z nieco sztuczną uprzejmością.

- Za chwilę, owszem.

- Masz więc jakieś koncepcje?

- Nie - odparłam szczerze. - Nie mam. W każdym razie na tym etapie hipotezy byłyby tylko przeszkodą. Chcę zapoznać się z materiałami dowodowymi bez żadnych uprzedzeń.

Furth lekko się uśmiechnął.

- Nie bardzo wiem, po co zwracamy się do konsultantów bez żadnych hipotez, skoro mamy Gila. Już ci mówiłem, że to prosta sprawa.

- Tak uważasz?

- Bezdomna dziewczyna znaleziona martwa nad kanałem.

- I to jest twoim zdaniem proste?

Furth wzruszył ramionami i rozejrzał się wokoło, jakby

czuł się zażenowany, że oto musi przekonać upartą lekarkę o czymś zgoła oczywistym.

- Zboczeńcy upatrują na ofiary uciekinierki i prostytutki, bo to łatwa zdobycz. Łapią je przy kanale, bo to odludna okolica. Prawie zawsze nikogo tam nie ma.

- Tak, czytałam o tym wszystkim.

- I nie zgadzasz się z tym?

- Czy mogę coś zaproponować?

Zaczął usta. Pomyślałam, że za chwilę ryknie, żebym zabierała się z posterunku i nigdy więcej się tu nie pokazywała, ale na to sobie nie pozwolił.

- Za to ci płacimy - odrzekł lodowato.

- Niekiedy zbyt łatwo jest kogoś zaszufładować. Może spróbuj nie myśleć o Lianne jedynie jako o dziewczynie, która uciekła z domu. Takie myślenie utrudnia ci podejście do niej jako do istoty ludzkiej.

- Ale ona uciekła z domu.

- Wiem - odparłam. - Niemniej to nie jest jej jedyna charakterystyka.

- Aha, jeszcze była prostytutką? - Zaczął się śmiać, ale przerwał, widząc moją minę. W tej właśnie chwili wyobraziłam sobie, że tak długo był popychany w szkole, aż wyrobił w sobie instynkt walki.

- Nie, nie o to mi chodzi. Była młodą kobietą. Miała jakąś przeszłość, rodzinę, nazwisko.

- I niczego z jej przeszłości nie znamy.

- Ile miała lat?

- Szesnaście, siedemnaście - może trochę więcej, może trochę mniej.

- Skąd wiecie, że miała na imię Lianne?

- Wcale nie wiemy. Sama się tak przedstawiała. Pewien facet nazwiskiem Pavic, który prowadzi miejscowe schronisko dla młodzieży, zidentyfikował jej zwłoki.

- Ale to przypuszczalnie kwestia czasu, by ustalić, kim była Lianne i skąd pochodziła.

- Co ci przychodzi do głowy? - odpowiedział z ironicznym uśmiechem.

- Każdy jest gdzieś odnotowany, zarejestrowany, znajduje się na jakiejś liście w komputerze, prawda?
- Czy wiesz, ilu ludzi ucieka z domów?
- Domyślałam się, że bardzo wielu.
- Dziesiątki tysięcy.
- Tak sądziłam - odparłam.
- Są tacy, o których wiemy, że zaginęli, ale nie możemy ich znaleźć. Ktoś pragnie, abyśmy ich odszukali. Ale co z innymi, takimi jak Lianne, którzy gównie kogokolwiek obchodzą? Wyszli pewnego dnia z domu i nigdy nie wrócili? Jak możemy ich znaleźć, skoro nikt nie zgłosił, że zaginęli? To jest gorsze od pieprzonego biura rzeczy znalezionych na lotnisku. Zaglądałaś tam kiedyś? Ja odwiedziłem takie miejsce w Kairze - gigantyczna składnica walizek, kurz wisi w powietrzu, szczury szaleją. Trudno tam znaleźć torbę podróżną z wizytówką, a jeśli nie jest oznakowana, to w ogóle nie ma o czym mówić.
- Lianne nie jest bagażem. Popatrzył na mnie ze złością.
- Wcale tego nie powiedziałem. Użyłem jedynie porównania.
- Mnie chodzi o to, żeby zastanowić się nad nią jak nad młodą dziewczyną, a nie zgubioną torbą. Nie „uciekinierką”.
- A co z kanałem? Czy mamy prawo tak go nazywać, czy może każesz nam mówić o nim „rzeka w przebraniu”?
- Chciałam powiedzieć, że czasami pomocne jest świeże spojrzenie na pewne sprawy. Może jednak jest to raczej wskazówka dla mnie, a nie dla ciebie.
- Dobrze - odezwał się cicho. - Z zapalem oczekujemy twojego wkładu w tę sprawę. Czym mogę ci służyć?
- Czy Oban ci nie wspomniał? - Staralam się mówić pewnym głosem, jakbym doskonale wiedziała, co mam dalej robić. - Chcę usiąść w jakimś cichym pomieszczeniu i przejrzeć wasze wszystkie akta dotyczące morderstwa nad kanałem.
- Coś jeszcze? - To ostatnie zdanie rzucił z wyszukaną grzecnością.
- Chętnie napiję się herbaty. Parę kropli mleka, bez cukru. Zaprowadził mnie do pokoiku bez okien, w którym unosił

się dziwny zapach. Jedyne sprzęty w tym ponurym pomieszczeniu były biurko i plastikowe krzesło. Po paru minutach weszły dwie policjantki z plikiem dokumentów. Było tego żenująco mało. Prawie żadnych informacji o Lianne, nawet okoliczności jej zgonu opisano bardzo lakonicznie. Zaczęłam się wczytywać w inne papiery. Zajęło mi to prawie dwie godziny. Przeczytałam o dziwnych kłutych ranach na jej ciele, przyjrzałam się zdjęciom przedstawiającym jej zwłoki na miejscu zbrodni, popatrzyłam na leżącą na brzuchu sylwetkę dziewczyny w wysokiej trawie, zapoznałam się z paroma zeznaniami świadków. Na koniec zapytałam siebie: Tylko tyle?

## Rozdział 10

W radiu podano, że to najbardziej deszczowe lato od 1736 roku. Zaparkowałam auto w kałuży, ale nie ruszyłam się. Woda spływała kaskadami po przedniej szybie i bębniła o maskę. Zamknęłam oczy i wsłuchałam się w szum w mojej głowie. Nigdy nie przywyknę do oglądania zwłok.

Patolog już na mnie czekał. Była nim kobieta, Alexandra Harris. Już się kiedyś spotkałyśmy. Nie wyglądała na patologa, jeśli lekarz tej specjalności w ogóle ma jakąś typową prezencję. Raczej przypominała mi starzejącą się gwiazdę z lat trzydziestych - w białym fartuchu, z którego wylewały się jej obfite kształty, z czarnymi lokami okalającymi jasnokremową owalną twarz, z rozmarzonym spojrzeniem. A może po prostu była zmęczona. Zauważyłam jej podkrążone oczy.

- Alexandra - rzekłam na powitanie. - Dzięki, że poświęcasz mi trochę czasu.

- W porządku. Na tym polega mój zawód. Guy wspomniał mi, że już się zapoznałaś z aktami sprawy.

- Tak. Czy ty przeprowadzałaś autopsję?

- Nie, Jego Lordowska Mość we własnej osobie. To znaczy Brian Barrow. Sir Brian. Dzisiaj wyklada. Szukasz czegoś konkretnego?

- Chcę sobie wyrobić ogólny pogląd. Sprawdzić, jakie to na mnie zrobi wrażenie.

- Wrażenie? - Spojrzała na mnie przeciągle, jakby nagle nie spodobał się jej ten pomysł.

- No, chciałabym zobaczyć, jaka była Lianne - dodałam niezręcznie.

- Widziałas przedtem zwłoki?

- Czy widziałam? No pewnie. Przecież skończyłam akademię medyczną. Przydzielono mi ciało, którym zajmowałam się przez pół roku.

- No tak, przepraszam. Chcesz, żebym od razu cię tam zaprowadziła?

- Chyba tak będzie najlepiej.

Palce ześlizgnęły mi się z rączki od teczki. Chciałam zobaczyć Lianne, dokładnie się jej przyjrzeć, w poszukiwaniu jakichś znaków, które by coś wyjaśniły. Dziewczyna miała krótkie, samotne życie, nikt jej nawet nie opłakiwał po śmierci. Pragnęłam jej dotknąć, zostać przez jakiś czas przy jej ciele. Nie sądziłam, żeby Alexandra zrozumiała moje intencje, tym bardziej że i ja sama miałam z tym kłopoty.

- Czy powinnam się przebrać? - zapytałam.

- Masz na myśli suknię balową? - Alexandra się roześmiała. - Nie, wchodzimy tutaj w normalnych strojach.

- Przepraszam. Jestem tu nowa. Nie potrafię żartować w tym miejscu.

- Chcesz, żebym się zachowywała jak w zakładzie pogrzebowym?

- Chcę zobaczyć Lianne - odparłam cicho.

Alexandra przestała się uśmiechać. Już do końca zrezygnowała z przyjaznych gestów. Poszłam za nią korytarzem, przez dwie pary wahadłowych drzwi, słysząc tylko stukot swoich obcasów na linoleum.

Znalazłyśmy się w innym świecie - zimnym, milczącym i sterylnym.

Podziemia - pomyślałam. Pod lekkim ubraniem poczułam gęsią skórę.

Jakie to dziwne - tylko dwa serca biją nadal w tej przestrzeni wypełnionej nieruchomymi ciałami.

Zrozumiałam, co Alexandra miała na myśli. Lianne wyglądała tak, jakby wszelkie dowody życia w hałaśliwym, odstręczającym świecie zostały z niej zmyte. Jej ciało było bardzo, ale

to bardzo czyste. To nie była ta czystość, jaka jest wynikiem umycia rąk. Raczej taka, jaka jest rezultatem długotrwałego szorowania proszkiem zapuszczonego zlewu - dłonie wtedy są pomarszczone, skóra przypomina mięso. Jej głowa była odsłonięta. Jedyńm śladem minionego życia była mała dziurka w małżowinie usznej. Sir Brian Barrow zadał sobie wiele trudu podczas sekcji - zrobił cięcie na szyi tuż nad ziejącą raną i następnie je zaszył. Czyli śmiertelna rana zadana nożem została nietknięta, ale teraz, bez śladu krwi, wyglądała nierealnie, jak z plastiku. Asystowałam kiedyś przy zabiegach chirurgicznych i nigdy nie mogłam zapomnieć zapachu krwi i żywego ciała, przypominającego mi kocie jedzenie. Ale tu było inaczej. Do moich nozdrzy dochodził jedynie silny odór środków dezynfekujących.

Lianne miała okrągłą twarz. Zauważyłam trochę piegów na nosie. Małe i bezkrwiste usta. Gdy położyłam palec na policzku, poczułam stężenie pośmiertne, ciało było twarde jak kamień. Śmierć pod opuszkami palców odebrałam z dreszczem trwogi - była lodowata, skostniała. Długie, miedziane włosy Lianne były rozdzielone pośrodku nierównym przedziałkiem. Kiedy się nad nimi pochyliłam, ujrzałam rozdwojone końce. Włosy nadal rosną po śmierci, to powszechnie znany fakt. Włosy i paznokcie - ale kiedy uniosłam jej rękę i przypatrzyłam się, zauważyłam, że paznokcie były obgryzione do samej skórki. Miała małe, pulchne dłonie. Te ręce najbardziej mnie poruszyły. Wyglądały nadal jak miękkie poduszeczki, chwytny, gotowe do zaciśnięcia się w piastki. Dotknęłam wnętrza dłoni, ale było sztywne jak reszta ciała.

Wzięłam głęboki wdech i odkryłam ją całą; prześcieradło zasłaniało teraz tylko stopy. Wpatrzyłam się w jej ciało, jakby na zawsze pragnąc utrwalić je w pamięci. Ręka mistrza - sir Briana - pociągnęła elektrycznym nożem od szyi do rudawych włosów łonowych, tworząc nie do końca prostą linię. Patolog okrążył pępek, który pozostał jak pomnik na rozstaju odwiecznych dróg. Cięcie było starannie zaszyte, jak w podręczniku medycyny. Pragnęłam się jednak skoncentrować na ranach zadanych jej za życia. Gardło dziewczyny zostało podcięte fa-

chowo - jeśli tak można rzec, od ucha do ucha. Odkryłam także szereg płytkich ran kłutych na brzuchu, ramionach, udach. Było ich w sumie siedemnaście. Musiałam liczyć dwukrotnie, bo za pierwszym razem się pomyliłam. Wysoko umieszczone nieduże piersi były nietknięte, podobnie jak sfera genitalna. Z raportu z sekcji zwłok dowiedziałam się, że nie odnaleziono żadnych obrażeń ani w pochwie, ani na wargach sromowych.

Znowu zbliżyłam się do Lianne - tak ją w myślach nazywałam. Miała nieogolone nogi, spadziste ramiona. Na lewym nadgarstku dostrzegłam głębokie zadrapania, przypuszczalnie od krzaków, wśród których leżała nad kanałem. Zauważyłam bliznę na lewym kolanie. Może upadła, kiedy była małą dziewczynką. Usiłowałam ją sobie wyobrazić, jak nosiła mysie ogonki i miała szczerbę między zębami. Biegała pewnie w ogrodzie, kiedy nie padało, i myślała sobie, że na świecie jest tak pięknie. To mnie wzrusza u dzieci: wyobrażają sobie, że będą miały wspaniałe życie. Zapytaj sześciolatka, kim chce być, kiedy dorośnie, a odpowie, że pilotem, ministrem, tancerzem, piosenkarzem, gwiazdą piłki nożnej, milionerem. A kim chciała zostać Lianne - zastanawiałam się w duchu. No cóż, jakiegokolwiek były jej marzenia, teraz przestały mieć znaczenie. Oto leży tutaj i koniec. Nie, właściwie Lianne tu nie ma, są tu jedynie jej poszarzałe, skamieniałe zwłoki. Prócz mnie w pomieszczeniu nie było nikogo. Słyszałam tylko swój oddech. Nigdy przedtem nie odczuwałam równie silnie, co to znaczy nieobecność.

Uniosłam prześcieradło, żeby przyjrzeć się jej stopom, i zauważyłam palce u nóg pomalowane na czerwono, z licznymi odpryskami lakieru. Dotknęłam jej kolana z blizną. Ujęłam rękę z żałościwie ogryzionymi paznokciami, uniosłam kosmyk włosów. Nawet one były martwe. Każda komórka w jej ciele, każda cząstka stanęła w biegu. Czułam w sobie krążenie krwi, powietrze wdychane w płuca, włosy przyklejające się do mojej spoconej skóry. Dosyć. Podciągnęłam prześcieradło i upewniłam się, czy ciało jest całkowicie zakryte. Nie wystawał nawet pukiel włosów. Chciałam coś powiedzieć - cokolwiek, że-



by przerwać ciszę, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Głośno więc odchrząknęłam. Alexandra natychmiast pojawiła się w drzwiach. Musiała czekać na korytarzu.

- Skończone?

- Tak.

Lianne leżała w gigantycznej metalowej szufladzie i Alexandra z pewnym wysiłkiem wsunęła ją do lodówki zajmującej całą ścianę. Nieco nerwowym tonem zapytała:

- Chyba wszystko, co tu wypatrzyłaś, było podane w raporcie, prawda?

- Chciałam się tylko przyjrzeć obrażeniom - odpowiedziałam.

Wzięłam teczkę, płaszcz przeciwdeszczowy i otwierając drzwi wejściowe, stanęłam przed ścianą deszczu. Uniosłam twarz ku niebu, czując na policzkach krople spływające jak łzy.

Wróciłam do pokoiku na posterunku policji i jeszcze raz zapoznałam się z aktami w sprawie morderstwa Lianne, choć teraz znałam je prawie na pamięć. Najpierw ponownie przeczytałam stroniczkę poświęconą jej życiorysowi: młoda kobieta znana jako Lianne, wiek około siedemnastu lat, przypuszczalnie mieszkała w Kersey Town siedem do ośmiu miesięcy temu, na krótki czas zatrzymała się w schronisku dla młodzieży prowadzonym przez Williama Pavica, ale większość czasu, . jak zeznało policji paru włóczęgów, spała na ławkach w parkach i przy wejściach do sklepów, a niekiedy na podłodze u przygodnych znajomych, którzy mieli pieniądze na tanie kwatery. To wszystko - nie wspomniano nic o jej charakterze, o doświadczeniach seksualnych. Nie napisano nawet, czy była dziewicą, czy też nie.

Wzięłam do ręki mapę, na której zaznaczono iksem miejsce znalezienia zwłok. Następnie wykręciłam numer Furtha.

- Chcę zobaczyć to miejsce, gdzie odkryto ciało - oznajmiłam. - Może dziś po południu, po dyżurze w przychodni? Powiedzmy, o piątej? Czy to możliwe?

- Wyślę Gila, żeby cię tam zawiózł. - Niemal widziałam jego drwiący uśmiech.

- Tu jest to miejsce, gdzie Doli ją załatwił - rzekł, patrząc na mnie spod oka. Cofnął się, żebym je zobaczyła.

Zwłoki Lianne znaleziono na stromym brzegu za pniem powalonego drzewa, w zaroślach pokrzyw, cząbrku i końskiego szczawiu. Pogięte i połamane łodygi wskazywały miejsce, gdzie upadła twarzą do ziemi. Jej głowa musiała leżeć w gęstwinie chwastów. Stopy, obute w białe mokasyny, w prążkowanych czerwonych skarpetkach, były oparte na potłuczonej butelce. Strzępy plastikowych toreb zwisały z wysokich ostów i pływały na powierzchni oleistych kałuż. Puste pudełka po papierosach i pety były wgniecione w błoto na ścieżce wzdłuż kanału. U wejścia do kryjówki Lianne leżał malutki konik z plastiku; pewnie jakieś dziecko zgubiło go podczas zabawy. Obok dostrzegłam koło od roweru, zardzewiałe i pogięte.

- I natrafił na nią jakiś młody człowiek?

- Tak jest, Darryl jak-mu-tam.

- Pearce.

- Taaa, biegacz. Niech go... Czytałaś jego zeznanie? Natknął się na nią, gdy była w agonii. Na to przynajmniej wyglądało. Biegł wzdłuż kanału sam, gdy nagle usłyszał jęk.

- Ale gdy ją w końcu odnalazł, już nie żyła?

- Śmierdziel, mam na myśli Darryla, nie ciebie. Kręcił się tu z dziesięć minut, nie mogąc się zdecydować, co zrobić. Twierdził, że cholernie się zląkł. Kiedy w końcu zebrał się do kupy, odszukał ją i zadzwonił po pomoc, ale kiedyśmy przyjechali, ona już nie żyła. Gdyby szybciej ją odszukał, może by nam powiedziała, kto jej to zrobił. Nie musielibyśmy teraz prowadzić dochodzenia.

- A jego nie traktowaliście jak podejrzanego?

- Jasne. Ale on nie dotknął zwłok. Ta twoja Lianne wyglądała jak zbryzgana od stóp do głów czerwoną farbą. Zabójca musiał mieć na sobie plamy jej krwi. Przeprowadziliśmy

wszelkie testy na ubraniu Darryla, łącznie z badaniem włókien tkaniny z jego koszulki i spodenek. Ani śladu.

- I była tu jeszcze ta kobieta, Mary Gould - mruknęłam pod nosem.

- Taaa, staruszka z suchym chlebem dla kaczek. Podeszła od drugiej strony zarośli, gdzie jest płasko. Ujrzała leżące zwłoki i pędem pobiegła do domu. Zatelefonowała do nas dopiero następnego dnia. Na razie nie daliśmy jej za to medalu.

Odwrociłam się, żeby jeszcze raz przypatrzeć się miejscu zbrodni.

- A po kilku dniach zgłosił się do nas Doli i oświadczył, że kręcił się w tej okolicy - rzekł Gil. - To znaczy, nie użył dokładnie tych słów.

Wzdrygnęłam się. Gil przekręcił głowę, roześmiał się ironicznie i gwizdnął przeciągle.

Chciałam sobie dokładnie uzmysłwić tę scenę. Lianne znaleziono w kusej spódniczce z czerwonej lycry, podciągniętej powyżej pośladków. Miała na sobie majtki i fioletową bluzkę z bawełny włożoną na gołe ciało. A więc w chwili śmierci była ubrana i zabójca zostawił ją w takim stanie. Rany klute zadał jej przez bluzkę. Na lewym nadgarstku nosiła tani zegarek, jeden z tych, co rozdają na stacjach benzynowych, a na szyi tandetny wisior w kształcie przełamanego serca. Widniał na nim różowy, częściowo zamazany napis: „Najlepszy...”. Czy gdzieś ktoś nosi drugą połówkę tego serduszka, z napisem „Przyjaciół”?

Zadzwoiłam do Poppy, mojej najbliższej przyjaciółki. Chciałam posłuchać czyjegoś ciepłego głosu.

- Kit, jak ci minął pierwszy tydzień w pracy? - W tle rozlegały się wrzaski dzieci. Poppy coś mieszała, dochodził do mnie dźwięk metalowej łyżki uderzającej o ścianki naczynia.

Tylko tydzień - pomyślałam. A właściwie cztery dni.

- Dziwnie - odpowiedziałam. - Bardzo dziwnie.

- Próbowałam się z tobą skontaktować. Jakaś nieznajoma kobieta odebrała telefon.

- To Julie. Chyba się spotkałyście parę lat temu? Była długo w podróży.
- Nie przekazała ci mojej wiadomości? Kim ona jest? Poczekaj chwileczkę. Megan! Amy! Chodźcie tutaj i weźcie swoje mleko z miodem! Przepraszam cię, Kit. A więc ta Julie...
- Przebywała za granicą, objechała cały świat. Teraz zatrzymała się u mnie. Na trochę.
- Och. Przeszkadza ci?
- Nie, jeszcze nie.
- Ale z tobą wszystko w porządku, co? O Chryste, natychmiast to sprzątnij! Już! Weź jakąś szmatkę, zetrzyj stół, mleko kapie na podłogę!
- Pewnie musisz się tym sama zająć.
- Na to wygląda. Zatelefonuję do ciebie później.

Poprzedniego dnia zrobiłam zakupy w supermarkecie. Kupiłam makaron włoski, słoik sosu z papryki i chili, kilka torebek sałaty, już umytej i gotowej do podania. Wszystko jednak zniknęło. Zjadłam więc kawałek sernika z polewą cytrynowo-imbirową. W lodówce nie było niczego prócz paru kartonów mleka, resztek twarożku oraz - popatrzyłam dwa razy, sądząc, że ulegam omamom wzrokowym - pary nowiutkich czarnych butów do biegania z przyczepioną do nich metką.

Zapukałam do pokoju Julie. Cisza. Otworzyłam drzwi na oścież.

Wszędzie rozrzucone ubrania, dostrzegłam też swoją garderobę. Na szafce słoiki z kremem, oprawki do szminek, lusterko wyniesione z łazienki. Moje kapcie leżały obok rozbebeszonego łóżka.

Nie chciało mi się znowu wychodzić do sklepu, byłam zbyt zmęczona, więc zrobiłam sobie parę tostów i kubek gorącej czekolady. Zabrałam kapcie i przebrałam się w szlafrok. Następnie wyciągnęłam notatnik.

Usiadłam przy stole, popi jając pianistą czekoladę i próbując narysować Lianne - ale nie jej twarz, lecz małe dziecinne dłonie z obgryzionymi paznokciami. Ręce jednak niełatwo narysować, trudniej niż stopy

i twarz. Bardzo trudno jest uchwycić odpowiednie proporcje. Palce sterczą jak banany, kciuk wyrasta z dłoni pod nieprawdopodobnym kątem.

W żaden sposób nie potrafiłam się z nimi uporać, więc w końcu dałam spokój. Byłam poirytowana czarnymi butami w lodówce, deszczem bębniącym o szyby i poczuciem, że coś przeoczyłam. Tkwilo to we mnie jak drzazga.

## Rozdział 11

Kiedy człowiek jest czymś zaabsorbowany, czuje przyływ adrenaliny. Tamtego ranka, zamiast odczekać w wannie z gorącą wodą, aż Julie wyjdzie, wzięłam szybki prysznic i umyłam włosy. Nie chciało mi się uruchamiać suszarki, więc tylko wytarłam je ręcznikiem i potrząsnęłam głową. Piłam kawę, jednocześnie wkładając sukienkę i zapinając sandały. Wrzuciwszy kluczyki samochodowe i jabłko do torby, przeszłam na palcach przez korytarz. Julie siedziała w kuchni nad kubkiem herbaty, senna jak kot w upale.

Pojechałam prosto do Welbeck i zaparkowałam samochód w zwykłym miejscu pod drzewem akacji. Ranek był mglisty i parny. Prócz sprzątaczkę z odkurzaczem w holu nie było nikogo.

Znalazłszy się w swoim pokoju, zatrzasnęłam drzwi i otworzyłam okna wychodzące na skrawek ogrodów z tyłu budynku. Na tacce z napisem „Do wysłania” nie było nic, natomiast na tej z napisem „Do załatwienia” leżała góra papierów. Lista pacjentów, których miałam zbadać, jakieś sprawy wymagające mojego podpisu, korespondencja, formularze do wypełnienia, stosy fachowych pism, zaproszenia, z których nie miałam ochoty skorzystać. Na automatycznej sekretarce nagrało się dwadzieścia dziewięć osób. Kiedy uruchomiłam komputer, okazało się, że w poczcie elektronicznej czekał ponad tuzin listów. Wyczytałam gdzieś, że dobrze zorganizowa-

ny fachowiec odpowiada dziennie na około dwieście e-maili. To nie fair. Nie mógłby obdzielić tym zadaniem urzędników siedzących beczynnie w biurze, ponieważ nikt do nich nie pisze?

O dziewiątej stos znacznie się zmniejszył. Wrzuciłam do kosza zaproszenia na trzy zagraniczne konferencje, podzieliłam prośby o skonsultowanie pacjentów na trzy kupki - „tak”, „nie” i „być może”, zapisałam w kalendarzu niezbędne wizyty. Wokół fotela leżała sterta makulatury i kartki zadrukowanego papieru zmięte w kule. Zza drzwi docierały oznaki budzącego się w przychodni życia: dzwoniły telefony, trzaskały drzwi, rozlegały się coraz głośniejsze rozmowy. Zeszłam na parter, żeby wziąć kawę z automatu i szybko wróciłam do siebie z plastikowym kubkiem parzącym dłonie.

Dopiero wtedy sięgnęłam do notatek, które zrobiłam w związku z Lianne. Tak długo wpatrywałam się w zdania, które sobie zapisałam, aż zaczęły mi się rozpląwać przed oczami, stawały się hieroglifami. Jedynym człowiekiem, który mógłby mnie oświecić, był facet prowadzący schronisko dla młodzieży. Lianne czasami tam nocowała, albo brała ciepłą kąpiel, dostawała gorący posiłek lub czyste ubranie. Nazywał się Will Pavic. Pod wpływem nagłego impulsu podniosłam słuchawkę i wykreciłam jego numer.

- Tak. - Głos był antypatyczny, niecierpliwy.

- Czy mogę mówić z Willem Pavicem?

- Tak.

. - Czy to pan Will Pavic?

- Tak. - Tym razem jeszcze ostrzej.

- Dzień dobry. Nazywam się doktor Quinn i pomagam policji...

- Przykro mi, ale nie współpracuję z policją. Mam nadzieję, że pani rozumie, w tej sytuacji... - I odłożył słuchawkę.

Skurczysyn - mruknęłam przez zęby. Wyjęłam jabłko z torby, zjadłam powoli, zostawiając tylko ogonek. I nakreciłam numer do domu.

- Hej! - Julia najwyraźniej była znacznie żywsza niż przed moim wyjściem.

- To ja, Kit. Od rana nie mogę przestać o czymś myśleć. Dlaczego włożyłaś buty do lodówki?
  - Ooch! - Usłyszałam wybuch śmiechu. - Przeczytałam w jakimś piśmie, że jak jest upał, fajnie jest włożyć zimne buty. To tyle.
  - Wcale nie jest tak gorąco.
  - Dlatego ciągle je tam trzymam. Czekam na ocieplenie. No to wyjaśniła się zagadka. Ponownie zatelefonowałam do Pavica.
  - Tak. - Ten sam głos, taki sam ton.
  - Panie Pavic, tu znowu Kit Quinn i proszę łaskawie wysłuchać, co mam panu do powiedzenia, zanim ciśnie pan słuchawkę.
  - Pani Quinn...
  - Doktor.
  - Doktor Quinn. - Usiłowałam mój tytuł zmienić w szyderczy epitet. - Jestem bardzo zapracowanym człowiekiem.
  - Jak wspomniałam, czy raczej usiłowałam panu zakomunikować, pomagam policji w dochodzeniu w sprawie śmierci Lianne. - Zrobiłam pauzę. - Lianne, której zwłoki znaleziono nad kanałem...
  - Wiem, o czym pani mówi. Nie mam jednak pojęcia, czego się pani po mnie spodziewa.
  - Pragnę porozmawiać z osobami, które ją znały. Które choć trochę wiedzą, jak wyglądało jej życie - z kim utrzymywała kontakty, co ją niepokoiło, jakim była człowiekiem...
  - Kategorycznie odmawiam. Nie pozwolę, żeby ludzie pani pokroju prześladowali młodzież. Moi podopieczni mają wystarczająco dużo problemów.
- Zrobiłam głęboki wdech.
- No, a wobec tego pan, panie Pavic?
  - Co ja?
  - Czy pan może ze mną porozmawiać o Lianne?
  - Nie mam nic do powiedzenia. Prawie jej nie znałem.
  - Jednak na tyle, by zidentyfikować jej zwłoki.
  - Oczywiście, wiedziałem, jak wyglądała. - Jego ton był szorstki, nieprzyjazny. Wyobraziłam go sobie jako surowego



siwego mężczyznę z twarzą jak ostrze siekiery i wzrokiem ze stali. - Ale nie sądzę, że o to pani chodzi, prawda? Jak was znam, chętnie by pani porozmawiała o jej psychice, czy się nie mylę? - Sarkazm w jego głosie był aż nadto wyczuwalny.

Nie miałam zamiaru dać się wyprowadzić z równowagi. Im bardziej on był nieprzyjazny, tym ja przemawiałam łagodniej.

- Nie zajmę panu dużo czasu.

Usłyszałam niecierpliwie stukanie ołówka o blat.

- A więc proszę, co pani chciałaby wiedzieć?

- Czy mogę przyjechać i porozmawiać z panem osobiście?

- Mniej więcej za godzinę mam zebranie, a potem...

- Zjawię się u pana za kwadrans - odparłam. - Z góry bardzo dziękuję. To miłe z pana strony, czuję się zobowiązana. - Teraz ja odłożyłam słuchawkę. Złapałam torbę, żakiet i wypadłam z pokoju, zanim zdążyłby zadzwonić i odwołać nasze spotkanie.

Ośrodek dla Młodzieży Tyndale mieścił się w dużym i nijakim budynku sprzed wojny i wyróżniał się jedynie metalowymi okiennicami. Był wciśnięty między pub i chyba jeden z najohydniejszych w całym Londynie zespół budynków komunalnych - brudnoszary ciąg kamienic z obrzydliwymi okienkami, z których część miała zbite szyby. Mur na całej szerokości był upstrzony graffiti - kwiaty, esy-floresy, ponure gęby. Bez wątplenia inna ręka dopisała gigantyczne hasło: „Odpierdolcie się”. Po drugiej stronie ulicy znajdował się szereg zrujnowanych domów z zabitymi dyktą drzwiami i oknami, z zachwaszczonymi ogródkami od frontu. Dwóch nastolatków z ogolonymi łbami kopało sflaczałą piłkę tenisową, ale gdy mnie ujrzeli, zastygli i podejrzliwie spojrzeli w moim kierunku.

- Dzień dobry.

Nie mogłam odgadnąć, czy dziewczyna, która otworzyła mi drzwi, była pensjonariuszką, czy też pomocnicą. Miała fioletowe włosy, błyszczące metalowe punkciki na brwiach i w nozdrzach i słodki uśmiech. Człapała w za dużych kapciach.

W głębi ujrzałam długi hol z wieloma odchodzącymi od niego korytarzami, a z góry dochodził monotony rytm rapowej muzyki; ktoś wrzeszczał w jej takt.

- Nazywam się doktor Quinn. Pragnę się widzieć z Willem Pavicem.

- To ta umówiona? Wpuść ją! - usłyszałam czyjś głos. Dziewczyna się odsunęła. Hol był pomalowany na żółto.

W rogu stało jakieś drzewko w donicy, na stole pod ścianą leżał stos ulotek, a przy klatce schodowej rozłożył się na wyleniającej kanapie rudy kot.

Wili Pavic urzędował w małym pomieszczeniu z otwartymi drzwiami. Siedział przy biurku i wpatrywał się bacznie w stojący przed nim komputer. Miał około czterdziestki, zwisające włosy, ciemną brodę i oczy ukryte za przyciemnianymi szklami. W jasno oświetlonym pokoju wyglądał jak monochromatyczna postać - czarno-szara, jakby wyciosana z granitu. Zachmurzona, niechętna przybyszom. Wstał na mój widok, ale pozostał w swojej fortecy za biurkiem.

- Witam - odezwałam się. Ścisnął mi rękę mocno, ale krótko.

- Niech pani siądzie. - Wskazał gestem twarde krzesło w rogu. - Proszę przełożyć tę stertę papierów na podłogę.

Odchrząknęłam. Zmusiłam się do nerwowego uśmiechu, który pozostał bez odpowiedzi. Dostrzegłam na ścianie za nim mnóstwo nalepek z napisem „Nadaj na poczcie”. Nagle przyszło mi do głowy, że nie mam pojęcia, o co właściwie mam go zapytać.

- Przepraszam - rzekłam w końcu. - Nie bardzo rozumiem, gdzie się znalazłam. Czy to dom dziecka?

- Nie - odpowiedział.

- A więc co? Społeczny ośrodek opieki?

- Miejscowe władze nie mają z tym nic wspólnego. Ani żadna instytucja rządowa. To samo dotyczy opieki społecznej.

- Kto więc prowadzi ten ośrodek?

- Ja.

- Zgoda, ale kto nim zarządza? Wzruszył ramionami.

- I co się tu odbywa?

- Nic nadzwyczajnego - odrzekł. - Jest to miejsce, w którym bezdomni młodzi ludzie mogą się zatrzymać na jakiś czas. Udzielamy im doraźnej pomocy, dzwoniemy tu i ówdzie w ich sprawach i nie zatrzymujemy dłużej.

- I Lianne też nie zatrzymał pan na dłużej? - Na tę uwagę twarz mu znieruchomiała. - Proszę posłuchać, zaczynam od zera. - Spojrzałam na niego z ujmującym uśmiechem. Nie było żadnej reakcji, jakbym przemawiała do wyłączonego komputera. - Pragnę się dowiedzieć wszystkiego, co tylko można o tej dziewczynie. Nie mam na myśli ostatnich chwil przed śmiercią czy spotkań z tymi lub innymi ludźmi. To sprawa policji. Bardziej interesuje mnie jej osobowość, wie pan, o co chodzi.

Telefon na biurku zadzwonił, ale przełączył się na automatyczną sekretarkę.

- Ja jej w tym sensie, o jakim pani mówi, nie znałem.

- Jak długo przebywała w pańskim ośrodku?

- Ona tu nie mieszkała. Czasami zaglądała. Miała tu kolegów.

- To się nie trzyma kupy. Skoro ledwie ją pan znał, dlaczego pan zidentyfikował jej ciało? W jaki sposób policja dotarła do pana?

- Policja trafiła do mnie, ponieważ jej wizerunek umieszczono na plakacie i jakiś odpowiedzialny obywatel zatelefonował anonimowo, że widziano ją w Tyndale. A zidentyfikowałem ją dlatego, że okazałem się jedyną wiarygodną osobą, która ją od czasu do czasu widywała. Ale to jest dzielnica Kersey Town, a nie miejsce, gdzie pani mieszka.

- Przecież pan nie wie, gdzie mieszkam.

- Można łatwo zgadnąć - burknął z czymś w rodzaju uśmiechu.

- Pragnę się dowiedzieć, jaka była. Panie Pavic, czy wie pan cokolwiek na temat jej rodziny? Kolegów?

Spojrzał na mnie z wyraźną irytacją, jakbym była zbyt wścibska.

- Pani ciągle nie pojmuje - rzeki wreszcie. - Nie chcę nic

wiedzieć o biografiiach tych młodych ludzi. Nie próbuję udawać ich przyjaciela. Chcę jedynie udzielić im paru praktycznych rad i w większości wypadków to mi nie wychodzi. To wszystko. Uciekinierzy mają swoje powody ucieczki z domu, pani doktor. Czy pani sądzi, że robią ten krok, żeby się zabawić? Lianne przypuszczalnie też uciekła z bardzo przyziemnych przyczyn.

- Czy pana zdaniem mogła być bita w domu czy prześladowana w jakiś inny sposób? - Nawet mi nie odpowiedział. Czuję się głupio, zadając mu to oczywiste pytanie.

- Była samotna - odezwał się nagle. - Samotna, przerażona, gniewna młoda kobieta. Ktoś, o kim można powiedzieć, że szuka miłości.

Wystarczy?

- Nie chce pan pomóc?

Pochylił się nad biurkiem z grymasem złości.

- No cóż, znowu nie potrafię pomóc. Nie po raz pierwszy.

- Ja...

- Muszę już iść. Mam zebranie.

- Mogę pana odprowadzić do metra?

- Jadę tam samochodem.

- Więc poproszę o podwiezienie do stacji. Chciałabym jeszcze zadać panu parę pytań. W którym kierunku pan jedzie?

- W stronę mostu Blackfriars.

- To prawie pod moim domem - odparłam, zapominając, że przecież zostawiłam auto na parkingu przed przychodnią.

Westchnął ostentacyjnie.

- No dobrze.

Razem wyszliśmy do holu. Drogę przebiegła nam śliczna dziewczyna z długimi jasnymi włosami. „Kurwa, przecież próbuję” - rzuciła nam w twarz, po czym wspięła się z płaczem na schody.

- Bierze jakieś narkotyki? - spytałam, siadając na fotelu obok kierowcy w starym fiacie. Wolno włączyliśmy się do ruchu.

- Kolejne pytania, co?

- Jestem ciekawa.
- Proszę mi powiedzieć, gdzie mam skrócić.
- Jeszcze nie teraz. Dlaczego pan jest taki rozzłoszczony?
- Wydaje mi się, że to właściwa reakcja.
- Na co?
- Na wszystko. Na całe to gówno. - Zdejmując rękę z kierownicy, powiódł nią naokoło. Ten gest mógł oznaczać tłok na jezdni, naszą rozmowę, moje wymuszone na nim towarzystwo, śmierć Lianne, życie jako takie. Resztę trasy jechaliśmy w milczeniu, nie licząc uwag, gdzie ma skrócić. Zatrzymał się tuż pod moimi drzwiami. Wygramoliłam się z fiata.
- Kit, hej! Kit! Kit! Serce zamarło mi w piersi.
- Cześć, Julie.
- Świetnie, że się pojawiłaś. Zapomniałam kluczy. - Nachyliła się i spojrzała z uśmiechem do wnętrza auta.
- To jest Will Pavic - mruknęłam pod nosem. - A to Julie Wiseman. Zajrzała do fiata w taki sposób, że spódnica zadarła się jej przed kolana, a piersi pod cienkim trykotem wyraźnie się zaznaczyły.
- Witam Willa Pavica. Zajrzy pan do nas?
- On mnie tylko podwiózł. Spieszy się na zebranie - oznajmiłam lakonicznie.
- Julie kompletnie mnie zignorowała.
- Może jednak wpadnie pan na kawę czy herbatę?
- Nie, dziękuję. - Jego głos był zaskakująco uprzejmy.
- Dzięki za wspólną jazdę - krzyknęłam i odwróciłam się od nich. Zostawiłam drzwi wejściowe otwarte, żeby Julie nie musiała dzwonić, i weszłam na górę, chociaż zdawałam sobie sprawę, że po paru minutach będę musiała wrócić do przychodni i odebrać samochód. Postanowiłam przynajmniej napić się czegoś zimnego. Puściłam wodę z kranu, trzymając palce pod strumieniem, żeby sprawdzić temperaturę. Usłyszałam kroki Julie na schodach.
- No, no! On jest kapitalny!

- Tak uważasz?
- O, zdecydowanie w moim typie. Ponury, spalony życiem, silny, milczący. Zaprosiłam go na kolację. Obróciłam się gwałtownie.
- Co takiego?
- Przecież powiedziałam wyraźnie: zaprosiłam go do nas na kolację. - Uśmiechnęła się triumfalnie. Bluznęłam coś pod nosem i kopnęłam jej sandały. - Kit, szkoda czasu na czekanie, aż się ktoś nadarzy. Ja nie jestem taka jak ty. Czy wiesz, że ludzi można podzielić na roślinożernych i mięsożernych?
- Ja...
- Ty jesteś trawożerna. Ja zdecydowanie mięsożerna. On zresztą też.
- I przyjdzie? - zdołałam wykrztusić.
- Jutro. O ósmej wieczorem. Dałam mu za mało czasu, żeby mógł wymyślić jakiś pretekst.
- Wobec tego ja wychodzę.
- Nigdzie nie wyjdiesz - rzekła stanowczo. - A zresztą to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Powiedziałam mu, że wydajemy kolację dla paru przyjaciół, więc może by dołączył. Kogo zatem masz ochotę zaprosić?
- Julie...
- I co mam przygotować?
- Posłuchaj...
- Zapomniałam o najważniejszym: co mam na siebie włożyć? Czy mogę sobie wziąć twoją czerwoną sukienkę?

## Rozdział 12

Gdy wróciłam własnym samochodem, poszłam od razu do saloniku i usiadłam nad papierami, gdy tymczasem Julie, bardzo z siebie zadowolona, brała prysznic. Stale się kąpała, podśpiewując - wbrew porze roku - kolędy. Śpiewała bardzo głośno, fałszując przy każdej z nich. Może zrobiła się taką czyściochą w czasie swojej wielkiej podróży. Pamiętam żarty, które opowiadali moi australijscy i amerykańscy koledzy, uważający Anglików za brudasów z próchnicą, mieszkających w zapuszczonych mieszkaniach. Oto jeden z nich: Jeśli chcesz coś ukryć w domu u Anglika, jakie miejsce będzie najodpowiedniejsze?

Odpowiedź: pod mydłem. Uraczono mnie tym dowcipem podczas konferencji naukowej w Sydney.

Ponownie wczytałam się w raport z miejsca zbrodni. Znowu obejrzałam zdjęcia. Zamknęłam oczy i usiłowałam wyobrazić sobie, jak by to było leżeć nad kanałem. Coś mnie irytowało. Niemal doprowadzało do szaleństwa, bo było jak słowo na końcu języka, którego nie można sobie przypomnieć. Ale jednocześnie czułam się podekscytowana. Coś się działo. Zrobiłam sobie ksero mapki okolic nad kanałem. Wpatrywałam się w nią aż do bólu oczu. Co mnie tak gryzło?

Do pokoju weszła Julie, prosto z kąpieli, w obłoczku pary. Miała na sobie dzinsy z odciętymi do kolan nogawkami, podkoszulek niesięgający pępka i była bez stanika. W dłoniach trzymała butelkę białego wina i dwa kieliszki. Bez słowa wrę-

czyła mi jeden z nich. Zawróciła do kuchni, przyniosła stamtąd chińską czarękę wypełnioną oliwkami. Postawiła ją na ławie, sama usiadła na kanapie, podciągnęła nogi pod brodę i wychyliła pół kieliszka.

Zanurzyłam wargi w swoim. Wino było cudownie chłodne. Popatrzyłam z przyjemnością na Julie. Była ładna, opalona, swobodna. Pomyślałam o Obanie i uśmiechnęłam się. Rzeczywiście, stałyśmy się teraz kimś w rodzaju pary i przypuszczam, że można było odnieść wrażenie, iż Julie jest moją zdobyczą. Bycie lesbijką ma swoje atrakcje, co do tego nie mam wątpliwości. Z mężczyznami jest tyle kłopotów. Ta ich zasadnicza obcość, inne utensylia w łazience, właściwie wszystko nas dzieli. Niestety, nic nie mogłam na to poradzić. Zostałam skazana na bycie hetero wskutek wychowania i presji społecznej.

- Spróbuj oliwek - odezwała się Julie. - Poszłam dzisiaj po południu do Soho. Natknęłam się na sklepik kolonialny. Są świetne, te wielkie, nadziewane chili i anchois. Czujesz się po ich zjedzeniu, jakbyś została kopnięta w twarz przez konia. Chcę przez to powiedzieć, że to takie mocne doświadczenie.

Wzięłam oliwkę i żując ją, rzeczywiście poczułam jakby drętwienie języka, ale po łyku wina pieprzny smak w ustach stał się wspaniały, odświeżający.

- Świetne - przyznałam.

- Chodziłam sobie dziś po południu i rozmyślałam, że muszę się uporać z trzema sprawami: znaleźć sobie pracę, mieszkanie i chłopca. Dlatego tak się rzuciłam na tego, co cię podwiózł. Jest żonaty?

- Nie wiem.

- A może jest gejem?

- Widziałam go dziś po raz pierwszy w życiu.

- Jeśli nie jest homo, wygląda w porządku, czasami się odzywa i nie jest z nikim związany, trzeba go łapać natychmiast.

- Według mnie najczęściej istnieje jakiś powód, dla którego ktoś nie jest z nikim związany.

- Myślisz, że jest na coś chory? Roześmiałam się na tę uwagę.

- Ale, Kit, zastanów się, ja naprawdę tak uważam. Czuję się



nie najzręczniejszą jako twoja sublokatorka. Pragnę cię powiadomić, że rozglądam się za mieszkaniem.

- W porządku.

- Naśladowuję twój styl.

- Czy ja mam jakiś styl? Nie, zrobiłam się teraz trochę bardziej nerwowa, ale gdybym była sama, tobym chyba weszła na sufit.

- Myślałam, że będziesz częściej wychodziła z domu. Szukając jakichś śladów.

Podniosłam się, wzięłam butelkę, napełniłam po brzegi oba kieliszki.

- Głównie siedzę w papierach - odrzekłam z rezygnacją. Julie włożyła sobie do ust dwie oliwki, zaczęła kaszleć

i szybko popiła je winem. Zrobiła się czerwona na twarzy.

- Masz przynajmniej jakieś poszlaki? - zdołała wykrztusić.

- Ja się tym nie zajmuję. Analizuję wszystko od innej strony niż policja, zastanawiam się, czy coś naprowadzi mnie na sprawcę, którego szukają. Powinnam oceniać to wszystko z dystansu, bez żadnych uprzedzeń, jak rodzaj szarady czy zagadki. No wiesz, coś w tym rodzaju: Antoniusz i Kleopatra leżą obok siebie martwi. Obok kałuża krwi, zbite naczynie szklane. Jak zginęli?

- Przez złotą rybkę - odparła Julie szybko. - Ale odpowiedz mi na to: facet wchodzi do windy na parterze i zawsze naciska guzik na dziesiąte piętro, potem idzie pieszo ostatnich pięć pięter, natomiast gdy zjeżdża, wsiada na piętnastym i jedzie do parteru?

- Karzeł.

- A więc uważasz, że oni odnajdą mordercę?

- To zależy. Jeśli sprawca poprzestanie na tej zbrodni, to nie. Nie myślę, żeby im się udało.

- To trochę negatywne podejście.

- Czy wiesz, ile zbrodni popełnia się w ciągu roku?

- Gdzie? Na całym świecie?

- Nie. - Roześmiałam się. - W Anglii i w Walii.

- Nie mam pojęcia. Pięć tysięcy?

- Sto pięćdziesiąt, dwieście, mniej więcej tyle. I ponad po-

łowa, a może nawet dwie trzecie z nich zostają szybko wykryte. Większość ludzi ginie z rąk znanych sobie osób: mężów, członków rodziny. Odbywa się jakaś walka przed wejściem do klubu, biją się kibice, bandyta zabija staruszkę podczas włamania. Co do reszty zabójstw, kluczowe są dwie pierwsze doby. W tym czasie udaje się schwytać znaczną część sprawców. Zabójca ma jeszcze na sobie ślady krwi ofiary, dziwnie się zachowuje, stara się pozbyć broni i zakrwawionego ubrania, zaciera ślady. Znacznie gorzej, gdy mija więcej dni. Policjanci gubią trop, wyczerpują się im koncepcje. Wówczas zwracają się do kogoś takiego jak ja. Narzędzie zbrodni wyrzucono i już go nie znaleziono, krew została zmyta. Jeśli byli jacyś świadkowie przestępstwa, to już dawno by się zgłosili. Znasz to uczucie, kiedy zgubisz klucze: sprawdzasz jeszcze raz wszystkie miejsca, do których już zaglądałaś. Policja znajduje się właśnie w tym stadium.

- Brzmi to beznadziejnie. Wzięłam do ust następną oliwkę.

- Naprawdę są świetne. Policja tak bardzo się tym nie przejmuje. Ofiara nie miała krewnych, którzy by robili raban. Reporterzy też nie dzwonią z pytaniami o rezultaty śledztwa. Ale jest w tym i dobra strona: jeśli sytuacja stała się tak beznadziejna, to przynajmniej nie może być gorzej.

- I dlatego rozmawiałaś z tym facetem, z Willem?

- Tak. No cóż, w okolicy można spotkać wiele takich osób jak Lianne.

- Masz na myśli prostytutki i dziewczyny, które zbiegły z domów.

- Myślę o wielu młodych kobietach, które się włóczą, nie mają stałych związków, zarabiają na życie od przypadku do przypadku. I sądzę, że Will Pavic wie sporo o tym świecie.

- Kim on jest? Alfonsem?

- Chyba żartujesz. Prowadzi schronisko, gdzie udziela się pomocy takim młodym ludziom. - Uśmiechnęłam się na widok zawiedzionej miny Julie.

- Przykro mi. Nie jest ani prawnikiem, ani lekarzem, ani producentem telewizyjnym. Już się zdażyłam zorientować, że policja nie żywi do niego zbytniego

szacunku. Gdy o nim wspomniałam, faceci na posterunku uśmiechali się lekceważąco. W każdym razie, jak słyszałaś, Pavic nie był ze mną bardzo rozmowny, więc może twój pomysł ściągnięcia go tutaj nie jest w końcu taki zły. Kiedy się w tobie zakocha, może stanie się bardziej komunikatywny. Chyba że nie chcesz, bym została w domu?

- Na miłość boską, przecież musisz tu być. Masz mi pomóc.

Tego wieczoru Julie szykowała się do wyjścia, więc sama dopiłam wino i znowu zagłębiłam się w akta, które już dobrze znałam. Jeszcze raz zerknęłam na mapkę i wydałam z siebie lekki okrzyk.

- O to chodzi. - To nie było odkrycie na miarę okrzyku „Eureka!”, nie zaczęłam biegać jak szalona po pokoju. Ale poczułam się zaintrygowana, a to już było coś.

Kiedy następnego rana zjawiłam się w pokoju Furtha, spojrzał na mnie tak, jakbym miała mu odebrać jego ukochane stereo.

- Tak? - zapytał.

- Mam pewną myśl.

- Dobrze! - odparł różnym głosem. - Nie musiałaś jednak fatygować się w tym celu. Wystarczyłby telefon. Obu stronom oszczędziłoby to czasu i energii.

- Przecież wiesz, że nie musimy być wrogami - rzekłam.

- Co masz na myśli? - spytał niewinnym tonem.

- Mniejsza o to. Chcesz usłyszeć moją koncepcję?

- Słucham pilnie.

- Powinieneś spojrzeć na mapkę.

- Mam swoją własną.

- Jeszcze raz pytam, chcesz się dowiedzieć, co mi przyszło do głowy?

- Ależ tak, umieram z niecierpliwości.

Usiadłam naprzeciwko niego. Krzesło było denerwująco niskie.

Poczułam się jak petentka przed prezesem zarządu.

- Dlaczego to się zdarzyło nad kanałem? - spytałam.

- Bo tam jest pusto.

- Tak, ale popatrz na mapkę. - Wyciągnęłam ksero z torebki i położyłam na biurku. - Owszem, niektóre okolice kanału są opustoszałe, ale akurat nie to miejsce, w którym znaleziono zwłoki. Spójrz tutaj. Natrafiono na Lianne tuż obok majątku ziemskiego Cobbeta.

- Tam prawie nikt się nie kręci - odparł Furth z nutą nonszalancji. - Znam to miejsce jak własną kieszeń. Rośnie tam mnóstwo krzaków, obszar jest źle oświetlony, nocą bezludny. A ponadto morderca mógł uciec dróżką w górę albo w dół kanału, albo na skróty dobiec do ulicy.

- Nad tym właśnie zastanawiałam się, studiując tę mapkę. To jest miejsce, do którego można dojechać samochodem. Patrz, znajduje się tuż obok parkingu, należącego do tego majątku ziemskiego.

- No to co?

- Jeszcze jedno mnie zaintrygowało. Lianne podcięto gardło, jej arteria szyjna została uszkodzona, ubranie miała nasiąknięte krwią. Natomiast w raporcie z miejsca zbrodni wyczytałam, że tam w ogóle nie znaleziono śladów krwi.

Furth się skrzywił.

- No i?

- Czy to nie dziwne?

- Niekoniecznie. Jeśli jej ciało ciągnięto za ręce, krew mogła zostać na niej i na ubraniu mordercy. Inne ślady po prostu przeoczono. A może ekipa dochodzeniowa, która tam przybyła, po prostu nie wspomniała o nich w raporcie? Ale do czego zmierzasz?

- Właśnie do tego. A co by było, gdyby się okazało, że Lianne nie została zabita nad kanałem, lecz zawleczona tam, już nieżywa, i porzucona w krzakach? A miejsce było wybrane z tego powodu, że można tam podjechać samochodem, jest pusto i ciemno?

- To tyle? - Furth zadał swoje ulubione pytanie.

- Tak.

Wstał, podszedł do szafki i otworzył jedną z szuflad. Szybko przewracał jakieś akta, wyciągnął szarą teczkę. Wrócił do biurka, cisnął ją na blat. Wzięłam ją do rąk i otworzyłam.

- Poznajesz to?
- Owszem.
- Darryl Pearce. To on znalazł ciało Lianne, pamiętasz? Słyszał zduszony jęk czy krzyk. Pokręcił się w pobliżu. Pieprzony tchórz. Wreszcie zebrał się w sobie, wlaź w krzaki i natrafił na nią. Na czym więc polega twoja argumentacja? Czy twój morderca przywiózł samochodem na pół żywą dziewczynę? Czy wiesz, ile czasu się zdycha z taką raną?
- Zastanawiałam się i nad tym - odparłam.
- No więc co tu robisz, do cholery?
- Stale usiłuję pamiętać, by nie dawać zbytnej wiary jakiemuś pojedynczemu dowodowi zbrodni. Bo może się okazać, że jest nieprawdziwy. Pamiętasz pościg za gwałcicielem z hrabstwa York? Policjanci zmarnowali ponad rok, szukając go w innych okolicach, ponieważ zaufali jednej sfalszowanej taśmie magnetofonowej!
- Czy sądzisz, że Darryl Pearce jest na tyle bystry, żeby cokolwiek zmyślić?
- Myślałam o tym. Załóżmy, że pomylił się albo wykombinował jakąś historyjkę, bo chciał ukryć swój czyn. Jednakże nic nie przychodziło mi do głowy.
- A zatem?
- Mary Gould.
- Przypomnij mi, o kogo chodzi.
- Ta staruszka, która też odkryła zwłoki. Furth zrobił niedowierzającą minę.
- Aha, ta kobieta, która się zlekła i zadzwoniła dopiero następnego dnia. Ale nic się takiego nie stało, bo niewiele wniosła swoim zeznaniem.
- Powiedziała, że zobaczyła zwłoki, ale w ogóle nie wspomniała, że przez chwilę widziała Lianne jeszcze żywą.
- Mogła zapomnieć. Albo nie zauważyć.
- Trudno nie zauważyć, jeżeli ktoś wykrwawia się z powodu przeciętej arterii.
- Mogła znaleźć się na miejscu zbrodni, gdy Lianne już umarła. Spojrzałam na Furtha. Był odrobinę mniej pewny siebie.

Robił wrażenie zaintrygowanego moimi pytaniami, nawet wbrew sobie.

- A zatem wyobraź sobie, że Darryl Pearce słyszy jęk. Zgodnie z jego zeznaniem znajdował się wtedy na ścieżce tuż przy kanale. I kiedy się zastanawia, co zrobić, Lianne umiera, a wtedy z drugiej strony nadchodzi Mary Gould. Zbliżyła się od strony tego majątku ziemskiego, jak oświadczyła. Jest przerażona i ucieka, zanim Darryl pokonuje wreszcie lęk, podchodzi do krzaków i odnajduje ciało. To dużo zdarzeń jak na półtorej minuty.

- Masz jakiś pomysł?

- Mogło być tak: Mary Gould natrafia na ciało, krzyczy ze strachu, ucieka. Darryl słyszy ten jęk i sądzi, że wydała go umierająca Lianne. Jego zeznanie jest dla nas jedynym dowodem na to, że dziewczyna jeszcze żyła nad kanałem.

Furth rozparł się na krześle.

- O, kur... - rzekł w zadumie.

- Czy widzisz, o co mi chodzi?

- Muszę nad tym pomyśleć.

- I jeszcze jedno.

- Co? - spytał, patrząc w przestrzeń poza mną.

- Jeśli się zgodzimy z koncepcją, że morderstwo wcale nie nastąpiło nad kanałem...

- No, aż tak szybko się nie zgodzimy - przerwał Furth.

- ...to wtedy znaczenia nabiera nie miejsce zbrodni, ale sposób jej dokonania. Co może prowadzić nas do tego, że istnieje zabójca, który wybiera sobie bezwolne ofiary na odludziu. Może już przedtem popełnił inne morderstwa, których sprawcy nie udało się ustalić. Należałoby więc sprawdzić inne dossiers. Co o tym sądzisz?

- Zastanowię się nad tym - rzekł Furth.

- Czy chcesz, żebym porozmawiała o tym z Obanem?

- Sam mu powiem.

- Doskonale - odparłam radośnie i wyszłam ze świadomością, że zepsułam mu dzień. Ten fakt zdecydowanie poprawił mi samopoczucie.

## Rozdział 13

Kiedy ktoś nieprzystępny ma się pojawić na kolacji, instykt podpowiada, co należy w takiej sytuacji zrobić. Trzeba zaprosić najbliższych przyjaciół. Dzwonisz do nich i namawiasz, żeby do ciebie przyszli, solennie obiecując, że w najbliższej przyszłości przygotujesz im naprawdę wspaniałe przyjęcie. Rozważałam to wyjście, ale w końcu pomyślałam: pieprzyć to. Dlaczego miałabym stawiać w niezręcznej sytuacji ludzi, których bardzo lubię? Przyszedł mi do głowy inny pomysł. Zawsze istnieje kilka osób, na których wspomnienie od razu dostaje się migreny. To tacy, co się przyczepiają jak rzep do ogona. Człowiek winien jest im zaproszenie na kolację, ale ciągle znajduje jakiś pretekst, żeby ją odłożyć.

Na przykład Francis z przychodni Welbeck. Kiedyś zaprosił mnie do swego mieszkania w Maida Vale. W trakcie kolacji wywiązała się straszliwa awantura i - zupełnie sobie nie przypominam, o co poszło - ktoś szybko wyszedł, a Francis ze wstydu spił się jak bela.

Opowiedziałam o tym zdarzeniu Poppy, która uważała, że było bardzo śmieszne, coś w rodzaju błyskawicznej wojny, ale mnie ono wcale nie rozbawiło. Prawdę mówiąc, Francis przez dłuższy czas unikał mego wzroku i nigdy nie wspomniał o tym wieczorze. Jednakże uważałam, że powinnam się mu zrewanżować w jakiejś formie i nagle jutrzejszy wieczór wydal mi się doskonałą okazją. A jeśli nie będzie mógł przyjść, to tym lepiej. Zadzwoiłam do niego i za-

pytałam, czy miałby ochotę wpaść nazajutrz, wytłumaczyłam, że będzie parę osób.

- Świetnie - odparł. - A więc do zobaczenia u ciebie. Potem przypomniałam sobie o Catey. Poznałam ją kiedyś, bo na uniwersytecie jej chłopak był przyjacielem kogoś, z kim się przez jakiś czas spotykałam. Nie była to zbyt zażyła znajomość i z początku wcale nie przypadłyśmy sobie do gustu. Były dziesiątki innych osób, z którymi stopniowo lub nagle traciłam kontakt, tymczasem nijaka znajomość z Catey ciągnęła się przez lata wskutek jej ciągłych, upartych zaproszeń na kolację albo na koktajl z różnych okazji. Reagowałam średnio na jeden z jej czterech gestów towarzyskich. Doszłam do wniosku, że jeśli teraz ją zaproszę, pewnie odmówi i będę miała sprawę z głowy na następny rok. I rzeczywiście, gdy do niej zatelefonowałam, powiedziała, że już coś zaplanowała na jutrzejszy wieczór, ale raptem doszła do wniosku, że odwoła tamto spotkanie. Zapragnęła bowiem, bym poznała Alistaira, jej nowego chłopaka, prawie narzeczonego. Oddzwoniła po trzech minutach.

- W porządku, możemy przyjść - obwieściła z triumfem.

- Świetnie - odpowiedziałam.

Julie uparła się, że coś ugotuje, a ja zgodziłam się bez oporów, bo w końcu cała ta katastrofa była jej pomysłem. Kiedy wróciłam z pracy tuż przed siódmą, w całym mieszkaniu unosił się smakowity zapach. Stół był już nakryty, pokój posprzątany. Kiedy weszłam do kuchni, ujrzałam duży półmisek, o którego istnieniu zupełnie zapomniałam; Julie musiała myszkować po wszystkich szafkach. Leżały na nim artystycznie poukładane jarzyny. Rozpoznałam pomidory, cukinię, oberżynę, cebulę w plasterkach.

- Kazałaś mi przygotować proste jedzenie. To jest pierwsze danie. Warzywa w marynacie. Potem podam risotto. A w sklepiku za rogiem kupiłam trochę owoców i ser ricotta.

- Przyniosłam parę butelek wina - rzekłam słabym głosem.

- No to mamy wszystko.

- Jak ty to robisz?

- Co masz na myśli?



- No to. Te dania, nakryty stół, warzywa podane w taki sposób, jak pokazują w pismach. Nie widzę śladów książek kucharskich z zagiętymi rogami, spryskanych gorącym tłuszczem.

Julie się roześmiała.

- Nie umiem gotować. To, co robię, to żadna sztuka. Po prostu usmażyłam lub ugotowałam trochę warzyw, polałam je oliwą i odrobiną octu winnego, posypałam ziołami. To zajmuje parę minut.

- Zgoda, ale gdzie się nauczyła przygotowywać to wszystko bez szczegółowego planu, narzekań, bałaganu w kuchni?

Zrobiła zdziwioną minę.

- Z czym ty to porównujesz? Ugotowanie ryżu z wizytą w prosektorium i dochodzeniem, w jaki sposób zginęły ofiary?

- Niedokładnie to miałam na myśli - rzekłam z rezygnacją.

- Ach, twoja sukienka! - krzyknęła. - Nie zmieniłaś zdania? Mogę ją włożyć?

Julie wyglądała w niej rewelacyjnie. Z rozpuszczonymi włosami, ciągle opalona, z lekkim makijażem, sprawiała wrażenie egzotycznej tancerki w jakimś barze, gotowej do wykonania tańca z pochodniami, a nie koleżanki, która spędza wieczór z moimi niezbyt pociągającymi znajomymi.

- Muszę ci powiedzieć, że prezentujesz się wspaniale - przyznałam.

Uśmiechnęła się szelmowsko, jakbyśmy były dziewczynkami, które dla wygłupu postanowiły się przebrać w wyjściowe stroje dorosłych. - Nie jestem w stanie z tobą rywalizować - dodałam. - Ubiorę się w coś prostego.

- Ale nie masz mi za złe? - zapytała Julie z niepokojem w głosie. - Może chcesz ją włożyć? Wynajdę coś innego w szafie.

Pokręciłam głową.

- Ta sukienka należy do ciebie. Nie śmiałabym się w nią ubrać po tobie. Wyjęłam pięć sukni, zastanawiając się, którą wybrać. Chciałam osiągnąć pewien subtelny i skomplikowany efekt. Nie

chodziło mi o to, aby olśnić gości podczas prozowanej kolacji zorganizowanej ad hoc. Z drugiej strony nie zamierzałam włożyć na tę okazję irytująco nijakiego ubrania. W końcu wybrałam małą czarną sukienkę, która ani nie rzuciła się w oczy, ani nie była zbyt wyzywająca. Kiedy wyszłam z sypialni, Julie aż gwizdnęła, co mnie rozbawiło.

- Fantastyczne! Wyglądasz świetnie! I to nazywasz skromnym ubiorem? Podeszłam do niej i obróciłam ją w stronę dużego antycznego lustra na ścianie. Stałam obok, ramię w ramię. Obie długo się sobie przyglądałyśmy, oceniając rezultat.

- Marnujemy się na taką okazję - orzekłam. - Powinnyśmy się wybrać do jakiegoś modnego miejsca, o którego istnieniu nawet nie słyszałam.

- Myślałam, że przyjdą twoi najbliżsi przyjaciele.

- Raczej ci, wobec których mam zobowiązania towarzyskie. Pamiętasz tego detektywa, Obana?

- Pewnie.

- On sądzi, że jesteśmy lesby.

- Co takiego?

- Mówię ci!

Julie zachichotała, ale po chwili spytała z namysłem:

- Czy myśmy zrobiły coś w jego obecności, że mu to przyszło do głowy?

- Tyle tylko, że ujrzał dwie kobiety mieszkające razem, z których jedna zajmuje się kuchnią. No wiesz, taka czuła parka.

- I to go pewnie podnieca, założę się.

- Pewnie tak.

Odwróciła się od lustra, spojrzała mi w oczy.

- Owszem, czuję pewne przyciąganie - rzekła zamyślonym tonem. - Rzecz w tym, że zawsze otaczałam się mężczyznami. Właściwie nie wiem, dlaczego.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Zerknęłam na zegarek. Była za minutę ósma.

- Czy ci ludzie nie wiedzą, że jak się prosi na ósmą, to powinni przyjść o dziewiątej? - burknęłam, idąc otworzyć.

W drzwiach ukazała się Catey z Alistairem chowającym się nieśmiało z tyłu. Ona była ładnie ubrana w jasnozieloną sukienkę, on miał na sobie garnitur z obowiązkowym krawatem. Wyglądał jakby przyszedł prosto z biura. Ucałowali mnie w oba policzki, wręczyli butelkę szampana i duży bukiet kwiatów.

- Tyle o tobie słyszałem - bąknął Alistair.

A niby cóż takiego? - chciałam zapytać, ale się powstrzymałam.

- Mamy tyle do nadrobienia - dorzuciła Catey i ruszyła po schodach.

Improwizując na różne tematy, zajęliśmy się wyliczaniem, co się nam w ostatnim roku przydarzyło. Osiem po ósmej pojawił się Francis. Ubrany w białą koszulę, był bez krawata, a garnitur miał skrojony z wyjątkowo ohydneho materiału - jakby z terylenu czy innego świństwa, zostawionego w ogrodzie na tydzień. Dopiero po chwili uprzytomniłam sobie, że ten pognieciony strój kosztował go zapewne więcej, niż wart jest mój samochód. Także przyniósł butelkę szampana. Rozejrzał się wokoło.

- To dla mnie ekscytująca chwila - zakomunikował zebranym. - Po raz pierwszy znalazłem się w mieszkaniu Kit. Ona tu nikogo nie wpuszcza.

Catey i Alistair zaczęli się przyglądać memu domowi z nowym zainteresowaniem. Zachowywali się tak, jakby znalazłszy się w muzeum, zerknęli przelotnie na obraz i już chcieli ruszyć dalej, kiedy przypadkowo odkryli w przewodniku, że stoją przed arcydziełem niemieckim z XV wieku. „No tak, tylko pomyśleć...” Rzuciłam okiem na Julie, przekazując jej bez słów, że owszem, nie wpuszczam do siebie Francisca czy Catey, ale że nie jest to żadna reguła.

- Nie znacie się - rzekłam zamiast tego. - To Jest Julie, która się u mnie zatrzymała i dziś przyrządziła nam kolację. A to Francis, z którym pracuję w przychodni. Przedstawiam wam Catey, dawną koleżankę. I Alistaira.

- Alistair pracuje w bankowości - wtrąciła Catey. - Przy czymś absolutnie niepojętym, oczywiście. Czy wiecie, czego

się ostatnio dowiedziałam w radiu? Że sześćdziesiąt procent ludzi nie ma pojęcia, czym zajmują się ich partnerzy w pracy. A propos, Kit, co się stało z tym facetem, z którym, no wiesz...

Miałam ochotę odpowiedzieć, że nie mam pojęcia, natomiast wybąkałam, że już się ze sobą nie spotykamy. Zapadła kłopotliwa cisza. Francis otworzył butelkę szampana, po czym nalał tylko sobie i z kieliszkiem w ręce zaczął oglądać meble, obrazy, książki, jakby zbierając dane do analizy psychologicznej mojej osoby. I, rzecz jasna, właśnie to robił. Patrząc na niego, przypomniałam sobie baki wpadające latem do pokoju i kręcące się bez sensu, aż ktoś je przegoni zwiniętą gazetą. Tymczasem Catey zaczęła rozprawiać, jaką interesującą wybrałam dzielnicę do zamieszkania i jakie to mądre z mojej strony, że się tu szybko wprowadziłam, zanim ceny staną się zabójcze.

Po zakończeniu tury Francis siadł na sofie między Julie i mną.

- Jak się czujesz po powrocie do pracy? - spytał, kończąc tym samym dyskusję na temat londyńskich nieruchomości.

- To wielkie pytanie - odparłam enigmatycznie.

- Ciągle zajmujesz się tym samym? - wtrąciła Catey.

- No...

- W taksówce opowiadałam Alistairowi o tobie. Ciekawa jestem, czy wiesz cokolwiek na temat tego strasznego morderstwa popełnionego parę dni temu.

To mnie trochę zaskoczyło. Zaczęłam się zastanawiać, skąd Catey, która pracowała w galerii sztuki, wie o mojej pracy w związku z zabójstwem Lianne.

- Którego? - chciałam się jednak upewnić.

- No tego na Hampstead Heath. Matka została zamordowana. Osierociła córeczkę. Nazywała się Philippa Burton.

- Nie. Z tą sprawą nie mam nic wspólnego.

- Zupełnie jak po śmierci lady Diany. Ludzie składają wiązanki na ulicy. Tyle tych kwiatów, że ciągną się chyba na sto metrów. Ktoś wystawił księgę pamiątkową. Ali i ja przechodziliśmy tamtędy, no, powiadam wam, niezwykły widok. Korki, mnóstwo policji, kolejki chętnych. Kobiety płaczą, męż-

czyżni trzymają dzieci na barana, żeby mogły popatrzeć. Dlaczego ludzie to robią?

- Francis, co o tym sądzisz? Jaka jest twoja zawodowa opinia o takich zjawiskach?

Robił wrażenie przestraszonego.

- To, oczywiście, nie moja dziedzina. Może ludzie sądzą, że w miejscu, gdzie coś takiego się zdarzyło, występuje jakiś rodzaj energii - złej lub dobrej. Podchodzą więc blisko, żeby coś odczuć.

- Interesujące - rzekłam. - Ludzie pragną być blisko, żeby doznać poczucia tragedii.

- I naprawdę okazują troskę - wtrąciła Julie. - Bardzo się przejęli wiadomością i pragną to zademonstrować. Chyba nie ma w tym nic niestosownego, co?

- Nie - odparłam i spojrzałam nad jej głową na Catey. - Ja pracuję nad sprawą morderstwa, które zdarzyło się w takim miejscu, gdzie nikt nie składa kwiatów.

- Dlaczego? Wzruszyłam ramionami.

- Ofiara była bezdomna. Jej zwłoki odnaleziono nad kanałem. Nie sądzę, by ktokolwiek się tym przejął.

- To smutne - skomentowała Catey, ale nie podtrzymała tematu.

Dziesięć po dziewiątej, gdy Will Pavic nadal się nie pokazał, postanowiłam, że powinniśmy zasiąść do stołu. Zajęliśmy miejsca, zostawiając na wyraźne życzenie Julie puste krzeselko obok niej, na wypadek gdyby mimo wszystko przyszedł. Warzywa z oliwą i egzotyczny chleb, który gdzieś wynalazła, były wyśmienite. Risotto też było pyszne, zaprawiane szczawiem, który dotychczas traktowałam jak chwast. Na Catey zrobiło to wielkie wrażenie. Zebrałam za Julie wiele komplementów, jakbym była jej impresariem.

Prawie skończyliśmy główne danie, gdy rozległ się dzwonek. W drzwiach stał Will w niebieskiej koszuli, w dżinsach, na nogach ciężkie traktory, marynarka pod pachą. Nagle poczułam się jak przebrana; idiotyczne uczucie. A przecież to on powinien był mnie przeprosić.

- Miałem ciężki dzień - oznajmił. - Chciałem zadzwonić i odwołać przyjęcie, ale zorientowałem się, że nie mam pani telefonu.

- Jest w książce telefonicznej - ucięłam. - A zresztą, nie jestem pewna, czy nadal tam figuruje. Tak czy inaczej, mógł się pan skądś dowiedzieć.

Proszę wejść i usiąść do stołu. My już zaczęliśmy bez pana.

Udał się za mną na górę. W jasno oświetlonym wnętrzu zauważyłam, że jest zmęczony, wręcz wyczerpany. Przedstawiłam go biesiadnikom,

którzy jak na komendę zrobili głupie miny, niczym złapani na jedzeniu, którego im zakazano tknąć. Julie podeszła z uroczym uśmiechem i

chwytnąjąc go za rękę, zaciągnęła na krzeselko przy sobie. Will,

przechodząc obok sofy, rzucił na nią marynarkę obojętnym gestem.

- Musi pan nas dogonić - rzekła Julia. - Pozwoli pan, że nałożę wszystkiego po trochu na pana talerz? - Uśmiechnął się i przytaknął. -

Białe czy czerwone?

- Wszystko jedno.

Przez parę następnych minut jadł, rozglądając się wokół, ale głównie zajmował się swoim talerzem.

- Może powinniśmy zapoznać Willa z tematami naszej dotychczasowej

rozmowy - powiedziała Julie, przechodząc z nim na „ty”. - Tak jak w

operze mydlanej. Więc najpierw zastanawialiśmy się nad tym

mieszkaniem. Ja jak zwykle odstawiłam mój pokazowy numer z

podróżami dookoła świata. Nie wiesz o nich, Will. Później ci opowiem w

skrótce. A Catey i Alis-tair poszli na Hampstead Heath, żeby obejrzyć

miejsce zbrodni i wpisali się do książki pamiątkowej...

- Myśmy wcale tego nie...

- ...natomiast Alistair rozmawiał o swojej pracy w bankowości.

Pavic spojrzał na niego.

- Gdzie pan pracuje?

- Tuż obok Cheapside.

- W jakiej firmie?

Alistair był trochę zaskoczony.

- U Hamble'a.

- Czyli u Pierre'a Dysona.
  - Owszem - odparł Alistair. - To znaczy, nigdy go nie spotkałem osobiście, ale tak, on jest moim głównym szefem. Znać się?
  - Tak.
  - Przepraszam, czy może pan powtórzyć swoje nazwisko? - spytał Alistair po chwili zastanowienia.
  - On się nazywa Will Pavic - powiedziałam głośno.
  - Zaraz, zaraz, przypominam sobie. Firma Wahla Bakera, prawda?
  - Tak jest. - Will zrobił taką minę, jakby poczuł się nagle niezręcznie.
  - Co za przyjemność cię poznać, Will. - Narzeczony Catey się rozpromienił. - Tyle o tobie słyszałem.
  - To znaczy o schronisku? - wtrąciłam.
  - Nie, nie! - krzyknął Alistair z wyraźnym zniecierpliwieniem. - Nie chciałbym zdradzać tajemnic twego gościa, ale on przez dziesięć lat zarządzał funduszami Wahla Bakera. Legendarna dekada! To fantastyczne!
  - Nie ma w tym nic niezwykłego - odparł cicho Will.
  - Nie wiedziałam, że pracowałeś w City - rzekłam do niego.
  - Bo nie pracuję. Teraz już nie - odpowiedział i zamilkł. Rozmowa potoczyła się wokół innego tematu.
- Przez resztę wieczoru rzucałam spojrzenia w stronę Julii i Pavica. Dochodziły do mnie strzępy jej opowieści o podróży do Meksyku i pobycie w Tajlandii. Jego uwagi były tak skąpe, że nie usłyszałam z nich ani słowa.
- Po kolacji zasiedliśmy na sofie z kawą, herbatą i - w wypadku Catey - jakimś naparem, który pachniał lekarstwem. Will sprzątał ze stołu i nagle oboje znaleźliśmy się w kuchni.
- Niekoniecznie twój typ ludzi - rzuciłam, przechodząc obok niego. Nie uśmiechnął się.
  - Co wiesz o moim typie ludzi? Wydają się w porządku.
  - Siebie też zaliczam do tego grona.
- Roześmiał się - jak wyczułam - nieco sarkastycznie.
- Ale Julie jest miła - dorzuciłam.

- Owszem, wydaje się miła. Po chwili ciszy powiedziałam:
- Nie mogę uwierzyć, że zamieniłeś biuro w City na schronisko w Kersey Town.
- A znasz City? - zapytał.
- Znam Kersey Town.
- W swoim czasie uważałem, że to dobry pomysł.
- A teraz?

Otworzył usta, ale zaraz je zamknął, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Przepraszam cię - odezwał się wreszcie. - Myślę jednak, że to za poważny temat do rozmów w kuchni w trakcie przyjęcia.
- To teraz moja kolej na przeprosiny. Ale, a propos, rozmawiałam z kimś, kto cię zna.

Błysk zainteresowania.

- Doprawdy?
- Z detektywem nazwiskiem Furth. On teraz pracuje nad zabójstwem Lianne. Kojarzysz go?
- Owszem, kojarzę.
- Ostrzegał mnie przed tobą.
- To wygląda na Furtha.
- Ja też go nie lubię.

Will ostrożnie umieścił naczynia w zlewie i odwrócił się do mnie.

- Kit, nie wiem, czego chcesz, ale nic mnie nie obchodzi, co myślisz o policjantach lub o kimkolwiek innym.

Tego już było nadto. Rzuciłam ścierkę na stół i podeszłam do niego bojowym krokiem.

- Co, do cholery, sobie myślisz? Po co tu w ogóle przyszedłeś? Spóźniłeś się, rozsiadłeś na kanapie jak nastolatek, cedząc sarkastyczne uwagi i komentarze. Myślisz pewnie, że jesteś lepszy ode mnie, prawda?

Wsunął ręce do kieszeni i zrobił ponurą minę.

- Przyszedłem, bo nieoczekiwanie zostałem zaproszony przez twoją koleżankę i nie zdążyłem się wymówić. I przepraszam za spóźnienie. Jak już wspomniałem, miałem ciężki dzień.



- Ja też miałam ciężki dzień.  
- Nie zamierzam z tobą rywalizować w tej dziedzinie.  
- Ja nie jestem twoim wrogiem - mruknęłam.  
- Nie jesteś? - spytał i wyszedł z kuchni. Ruszyłam za nim, więc pojawiliśmy się w pokoju prawie w tej samej chwili. Byłam wściekła i twarz mi płonęła. A co do niego, to nie zważałam, jak wygląda.  
- Właśnie rozprawiamy o tym - odezwała się Catey - jakie to niezwykle, co pan zrobił. - Rzucił pan wszystko, nawet fantastyczną pracę, i zajął się tym schroniskiem.  
Pomyślałam, że Will odniesie się do niej równie obrzydliwie jak do mnie w kuchni, ale ku mojemu zaskoczeniu był łagodny jak baranek.  
- W tym nie ma nic niezwykłego. - Zwrócił się do Alistaira: - Proszę mi odpowiedzieć, dlaczego nie rzuci pan dobrej pracy?  
Alistair się przeląkł.  
- No, to znaczy, nie wiem - jękał się. - Pewnie dlatego, że nie chcę.  
Will rozłożył ręce.  
- A ja chciałem. To tyle.  
Julie podeszła, nie, raczej nadpłynęła, jeśli to właściwe określenie, z kubkiem kawy, którą wręczyła Willowi.  
- Dlaczego pan jest taki niegrzeczny wobec Kit? - spytała. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie. Popatrzył na mnie niemal z pretensją.  
- Niegrzeczny? - powtórzył. - Może jestem nadwrażliwy. Kiedy zaczynałem prowadzić schronisko, spodziewałem się pomocy od innych ludzi, od policji, od pracowników opieki społecznej. Teraz chcę tylko, żeby zostawiono nas w spokoju, więc czasami się odgryzam.  
- Ale ja właśnie chcę pomóc - wyrwało mi się i w tym samym momencie uprzytomniłam sobie, jak żałośnie to zabrzmiało.  
- Spóźniłaś się - odparł. - Ona nie żyje. Ja też za późno się obudziłem. - Uśmiechnął się smutno. - No widzisz, coś jednak mamy ze sobą wspólnego. - Dopił kawę szybkimi łykami. - Przepraszam - oznajmił. - Lepiej już pójde.

- Niech ci nie będzie przykro - poprosiłam. - Nie z mojego powodu.  
- Ależ nie z twojego powodu. Po prostu nie umiem już odpowiednio zachowywać się w towarzystwie.

Pożegnał wszystkich miło, podziękował Julie za pyszne jedzenie.

Odprowadziła go do drzwi i po powrocie szepnęła mi do ucha:

- Polowanie trwa nadal.

Zdołałam wykrztusić z siebie coś w rodzaju chichotu, ale było mi źle na duszy, więc pod pretekstem przygotowania nowej kawy zaszyłam się w kuchni i zajęłam zmywaniem. Kiedy wróciłam z dzbankiem, zorientowałam się, że moja zemsta na zebranych nie została nawet zauważona. Francis rozmawiał o sobie, Julie opowiadała o Tadź Mahal, Catey gadała o Alistairze, Alistair siedział skromnie. Nalałam sobie kawy, wypiłam ją i prawie nie odezwałam się do końca wieczoru. Po dłuższym czasie, który trwał wieczność, goście zaczęli zbierać się do wyjścia; rozległy się nieuniknione okrzyki na temat ponownego spotkania. Zauważyłam, że na schodach Francis i Alistair wymienili wizytówki. Pomyślałam z trwogą, że grozi nam kolejne wspólne przyjęcie.

Julie i ja zostałyśmy wreszcie same. Zrobiłam skruszoną minę.

- Przepraszam, że to wszystko skrupiło się na tobie.

- Daj spokój - odpowiedziała. - Twój znajomi całkiem mi się spodobali. I lubią cię. Naprawdę, wszyscy się o ciebie troszczą. Masz szczęście, że jesteś otoczona tak wieloma życzliwymi ludźmi. - Przez chwilę wyczułam zazdrość w jej głosie. -Ale przepraszam za jedno. Mój plan w związku z Pavicem się nie sprawdził.

- Nie ma sprawy. Twój plan był w porządku. To Pavic stanowi problem. Uśmiechnęła się i dopiła wino. Odstawiła następnie kieliszek i podeszła do mnie. Położyła mi dłoń na policzku i lekko pocałowała mnie w usta.

- Jeśli zostanę lesbijką, zostaniesz pierwszą osobą, o której względy będę się starała. Spij dobrze.

## Rozdział 14

Miałam rację co do jednej sprawy - ten jęk pochodził z ust świadka. Któryś z policjantów skontaktował się z panią Mary Gould, która oświadczyła, że nie jest pewna, ale chyba tak, przypuszczalnie to ona krzyknęła ze strachu, gdy ujrzała tę biedną dziewczynę. Owszem, teraz sobie dobrze przypomina, że na jej widok wydała z siebie okrzyk trwogi. Wyraziła nadzieję, że z tego powodu nie będzie miała kłopotów. A zatem założenie, że Lianne została zamordowana nad kanałem, okazało się mylne.

- Co oznacza - rzekłam do Furtha - że nie ma powodu sądzić, iż uczynił to Doli, a nie ktokolwiek inny.

- Droga koleżanko - wycedził, niemal dotykając mnie głową, aż zauważyłam zęby zażółcone nikotyną, wysypkę po goleniu na szyi i bruzdy wyczerpania wokół ust - to jest bicie piany. Ona została zabita przy kanale, i to przez Dolla.

- Ale chyba warto zapoznać się z danymi na temat innych morderstw, prawda?

- Już to zrobiliśmy. Gil i Sandra spędzili dziś rano cztery godziny na przeglądaniu materiałów w sprawie niewyjaśnionych morderstw w Londynie w ciągu ostatnich sześciu miesięcy i nie natrafili na nic podobnego. Tyle, jeśli chodzi o twoją teorię. Przykro mi. Masz tylko jedno zwłoki zamiast imponującego tuzina.

- Jakich podobieństw szukaliście? - Nie ustępowałam.

- Jak wiesz, jesteśmy zawodowymi policjantami. Poszukiwaliśmy analogii w metodach zabijania, rodzaju ofiar, geografii zbrodni, takich rzeczy. Nie znaleźliśmy nic. Żadnej włóczącej się dziewczyny, żadnych pociętych ciał, żadnej wspólnej lokalizacji. Zero. Rozumiesz?

- Czy ja również mogę zapoznać się z tymi aktami? Przetarł rękami oczy i westchnął ciężko:

- Masz nam pomagać, a nie wchodzić w paradę. Do czego ci to potrzebne?

- Ja na to patrzę od innej strony - odparłam spokojnie. Wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz zmarnować sobie wolny dzień, to już twoja sprawa.

- Czy to tak wiele zabójstw?

- Około trzydziestu, chyba że chcesz rozszerzyć badania na dzielnicę Bronx w Nowym Jorku.

- Jak mogę się z nimi zapoznać?

- Odwołamy kogoś z dyżuru i zamiast łapać kryminalistów, będzie służył tobie. I pewnie znajdziesz gdzieś wolny komputer.

- Więc kiedy mogę się tym zająć?

Spojrzał na zegarek, mruknął coś pod nosem. Wreszcie rzucił:

- Za jakieś pół godziny.

- Dzięki.

- Mogę cię o coś spytać?

- No?

- Czy zawsze jesteś przekonana, że masz rację? Spojrzałam na niego, czując nerwowe skurcze w brzuchu.

- Źle mnie oceniasz - odpowiedziałam. - Nigdy nie jestem siebie pewna. Na tym polega problem.

Ofiarami trzynastu nierozwikłanych morderstw byli młodzi mężczyźni, zabici późną nocą lub nad ranem przed klubami nocnymi, pubami, po meczach piłkarskich lub po libacjach. Zapoznałam się z aktami w ich sprawach: zatłuczeni ki-

jem, zakłuci nożem, uderzeni w twarz rozbitą butelką. W dwunastu przypadkach wypili znaczną ilość alkoholu. Trzynastą ofiarą był dziewiętnastoletni Murzyn, leżący pod swoim rowerem, w którym ciągle paliła się lampa. Miał złamaną podstawę czaszki. Został potrącony przez samochód - może wypadek, może atak rasistowski.

Dwie prostytutki, z których jedną znaleziono martwą w jej pokoiku nad knajpką turecką; właściciele długo się zastanawiali, skąd brał się smród. Druga została zatłuczona na śmierć w chaszczach w dzielnicy Summertown. Niedaleko od Lianne. Przez chwilę roztrząsałam jej przypadek: Jade Brett, dwadzieścia dwa lata, seropozytywna, żadnych krewnych. W dostarczonych mi teczkach znalazłam również akty zgonu bezdomnych, alkoholików z marskością wątroby zmarłych na ławkach w parku lub w przedsiionkach domów, gdzie zwykle nocowali. Dalej - siedmioro dzieci, okoliczności ich śmierci, prócz jednego, pozostawały zagadką. Policja podejrzewała jednak, że sprawcami byli krewni lub znajomi. Te sprawy mnie nie interesowały.

Co innego Philippa Burton, kobieta czterdziestodwuletnia, pochodząca z klasy średniej, ogólnie szanowana, a teraz sławna po śmierci. Tylko jej nazwisko z tej listy obilo mi się o uszy. Żadna z pozostałych ofiar nie zasłużyła sobie nawet na wzmiankę na piątej stronie gazet. Zapoznałam się ze szczegółami jej zabójstwa. Jak już wiedziałam, została uprowadzona z Hampstead Heath, nieopodal ogrodu zabaw, w którym została jej córeczka. Odnaleziono ją wiele godzin później na odludnym krańcu dzielnicy, leżącą na brzuchu, twarzą w zaroślach. Była wielokrotnie bita w głowę kamieniem, który odkryto nieopodal. Miała długą ciętą ranę na lewym policzku oraz siniaki i zadrapania na obu nadgarstkach. Nie została zgwałcona. Nic nie wskazywało, że było to morderstwo na tle seksualnym.

Przetarłam oczy i znowu wpatrzyłam się w monitor. Po chwili podniosłam słuchawkę i nakreśliłam numer wewnętrzny Furtha.

- Chciałabym obejrzeć zwłoki Philippy Burton. I jej akta.

- Co takiego?

To nie brzmiało jak „Co powiedziałaś?”, lecz „O czym ty, kurwa, pieprzysz?”.

- Czy mogę?

- Po co? - Usłyszałam jego ciężki oddech.

- Bo chcę. - Nie zamierzałam się tłumaczyć.

- Pani doktor, znowu się pani wtrąca? Czy to ma coś wspólnego z przydzielonymi pani obowiązkami?

- Uważam, że...

- Chcesz się dowiedzieć, co o tym myślę?

- Co?

- Masz problem. Po ataku Dolla na ciebie. Inni ludzie też o tym mówią.

- A więc dlaczego zlecono mi tę sprawę?

- Sam się nad tym zastanawiam.

- Tak czy inaczej, zajmuję się nią i kropka. Czy mogę zobaczyć zwłoki?

- Tylko dlatego, że to mogłoby okazać się interesujące? Nie ma mowy.

Rzucił słuchawkę. Przez kilka sekund wpatrywałam się w ekran monitora, po czym zadzwoniłam do centrali i kazałam się połączyć z Obanem.

- Czy mogę się z panem zobaczyć?

- Jasne. Teraz?

- Tak, proszę.

- Nie ma sprawy.

Oban patrzył na mnie przeciągle. Jego oczy wydawały mi się teraz prawie białe. Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Kit, nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz. Milczałam. Sama nie potrafiłam uzasadnić swej prośby i świadomość, że robię z siebie kretynkę, ku radości całego komisariatu, doskwierała mi coraz bardziej.

- Mówiłaś, że nie należy przyjmować z góry żadnych założeń. A teraz zakładasz, że zabójca Lianne mógł zamordować

również kogoś innego. Dlaczego? Sądzisz, że istnieje jakiś związek tej sprawy z morderstwem Philippy Burton. Jaki? Wytłumacz mi, Kit. - Na jego łagodne, cierpliwe pytania było mi trudniej odpowiedzieć niż na bluzgnięcia Furtha.

- Nie sądzę, bym przyjmowała z góry jakieś hipotezy - odezwałam się w końcu. - Chcę tylko powiedzieć, że jeżeli Lianne nie została zabita nad kanałem - a teraz można tak przypuszczać - wynikają z tego nowe pytania. Może coś przeoczyliśmy.

Oban wykazywał nadzwyczajną cierpliwość.

- Przyjmijmy dla dobra sprawy, że jest tak, jak mówisz. Zignorujmy fakt, że grupa Furtha już raz przejrzała akta innych ofiar. Ale dlaczego uważasz, że może istnieć związek między Lianne a Pippą Burton? Ja tu nie dostrzegam żadnych podobieństw. - Zaczął wyliczać na palcach: - Ofiary różnią się od siebie, rany są odmienne, miejsce zbrodni inne, okolice zabójstw też. Ale chodzi nie tylko o to. Bierzymy pod uwagę również politykę naszej firmy. Ty działasz, wykorzystując naszą dobrą wolę, zbiorowe poczucie winy. No, wiesz, czuliśmy się okropnie w związku z twoim wypadkiem na posterunku. Ale nie nadużywaj naszego współczucia.

Znowu nie odpowiedziałam. Patrzyłam mu prosto w oczy i przez dłuższy czas nie spuszczałam wzroku.

- OK - wyrzekł w końcu z westchnieniem. - Obejrzyj sobie te zwłoki.

- Dziękuję.

- To nie jest dochodzenie, którym zajmuje się nasza grupa, . ale nie powinno być kłopotów. Dopilnuję, żeby Furth zorganizował ci wizytę u tamtego detektywa, choć na pewno nie będzie tym zachwycony. Wiem, że jest idiotą, lecz ma instynkt. Ten rzadko go myli. - Spojrzał na mnie znacząco, ale się nie uśmiechnęłam.

- No cóż - bąknęłam wreszcie i wydałam z siebie chichot, który bardziej przypominał płacz.

- Kit, dlaczego ta sprawa jest dla ciebie taka ważna? Wzruszyłam ramionami.

- Chcę być dokładna...

- Powiedziano mi, że widzisz Willa Pavica.

- Skąd się pan o tym dowiedział?
- Trudny charakter. Słyszałaś, że był wielką szychą w City?
- Owszem, coś do mnie dotarło.
- Nie znam szczegółów, ale mówiono, że przeszedł załamanie nerwowe i wszystko rzucił. Starał się zostać Matką Teresą północnego Londynu.
- Brzmi jak dobry uczynek.
- Trochę to bardziej skomplikowane. On się na tym nie zna. - Znowu spojrzał na mnie badawczo. - I nie odnosi się przyjaźnie do policji.
- Najwyraźniej to obopólne uczucie - dodałam chłodno.
- Pragnęliśmy go jedynie przekonać, że obowiązują go takie same prawa, jak wszystkich innych. Proszę się nie dać oczarować jego sposobem bycia.

Ta uwaga mnie rozbawiła. Pomyślałam o Pavicu u siebie w kuchni - aroganckim, patrzącym na mnie spode łba.

- Niech się pan nie obawia - rzekłam z całym przekonaniem.

Oban miał rację. Furth miał rację. Dlaczego więc nie zgadzałam się z nimi? Jeszcze raz przyjrzałam się uważnie zwłokom Philippy Burton leżącym w metalowym pojemniku. Smukłe, gładkie ciało z dość pełnymi biodrami, wysoko osadzonymi piersiami i lekkimi rozstępami na brzuchu, pewnie po ciąży. Dłonie z długimi palcami, perłowy lakier na starannie utrzymanych paznokciach, dobrany do emalii na paznokciach u stóp. Jej tułów nie nosił żadnych śladów przemocy, tylko na nadgarstkach widniały zadrapania. Leżała tu jak piękna statua w fałdach prześcieradła. Lecz nad gładkim torsesem widniała głęboka rana na szyi, blond włosy były zlepione zakrzepłą krwią.

Nie pragnęłam ani jej dotknąć, ani współczuć. Miała męża i córeczkę, którzy ją opłakiwali, dziesiątki poruszonych przyjaciół, tłumy obcych z emocją reagujących na to zabójstwo. Poświęcono jej wiele artykułów w pismach, politycy ustawiali się w kolejce, by złożyć hołd wzorowej matce brutalnie za-



mordowanej przez wcielonego diabła, i składali publiczne oświadczenia, że nie spoczną, póki zbrodniarz nie zostanie schwytany. Tysiące ludzi złożyły kwiaty i pluszowe zabawki w miejscu, gdzie znaleziono jej zwłoki. Setki obcych osób pojawią się na pogrzebie, inne przyślą wiązanki. A jednak nie mogłam stamtąd odejść, bo coś mnie gryzło, chociaż ciągle nie mogłam sobie uświadomić, co.

Znaleziono ją twarzą do ziemi, podobnie jak Lianne. Nawet ja zdawałam sobie sprawę, że nie wystarczy, aby potraktować to jako nić łączącą oba zabójstwa. Mimo to czułam, że jakiś związek istnieje, gdyby tylko można było podejść do tej sprawy od jakiejś innej strony.

Wyszłam z prosektorium i postanowiłam przespacerować się po Heath. Wprawdzie nie padało, ale dzień był parny, niebo zachmurzone. Trawa była nadal wilgotna po ostatniej ulewie, a z gałęzi drzew spadały krople. W pobliżu było niewiele osób - kilkoro biegaczy, właściciele psów rzucający patyki, które grzęzły w wilgotnym gruncie. Szłam szybko, mijając plac zabaw i stawy, aż dotarłam do wzgórza, w słoneczną pogodę ulubionego miejsca miłośników latawców. Właściwie nie zmierzałam do żadnego konkretnego miejsca, zataczałam koła, podczas gdy mój mózg pracował na najwyższych obrotach.

## Rozdział 15

Już straciłam zaufanie jednej grupy detektywów. Teraz wszystko wskazywało na to, że utracę następnej. Dobrze przynajmniej, że obie są z tego samego posterunku, a zresztą, biorąc pod uwagę, jak mnie traktowano, nie było to takim nieszczęściem. Oban zachowywał się wobec mnie uprzejmie, mimo wszelkich moich niepowodzeń. Jak obiecywał, zwrócił się do szefa grupy dochodzeniowej w sprawie morderstwa Philippy Burton, nawet dobrze się o mnie wyrażał. Tak więc następnego dnia siedziałam naprzeciwko inspektora Vica Renborna, który prowadził to śledztwo. Był wysokim, łysym mężczyzną z kepkami rudych włosów nad uszami i na potylicy. Budził postrach cerą ceglanej barwy. Pomyślałam, że jego lekarze zakładają się, czy najpierw dostanie ataku serca, czy też wylewu krwi do mózgu. Dyszał lekko, jakby otwarcie drzwi do pokoju było dla niego zbyt wielkim wysiłkiem.

- Oban przekazał mi, że jest pani zainteresowana Philippą. - Mówił o niej jak o sąsiadce przez ścianę.

- Tak.

- Wszyscy teraz pasjonują się Philippą.

- Wiem.

- Musiałem wysłać w okolice miejsca zbrodni umundurowanych policjantów, żeby kierowali ruchem pieszym i kołowym. Trzeba było zainstalować przenośne światła drogowe i wyznaczyć parking. Ludzie przyjeżdżają z całego kraju, skła-

dają kwiaty i kartki z wyrazami współczucia dla rodziny. Właśnie zatelefonował do mnie jakiś jasnowidz z Kanady. Przyjechał do Londynu na promocję swojej książki i zaoferował usługi. Zgłosił się nawet astronom. Dobrze mówię? - Spojrzał na policjantkę siedzącą z notatnikiem w rogu pokoju.

- Astrolog, panie inspektorze.

- No właśnie, astrolog. I paru psycholi. Jedna kobieta utrzymywała, że w zeszłym miesiącu wyśniła to morderstwo. Ktoś inny zapewniał, że wykryje zabójcę, jeśli mu dostarczymy skrwawioną odzież ofiary. Prasa węszy sensację. Siedzimy tu jak w cyrku. Jestem prawdziwym szczęściarzem - wszyscy spieszą mi z pomocą. A ja nie mam nic, żadnej poszlaki. Na dodatek przenosimy nasze pieprzone biuro, więc nawet nie mamy się gdzie schronić przed nawałnicą ochotników. Pani pewnie też się zgłasza do pomocy?

- Nie jestem szczególnie zainteresowana tym przypadkiem.

- Powinienem odetchnąć z ulgą. Oban mi mówił, że zajmuje się pani zabójstwem tej bezdomnej, której zwłoki znaleziono nad kanałem.

- Owszem. Ale w tej sprawie nie zgłosili się żadni jasnowidze. Nikogo to nie porusza.

- A co panią interesuje w związku z Philippą Burton?

- Sama jeszcze dobrze nie wiem.

- Czy przypadkiem nie zainteresowała się pani tym zabójstwem, bo to głośna sprawa?

- Do czego pan zmierza?

- Pragnę tylko poinformować, że już zatrudniliśmy psychologa w charakterze doradcy, Seba Wellera. Zna go pani?

- Tak.

- Dobry fachowiec? Zawahałam się przez chwilę.

- Nie przyszłam tu, żeby z kimkolwiek rywalizować.

- Nasz problem polega na tym, że mamy tylko jednego świadka - trzyletnią dziewczynkę.

- Czy coś powiedziała?

- Mnóstwo. Że lubi lody truskawkowe, i Króla Lwa, i pluszowe zwierzątka. Natomiast nie lubi awokado i hałasu. We-

zwaliśmy psychologa, specjalistkę od dzieci, która pewnie bawi się z nią całymi dniami w babki z piasku. Nazywa się Westwood. Zna ją pani?

- Tak, znam doktor Westwood. - Serce zabiło mi niespokojnie. Nie miałam ochoty informować Renborna, że Bella Westwood była moim profesorem. Wszyscy ją podziwialiśmy -młoda, bardzo atrakcyjna kobieta o wybitnej inteligencji i sardonicznym poczuciu humoru. Podczas zajęć siadała na stole, wymachując smukłymi łydkami. Nigdy nie potrafiłam o niej myśleć jako o równej sobie. Zawsze została mi w pamięci jako wykładowczyni. Kiedy dojdę do siedemdziesiątki, a ona przekroczy osiemdziesiątkę, nadal będzie pisała na marginesie mojej kolejnej pracy: „Katherine, wystrzegaj się mieszania instynktu i hipotez”. A teraz miałam wkroczyć na jej terytorium, może nawet kwestionując jej ocenę całej sprawy.

- Zatem czego sobie pani życzy? - przerwał milczenie Renborn.

- Chciałabym, jeśli to możliwe, porozmawiać z mężem ofiary. Może również z córeczką.

Wzdrygnął się lekko.

- Jeśli o mnie chodzi, to nie widzę przeszkód. Jednakże co do dziecka, to lepiej niech pani porozmawia z doktor Westwood. Nie jestem pewien, czy pozwoli zbliżyć się do małej. Istnieją skomplikowane przepisy pozwalające na kontakty lub ich zakazujące. A zresztą wcale ich nie rozumiem.

- W porządku - odparłam. - Zapytam doktor Westwood i dowiem się, co ona o tym sądzi.

- Zgoda. Wrócimy do pani prośby.

- Poczekam.

Renborn zaklął pod nosem.

- No dobrze, proszę wyjść na korytarz. Zatelefonuję do niej. Od razu. Ledwie zdążyłam napić się trochę wody z pojemnika w holu, gdy inspektor otworzył drzwi gabinetu z miną trochę zaskoczoną i zdecydowanie niezadowoloną.

- Czy pani zna doktor Westwood?

- Owszem, spotykałyśmy się na gruncie zawodowym.

- Hm - mruknął. - Myślałem, że zaproponuje, aby się pani od niej odczepiła. W ten sposób reaguje na wszystkie tego rodzaju sugestie. Ale pani chyba coś na nią ma, nieprawdaż? - Ostatnie zdanie wygłosił z czymś w rodzaju uśmiechu. Lepsze to niż nic.

- Czyli pozwoli mi na wizytę?

- Weźmie tam panią dziś po południu.

- Bardzo jestem panu wdzięczna. - W myślach zmieniałam już rozkład dnia.

- Proszę posłuchać - rzekł. - Nie mam pojęcia, o co pani chodzi, ale jeśli trafi pani na coś istotnego, proszę mi to powiedzieć pierwszemu. Byłbym rozczarowany, gdyby pani rewelacje ukazały się na pierwszej stronie „Daily Mail”.

- Ja tylko pragnę pomóc - odparłam, zastanawiając się w duchu, że tej samej odpowiedzi udzieliłam Pavicowi. Moja stała melodyjka. Miała jednak melancholijną nutę.

- No właśnie - burknął Renborn. - Mówi pani jak tamten astronom.

- Astrolog - sprostowała policjantka.

- Ja panią tylko sprawdzałem - oświadczył jej zwierzchnik.

- Kit, jak się masz? - odezwała się Bella, spoglądając na mnie z wyrazem lekkiego współczucia. Posłała mi kwiaty do szpitala, pamiętałam o tym dobrze, wraz z pocztówką - rysunek węglem i tuszem przedstawiający kobietę, która czesze długie włosy. Na odwrocie napisała wyraźnym i śmiałym charakterem pisma parę ciepłych słów. Trzymałam wiązanek od niej tak długo, aż kwiaty zeschły i zbrązowiały. Zawsze pragnęłam, aby Bella dobrze o mnie myślała. Nie trzeba być geniuszem, by się zorientować, że ona i Rosa zastępowały mi matkę, były w moich oczach uosobieniem autorytetu i życzliwości.

- Już lepiej.

Siedziałyśmy w jej zdezelowanym starym aucie, uwięzione w korku.

Moja dawna profesor mogła więc przyjrzeć mi się bez obawy o spowodowanie kraksy. Miała pociągłą twarz, kurze łapki wokół oczu, drobne zmarszczki nad górną wargą i nitki

siwych włosów w kasztanowych lokach. Była ubrana bardzo przemyślnie. W ciemnych spodniach i jasnobrązowym swetrze miała wzbudzać zaufanie. Nie robiła wrażenia, jakby wyszła na ulicę i próbowała się wtopić w tłum. Zarazem jednak jej strój był swobodny, nie separował od innych.

- Dzięki za zgodę na spotkanie z Emily.

- Nigdy bym się na to nie zgodziła, gdybym nie dowierzała twemu profesjonalizmowi, ale muszę przyznać, że nie wiem, do czego zmierzasz. - Uniosła rękę, aby powstrzymać mnie od odpowiedzi. - Nie mam nic przeciwko temu, jeśli tylko nie przestraszysz małej, a o to jestem spokojna. - W tym zdaniu natychmiast wyczułam dyskretne ostrzeżenie. - Moja rola polega po prostu na rozmawianiu z Emily i - jeśli to konieczne - udzielaniu jej pomocy terapeutycznej. Dochodzenie policji leży poza sferą moich kompetencji. - Nie zapytała o moje.

- Co więc z nią robisz?

- Wypytyuję, co zapamiętała.

- Tylko tyle?

- A dlaczego nie? Wiem, co sobie myślisz. To wszystko brzmi zbyt prosto, wydaje ci się aż nadto oczywiste. W zeszłym roku przeprowadziłam serię rozmów z czteroletnim chłopczykiem, który był w mieszkaniu, gdy jego matka została zgwałcona i zamordowana. Nad jej zwłokami spędził osiem godzin. Przeszedł bardzo głęboką traumę, był właściwie niezdolny do komunikowania się ze światem. Pamiętasz tę historię? - Przytaknęłam.

- Bardzo trudno było mu pomóc, a zarazem dowiedzieć się od niego, co widział. Skomplikowana sprawa, wymagająca wielu różnych strategii. Gry, rysowanie, opowiadanie bajek, wiesz, co mam na myśli. Natomiast Emily matka zostawiła na placu zabaw. Nie przeszła traumy, nie była świadkiem tragedii. Nikt jej nie każe nic opowiadać i wydaje się, że mała nic z tego nie pamięta. Bawiła się z innymi dziewczynkami, a mama gdzieś sobie poszła. Może się nawet przestraszyła, ale nie zauważyła ani zniknięcia mamy, ani jej porwania - jeśli tak się sprawy miały.

- Trzyletnie dzieci niechętnie odpowiadają na pytania wprost.

Bella się roześmiała.

- Nie obawiaj się - odparła. - Bawiłam się z nią, obserwowałam, jak zachowuje się w towarzystwie innych dzieci, jak odnosi się do swoich

lalek. Czasami, niestety, musimy przyznać, że cała ta obserwacja i różne triki nie przynoszą spodziewanych rezultatów, skoro nie ma nic do odkrycia.

Dotarliśmy do wierzchołka wzgórza w Hampstead i zjechałyśmy na drugą stronę, gdzie rozciągała się zamożna, nieznana mi dzielnica. Bella skręciła w spokojną uliczkę i zatrzymała się przy jednym z domów.

- Oni teraz przenieśli się do matki Philippy, mieszkającej w sąsiedztwie. To tajemnica, choć nie wiem, czy coś jeszcze warta.

- Czy policja obawia się, że coś im grozi?

- Ze strony mediów, jak sądzę.

Bella nadal siedziała w aucie, jakby zwlekając z wyjściem. Oceeniłam wzrokiem dużą willę.

- Matka Philippy musi być bardzo dobrze sytuowana - zauważyłam rzecz oczywistą.

- Bardzo - przytaknęła. Zabębniła palcami w kierownicę. - Słuchaj, Kit, masz coś konkretnego na myśli?

- Nie wiem - przyznałam się.

Popatrzyła na mnie przenikliwym wzrokiem z wyrazem lekkiego niepokoju. Starła się mnie przeniknąć. Miała zaciśnięte szczęki, gdy otwierała drzwiczki.

Rozmawiałam z Jeremym Burtonem w ogrodzie na tyłach domu jego teściowej. Był to piękny, zadbane obszar trawników schodzących w dół i okalających barwne klomby. Bella przedstawiła mnie jako koleżankę z pracy i nie wdawała się w dalsze wyjaśnienia. Wiedziałam, że Burton pracował w jakiejś firmie komputerowej. Zdaje się, że był jej właścicielem albo udziałowcem większości akcji. Miał trzydzieści osiem lat, ale wyglądał starzej. Posiwałe włosy, twarz zgaszona, ściągnięta bólem, oczy zaczerwienione.

- Czy śledztwo posunęło się naprzód? - zapytał.

- Przykro mi - odparłam - ale nic mi na ten temat nie wiadomo. O to będzie pan musiał spytać policję.
- Jedyne policjantami, jakich widzę, są ci w mundurach. Jeden z nich podobno stale się tu kręci. Oni nic nie wiedzą. Czuję się jak... jak w ciemnościach. - Przetarł sobie twarz.
- Nie sądzę, żeby poczynili znaczący krok do przodu.
- Nikogo nie złapią - rzekł zrezygnowanym tonem.
- Dlaczego pan tak uważa?
- A czy oni sami tak nie mówią? Jeśli od razu nie wpadną na ślad mordercy, to w większości wypadków w ogóle go nie odnajdują.
- Tak, wtedy to jest trudniejsze - przyznałam.
- Czym więc mogę pani służyć?
- Przede wszystkim jest mi ogromnie przykro z powodu śmierci pańskiej żony.
- Dziękuję. - Mrugnął, jakby źle widział.
- To musiał być dla pana straszny szok. Gdzie pan przebywał, gdy dotarła do pana ta wiadomość?
- Już to wszystko zeznałem. Mówiłem o tym tyle razy, że już nie czuję, iż brzmi to jak prawda. - Zamilkł na chwilę, zmusił się do smutnego uśmiechu. - Przepraszam, zazwyczaj bywam całkiem pogodny. Byłem w domu. Zwykle pracuję u siebie średnio raz w tygodniu.
- Czy Philippa była czymś przejęta? Przepraszam, że mówię o niej po imieniu. Może to brzmi dziwne w ustach kogoś, kto jej nigdy nie spotkał. Ale jeśli będę o niej mówiła „pani Burton”, poczuję się jak poborca podatkowy.
- Dzięki - odparł.
- Za co?
- Za to, że pani spytała, czy może pani tak o niej mówić. W gazetach piszą o niej „Pippa”. Ja się do niej czasami zwracałem „Phil”. Teraz czytam, że wydarzyła się tragedia Pippie - Pippa to, Pippa tamto. Myślę, że używają tego zdrobnienia, bo mieści się w nagłówku. Philippa to za dużo liter. - Westchnął ciężko, przygładził dłonią włosy. - Ale odpowiedź na pani zasadnicze pytanie brzmi „nie”. Robiła wrażenie szczęśliwej, tak



jak zawsze. Życie toczyło się normalnie. Byliśmy ze sobą szczęśliwi, choć teraz żaden sensowny przykład nie przychodzi mi do głowy.

- Panie Burton...

- Naprawdę jednak nie rozumiem, co nastrój Phil miałby mieć wspólnego z jej śmiercią.

- Ja interesuję się pewnymi wzorami zachowań. Może zadaję to samo pytanie, które pan sam stawiał sobie w myślach: dlaczego akurat ona?

- Wszystko wyglądało normalnie - odpowiedział tonem, w którym znać było nie tyle gniew, ile zaskoczenie. - Normalny nastrój, normalny stan ducha, normalne wzorce zachowania, jak to pani określa. Mówię o tym, ale gdy czuję na sobie pani wzrok, wszystko to brzmi podejrzanie i dziwnie. A propos, co należy przyjmować jako normę?

- Czy żona miała pewien określony porządek dnia?

- Tak sędzę. Zajmowała się Em, domem, widywała przyjaciółki, odwiedzała matkę, chodziła po zakupy. Wie pani, byliśmy bardzo tradycyjnym stadłem.

- Czy spotykała się z przyjaciółmi w ciągu zeszłego tygodnia?

- Już poinformowałem policję, że odwiedziła matkę i wybrała się do miasta z Tess Jarrett. - Natychmiast zapamiętałam to nazwisko.

- Czy gdyby ją coś niepokoiło, zwierzyłaby się panu?

- Doktor...

- Quinn. Kit Quinn.

- Ach, racja. Niczym się nie gryzła. Wyszła i została zamordowana przez szaleńca. Wszyscy tak mówią. Nie wiem, czego pani ode mnie oczekuje. Każdy czegoś się domaga. Policja liczy, że się rozplacę przed kamerami albo wyznam, że to ja zrobiłem. Prasa spodziewa się Bóg wie czego. Emily chce się dowiedzieć, kiedy mama wróci do domu. A zresztą nie wiem. - Westchnął i spojrzał na mnie przekrwionymi oczami. - Nie wiem - powtórzył bezradnie.

- A czego pan chce?

Zaczął trzeć oczy. Wyglądał jak zmęczony, smutny człowiek.

- Wrócić z Emily do domu, pracować, nie być przez nikogo indagowanym i zachować pozory normalnego życia.
- Tyle że akurat to jest niemożliwe.
- Zdaję sobie z tego sprawę - odrzekł zrezygnowanym tonem. - Tak naprawdę pragnę obudzić się któregoś ranka i przekonać się, że to był sen. Muszę wyznać, że ilekroć się teraz budzę, przez chwilę niczego nie pamiętam. Ale wkrótce pamięć wraca. Czy pani wie, jak człowiek się wtedy czuje? Kiedy ponownie uzmysławia sobie, co się stało?
- Nie odzywałam się, wlepiwszy oczy w trawnik.
- Czy żona zajmowała się działalnością charytatywną? - spytałam w końcu. - Na przykład, na rzecz dzieci pozbawionych rodzin?
- Nie. Kiedyśmy się poznali, była zatrudniona w domu aukcyjnym, ale rzuciła pracę, gdy Emily przyszła na świat.
- Nie miała żadnych związków z dzielnicą Kersey Town?
- Może się tam przesiadała na stacji w inną kolejkę. Zataczałam kręgi, ciągle wracając do tego samego punktu:
- po co wypytywałam Jeremy'ego Burtona o nastroje jego żony i jej charakter, skoro była ona przypadkową ofiarą szaleńca? Wreszcie dałam temu spokój.
- Jestem wdzięczna za rozmowę - rzekłam, wyciągając do niego rękę. Uścisnął ją. - Przepraszam, jeśli moje pytania wydały się panu dziwne.
- Nie były dziwniejsze niż większość zadawanych mi do tej pory. Czy wyobraża sobie pani, że jedna z popołudniówek zaproponowała mi pięćdziesiąt tysięcy funtów za wywiad o tym, co czuję po zamordowaniu żony?
- I jak pan na to zareagował?
- Byłem tak zaskoczony, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Odłożyłem słuchawkę. Pani chce zobaczyć Emily. Mogę zapewnić, że ona nie miała nic wspólnego z okolicą Kersey Town.
- Zajmę jej tylko parę minut.
- Pam wskaże pani drogę. To moja teściowa. Przystojna siwowłosa kobieta wyglądała z okna kuchni. Jej cera miała barwę popiołu; to cecha charakterystyczna dla osób w ciężkiej żałobie. Jeremy Burton przedstawił nas sobie.

- Jakże mi przykro z powodu straty pani córki - powiedziałam.
- Dziękuję - odparła z lekkim skinieniem głowy.
- Doktor Quinn chciałaby zobaczyć się z Emily - wyjaśnił Burton.
- Po co?
- Tylko na chwilę.

Pam zaprowadziła mnie na górę.

- U Emily jest teraz koleżanka. To pani nie przeszkadza?
- Nie, w żadnym stopniu.

Otworzyła drzwi od pokoju i ujrzałam dwie dziewczynki przykucnięte na dywanie. Ułożyły w półkolu pluszowe zwierzątka. Nie wiedziałam, która z nich straciła matkę w brutalnych okolicznościach. Jedna miała ciemnokasztanowe kucyki, druga - dużo jaśniejsze loki. Którą wybrać? To było jak loteria. Serce mi drgnęło. W tym momencie Pam podeszła do dziewczynki z ciemniejszymi włosami.

- Emily - odezwała się. - Jest tu ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać. Mała popatrzyła na mnie z grymasem strachu. Usiadłam na podłodze obok niej.

- Cześć, Emily! Mam na imię Kit. A jak się nazywa twoja koleżanka?
- Ja jestem Becky - odparła tamta. - Becky Jane Tomli-son.

Natychmiast zaczęła trąkotać. Siedziałam bez ruchu, cierpliwie znosząc prezentację każdej zabawki. Na koniec Becky przedstawiła mi złe misie i dobre misie.

- Dlaczego to są złe misie? - zapytałam.
- Bo one są złe.
- Co robicie z tymi wszystkimi zabawkami?
- Bawimy się - odpowiedziała Emily.
- Bierzesz je na plac zabaw? - zapytałam. - Na huśtawkę i do piaskownicy?
- Bieralam - odparła. - Bieralam je z Bellą.
- Brałam - poprawiła Pam.

Roześmiałam się, zrozumiałam, o co jej chodziło.

- Jesteś mądrą dziewczynką, Emily - odezwałam się po chwili. - I bardzo mi przykro, że twoja mamusia zmarła.

- Babcia mówi, że ona jest teraz z aniołkami.

- Co takiego?

- Och, nie myślę, żeby poszła bardzo daleko. Wróci do mnie.

Zerknęłam na Pam i ujrzałam na jej twarzy taką rozpacz, że szybko spuściłam wzrok.

- Pozwolisz, że cię kiedyś jeszcze odwiedzę? Kiedy się zastanowię, o co bym cię jeszcze mogła zapytać?

- No dobrze - odpowiedziała Emily, ale już zdążyła się ode mnie odwrócić. Podniosła misia koalę ze smutnymi ślepkami i wycisnęła pocałunek na jego plastikowym czarnym nosku, kołysząc go delikatnie. - Jestem taka dumna z ciebie - usłyszałam jej szept. - Taka dumna.

## Rozdział 16

Byłam zmęczona przedzieraniem się przez zatłoczone jezdnie, w oparach wyziewów, więc przywitałam z zadowoleniem fakt, że Julie nie było w domu. Zapowiedziała rano, że ma się spotkać w sprawie pracy z kimś ze studia nagraniowego, chociaż nie miałam pojęcia, co nauczycielka matematyki i podróżniczka wiedziała na temat przemysłu rozrywkowego. Otworzyłam okna, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Z ogrodu na tyłach domu dobiegały okrzyki dzieci. Weszłam do łazienki, odkręciłam oba kurki, wlałam trochę olejku do kąpieli. Rozebrałam się i wślizgnęłam do wanny. Woda stała się oleista i aromatyczna. Leżałam w niej z zamkniętymi oczami. I wtedy zadzwonił telefon. Cholera, nie nastawiłam automatycznej sekretarki. Dlaczego ludzie zawsze dzwonią wtedy, kiedy człowiek bierze kąpiel? Czekałam bez ruchu, ale telefon nie milkł. Wygramoliłam się więc z wanny, owinęłam się ręcznikiem i poczłapałam do pokoju, zostawiając za sobą mokre ślady.

- Halo? - Na ramieniu pękła mi bańka mydlana.
- Czy to Kit Quinn? - Głos brzmiał niewyraźnie, słyhać było jakieś trzaski. Pewnie dzwonił z komórki.
- Tak, to ja.
- Tu Will Pavic.
- Och.
- Chciałem przeprosić za moje zachowanie wczorajszego wieczoru.

- No, słucham.

- Co takiego?

- Chciałeś przeprosić, więc zamieniam się w słuch.

Po drugiej stronie linii rozległo się prychnięcie, co mogło być wyrazem złości lub rozbawienia.

- Przepraszam za to, że nie okazałem się towarzyski. Oto moje przeprosiny.

- No cóż, byłeś zmęczony, a zresztą z tym zaproszeniem wyszło dosyć dziwnie. Nie ma o czym mówić, naprawdę.

- A jeśli mam ci coś do powiedzenia na temat Lianne? Poczułam dreszcz podniecenia.

- Tak?

- Nie jest tego wiele, ale... wiesz, jestem jakąś milę od twego mieszkania, więc pomyślałem, że może wpadnę. Tylko na parę minut. Jeśli nie jesteś w towarzystwie...

- Świetnie, jestem sama. - Pomyślałam o kąpieli w jedwabistej wodzie. - Do zobaczenia. A propos, skąd masz mój numer?

- Miałaś rację, nietrudno go było zdobyć.

Wyciągnęłam korek z wanny, włożyłam stare džinsy i trykotową bluzkę. Postanowiłam nie czynić żadnych wysiłków, żeby oczarować Willa Pavica. Czekaając na niego, nastawiłam telewizję, żeby zobaczyć, czy w dzienniku nie podadzą jakichś nowych wiadomości na temat śmierci Philippy Burton. Informacje o niej spadły z pierwszego miejsca na trzecie, detektywi nadal przeszukiwali miejsce zbrodni, szukając poszlak, a ludzie ciągle znosili tam kwiaty i pluszowe zabawki. Pokazano jej fotografię - na szczycie wzgórza, w obszernych bawełnianych szortach i podkoszulku, roześmianą, z rozwianymi włosami. Obejmowała ramionami ciemnoooką córeczkę.

Pomyślałam o Emily, jak ukryła buzię w misiui, szepcząc: „Jestem z ciebie taka dumna”. Może moja mama też tak do mnie mówiła, nim odeszła i umarła. Ojciec nigdy nie wspominał o takich szczegółach. Marszczył brwi i powtarzał: „Oczywiście, bardzo cię kochała”, jakby to wystarczało. Za-

wsze domagałam się czegoś więcej - tych wszystkich drobnych wspomnień o tym, jakimi imionami mnie nazywała, w co się ze mną bawiła, czy nosiła mnie na rękach, czego się po mnie spodziewała, z czym wiązała nadzieje. Przez całe życie zmyślałam sobie takie sceny. Ilekroć dostawałam w szkole dobre stopnie, mówiłam w duchu, że mama byłaby ze mnie zadowolona. Kiedy zostałam lekarzem, zastanawiałam się, czy tego dla mnie pragnęła. Nawet teraz, kiedy przyglądam się sobie w lustrze, widząc ten sam owal twarzy i szare oczy matki, udaję czasami, że nie patrzę na swoje odbicie, lecz na nią, że mi się nagle ukazała, po tylu latach czekania... Rozległ się dzwonek u drzwi.

Tym razem Will był w ciemnym garniturze, choć nadal bez krawata. Miał oczy w czerwonych obwódkach i kredowobiałą cerę. Robił wrażenie człowieka, który potrzebuje snu przez następne sto lat.

- Chcesz drinka? - zaproponowałam.

- Nie, dzięki. Raczej kawy. - Stał pośrodku pokoju, dość niepewny siebie. Przygotowałam mu kawę, a sobie nalałam kieliszek wina.

- Mleka, cukru?

- Nie.

- Herbatnika?

- Nie, dzięki.

- Dlaczego nie usiądziesz? Chyba że chcesz przekazać informację na stojąco i wybiec.

Zmusił się do grymasu imitującego uśmiech, wreszcie siadł na sofie.

Postawiłam krzesło naprzeciwko i stłumiłam w sobie odruch zagadania ciszy, która zaległa w pokoju. Patrzył na mnie ze zgaszoną miną.

- Mówiłem ci, że właściwie nie znałem Lianne.

- Tak, mówiłeś.

- I to prawda. Przez drzwi mego schroniska każdego tygodnia przechodzą dziesiątki nastolatków. Dostają dach nad głową i, jeśli tego potrzebują, informacje na temat jakichś możliwości dalszej pomocy. Jeżeli wyrażają zgodę, kontaktujemy ich z różnymi organizacjami. Nie zadajemy jednak żadnych py-

tań. Na tym polega nasza metoda. Właściwie z tego powodu założyłem Ośrodek Tyndale. Nie staramy się im wmówić, co dla nich jest najlepsze. Nie oceniamy ich - robią to wszyscy, ale nie my. Powiadamy ich o obowiązującym regulaminie, lecz prócz tego nie zmuszamy ich do niczego. Tym właśnie jest ośrodek - miejscem, gdzie mogą swobodnie przemyśleć swoje życie, swoje bolesne błędy. - Nagle zamilkł. - Ale to nie ma znaczenia...

- Ależ ma - wtrąciłam. - To kwestia...

- Lianne pojawiła się w ośrodku jakieś trzy razy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy - przerwał mi. - W czasie dwóch pierwszych pobytów robiła wrażenie osoby, która z optymizmem patrzy w swoją przyszłość.

Postanowiła, że zostanie kucharką - to nie nowość, co piąty dzieciak oświadcza, że będzie kucharzem. Daliśmy jej ulotki o kursach gotowania, no wiesz, takie rzeczy. Ale za trzecim razem, gdy ją zobaczyłem, była wyraźnie w depresji. Bardzo przygnębiona. Nie słuchała, nie odpowiadała, była zamknięta w sobie.

- Czy zastanawiałeś się, dlaczego?

Wypił do końca kawę i zagapił się w odstawiony kubek.

- Jej koleżanka zabiła się kilka tygodni przedtem.

- Ile miała lat?

- Czternaście, piętnaście. Góra szesnaście. Nie wiem dokładnie.

- Skąd się znały?

- Nie mam pojęcia. Kiedyś przyszły razem do ośrodka, ale niewątpliwie znały się. Pewnie bywały w tych samych miejscach.

- Dlaczego ta dziewczyna się zabiła? Wzdrygnął się.

- Raczej zapytaj, dlaczego większość z nich nie popełnia samobójstwa.

Daisy.

- Tak miała na imię?

- Daisy Gili. Brzmi tak pogodnie, prawda? -1 po raz pierwszy, odkąd go ujrzałam, naprawdę się uśmiechnął. Krótko, ale szczerze. Ja też się uśmiechnęłam do niego, lecz odwrócił głowę i zapatrzył się w okno, kontemplując skrawek trawnika.



- Może masz teraz ochotę na kieliszek wina?
- A więc masz następny fakt - ciągnął, ignorując moje pytanie. - Czyli wiesz już po pierwsze, że Lianne była w złym stanie psychicznym, a po drugie, że została zamordowana.
- Tak. A więc nie chcesz wina?
- Nie, wina nie chcę. To wystarczy. Do widzenia.  
Wstał raptownie i wyciągnął do mnie dłoń. Uścisnęłam ją.
- Dzięki - rzekłam. I w tym właśnie momencie w pokoju pojawiła się Julie, ze szklanym spojrzeniem i wyrazem ekscytacji na twarzy. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Gapiła się na nas w zaskoczeniu.
- A to niespodzianka - wykrztusiła w końcu. Will skinął na jej widok głową.
- Właśnie wychodzę - oznajmił.
- Szklanek wina? Piwo? - zaproponowała.
- Nie - odparł. - Dzięki. Odwrócił się przy drzwiach.
- Chciałem powiedzieć... - Zamilkł, spojrzał na mnie. -Przepraszam za antypatyczne zachowanie na wczorajszym przyjęciu. Jedzenie było świetne. I wyszedł.
- No! - krzyknęła Julie. - Ale jesteś podstępna!
- Wpadł tu na dwie minuty. Chciał mi coś powiedzieć o tej dziewczynie, która została zamordowana.
- Dobrze, dobrze. Ale i tak przestałam się nim interesować. Jest dla mnie zbyt ponury. Chcesz się dowiedzieć nowin?
- Mów.
- Dostałam pracę.
- Nie wierzę!
- No tak. Zaczynam za miesiąc - powiedziałam im, że do tego czasu mam inne zobowiązania.
- A masz?
- Nie, oczywiście, że nie mam, ale nie chcę, by myśleli, że lecę na każde skinienie.
- No to gratulacje, Julie. Jestem pewna, że okażesz się świetna, cokolwiek to jest.
- Prawdę mówiąc, sama siebie nie znam - zachichotała.

I dorzuciła: - A więc muszę się rozejrzeć za jakimś mieszkaniem do wynajęcia.

- Bez pośpiechu - odparłam machinalnie. Będę musiała znowu przyzwyczać się do samotności. Na chwilę zamknęłam oczy.

- Dlaczego nie spróbujesz go odzyskać? - spytała Julie.

- Kogo, do diabła, masz na myśli?

- Nie krzycz. Albiego. Założę się, że on też tęskni za tobą. Każdy o zdrowych zmysłach czułby to samo.

- Wcale nie chcę, żeby wrócił. - Ku memu zdziwieniu to już nie było kłamstwo. Odszedł ode mnie z własnej woli i jeżeli nawet tęsknił, to w ramionach innej kobiety. Brakowało mu mnie, ale pieścił i całował czyjaś inną twarz. Więc go już nie chciałam. Pragnęłam kogoś, kto by należał wyłącznie do mnie. Marzyłam, by być czyjaś ukochaną. Przecież tego właśnie spodziewa się większość z nas, prawda?

## Rozdział 17

Byłam wykończona, miałam trochę spuchnięte migdały i przy przełykaniu bolało mnie gardło. Okropnie mi się nie chciało iść do pracy, więc grzebałam się przy śniadaniu złożonym z tostów z miodem i mocnej herbaty. Stół kuchenny był zalany słońcem. Chciałabym przy nim siedzieć przez cały boży dzień, z rękami wokół gorącego kubka, ze stopami w ciepłych kapciach, nasłuchując gwaru z ulicy, może nawet oglądając telewizję. No ale w tym momencie zadzwonił telefon, w słuchawce zabrzmiał głos Obana. Dowiedziałam się, że chce ze mną porozmawiać.

- Przecież rozmawiamy - nie mogłam się powstrzymać od uwagi.
- Mam na myśli osobiście.
- O której godzinie?
- Czy mogłabyś być u mnie o dziesiątej? Spojrzałam na zegarek.
- Pewnie tak. Muszę jednak odwołać pewne spotkanie.
- Dobrze.
- Czy odkryliście coś nowego?
- Nie, o ile mi wiadomo.
- No więc o czym mamy rozmawiać?
- Powiem ci o tym w cztery oczy.

Jadąc na komisariat, przez cały czas rozmyślałam, o co może chodzić Obanowi. Układałam w głowie dobre scenariusze i złe scenariusze, najczęściej niepomysłne dla siebie. Jednakże w najgorszych przewidywaniach nie brałam pod uwagę tego, co mnie czekało. Kiedy pojawiłam się w gabinecie inspektora punktualnie o dziesiątej, zastałam go przy biurku - nie tyle zajętego, ile wyraźnie czekającego na mnie. Nie był sam. Tyłem do mnie, patrząc przez okno, stała jakaś kobieta. Odwróciła się na odgłos moich kroków. To była Bella. Zerknęła na mnie, po czym spuściła oczy. A na sofie siedziała Rosa.

- Co się tu dzieje? - spytałam.

Oban uśmiechnął się z widocznym trudem.

- Kit, proszę, usiądź - rzekł, wskazując mi krzesło naprzeciwko swego biurka.

Ponieważ nie byłam zdolna do logicznego myślenia, zajęłam wskazane miejsce i natychmiast tego pożałowałam, bo w ten sposób stałam się najniższą osobą w gabinecie. Tamci stali nade mną, jak kaci nad dobrą duszą. Oban kiwnął głową w stronę Rosy.

- Doktor Deitch?

Rosa zagryzła dolną wargę. W ten sposób dawała do zrozumienia, że krzywdzi bardziej siebie niż mnie. Pochyliła się i złożyła ręce jak do modlitwy.

- Kit, otwarcie przyznaję, że przede wszystkim winię siebie za to, co się stało.

- A co się stało? - zapytałam, uświadamiając sobie, że ona właśnie czekała na moje pytanie. Ostrzegłam się w duchu, że powinnam milczeć.

Jednakże nie mogłam się powstrzymać. - Za co się winisz? - powtórzyłam beznadziejnie naiwnym tonem.

- Uważamy - odezwał się Oban, patrząc na mnie litościwie, co było gorsze niż wybuch gniewu - że... hm... to jest, ja tak sądzę i przypuszczam, że Rosa myśli tak samo, że niepotrzebnie wplątaliśmy cię w sprawę bez należytego wglądu w... hm... stopień wiedzy i...

- Bo wciągnęłaś się w nią, prawda, Kit? - wtrąciła Rosa słodkim tonem.

- Z początku - ciągnął Oban - było to proste zadanie: sporządzenie zwięzłej oceny psychologicznej podejrzanego. Uważaliśmy, że jesteśmy ci to dłużni. I wykonałaś swoje zadanie nad podziw dobrze. Za to jesteśmy zobowiązani. Następnie -i przyznaję, że to absolutnie moja wina - poprosiliśmy cię o dalszą współpracę. Lecz ostatnio... no cóż, krążą pewne pogłoski...

- Bella? - rzekłam, odwracając się w krześle, żeby spojrzeć jej w twarz. Patrzyła na mnie bez zmrużenia powiek.

- Kit, ja nie złożyłam żadnej skargi. Po prostu kiedy cię zostawiłam z Jeremym Burtonem i jego teściową, musiałam, niestety, wystosować raport do inspektora Renborna, i podkreśliłam w nim, że nie widzę najmniejszego sensu, byś z nimi rozmawiała. Opisałam to jako wyprawę na ryby, ale nie zauważyłam, żebyś zabrała ze sobą wędkę czy przynętę. To jest bardzo delikatna sprawa, której towarzyszy znaczny rozgłos.

- Wiem - odpowiedziałam. - Chciałam tylko...

- Pragnąłbym słowo w słowo powtórzyć uwagi doktor Deitch - dodał Oban. - Obarczam jednak siebie za to, że wplątałem cię w tak trudną sytuację.

- Czyli nie życzy pan sobie, żebym dłużej dla was pracowała?  
Zapadła cisza.

- Uważamy, że nastąpiło to trochę za szybko. Przecież jeszcze nie wyzdrowiałaś.

- Co pan przez to rozumie?

- Rosa wspomniała mi coś o twoim dzieciństwie - wyjaśnił Oban. Popatrzyłam na Rosę bez słowa.

- Kit, powiedziała mi jedynie Danowi o bolesnych doświadczeniach, jakie cię ukształtowały - tak wcześnie straciłaś matkę, co mogło w pewien sposób... - Przerwała. Zrobiła się czerwona na twarzy. - Wpłynąć na twoją ocenę zjawiska.

- Och! - bąknęłam, czując, że i moje policzki purpurowieją. Przełknęłam ślinę, czując coraz dotkliwszy ból gardła. - Pewnie macie rację. Mogę być za bardzo związana emocjonal-

nie z tą sprawą, ponieważ się nią przejmuję, a nie wiem, jaki poziom zaangażowania jest wskazany. Ale to nie oznacza, że nie mam racji. I wcale nie przeszkadzałam nikomu w dochodzeniu. Nie mówiłam innym, co mają robić. Po prostu starałam się docierać do pewnych nurtujących mnie zagadnień od innej strony.

- Kit, to nie jest akademickie szukanie materiałów do referatu - rzekł Oban. - Mówisz tak, jakbyśmy dopuszczali do śledztwa w sprawie morderstwa każdego, kto ma na to ochotę, i pozwalali mu robić, co tylko dyktuje mu własna ambicja i partykularne interesy. To nie jest tak. I przykro mi, że muszę powiedzieć głośno: zagrażasz przebiegowi śledztwa. Zmuszasz kolegów do służenia sobie, wkraczasz na cudze terytorium i na dodatek wydaje mi się, że działasz bez konkretnego powodu. Tak właśnie uważam: bez wyraźnego powodu. Rozumiem współczucie wobec ofiar. My też żałujemy, że postradały życie. Wszyscy pragniemy schwytać ich morderców. Pomogłaś nam - dodał łagodniejszym głosem - ale teraz sądzimy, że dalej będziemy się tym zajmować sami.

- Czy mogę coś powiedzieć? To znaczy, zanim stąd wyjdę? Oban oparł się wygodniej na fotelu.

- Oczywiście.

- Po pierwsze, proszę mi odpowiedzieć jednym zdaniem, jak by pan opisał morderstwo Lianne?

- Typowe morderstwo na łatwo dostępnej ofierze popełnione przez psychopatę. Zbrodni dokonał ktoś obarczony patologiczną nienawiścią do kobiet i bojący się kobiet. Stąd te gwałtowne ciosy nożem.

- A morderstwo Philippy Burton?

- Całkowicie odmienne. Nawet nie wiem, od czego zacząć. Została ciężko pobita tępym przedmiotem. Duży stopień ryzyka dla sprawcy. Została uprowadzona z miejsca publicznego, gdzie przebywała z dzieckiem. Zupełnie inny typ ofiary, inna metoda zabójstwa, inne miejsce zbrodni, inny stopień przemocy. Ale ty się pewnie z tym nie zgadzasz.

Wstałam. Chciałam chociaż w ten sposób dodać sobie autorytetu.

Podeszłam do okna. Widać było stamtąd dziedziniec

na tyłach posterunku, wyglądający jak złomowisko. Pozostawiono na nim wielkie metalowe pojemniki, stosy desek, jakąś górę przedmiotów przykrytych zetlałym plastikiem. Z popękanego betonu wyrastały odnogi jakiejś rośliny, kwitnące na fioletowo. Wokół latały motyle, które z tej odległości robiły wrażenie skrawków papieru poruszanych wiatrem. To na chwilę zajęło moją uwagę. Odwróciłam się w końcu twarzą do szacownego grona.

- Kiedy przeglądałam akta Philippy Burton, coś mi zaświtało w głowie.

- Co mianowicie? - spytała Rosa, gdy w tym samym momencie Oban oznajmił:

- Nie zatrudniamy cię w celu wysłuchiwania jakichś idei wyssanych z palca. Codziennie odbieramy telefony od różnych wariatów, którym też świtają różne myśli w związku z morderstwem pani Burton.

Pomyślałam o moich pacjentach z Market Hill. Przypomniałam sobie, jakich przestępstw się dopuścili i jaki skrzywiony mają obraz świata.

Nauczyłam się od nich tak wiele, że nikt z obecnych w gabinecie nie mógłby się ze mną równać. Przynajmniej tym doświadczeniem górowałam nad nimi.

- Ludzie zawsze pozostawiają swój podpis na miejscu zbrodni - powiedziałam. - W każdym wypadku, nawet jeśli usiłują ukryć swój czyn, a podpis sprawcy jest jak treść wiersza. Jego znaczenie jest wielowarstwowe - przede wszystkim takie, jakie chciał mu nadać poeta, ale istnieją głębsze pokłady, nie do końca uświadomione przez samego autora. - Zaczęłam mówić szybciej, bo bałam się, że moi słuchacze za chwilę stracą cierpliwość. - W przypadku morderstwa Philippy Burton i Lianne zaintrygowało mnie to, że obie ofiary leżały twarzą do ziemi. Zrobiłam przerwę i spojrzałam na Obana. Miał nadal łagodny wyraz twarzy, nawet coś w rodzaju litości dla mnie.

- To wszystko? Kit, już się tym zajmowaliśmy.

- Czy natrafiliście ostatnio na zwłoki ofiary leżące na wznak?

- Przypuszczalnie - mruknął.

- Ja oglądałam sporo takich fotografii, na których leżą z otwartymi oczami utkwionymi w przestrzeń nad nimi. Wiecie, że na niektórych obrazach postacie są tak namalowane, że wydaje się, iż wodzą za nami wzrokiem. Oczy zmarłych to ich odwrotność. Są utkwione w jeden punkt, nieruchome, może z wyrazem oskarżenia. Wyobraźcie sobie, że zabiliście kogoś. Odwracacie ofiarę na brzuch, żeby się w was nie wpatrywała.

- Kit, na miłość boską, ze zwłokami może być tak jak z kromką chleba, która upada na podłogę albo stroną posmarowaną masłem, albo tą bez masła... Na tej podstawie trudno zbudować jakąś sensowną hipotezę.

- Czy pamiętacie zranienia na ciele Lianne? Gdzie się znajdowały?

- Na przeponie, klatce piersiowej, na ramionach.

- Czyli z przodu. Jednakże znaleziono ją leżącą twarzą do ziemi. To tak, jakby zawiesić obraz malowidłem do ściany. -Spojrzałam na Rosę. Zrobiła głupią minę.

- Nie mogę pojąć - rzekła - dlaczego mówisz o tych kobietach jak o dziełach sztuki.

- Bo one są dziełami sztuki - odparłam. - Są tajemnicze, trudne do zrozumienia, pozbawione walorów estetycznych, niemniej traktuję je jak obiekty artystyczne. Musimy je poznać. Tym właśnie zajmuję się w szpitalu. Odcyfrowuję zbrodnie w taki sposób, jakby miały pewien wzór. Doszukuję się jego znaczenia. A co powiecie o samych ranach?

- Brutalne, zadane w ataku szału - rzekł Oban.

- Ja bym ich tak nie określiła. Raczej letnie. Precyzyjne. Nawet... dekoracyjne. W jakiś sposób imitują gwałtowny atak, ale w mojej opinii sprawca celowo wprowadza nas w błąd. -Zauważyłam, że Oban znowu mrugnął. Mimo to ciągnęłam: -Nie można powiedzieć, że te rany nie są oznaką zabójstwa na tle seksualnym. Psychopatyczne morderstwa można potraktować jako karę wymierzoną kobietom za groźbę ze strony ich płci. Ale w takich razach celem agresji są piersi oraz sfera genitalna. Tutaj nie mamy do czynienia z czymś takim. Ciosy nożem zadano powyżej pasa, z pominięciem piersi. To się bardzo rzadko zdarza. Rany przypominające nakłucia, jak w ta-



tuazu, spotyka się jeszcze rzadziej. A jednak zwłoki leżały twarzą do ziemi.

- To nie jest wystarczającym argumentem. - Oban powoli tracił cierpliwość. - Jaki dostrzegasz związek między tymi dwoma morderstwami? Łączy je jedynie fakt, że leżały na brzuchu?

- Znam wiele przypadków napaści na kobiety przypominających zbrodnię popełnioną na Philippie Burton. Wszystkie z nich miały gwałtowny przebieg. Można również wnioskować, że obecność dziecka była dla sprawców dodatkową atrakcją, jakby zapewnieniem sobie widowni. Tu jednak morderca nie dokonał zabójstwa na oczach dziecka. Kiedy oglądałam zwłoki Philippy Burton, przyszło mi na myśl, że tę zbrodnię można by określić jako, hm... opanowaną. To znaczy, wyobraźcie sobie: nienawidzicie kobiet, właśnie zabiliście jedną z nich i macie w ręce młotek. Dlaczego nie zamordować następnej?

Oban pochylił się nade mną i położył rękę na ramieniu.

- Kit, to nie wnosi nic nowego do sprawy. Zgoda, masz takie czy inne odczucia, a my jeszcze nie wiemy, co to lub tamto znaczy. Przykro mi, drogie panie - zwrócił się do swoich stronniczek. - Nie mogę jednak bronić osoby, która w oczach innych tylko marnuje im czas.

Przetarłam oczy. Czułam się wypalona, pusta. Wygłosiłam mowę, i tyle. Miał rację. Co właściwie istotnego powiedziałam? Co miałam więcej do roboty? Nie chciało mi się myśleć, marzyłam, aby zniknąć z tego gabinetu tortur, ale ostatnim wysiłkiem woli wygrzebałam coś z zakamarków pamięci.

- OK - rzekłam słabym głosem. - Jestem skończona. Pragnę dodać tylko jedno. Wiadomo, że zwłoki Lianne zostały przywiezione nad kanał w bagażniku samochodu.

- Wcale nie jest to oczywiste - przerwał Oban z irytacją.

- A ciało Philippy Burton znaleziono półtorej mili od miejsca, w którym ją widziano po raz ostatni. A zatem, według wszelkiego prawdopodobieństwa, również przewieziono je autem. Czy porównywano ślady opon i włókien z materiału obciowego?

- Nie, jak ci dobrze o tym wiadomo - odparł Oban z wy-

rażną złością. - Nie przeprowadzaliśmy również analogii między tymi morderstwami a działalnością Kuby Rozpruwacza. Nie mamy na to czasu.

- To moja ostatnia sugestia. Zajmiecie się tym?

- Dlaczego mielibyśmy...

- Proszę - odparłam ze łzami w oczach. - Błagam.

## Rozdział 18

W głowie mi huczało, w oczach migotały fioletowe i czerwone koła. Nie potrafię sobie przypomnieć, jak wyszłam z komisariatu. Dziwiłam się tylko, że nogi nie odmówiły mi posłuszeństwa. Grzecznie skinęłam policjantce w dyżurce. Dobrnęłam do auta, ale ręce tak mi się trzęsły, że upuściłam kluczyki, których musiałam szukać na czworakach. Gałki oczne strasznie mnie rozboleły, jakbym miała żwir pod powiekami. Musiałam stąd jak najszybciej zniknąć, żeby nikt nie oglądał mnie w takim stanie. Nie chciałam wyczytać w czyimś spojrzeniu litości. Kiedyś sama tak patrzyłam na innych. Dawno temu, w poprzednim życiu. Wszystko wydawało się takie odległe, jakbym patrzyła na swoją przeszłość przez drugi koniec lunety.

Jakoś udało mi się wejść do samochodu. Przez pełną minutę siedziałam z zamkniętymi oczami, oparłszy się o zagłówek. W lewej skroni czułam przeszywający ból. Przekręciłam kluczyk w stacyjce i wolno ruszyłam z parkingu, patrząc prosto przed siebie. Wyobrażałam sobie, że tych troje śledzi mnie z okna gabinetu i wymienia zatroskane spojrzenia. Jak będę mogła im spojrzeć w oczy?

Odjechałam zaledwie kawałek i przystanąłam przy niewielkim kościółku między delikatesami i zakładem zegarmistrza. Wsiadłam i przykucnęłam na trawniku, opierając plecy o piękny okaz buku.

Przychodziliśmy tu czasem z Albiem

i siadaliśmy w cieniu jego potężnej korony. Pień był jeszcze wilgotny po wczorajszym deszczu i poczułam nagle igielki zimna wzdłuż kręgosłupa. Zwróciłam twarz ku słońcu, które właśnie wychyliło się zza obłoku. Kos odśpiewał tuż nade mną triumfalną pieśń. Głęboko oddychałam, żeby wyrzucić z siebie gniew i strach.

Wreszcie wstałam i wolnym krokiem wróciłam do samochodu. Nogi pode mną już nie drżały, lecz wydawały się ciężkie jak z ołowiu. W głowie nadal huczało. Przed odjazdem przyjrzałam się sobie w lusterku. Popatrzyłam na bliznę biegnącą białą krechę przez policzek.

Miałam nadzieję, że nie zastanę Julie w domu. Jednak gdy tylko włożyłam klucz do zamka, drzwi się otworzyły, w progu stanęła moja współlokatorka. Miała zaróżowione policzki. Rzuciła mi niespokojne spojrzenie i wykrzyknęła radosnym głosem:

- Kit, jak to dobrze, że już jesteś! Masz gościa. Powiedziałam mu, że nie wiem, kiedy wrócisz, ale on chciał poczekać. Twierdzi, że jest twoim kolegą.

Zdjęłam zakiet i podeszłam parę kroków w stronę pokoju. Z tego miejsca widziałam tylko czubek głowy kogoś siedzącego na kanapie. Słyszając nasze głosy, gość wstał.

- Obiecała pani, że jeszcze pani do mnie wpadnie - rzekł miękko, wysokim tonem. Był to Michael Doli, w tym samym grubym pomarańczowym swetrze, który miał na sobie, gdy go odwiedziłam. Narzucił na to szarą kamizelę ze śladami potu pod pachami.

- Michael! - Zabrakło mi słów. Był jak powracająca zmora z najgorszych koszmarów sennych. I teraz straszył z rogu mego saloniku.

- Czekałem - zakomunikował mi.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

- Kiedyś szedłem za panią spod komisariatu - oznajmił, jakby to była najzwyczajniejsza czynność. - Wcale mnie pani nie zauważyła.

- Jak długo tu siedzi? - syknęłam do Julie, odwracając się plecami do Michaela, który znowu rozparł się na sofie.

- Dobrą godzinę.
  - O Boże. Szkoda, że do mnie nie zadzwoniłaś.
  - Ależ dzwoniłam. Zostawiłam trzy wiadomości w twojej poczcie głosowej.
  - Boże - jęknęłam znowu.
  - Coś ci jest?
  - Tak. Nie. Nie wiem. Nie powinnaś była go wpuszczać...
  - Kit! - zawołał Michael.
  - Wydaje mi się, że nie jest niebezpieczny. Gapił się tylko na moje piersi.
  - Wcale się nie gapiłem - odezwał się Michael takim tonem, jakby to nie miało większego znaczenia. - Dlaczego pani nie przyszła, jak pani obiecywała?
  - Byłam zajęta.
  - Powiedziała pani, że pani przyjdzie.
  - Wiem, ale...
  - Ludzie powinni dotrzymywać słowa.
  - Tak.
  - Bo w przeciwnym razie to nie jest fair.
  - Masz rację.
- Odzywać się jak najmniej. Nie dopuścić, aby zdobył nade mną przewagę. A przede wszystkim jak najszybciej się go pozbyć, ale tak, by nie czuł się odepchnięty. Michael tymczasem kiwał z zadowoleniem głową i położył ręce na kolanach. Zauważyłam na jego lewym przedramieniu świeżo zagojone zadrapanie i zaropiałą ranę na nadgarstku.
- Czy mogę dostać kawy? Ja panią poczęstowałam u siebie.
  - Już wypiełeś trzy filiżanki - wtrąciła Julie.
  - Poproszę następną, z czterema łyżeczkami cukru.
  - Michael - odezwałam się. - Muszę niedługo wyjść. Przykro mi, ale nie możesz tu zostać.
  - I jeszcze trochę herbatników, tych samych, jakie dała mi pani przyjaciółka. - Oblizał się.
- Zrobiło mi się niedobrze.
- Michael, posłuchaj...
  - I mogę skorzystać z ubikacji? - Na jego czole i nad górną wargą pojawiły się krople potu.

- Tak, wejdź tymi drzwiami.

Gdy tylko je zamknął za sobą, szepnęłam do Julie:

- Słuchaj, czy możesz coś dla mnie zrobić? Weź moją komórkę, wyjdź przed dom i zadzwoń na policję. Dam ci numer. - Poczulałam się zupełnie przygnieciona zaistniałą sytuacją. Musiałam się odwołać do pomocy ludzi, którzy uważają, że jestem psychiczna i na dodatek wezwać ich, żeby ochronili mnie przed mężczyzną, który dzięki mojemu wstawiennictwu, wbrew ich woli, został wypuszczony z aresztu. Tego było już zbyt wiele. Zakryłam twarz rękami.

- Kit?

- Taa. Wybacz - to wszystko jest - o, kur... Już nie wiem, co począć. On prawdopodobnie nic mi nie zrobi, ale nie chcę ryzykować.

- Daj mi więc tę komórkę. - Wyciągnęła rękę. - No, weź się w garść, trzeba to jakoś rozwiązać.

- Może robię coś strasznego. Jemu. Albo sobie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale skoro on może być niebezpieczny, to pozbadźmy się go stąd. No, już!

- Nie, poczekaj chwileczkę. - Usłyszałam, jak Michael spuszcza wodę. - Wiem, zatelefonuj do Willa Pavica. On będzie wiedział, jak się znaleźć w takiej sytuacji.

- Do niego?

- Proszę. Nikt inny nie przychodzi mi do głowy. Ale zrób to przed domem.

- Jaki jest jego numer?

- Znajdziesz go w pamięci komórki. Pod „Pavic”.

- Już dobrze, dobrze. To obłąkane.

- Wiem. I dzięki.

- A co robić, jeśli go nie będzie? To znaczy, jeśli się nie zgłosi?

Doli właśnie wyszedł z łazienki, więc na jego widok Julie, nie zwlekając, pobiegła do wyjścia. Zauważyłam z ulgą, że nie zatrzasnęła drzwi.

- Włączę czajnik elektryczny, dobrze? - odezwałam się sztucznie różnym tonem.

- Pani mieszka tu sama?

- Nie.
- Ma pani męża?
- Dlaczego pytasz?
- Bo pani przyjaciółka powiedziała, że nie jest pani zamężna.
- No więc już wiesz. - Powtarzałam sobie w duchu: unikać konfliktów. Nie zapędzać go do narożnika. Nie przyłapywać na kłamstwach. - Cztery łyżeczki, tak?
- I herbatniki.
- Michael, czy przyszedłeś, żeby mi coś powiedzieć?
- Dlaczego u pani nie ma dywanów?
- Michael, czy coś...
- To śmieszne, nie mieć dywanów. Wydaje mi się, że bez nich dom jest nieprawdziwy. Nawet u nas w domu były dywany, i to w każdym pokoju. U mnie był brązowy. Dywan brązowy, a ściany białe, z takimi malutkimi wzorkami na papierze.
- Na tapecie.
- Taaa. Leżałem na łóżku i zrywałem paznokciami strzępy tego papieru. Kiedy moi opiekunowie odkrywali to rano, dostawałem lanie. Jednak nie mogłem się powstrzymać. To było tak przyjemne jak obrywanie strupów. Niekiedy robiłem to godzinami. Całe łóżko miałem obsypane skrawkami papieru, były nawet pod materacem. Jak okruchy chleba. Nie widzisz ich, ale czujesz na skórze. Wie pani, co mam na myśli?
- Wiem - odparłam łamiącym się głosem. Zalałam kawę wrzątkiem i dodałam trochę mleka. - Masz. I weź sobie kilka herbatników.
- Ma pani fajki?
- Podeszłam do torby i wyciągnęłam z niej zmiętą paczkę -tę samą, z którą poszłam do jego nory. Zajrzałam do środka -został tylko jeden papieros.
- Poczęstuj się.
- A zapaliki?
- Wręczyłam mu pudełko. Potarł zapalnik, przypalił papierosa, wsadził pudełko do kieszeni.
- Pani pewnie udawała, że panią nie boli, jak panią bili. Ale ja zawsze w takich razach płakałem. Nawet kiedy miałem

czternaście, piętnaście lat, nie mogłem się powstrzymać. Płak-sa ze mnie. A gdy ze mnie szydzą, to jeszcze bardziej szlocham. Kiedy więc leżałem w łóżku, zrywając te papierki ze ściany, płakałem przez cały czas. Bo wiedziałem, że mnie na tym złapią i zleją, będą mnie bić w obecności wszystkich, a wtedy inni chłopcy jeszcze mi dołożą.

Podniósł kubek do ust i siorbnął. Popiół spadł z papierosa. Strzepnął go z ubrania na sofę.

- Pani nie wie, jak to jest.

- Nie.

- Ciagle płaczę. Płakałem na komisariacie. Mówili pani o tym?

- Nie.

- Śmieli się ze mnie, kiedy szlochałem.

- To nieładnie z ich strony.

- Myślałem, że pani mnie lubi. Bądź twarda, powtarzałam.

- Michael, byłam zajęta.

- Czekałem. Nie poszedłem nad kanał. Czekałem, aż pani wróci i porozmawia ze mną.

- Pracowałam.

- Pani jest taka jak wszyscy. A myślałem, że pani jest inna. Tym razem popiół spadł mu na kolano. Wrzucił peta do kubka z resztką kawy, rozległ się syk. Pomyślałam, że mógł zabić Lianne. Jeśli wyśmiewała się z niego, kiedy usiłował ją poderwać, albo - dajmy na to - szydziła, kiedy się rozplakał.

- Mogę dostać jeszcze jedną fajkę?

- Skończyły się. Może wyjdziemy razem do sklepu i kupimy nową paczkę?

- Już dobrze. - Wyciągnął swoje papierosy z kieszeni, poczęstował mnie, ale pokręciłam głową.

- Michael, muszę wyjść. - Doszłam do wniosku, że nie doczekam się Willa.

Wzdrygnął się. - Jeszcze nie teraz. Chcę pogadać.

- O czym?

- O niczym specjalnie. No, wie pani. Tak, jak pani obieca-



ła. Powiedziała mi pani wtedy: „Możemy sobie porozmawiać o czymkolwiek”.

- Michael, ja z tobą przeprowadzałam wywiad lekarski -rzekłam łagodnym tonem. Na jego twarzy pojawił się wyraz kompletnego zaskoczenia. - To mi było potrzebne do pracy -dodałam.

- To znaczy, że pani nie mówiła mi prawdy?

- Nie to mam na myśli.

- Ciągłe się nad nią zastanawiam.

- Nad Lianne?

- Tak. Nikt nie chce mnie wysłuchać. Ale^ ja tam byłem, nie? Byłem tam.

- Być może.

- Nie. Nie „być może”. Co pani rozumie przez „być może”? Byłem tam i... Drzwi otworzyły się nagle na oścież, nawet nie usłyszałam żadnych kroków. Doli zerwał się z kanapy, zrzucając kubek, z którego spłynęła na podłogę resztką kawy zmieszanej z fusami i z mokrym niedopałkiem.

- Michael, witam cię. - Will podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

Chłopak uwiesił się jej jak deski ratunku.

- Nie robiłem nic złego.

- Nic ci nie zarzucam.

- To dlaczego pan się tu zjawił?

- Doktor Quinn jest moją koleżanką. - Will jeszcze nie spojrzał w moją stronę.

- Znacie się?

- Tak.

- A więc pan zna Kit i ja ją znam. A teraz pan mnie poznał, a ja pana. W ten sposób wszyscy się znamy. - Nagle wydał mi się mały i chuderławy w tym ohydny oranzowym swetrze. Zawstydziłam się swojego strachu przed nim, poczułam się wręcz głupio.

Will dopiero teraz zwrócił się do mnie, wyraźnie poruszony.

- Myślałem, że zrozumiałaś. To nie zbieg okoliczności, jeśli się nad tym zastanowisz. - Następnie zwrócił się do Michaela: - Jak tam ryby?

- Ostatnio nie łowiłem - mruknął.
- Szkoda, bo zrobiła się ładna pogoda. Michael jest zawołanym wędkarzem, wiesz o tym? - Spojrzał w moim kierunku.
- Tak, wiem - odparłam machinalnie.
- Michael, jadę samochodem w stronę kanału. Chcesz, żebym cię podwiózł? - Popatrzył na zegarek. - Zostało ci parę godzin do zmroku, jeżeli masz ochotę pójść na ryby. Jeszcze nie będzie za ciemno.
- Mnie ciemności nie przeszkadzają - rzekł Doli.
- Tak czy inaczej, chodź, podrzucę cię. Jestem pewien, że doktor Quinn musi trochę popracować.
- Tak - mruknęłam. - Dzięki.
- Dobrze się czujesz?
- Owszem.
- No, wyglądasz nie najlepiej. Chyba powinnaś bardziej na siebie uważać.
- Rzucił mi przenikliwe spojrzenie. - I może zainstaluj łańcuch w drzwiach.
- Ależ mam łańcuch. Tylko Julie... no wiesz.
- Czeka na zewnątrz, w kapciach. No, Michael, zabierasz się ze mną? Wyszli razem. Patrzyłam przez okno, jak Doli siadał na miejscu obok kierowcy. Coś powiedział Willowi, który roześmiał się i poklepał go po ramieniu. Wreszcie trzasnęły drzwiczki. Will spojrzał w moje okno. Wymówiłam bezgłośnie „dzięki”, ale nie zareagował. Po prostu patrzył, jakby chciał dojrzeć mają twarz. W końcu ruszył. Do mieszkania wpadła Julie.
- Opowiadaj wszystko! - krzyknęła zdyszczanym głosem.
- Nie mogę - odpowiedziałam. - Zdaje się, że będę rzygać.

## Rozdział 19

Konferencję prasową zorganizowano na ostatnią chwilę, wzbudziła jednak ogromne zainteresowanie. W komisariacie przy Stretton Green nie było wystarczająco dużego pomieszczenia. Wynajęto więc w pośpiechu salę recepcyjną w pobliskim hotelu Shackleton. Zapełniały ją teraz tłumy mężczyzn i kobiet w strojach urzędowych, gadających jak najęci do swoich komórek. Było strasznie gorąco i z ulgą zauważyłam, że jeden z umundurowanych policjantów usiłuje otworzyć okno. Niestety, nie udało mu się. Stałam więc blisko wejścia, dokąd docierał powiew nieco chłodniejszego powietrza.

Przez drzwi przeciskało się właśnie czterech mężczyzn w szarych garniturach: Oban, Furth, Renborn i jego zastępca, Paul Crosby. Przeszli tuż obok, ale mnie nie dostrzegli, oddzieleni od reszty przybyłych trzema policjantami w mundurach i własną pychą. Przepchnęli się przez całą długość sali, żeby dojść do mównicy. Zasiadli przy stole prezydialnym i natychmiast oślepiły ich reflektory telewizyjne, które spowodowały, że ich sylwetki stały się aż nazbyt rzeczywiste. Natychmiast zjawiała się policjantka z karafką i czterema szklankami. Wszyscy zaczęli łapczywie pić. Na stole stał mikrofon. Oban postukał w sitko, które rezonowało z taką siłą, jakby ktoś walił kijem w ścianę. Akustyk szybko obniżył poziom nagłośnienia.

- Panie i panowie - zwrócił się Oban do zebranych. -

Większość z państwa mnie nie zna. Jestem nadinspektorem komisariatu Stretton Green, przełożonym detektywów. Nazywam się Daniel Oban. Nie będę owijał w bawełnę. Przybyliśmy tu, aby ogłosić znaczący przełom w śledztwie dotyczącym morderstwa Philippy Burton. - Rozległ się zgiełk i Oban, doskonale panując nad sytuacją, zamilkł, by rozkoszować się reakcją zebranych. - Dziesięć dni przed zabójstwem pani Burton, nad kanałem, który przepływa przez dzielnicę Kersey Town, znaleziono martwą młodą kobietę znaną w swoim środowisku jako Lianne. Sądzymy obecnie, że te dwa morderstwa zostały popełnione przez tego samego osobnika.

Wygłosiwszy tę rewelację, Oban napił się trochę wody i zacisnął szczęki. Podejrzewałam, że uczynił tak, aby nie zdradzić się z uśmiechem triumfu, ponieważ jego słowa wywołały tumult na sali.

- Jeśli pozwolą państwo mi dokończyć, to chciałbym dodać, że osobne dochodzenia w sprawie dwóch morderstw zostaną teraz połączone w jedno. Trzeba trafić, że jako wyższy rangą oficer policji stanę na czele śledztwa. Jednakże nie muszę podkreślać, jak wiele wniosła do tej sprawy grupa pod kierunkiem Vica Renborna. Wykonała świetną robotę i z tym większą przyjemnością pragnę poinformować, że odtąd będziemy pracować razem.

Skinął głową w kierunku Renborna, który odpowiedział podobnym gestem, przyjmując do wiadomości zasłużoną pochwałę. Natychmiast uniósł się w górę łas rąk. Oban wskazał na kogoś, kogo nie zauważyłam.

- Tak, Ken? - zapytał.

- Co zdecydowało o połączeniu śledztwa?

- Zapewne wiecie państwo, że często analiza mikrowłókien jest kluczowa w ustaleniu związku między podejrzanym a ofiarą. W tym przypadku wykryliśmy identyczne włókna na zwłokach obu kobiet.

- Jaki to rodzaj włókna?

- Początkowo sądziliśmy, że obie kobiety zostały zamordowane w miejscach, gdzie na nie natrafiono. Teraz przyjmujemy, że zostały zabite gdzie indziej, przewiezione samochodem do odludnej okolicy, i tam podrzucone. Uważamy, że w obu wypadkach mikrowłókna pochodzą z tapicerki tego samego auta, który posłużył sprawcy do transportu zwłok.

Wykryliśmy... - Oban zerknął na kartkę przed sobą - ...syntetyczne włókno, polimer, obecne na obu ciałach.

Ktoś wstał, chcąc zadać kolejne pytanie. Była to kobieta, trzymająca w ręku mikrofon.

- Jak panowie doszli do tej poszlaki łączącej obie zbrodnie?

Oban pozwolił sobie tym razem na tajemniczy uśmiezek.

- Kluczowym aspektem jakiegokolwiek śledztwa w sprawie morderstwa jest zbieranie informacji i dzielenie się nimi z różnymi wydziałami policji miejskiej, a także poza naszym ścisłym gronem. Chciałbym podkreślić, że dotychczasowa nasza współpraca w tej dziedzinie zasługuje na najwyższe uznanie i jeszcze raz pragnę podziękować za to Vicowi Renbornowi i jego zespołowi.

- Jak to się jednak stało, że postanowiliście porównać oba morderstwa? Czy mają jakieś punkty zbieżne?

- Nie, w pierwszej chwili podobieństwo nie jest zauważalne. Istnieją jednak istotne czynniki, które je ze sobą łączą.

- Na przykład jakie?

Oban zrobił zagadkową minę.

- Mam nadzieję, że państwo rozumieją, iż na tym etapie dochodzenia nie będziemy ich zdradzać.

- Czy może pan określić, jakiego typu osoby szukacie? Oban spojrzał na Renborna.

- Vic, może ty odpowiesz na to pytanie?

- Dzięki. - Renborn uśmiechnął się skromnie. - Sądzymy, że mamy tu do czynienia z rosnącą agresją. Pierwsza ofiara, Lianne, była w naszym mniemaniu tak zwanym łatwym celem. Uciekła z domu, okazjonalnie przebywała w schroniskach dla młodzieży, obracała się w środowisku narkomanów i prostytutek. Nietrudno ją było dopaść. Atakując Philippe Burton, sprawca okazał większą czelność. Nie mówię tego przeciwko Lianne, która straciła życie w tragicznych okolicznościach, ale pani Burton była szanowaną osobą, matką. Sta-

nowiła dużo trudniejszy cel. Zabójca zamordował więc najpierw bardziej dostępną, że się tak wyrażę, kobietę, a potem podwyższył poprzeczkę. Kolejny dziennikarz podniósł rękę.

- Czy mógłby pan podać jakiejś szczegóły?

- Morderca posługiwał się samochodem. Ponadto współpracujemy z wysokiej klasy ekspertem, który przygotowuje nam jego profil.

Wiem, o kim mówił: o Sebie Wellerze.

- Psychiatry przedstawił nam wstępną analizę, której nie mogę oczywiście ujawniać, ale wspomnę o paru cechach zabójcy: jest to osobnik rasy białej, w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat, prawdopodobnie bliżej górnej granicy zakładanego wieku.

Podejrzewamy, że wybrał sobie na ofiarę Philippę Burton, ponieważ nie tyle pożądał jej seksualnie, ile zazdrościł statusu społecznego. Była ona bez wątpienia kobietą dobrze sytuowaną, matką paroletniej córeczki.

- Innymi słowy, uważa pan, że to seryjny morderca?

- Nie - wtrącił szybko Oban. - Tu musimy zachować zdrowy rozsądek.

Powiedziałbym, że mamy do czynienia z niebezpiecznym osobnikiem, który porusza się po mieście, najpewniej autem, więc zwracamy się do społeczeństwa z apelem o jak najdalej idącą współpracę.

- Czyli że on może znowu kogoś zaatakować - odezwał się ktoś z tyłu.

- Nie chciałbym wzbudzać paniki - odparł Oban. - Sprawca zostanie schwytany. Dopóki jednak to nie nastąpi, pragnąłbym przestrzec mieszkańców Londynu, zwłaszcza kobiety, aby w miejscach publicznych zachowały szczególną ostrożność. Apeluję o rozwagę, dobrze? -

Rozejrzał się po sali. - Jeszcze jakieś pytania?

Wstała kobieta w średnim wieku.

- Pan jednak nie wyjaśnił, co sprawiło, że powiązaliście oba te morderstwa.

- To nie jest takie proste. Jak już pani słyszała, dochodzenie opiera się na wysoce specjalistycznej analizie, ale i na tradycyjnych metodach, wymagających pracy w terenie. Przesłu-

chaliśmy setki potencjalnych świadków, przeszukaliśmy kanał, przeprowadziliśmy drobiazgową inspekcję obu miejsc zbrodni. Jednakże niektóre hipotezy są rezultatem instynktu i doświadczenia. Nazwijcie to państwo „nosem gliny”, by tak powiedzieć. Intuicyjnie wyczuwaliśmy, że musiał istnieć jakiś związek między tymi morderstwami, choć na pierwszy rzut oka nic na to nie wskazywało. Dlatego zasugerowaliśmy ekspertyzę kryminologiczną. I okazało się, że wyszła po naszej myśli.

- Dlaczego zabójca wybrał akurat te dwie kobiety?

- Uważamy, że zdecydował o tym przypadek. Sprawcy nadarzyła się okazja, którą wykorzystał. Właśnie to nastęcza tyle trudności ze schwytaniem mordercy-psychopaty.

- Czy macie jakichś podejrzanych?

- Na razie nie będę tej sprawy komentował. Powiem tylko, że przesłuchaliśmy kilka osób.

- Czy to prawda, że zatrudniacie parapsychologa, żeby pomógł wam wykryć mordercę? I czy to właściwy sposób wydawania pieniędzy podatników?

- Po pierwsze, nie zatrudniamy nikogo takiego. Po drugie, jeśli ktoś ułatwi nam schwytanie zabójcy, nie obchodzi mnie, czy zidentyfikuje go, wróżąc z fusów, czy w jakikolwiek inny znany sobie sposób. I tą optymistyczną nutą zakończę nasze spotkanie. Zapewniamy, że o dalszym rozwoju sytuacji będą państwo informowani na bieżąco. Tymczasem rozumiecie, że musimy wracać do roboty. Czeka nas wiele zadań.

Dwadzieścia minut później siedzieliśmy w uczęszczanym przez policjantów pubie Pod Jagnięciem i Flagą, udekorowanym staroświecką uprzężą końską. Oban łyknął piwa i uniósł szklanekę pod światło, jakby zastanawiając się nad jego barwą.

- Kit, kiedy mówiłem o „nosie gliny”, to oczywiście myślałem również o tobie. Zdaję sobie sprawę, że w idealnym świecie powinienem był podkreślić twoje zasługi...

Popijając wodę sodową, czułam się jak pedantyczna stara panna. Nie chciałam uchodzić za kobietę zacofaną, ale nic nie

mogłam na to poradzić, że pora na drinki była dla mnie nieodpowiednia, bo dochodziła dopiero jedenasta przed południem. I był to dzień roboczy.

- Nie jestem zainteresowana kolekcjonowaniem zaszczytów... - zaczęłam.

- Rzecz w tym - ciągnął Oban - że nic tak nie podnosi morale jak publiczna pochwała podwładnych. Mniejsza o to, czy na nią zasłużyli, czy też nie. Nie obawiaj się jednak: kiedy sprawy przyjmą inny obrót, na pewno zostaniesz wymieniona z nazwiska.

- Taa... - wtrącił Furth z drugiego końca stołu. Właśnie postawił przed sobą nowy kufel piwa, bo pierwszy był już prawie pusty. - Kit, my cię dobrze oceniamy. Pod warunkiem, że znowu nie znikniesz nam z oczu. Nigdy nie mogę się zorientować, czy jesteś nadal z nami, czy wręcz odwrotnie. Odchodzisz na emeryturę częściej niż Frank Sinatra. W każdym razie zdrówko!

Resztki piwa z kufła numer jeden zostały pochłonięte. To się nazywało, że chłopaki mnie lubią. Bardzo trudno odróżnić ich sympatię od szyderstwa. Nie potrafię przewidzieć, czy zdzielią mnie po plecach, czy poklepią po ramieniu. Pewnie trzeba być facetem, żeby się w tym rozeznąć.

- Mam wątpliwości co do profilu tego zabójcy - odezwałam się do Vica.

- Kochana, nie wiń o to mnie. Cytowałem Seba. Uważasz, że się myli?

- Nie, ale on gra danymi statystycznymi. Powtarzamy po nim, że morderca jest biały, ponieważ większość seryjnych morderców zabija ofiary w obrębie swojej grupy rasowej. Dobrze o tym wiem.

Niebezpieczeństwo utrwalania w świadomości takiego profilu ogranicza zakres śledztwa.

- Myślałem, że o to chodzi.

- Niekoniecznie, jeśli odcina się właściwy kierunek dochodzenia.

- Znam twoją teorię - krzyknął ze swojego końca Furth. - Milusi morderca-psyhopata. Lepiej powiedz, czy chcesz chipsy.



Oferując mi poczęstunek, dawał do zrozumienia, że znowu jestem z nimi. Wzięłam parę chipsów i schrupałam je głośno.

- Wcale nie mówiłam, że jest miły. Ale, w pewnym sensie, istnieją sympatyczni mordercy. - Ktoś szyderczo się roześmiał. - Mówię serio - ciągnęłam. - Znam przypadek dzieciobójstwa. Matka, która zamordowała synka, ubrała go potem

Jak do snu. Myślę, że powinniśmy być bardzo ostrożni w stawianiu hipotez. To tyle.

- Co więc mamy robić? - spytał Oban. - To jest nasz problem. Ciągłe nam powtarzasz, czego nie powinniśmy. Ale o co chodzi? I gdzie tego czegoś mamy szukać?

- Nie wiem - odpowiedziałam i dopiłam resztę wody. - Musimy być otwarci na wszelkie opcje.

- Nieee - zaprotestował Furth. - Sama sobie sprawiasz kłopoty, moja droga. Ten gość najpierw był ostrożny, ale potem zamordował kolejną ofiarę w biały dzień. Staje się coraz bardziej bezczelny. Niebezpieczeństwo go rajcuje. Założę się o wszystko, że następnym razem posunie się dalej, i wtedy go złapiemy. Albo trzeba będzie poczekać, aż zamorduje jeszcze jedną kobietę. I wiecie co? Okaze się wtedy, że nazywa się Mickey Doli. Zignorowałam jego wzmiankę o Dollu.

- W twoich ustach brzmi to jak jakaś szczególnie ekscytująca gra.

- Nie - przerwał mi Oban. - To nie fair. - Dopił piwo jednym haustem i otarł usta wierzchem dłoni. - Możemy się zachowywać jak banda pieprzonych artystów, co nie znaczy, że jesteśmy nimi.

- Szefie, to właśnie to znaczy - rzekł Furth i beknął. Buchnął śmiech. Policjanci przy piwku zachowywali się tak samo, jak kibice w klubie rugby po ważnym meczu.

## Rozdział 20

Miałam wolne popołudnie po porannym dyżurze w przychodni. W pobliskich delikatesach kupiłam na lunch gorącego rogała z ciasta francuskiego nadziewanego serem i szpinakiem, a na deser zjadłam koszyczek malin - ciemnoczerwonych, bo wprost z lodówki, i słodkich, choć już z posmakiem fermentacji. Jadłam powoli, sztuka po sztuce, rozkoszując się wolnym czasem. Popłamiłam sobie sokiem palce. Powietrze było gęste i parne po ostatnim deszczu, ale teraz świeciło słońce. Liście na drzewach błyszcząły jak odlane z kolorowego szkła. Próbowałam się skupić. Znowu pomyślałam o Lianne i Philippic Ich twarze stanęły mi przed oczami. Wiedziałam, jak Philippa wyglądała za życia - obejrzałam tyle fotografii uwieczniających jej smukłą sylwetkę, połyskliwy hełm włosów. Była kobietą zadbaną w każdym calu. Co do Lianne, znałam tylko jej pośmiertny wizerunek. Obgryzione paznokcie, potargane włosy. Nie wiedziałam, jaki miała kolor oczu i w jaki sposób się uśmiechała. Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o obu, ponieważ nawet przemoc wymierzona na oślepa ma swoją wewnętrzną logikę. Postanowiłam zacząć od Lianne nie tylko dlatego, że pierwsza zginęła, ale także dlatego, że nie zostawiła po sobie żadnego widocznego śladu. Zjadłam ostatnią malinę i umyłam talerzyk. Policja nie była szczególnie pomocna. Nawet nie ustalono, kim była Lianne, skąd pochodziła. Nie znaleziono, bo właściwie nie szukano

ludzi, którzy kiedyś ją znali. Policjanci nie potrafili mi nic powiedzieć prócz tego, co już sama wiedziałam: że uciekła z domu i była jedną z tysięcy młodocianych bezdomnych, którzy włóczą się po ulicach wielkich miast. Gliny ciągle natykają się na dziewczęta w jej typie. Bezdomna młodzież narkotyzuje się, prostytuuje. Jak oświadczył Furth, „to są kandydaci na przyszłych kryminalistów”. Otworzyłam wtedy usta, żeby mu przyciąć, ale zmieniłam zdanie. Znowu byliśmy wrogami udającymi przyjaciół.

Nie mogłam nic sensownego wymyślić, więc znowu postanowiłam zwrócić się do Pavica. Musiałam się zmobilizować, żeby do niego zadzwonić. Podczas każdego z naszych spotkań czułam się na przegranej pozycji, ale ostatnie było po prostu koszmarem. Wzięłam więc głęboki wdech i wykręciłam numer. Telefon odebrała kobieta, która poinformowała, że wprawdzie Willa nie ma, ale spodziewają się go niedługo. Zostawiłam swój numer z uczuciem ulgi. Czekałam na znak od niego, chodząc po mieszkaniu, wyglądając przez okno, zabierając się do czytania pism i rzucając je po chwili na podłogę.

Telefon odezwał się kwadrans później. Podniosłam słuchawkę dopiero za trzecim dzwonkiem, żeby Will nie pomyślał, że na niego czyham.

- Tu Will Pavic.

- Przepraszam, że znowu ci zawracam głowę - rzekłam. Zrobiłam pauzę, ale on nie zareagował. - Potrzebuję twojej pomocy.

- Tak sądziłem - odparł sucho.

- Pragnę porozmawiać z ludźmi, którzy znali Lianne. Chodzi mi tylko o wskazówkę we właściwym kierunku.

- Kit...

- Proszę...

- No dobrze.

- Boże, to było łatwiejsze, niż się spodziewałam. - Nie usłyszałam śmiechu. Może on już zapomniał, jak się to robi. - Czy mogę podjechać do twojego ośrodka?

- Zaraz sprawdzę. Czy jesteś wolna, powiedzmy, o szóstej?

- Tak.

- Spotkajmy się więc w myjni samochodowej przy Sheffield Street. To tuż przy głównej drodze.

- Myjnia? - chciałam się upewnić.

- Tak. Duża. Nie możesz jej przegapić. A więc do zobaczenia.

- Co do poprzedniego spotkania to... - Już się rozłączył.

Przejrzałam notes i zadzwoniłam do przychodni, żeby sprawdzić, czy są dla mnie jakieś pilne wiadomości. Potem poszłam do pobliskiego zakładu fryzjerskiego, choć ostatnio, po renowacji wnętrza, zaczęto go nazywać salonem. Był teraz pomalowany na biało i srebrno, miał mnóstwo lamp halogenowych. Młody człowiek ogolony na pałę, w czarnych luźnych spodniach i czarnym podkoszulku bez rękawów pomógł mi włożyć fartuch z nylonu i posadził przed wielkim, bezlitosnym lustrem. Stanął za mną, ujął moją głowę wprawnymi rękami i zapytał, czego sobie życzę.

- Obcięcie - odpowiedziałam.

Zgarnął wszystkie włosy do góry i przez chwilę im się przyglądał.

- Może lekka trwała? Będzie ich wtedy więcej.

- Tylko strzyżenie.

- Pasemka? Rozjaśniłbym trochę i nałożyłbym miedzianą farbę. Teraz to bardzo modne.

- Może innym razem.

- Ładne włosy, muszę przyznać - rzekł, macając je końcami palców.

Położył mi ręcznik na ramionach i zaprowadził do umywalni. Siadłam, poddając się zabiegom malutkiej kobietki, która wyglądała jak wycięta z kartonu ogrodniczymi nożycami. Zmoczyła włosy, a następnie długo wcierała w skórę szampon o zapachu orzecha kokosowego. Sprawiało mi to przyjemność. Zamknęłam oczy w obronie przed rażącym światłem lamp. Po chwili młody łysol tańczył wokół mnie z nożyczkami i z dziesiątkami klipsów, które trzymał za paskiem i po kolei wpinał we włosy. Odciał spore pasmo, które miękko ześlizgnęło się na podłogę. Kiedy nieco ścię-

tych włosów spadło mi na twarz, pochylił się i delikatnie dmuchnął. Po strzyżeniu poczułam się dużo lepiej. Gdy potrząsnęłam głową, włosy spływały łagodną falą z boku na bok, jak w reklamach cudownych odżywek. Pobiegłam do domu, szybko wskoczyłam pod prysznic, a potem wciągnęłam białe dżinsy, jasnobezowy podkoszulek, na to narzuciłam starą zamszową marynarkę, włożyłam wygodne półbuty. Czułam się czysta, świeża i energiczna.

Myjnia samochodowa znajdowała się w rzędzie starych i na pół zrujnowanych magazynów niedaleko kanału. Zajechałam tam przed szóstą, ale zbliżając się, dostrzegłam, że Will już czekał na mnie na chodniku. Przystanąłam, otworzyłam drzwiczki. Usiadł obok. Jakiś samochód minął nas i skręcił do myjni.

- Gdzie twoje auto?

- Właśnie go czyszczą, to chyba jasne.

- Czy dlatego się tu spotykamy? Ponieważ postanowiłeś umyć wóz?

- Na początku roku Lianne pracowała tu przez kilka tygodni. Doszedłem do wniosku, że to odpowiednie miejsce, żebyś zdobyła o niej jakieś informacje. Nie wiem jednak, ilu ludzi, którzy zetknęli się z nią, nadal tu tkwi. To tymczasowe miejsce pracy.

- Tutaj? Myła samochody?

- Nie. To zajęcie tylko dla mężczyzn. Zbierała opłaty, wydawała kupony. Kierowniczką myjni leżała w szpitalu, wstawiano jej sztuczne biodro. Jest moją dobrą znajomą. - Gdy to mówił, w drzwiach kantoru ukazała się kobieta. Wydawała mi się ogromna, ze szczeciną na brodzie i rzadkimi włosami na głowie. Podeszła do nas, nachyliła się z wyraźnym trudem, a Will, otwierając drzwiczki, rzucił: - Diana, to jest Kit, Kit, poznaj Dianę. Wyciągnęłam rękę przed nosem Willa. Poczułam mocny uścisk jej dłoni, zauważyłam przenikliwe spojrzenie.

- A więc jest pani zainteresowana Lianne? Wymawiała „e” na końcu imienia. Zastanawiałam się, z jakiego pochodzi regionu.

- Tak, byłabym wdzięczna za pomoc.

- Może wejdziecie do mnie? Będę wolna za kilka minut.

- Może najpierw umyję u pani samochód... Uśmiechnęła się do mnie.

- Który program?

Popatrzyłam na wielką tablicę z wypisanym kredą cennikiem za różne usługi.

- Ten najdroższy.

Po raz pierwszy Will spojrział na mnie z błyskiem aprobaty.

- To będzie dwanaście funtów pięćdziesiąt.

Podałam jej banknoty, które wsunęła do kieszeni spódnicy. Następnie wyprostowała się i dała znać, żebym wjechała przez wielkie drzwi.

- Proszę zamknąć szyby! - krzyknęła.

- Zostajesz w aucie? - zapytałam Willa.

- Na to wygląda.

Drzwi zamknęły się za nami automatycznie i natychmiast znaleźliśmy się w innym świecie - ciemnym, mokrym, dygoczącym energią. Ostre strumienie wody uderzały w nadwozie ze wszystkich stron, a samochód okrążyło z sześciu chłopa w kaloszach i gumowych rękawicach, zmywając brud szczotkami na kijach. Obserwowałam ich przez pokrytą bąbelkami szybę. Facet szorujący maskę miał wąsy jak u suma, zmarszczki rezygnacji na pełnej twarzy i słowiańskie kości policzkowe. Ten od strony Willa był najwyżej siedemnastolatkiem - bardzo czarny, bardzo chudy i wysoki, z cudownymi ciemnymi oczami. Przednią szybę niezwykle starannie pucował starszy mężczyzna, wyglądający na Chińczyka. Zauważył, że mu się przyglądam i uśmiechnął się nieśmiało. Dzielili nas ściana wody.

- Co to za miejsce?

- Przecież widzisz - myjnia.

- Dzięki - odparłam z sarkazmem. - Chodzi mi o to, skąd się tu wzięli ci wszyscy ludzie?

Will zerknął na mnie szybko.

- W większości uchodźcy. Jakiś czas tu pracują, nikt ich  
o nic nie pyta, biorą pieniądze do kieszeni.

- A tacy jak Lianne?

- Czasami podsylam tu dzieciaki. To bezpieczne zajęcie.  
i nieźle płatne. W ten sposób nie idą na ulicę i zarabiają, zanim znajdą  
sobie coś innego.

Mężczyzna w żółtej gumowej kurtce dał mi znak, żebym podjechała  
bliżej. Wolno ruszyłam pod nowy prysznic. Woda pod dużym ciśnieniem  
spłukiwała teraz resztki szamponu. Podeszło paru nowych pracowników,  
tym razem w zwykłych ubraniach. Za nami następny samochód wjechał  
na stanowisko.

- To fantastyczne.

Will robił wrażenie zadowolonego z siebie, jakby wszystko przygotował  
na moją cześć.

- A co do Dolla, to jest mi przykro - mruknęłam.

- Dlaczego?

- No, że zawracałam ci nim głowę. Przecież na dobrą sprawę wcale mnie  
nie znasz. Nie miałam jednak do kogo się zwrócić.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś na policję?

- Nie chciałam mu przysparzać nowych kłopotów z glinami. I, prawdę  
mówiąc, sama znajdowałam się w dość dziwnej sytuacji. Ale to długa  
historia. Za długa, żeby opowiadać.

Kiwnął głową, jakby wcale nie był jej ciekawy.

- Miałaś rację, telefonując do mnie.

- Czy twoim zdaniem on jest niebezpieczny?

- Nie umiem tego ocenić. On jest... - Zastanawiał się przez kilkanaście  
sekund. - Zmarnowany.

Ponownie dano mi znak ręką, żebym podjechała bliżej. Tym razem  
znalazłam się w małej zatoczce.

- Teraz wysiadamy - oznajmił Will. - Oni zajmą się odkurzaniem wnętrza.  
On jednak wróci.

- Doli?

- Spodobałaś mu się. Uważa, że go rozumiesz.

- Och. - Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- I twierdzi, że jesteś piękna - dodał takim tonem, jakby było w tym coś zabawnego.

Wysiadłam z auta i stanęłam obok, czekając, aż Will podejdzie. Do środka wskoczyło czterech facetów - dwaj ze ścierkami i kubłami, jeden z pędzlem, żeby omieść wszystkie zakamarki, a czwarty z dyszą ogromnego odkurzacza. Przed nami pojawiła się Diana z dwoma kubkami kawy.

- To jest Gonzalo. - Wskazała gestem chłopaka obok. - Znał Lianne z czasów, gdy tu pracowała.

Miał kręcone czarne włosy, oliwkową cerę, uśmiechał się nieśmiało i podał mi miękką, bezwolną w uścisku rękę.

- Cześć - odezwałam się, a on spuścił głowę. Był ubrany w różowy podkoszulek z napisem „Bart Simpson”. - A więc znałeś Lianne?

- Lianne. Tak. Lianne.

- Była twoją koleżanką?

- Koleżanką? - Miał silny akcent. Nie mogłam się zorientować, czy mnie rozumie.

- Czy Lianne była twoją koleżanką? - powtórzyłam. Zmarszczył brwi. - Gonzalo, skąd pochodzisz?

Twarz mu się rozjaśniła, uderzył się w pierś.

- Kolumbia. Pięknie tam.

- Nie mówię po hiszpańsku. - Zwróciłam się do Willa. - Znasz hiszpański?

- Ani słowa. Ale założę się, że Lianne też nie znała. Gonzalo, czy Lianne była szczęśliwa?

- Szczęśliwa? - Pokręcił głową. - Nie, nie.

- Smutna?

- Smutna, tak, i to. - Teatralnym gestem przyłożył rękę do ust.

- Przestraszona? - zapytałam.

- Zła? - zasugerował Will.

- Zagubiona - rzekła Diana. Podsunęła mi kubek kawy. Uniosłam go do ust, pociągnęłam łyk. Płyn był letni, gorzki. - To poznaje się od razu po oczach. Tacy ludzie są jakby nieobecni. Dużo się ich tu widzi. - Machnęła grubą ręką w stronę pracowników, którzy uwijali się przy samochodach jak rój pszczół.



- I to właśnie dostrzegłaś w oczach Lianne? Wzruszyła ramionami.

- Ledwie mi mignęła. Zresztą pracowała tu, gdy ja byłam na zwolnieniu. Wydawało się, że nic jej nie interesuje. Nie dawała się wciągnąć do rozmowy. Też tak uważasz? - spytała Willa.

- Może - rzekł ostrożnie. Nigdy nie spotkałam bardziej skrytego człowieka.

- No cóż, trudno jej się dziwić, co? Ale była uczciwa, to muszę podkreślić. Nigdy nie wzięła sobie pieniędzy, które dawali klienci. W każdym razie ja tego nie zauważyłam.

Obserwowałam ich oboje: potężna baba i milczek. Gonzalo tymczasem przestępował z nogi na nogę.

- Dziękuję ci - powiedziałam do niego.

Znowu się uśmiechnął nieśmiało i szybko się wycofał. Mój samochód błyszczał jak nowy. Facet z wąsami suma jeszcze raz dokładnie go oglądał.

- Dzięki i tobie - rzekłam do Diany. - Jestem ci wdzięczna.

Wzruszyła ramionami.

- Jesteś koleżanką Willa.

Wcale nie byłam tego pewna. Popatrzyłam na niego.

- Miałbyś ochotę na drinka? Wydawał się lekko zaskoczony.

- OK - odparł po chwili, jakby nie starczyło mu czasu, żeby wymyślić jakiś pretekst. - Pojedziesz za mną, dobrze? Znam tu niezłe miejsce w okolicy.

Wrzuciłam parę monet do puszki na napiwki i wyruszyliśmy w konwoju naszych lśniących aut, jadąc wąskimi uliczkami wzdłuż kolejnych magazynów. Nigdy tu nie byłam - to był Londyn, jakiego nie znałam.

Poszliśmy do pubu nad kanałem. Od frontu wyglądał dość okropnie, ale z tyłu miał taras z widokiem na wodę. Siedzieliśmy, mając przed sobą szklaneczki z sokiem pomidorowym. Niebo zmieniło barwę na burobrązową, powiew wiatru marszczył lustro wody, spadło kilka dużych kropel deszczu.

- Lubisz to? - zapytał Will rozmarzonym głosem.

- Co? Sok?
  - Kanał.
  - Wydaje mi się brudny. Zbliżył szklanekę do ust.
  - Mają go oczyścić. Nie słyszałaś o nowym projekcie? Popatrzyłam na czarną wodę. Magazyn na drugim brzegu nie miał dachu, wszystkie szyby były wybite, w środku stały resztki jakichś zardzewiałych maszyn. Wszędzie naokoło budynki znajdowały się w stanie daleko posuniętej ruiny, wały się jakieś dziwne śmiecie, których pochodzenia wolałam nie dochodzić.
  - Kto tu chce coś odbudować?
  - Żartujesz? Przecież to jest superlokalizacja, kilka hektarów gruntu w środku Londynu! Za parę lat będą tu winiarnie, kluby fitness, gmachy mieszkalne z prywatnymi garażami.
  - Czy to takie dobre? Dopił sok.
  - To będzie szanowana dzielnica.
  - W twoich ustach brzmi to jak przekleństwo. Może twoja młodzież na tym skorzysta? Powstaną dla nich stanowiska pracy.
  - Większość z nich nie będzie tu pasowała. Wypchną ich stąd gdzie indziej, gdzie staną się problemem dla tamtejszych mieszkańców. Zadrżałam. Will popatrzył na mnie i spytał:
  - Zimno ci? Pokręciłam głową.
  - Coś mnie przeraziło.
- Niemniej zdjął marynarkę i narzucił mi ją na ramiona. Przez chwilę zaskoczył mnie prąd, który przeszedł mi po plecach, kiedy poczułam na sobie jego ręce. Od tak dawna nie dotknął mnie żaden mężczyzna.

## Rozdział 21

- Ciągle nie mogę w to uwierzyć.

- Nie - przytaknęłam bezmyślnie.

- To znaczy, takie tragedie się zdarzają, prawda? Ale rzadko spotykają ludzi, których się zna. Nie mogę się uspokoić. Biedna Philippa - jęknęła.

- Mhm.

- I Jeremy. I biedna, biedna Emily. Co się z nią stanie? Co za nieszczęście! Kto mógł zrobić coś takiego?

Ponieważ właściwie nie było to pytanie, nie odpowiadałam. Piłam kawę, którą moja gospodyni mi podała, i czekałam na dalszy ciąg. Tess Jarrett wyglądała jak błyszczący kasztan. Zwinęła się na szeszlengu w saloniku swego eleganckiego domu. Okrągła, pyzata, nie była jednak tęga. Miała mnóstwo kasztanowych loków i cętkowane piwne oczy, cerę barwy miodu, która połyskiwała zdrowiem i bogactwem, toczony sniade ramiona, małe usta i prześliczne białe zęby. Na dodatek bezbłędny manikiur i pedikiur, idealnie położony perłowy lakier na paznokciach u rąk i stóp w ażurowych sandałkach. Była, jak mi oświadczyła, najlepszą przyjaciółką Philippy. Najbliższą, absolutnie naj, naj. Robiła wrażenie zarazem wstrząśniętej i podekscytowanej.

- Byłyśmy nierozłączne. Nawet jeszcze bardziej się zbliżyłyśmy, gdy przyszły na świat Emily i moja Lara. One są prawie dokładnie w- tym samym wieku, tak jak my, i obie razem

rzuciłyśmy pracę, więc spędzałyśmy mnóstwo czasu ze sobą. To były bardzo miłe chwile. - Trudno mi było wyobrazić sobie Tess w roli matki. Chociaż miała trzydzieści dwa lata, wyglądała niezwykle młodo i dziewczęco.

- Jak długo się znałyście?

- Uczyłyśmy się w tym samym college'u. - Oczy się jej rozszerzyły. - To znaczy, że znam ją przez pół życia. A raczej powinnam powiedzieć „znałam”. Jeszcze się do tego nie mogę przyzwyczaić.

- To trudne - przyznałam.

- I na dodatek po naszym zamążpójściu zamieszkałyśmy blisko siebie. Od Hampstead Park do Belsize Park idzie się spacerem tylko dziesięć minut. Spotykałyśmy się kilka razy w tygodniu. Razem chodziłyśmy po zakupy.

- Poprawiła fałdy bawełnianej sukienki. - Kupiłyśmy ją dwa tygodnie temu, kiedy Rick z dziećmi i ja wybieraliśmy się do Grecji. Mój mąż też się zaprzyjaźnił z Jeremym. Biedny człowiek. - Znowu głęboko westchnęła.

- Tess - przerwałam ciszę, która po jej ostatniej uwadze zaległa w pokoju. - Czasami możemy się dowiedzieć czegoś o zabójcy, poznając bliżej cechy jego ofiary. Dlatego tu przyszedłam.

Skinęła głową. Przybrała minę tragiczki.

- Tak - mruknęła. - Zdaję sobie z tego sprawę.

- A więc nie chodzi mi o jej ostatnie kroki przed śmiercią. Tym zajmuje się policja. Mnie bardziej interesuje jej nastrój, to, co przeszła w życiu. A przyjaciele często wiedzą więcej niż najbliżsi krewni.

- O Philippie wiem wszystko - powiedziała Tess z emfazą. - Nie miałyśmy przed sobą tajemnic. Na przykład - zniżyła głos i pochyliła się w moją stronę - powiedziałam jej o problemach z Rickiem, krótko po urodzeniu Lary. Myślę, że mężczyźni przeżywają trudny okres, kiedy dziecko przychodzi na świat, prawda? Już nie można poświęcić im tyle uwagi, ile się domagają. Człowiek jest taki zmęczony, wstając wielokrotnie w nocy, karmiąc dziecko piersią, przewijając je. Moim zdaniem oni są po prostu zazdrośni. Mężczyźni są jak dzieci, zgadzasz się, prawda? Aha, o czym to ja mówiłam? Tak, Rick tracił cierpli-

wość i ciągle się domagał, wiesz o czym mówię, a ja nie chciałam... No, w każdym razie opowiedziałam o tym Phillipie. Bardzo mi to pomogło, mogłam się chociaż wygadać. Ona umiała słuchać. No, naprawdę, miała dar. Nie była taką traj-kotką jak ja. - Zachichotała jak dziewczynka, a ja z uprzejmości też się uśmiechnęłam. - Dlatego byliśmy takimi dobrymi przyjaciółkami. Ja byłam gadatliwą ekstrowertyczką, a ona bardziej... - Zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie.

- Tak? - Nie chciałam jej przerywać, zwłaszcza że dopiero teraz zaczęła mówić o Phillipie.

- Ona do wszystkiego odnosiła się z dużym dystansem, była jakby na zewnątrz spraw, podczas gdy ja jestem zawsze w samym środku.

- Czy sądzisz, że celowo wybrała taki sposób bycia?

- O, tak, była szczęśliwa. Nigdy nie widziałam, żeby płakała. Czy to nie dziwne? Ja ciągle płaczę. Szlocham jak oglądam z Larą *Dumbo* czy *Bambiego*, właściwie każdy film, który gra na emocjach. Płaczę, kiedy widzę w dzienniku telewizyjnym głodujące dzieci, a kiedy moja mała się rozbeczy, to jej wtóruję. Beczymy razem, nawet wtedy, kiedy jej mówię, żeby się uspokoiła, no mówię ci, wyglądamy jak para małych dzieci. I tryskam łzami, kiedy ona coś zrobi po raz pierwszy. Rozpłakałam się, kiedy wymówiła „mama”. Nie mogę na to nic poradzić. To głupie, nie? Płaczę, kiedy jestem radosna i kiedy jestem smutna. Ale Philippa była inna. Nawet wtedy, kiedyśmy się poznały, też się tak zachowywała.

- Co nie oznacza, że była szczęśliwa - wtrąciłam neutralnym tonem.

- Nie. - Wyprostowała stopy i pogłaskała palce u nóg. - Zgoda. Zawsze jednak robiła wrażenie osoby opanowanej. Nie tak jak ja - w górę, w dół, jak wahadło. Raz w obłokach, raz na ziemi. To cała ja. Ona natomiast, nawet kiedy była młodą dziewczyną i miała chłopców, nigdy nie zakochiwała się bez pamięci. Zachowywała się z jakąś zaskakującą cierpliwością. Obserwowała, jak się rozwinie sytuacja. A zresztą nie miała tak wiele sympatii. Była bardzo spokojna. Nigdy nie krzyknęła na Emily. Ja to co innego, czasami się drę na mojego mał-

piszonka. Philippa była z małą stanowcza, ale nigdy nie wybuchiała. „Jak ty, na miłość boską, to robisz?” - pytałam ją czasami. „Przyzwyczyłam się” - odpowiadała. Ja nigdy nie potrafię przywyknąć. - Zatrzepotała powiekami, po policzku spłynęła jej łza, potem druga. Podałam jej chusteczkę. - Dzięki - szepnęła. - Przepraszam.

- A jak się układały jej stosunki z Jeremym?

- No cóż, jak mogłabym je opisać? My z Rickiem czasami się kłócimy i potem godzimy. Sprzeczki są prawie zawsze dobre, jeśli pod koniec padamy sobie w ramiona. Ona i Jeremy się nie kłócili. Byli wobec siebie bardzo uprzejmi. W każdy piątek bez wyjątku on jej kupował kwiaty. Czy to nie urocze? Chciałabym, żeby Rick miał taki zwyczaj. Jej ulubionymi kwiatami były żółte róże i groszek pachnący, chociaż na ogół o groszek trudno w kwiaciarniach, prawda? Ona sama pasjonowała się roślinami - widziałaś jej ogród? Teraz Jeremy z Emily są już znowu u siebie, wyprowadzili się od jej matki. Muszę ich wkrótce odwiedzić. No, w każdym razie nigdy nie widziałam, żeby zachowywali się jak para gołąbków, ale może tacy po prostu byli. To znaczy, nie wiadomo właściwie, jak się toczy życie innych, co? A kiedy urodziła się Emily, byli w siódmym niebie. Wyobrażasz sobie? Skłamałam, mówiąc, że nigdy nie widziałam Philippy płaczącej. Odwiedziłam ją w szpitalu zaraz po porodzie, chyba następnego dnia. Byłam wtedy w końcówce ciąży z Larą, miałam ogromny brzuch, jak te gumowe zabawki, które się naciska od góry i one skaczą. Tyle tylko, że gdyby mnie ktoś nacisnął, to bym już nie wstała z miejsca, na które bym padła. Nie znoszę szpitali, ty też? Prowołują do myśli, że zaraz umrę... Te ściany pomalowane na zielono od razu wywołują u mnie depresję. Philippa siedziała na łóżku, trzymała przy piersi niemowlę, wpatrując się w nie, i kiedy uniosła na mój widok głowę, zobaczyłam, że twarz ma zalaną łzami, po prostu leciały jej ciurkiem. Powiedziała wtedy: „Jaka ona jest śliczna. Popatrz, jaka piękna. Moja malutka córeczka”. Oczywiście, ja się wtedy też rozplakałam, a na to Emily się zbudziła i zaczęła kwilić. Ach, ona kochała Emily. I dlatego... - Przerwała nagle.

- Tak... - odezwałam się cicho.

- Och, to prawdopodobnie nic ważnego. Czekałam. Walczyła ze sobą, czy mi powiedzieć.

- Czasami myślę, że miała romans... Mruknęłam zachęcająco.

- Nie wiem, dlaczego tak mi się zdaje. I może nawet nie po, winnam o tym wspominać, ale wyczuwałam coś takiego w jej zachowaniu, poza tym w ciągu dnia ona na ogół nie siedziała w domu. Uważam, że kobiety mają szczególny instynkt do wykrywania takich spraw. Nigdy bym o tym nikomu nie powiedziała, i przypuszczalnie to nie jest prawda, ale coś mi mówiło, że pewnie chodzi o romans.

- Czy domyślasz się, kto mógłby to być?

- Nie. W grę wchodzi mnóstwo ludzi. Przecież ona jest urocza. To znaczy, była. Smukła blondynka, szczęściara! Wielu mężczyzn poszłoby na pierwsze jej skinienie. Nawet Rick. Nie mówię oczywiście, że to on, ale wiesz, jacy są mężczyźni, gdy minie pierwsza namiętność do żony. Kiedy już się urządują, życie staje się dla nich trochę nudne. Każdy to przechodzi, jestem pewna. W każdym razie Rick miał słabość do Philippy. Ale nie zrozum mnie źle, nie chcę przez to powiedzieć, że to był on. Boże! Jestem tego pewna, wierzę w mój kobiecy instynkt. Za coś takiego chyba bym go zabiła, no i oczywiście Philippa była na zawsze moją najlepszą przyjaciółką... - Zamilkła i powiodła dzikim wzrokiem, jakby zaplątała się we własne słowa. - Co ja chciałam powiedzieć... no, ona знаła wielu mężczyzn - mężów swoich koleżanek, facetów z tego samego środowiska. Ale nikogo konkretnego nie podejrzewam, tylko myślę, że w ostatnich tygodniach jej życia było coś...

- Coś?

- Hm, może powinnam powiedzieć „ktoś”. Była nieuważna, nie potrafiła się skupić. Kilka razy miałyśmy się spotkać, ale nie przyszła, co przedtem nigdy się nie zdarzało. A potem bardzo dziwnie się tłumaczyła. Sprawiała wrażenie trochę podenerwowanej, bardziej niż zwykle nieobecnej duchem. Jestem pewna, że się w kimś zakochała.

Wyszłam od Tess pół godziny później, w samo południe.

Byłam kompletnie wyczerpana. Przedtem odwiedziłam męża Philippy i jej matkę. Jeremy rzeczywiście wrócił do własnego domu, który był nieco mniejszy i nowszy niż rezydencja teściowej. Na końcu wąskiego, długiego ogrodu znajdował się sad, między dwiema starymi jabłoniemi wisiała huśtawka. W rozmowie na temat Philippy oboje okazali się znacznie mniej elokwentni od Tess. Nie sędzę, żeby coś ukrywali, raczej z natury byli o wiele bardziej powściągliwi. On nadal wyraźnie cierpiał, wydał mi się okropnie smutny i wstrząśnięty. Ona robiła wrażenie jakby nieobecnej i porażonej bólem.

W poczcie elektronicznej odczytałam dwie wiadomości. Jedna z nich pochodziła od Poppy, która pytała, dlaczego od tak dawna się do niej nie odzywałam. Drugą zostawił Will. Brzmiała lakonicznie: „Proszę, zadzwoń”. Zadzwoiłam.

- Tak? - warknął do słuchawki.

- Tu Kit.

- Poczekaj chwilę. - Słyszałam, jak udziela komuś instrukcji. - Kit?

Możesz tu przyjechać dzisiaj wieczorem, powiedzmy o szóstej trzydzieści?

- Po co?

- Parę osób chce z tobą porozmawiać.

- Znały Lianne?

- Z jakiego innego powodu chciałyby się z tobą spotkać? Otworzyłam usta, żeby się odciąć, ale zamknęłam je bez słowa.

- Postaram się zdążyć.

- Więc do zobaczenia. - I rozłączył się. Sprawiał wrażenie zaabsorbowanego czymś zupełnie innym.



## Rozdział 22

Nacisnęłam dzwonek i drzwi otworzył mi chłopak z dreadami na głowie i wytatuowaną biedronką na ramieniu. Wzięłam go za jednego z mieszkańców schroniska, ale okazał się ochotnikiem pomagającym nielicznemu personelowi. Powiedział, że ma na imię Greg. Przeciwnie niż przy pierwszej mojej wizycie, ośrodek tym razem wydał mi się ruchliwym, pełnym życia miejscem. Grupa nastolatków stała w holu, paląc papierosy. Przez otwarte drzwi sali rekreacyjnej dostrzegłam zawodników grających w jakąś hałaśliwą grę. Z góry dochodził gwar rozmów. Greg zaprowadził mnie do pokoju Willa, pchnąwszy drzwi bez pukania.

- Cześć - powiedziałam. - To miłe z twojej strony. Dzięki.

- Podziękuj im, nie mnie. Czekają na ciebie w sali na piętrze. Chcesz, żebym cię przedstawił?

- Ilu ich przyszło?

- Pięcioro, jak myślę. Chyba że ktoś zrezygnował. To do nich podobne.

W pokoju było gorąco i gęsto od dymu. W rogu stał automatyczny bilard, przy którym kręciło się dwóch nastolatków ćmiących papierosy. Jeden z nich miał ogoloną czaszkę. Przez całą jej długość biegła biała szrama.

Drugi był krępy i owłosiony. Spojrzeli, gdy ukazałam się w drzwiach, ale nie wyko-

nali w moją stronę żadnego gestu powitania. W drugim rogu siedziały trzy dziewczęta, czy raczej młode kobiety. Dwie z nich zajęły miejsca na krzeselkach, jedna na podłodze. Zauważyłam wśród nich uderzająco piękną dziewczynę, tę samą, która przemknęła z płaczem za pierwszej mej bytności u Willa Pavica. Zerknęła na mnie i lekko zmarszczyła brwi. Miała szalone turkusowe oczy w cudownej oprawie.

- Witam - rzekłam swobodnym tonem, zbliżając się do nich.

Nikt nie zareagował. Podchodziłam po kolei do każdego, ściskając im ręce. W trakcie tego formalnego powitania zorientowałam się, że popełniłam błąd, ale nie mogłam przerwać go w połowie, więc brnęłam dalej. Większość z tej piątki nie okazywała żadnych emocji. Ich dłonie były bezwładne i zlane potem wskutek upału panującego w pomieszczeniu.

- Jestem wam wdzięczna, że zechcieliście się ze mną spotkać - zaczęłam. Siadłam na podłodze, wyciągnęłam z torby paczkę papierosów, które kupiłam na tę okazję. To ich trochę rozruszało. Każde się poczęstowało, choć kilkoro właśnie paliło. - Czy możecie mi podać wasze imiona?

- Spike - odezwał się ogolony chłopak ze swego kąta przy bilardzie.

Reszta wybuchła śmiechem. Jeśli miał to być żart, nie wiedziałam, na czym polega.

- Laurie. - To ten owłosiony.

- Carla - mruknęła czarna dziewczyna siedząca obok mnie.

- Catrina. - Miała najgorszy trądzik, jaki kiedykolwiek widziałam, i wspaniałą strzechę rudych włosów.

- Sylvia. - To ta zielonooka. Uśmiechnęła się przy tym tajemniczo. - W każdym razie takie imię sobie nadałam.

- Będę próbowała je zapamiętać. Will pewnie wam powiedział, dlaczego tu jestem. Pragnę się dowiedzieć o Lianne, czego tylko zdołam, bo im więcej wiadomości o niej zbiorę, tym większa jest szansa na schwytanie jej mordercy. Jeśli wiecie, skąd tu przyszła, jak się naprawdę nazywała, z jakiego środowiska się wywodziła, byłoby to dla mnie ogromnie pomocne. - Panowała głucha cisza. - Ale prócz tego chciałabym się dowiedzieć, jaka była. Jakim była człowiekiem.

- Will mówił nam, że pani jest w porządku - odezwał się Spike. Ze zdania oznajmującego zrobił raczej pytające.

- On myśli, że pani nie poleci do glin z tym, co tu powiemy - wyjaśniła Sylvia. - Co nie znaczy, że w ogóle coś pani powiemy. Tamtemu też nic nie wygadaliśmy.

- Jakiemu tamtemu?

, - Pani nie jest pierwsza.

- To policja już z wami rozmawiała?

Sylvia wzruszyła ramionami i w pokoju znowu zapadła cisza, przzerwana wreszcie szelestem pocieranej zapalniczki. Spike zapalił kolejnego papierosa.

- W każdym razie - rzekłam - na pewno nie wspomnę policji o czymś, co nie jest bezpośrednio związane z Lianne, dobrze? - Usłyszałam pomruk w rodzaju niechętej zgody. - Czy wiecie, jak długo przebywała w ośrodku?

- Will mówił, że około pięciu miesięcy.

Szkoda, że on sam mi o tym nie wspomniał - pomyślałam.

- Kto z was widział ją tutaj po raz ostatni?

- Ja. - Carla nie uniosła głowy, żeby spojrzeć mi w oczy. Mówiła jakby do swoich złożonych rąk.

- Co robiłyście razem?

- Spacerowałyśmy, oglądając wystawy. Zastanawiałyśmy się, co byśmy sobie kupiły, gdybyśmy miały kasę. Ciuchy, dobre jedzenie, inne rzeczy. Kompakty. No, ale nie miałyśmy forsy, jasne? Chyba że Lianne... - Tu urwała.

- Tak?

- Ona świetnie kradła - przerwał Laurie z wyrazem niekłamanej podziwu. - Potrafiła każdemu wsadzić rękę do torby. Ona i Daisy lubiły się kręcić na stacjach metra. Ale była z nich para! Jedna niby to wpadała na kogoś, a Lianne wyciągała mu portfel.

- Były w tym dobre - przytaknął Spike.

- Daisy Gili?

- Tak, to ta, co popełniła samobójstwo.

- Jak się ze sobą poznałyście? - spytałam Sylwię.

- Tutaj. Ona była dość nieśmiała, naprawdę. A raczej... - skrzywiła się, zakładając za uszy blond włosy - ...niewiele mó-

wiła. O sobie, bo tego chce się pani dowiedzieć. Nigdy nie wspomniała, skąd pochodzi. Założę się jednak, że z Londynu. Doskonale znała miasto.

- A ja się założę, że przez lata tułała się po rodzinach zastępczych - odezwała się Catrina.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo to można wyczuć. Poznałam ją, jak Sylvia, kilka miesięcy temu. Grałimy w ping-ponga, ona grała do dupy i rzuciła wszystko w cholerę, kiedy ktoś się z niej nabijał. Łatwo rozpoznać człowieka z rodzin zastępczych.

- To jak smród - dorzucił Spike.

- Okropne! - krzyknęła Sylvia. - Jak możesz tak mówić? To bardzo głupio z twojej strony.

Mrugnął do niej.

- Sylvia, nie obawiaj się. Ty nie śmierdzisz.

- W każdym razie dla mnie to jest fakt, że ona była u tych zastępczych rodzin, bo pewnego razu opowiedziała mi o jednym z takich domów - ciągnęła, ignorując uwagę Spike'a. - Próbowała spać kiedyś z koleżanką w jednym łóżku. Na Boże Narodzenie. To nie było trudne, bo tamta nocowała w sąsiednim pokoju. Ale im nie pozwolono. Zakaz.

Oświadczone jej, że nie wolno przebywać na noc razem w pokoju, bo to wbrew przepisom. Wobec tego Lianne zabarykadowała się z tą dziewczyną. Za karę nie dano im świątecznej kolacji. Nawet sucharka, nic. Ona jednak mówiła, że była z siebie zadowolona, bo przynajmniej okazała swoją wolę. Była strasznie zamknięta w sobie.

- I o nic jej nie wypytywałaś?

- Szanuję prawo ludzi do prywatności.

- Wiem, że czasami nocowała w parku. Twierdziła, że to lepsze niż noclegownie w sąsiedztwie.

- Czy sądzicie, że była w wielu domach opieki?

- Pewnie tak - odparła Sylvia. - Większość z nas przechodzi przez to, zanim dojdzie do naszego wieku. - Mówiła o tym jak o czymś zupełnie zwyczajnym, jej prześliczna twarz wydawała się łagodna i miła. - Jeśli uciekła, to bardzo prawdopodobne, że z jednego z tych domów.

- Niech pani popatrzy na mnie - rzekła Catrina monotonnym głosem. - Byłam w dwunastu rodzinach zastępczych i ośmiu domach opieki.

- A ja u jednej z rodzin przebywałem prawie dwa lata - rzucił Laurie. Spozrzegłam dziecinną, pucołowatą buzię pod strzechą włosów. Nie miał pewnie więcej niż czternaście lat.

- Tak? I co się stało? - zainteresowała się Catrina.

- Przenieśli się na północ. Powiedzieli, że w ich nowym domu nie będzie dla mnie miejsca. Z opisu wynikało, że byłoby tam fajnie - ogród, takie sprawy. Niedaleko morza. -W jego głosie nie wyczułam skargi. Chłopak relacjonował suche fakty.

- Moglibyście mi coś powiedzieć o życiu seksualnym Lianne? - spytałam ostrożnie. Zapadła cisza. Spike ze złością zgasił peta. - Pytam, bo to może okazać się pomocne. Czy była na przykład molestowana?

- Pewnie tak - odparła Sylvia zwyczajnym tonem.

Spike głośno walnął w raketkę od ping-ponga. Na jego twarzy ukazał się grymas szyderstwa. Odnosiłam jednak wrażenie, że jest na granicy łez.

- Dlaczego tak sądzisz?

- No, jeśli przebywała długo w różnych domach opieki...

- Czy to znaczy, że młodzież umieszczona na dłużej w takich miejscach jest narażona na ataki seksualne?

- Ja mam dość! - krzyknął Spike. - Odmeldowuję się. Nie ruszył się jednak z miejsca.

Popatrzyłam na niego. Jego blada twarz poczerwieniała, na policzkach ukazały się ciemne plamy.

- A więc uważasz, że była napastowana seksualnie.

- Niekoniecznie seksualnie - odpowiedziała Catrina. - Ale nie przechodzi się przez te miejsca bez żadnej szkody, o to mi chodzi. Bardzo szybko przestaje się być dzieckiem.

- Nikomu się nie ufa - przytaknął Laurie. Wreszcie podszedł i usiadł obok dziewcząt, podczas gdy Spike kręcił się koło drzwi. Kiedy wyciągnęłam do niego paczkę papierosów, podszedł, wziął jednego, ale nie przysiadł się do nas.

- Czy miała chłopaka?

Popatrzyli się po sobie bez słowa.

- Ja niczego takiego nie zauważyłam - przerwała ciszę Sylvia. - A ona nigdy nie mówiła. Ludzie na ogół o tym opowiadają, prawda? Lubią się chwalić. Natomiast Lianne nigdy nie pisnęła słówkiem. No, ale nikt z nas jej dobrze nie znał, co? - Spojrzała wokół. Pozostali pokręcili głowami. - Ona po prostu tu przemieszkiwała.

- Trzymała się blisko z Daisy - dodała Carla. - Kiedyś zobaczyłam, jak sobie nawzajem malują paznokcie u nóg. Każdy paznokieć innym kolorem. - Ładnie wyglądało - rzekła z nutą zazdrości. - Gdy mi oświadczone, że nie dostanę więcej pieniędzy, bo trzeba oszczędzać, to Lianne okradła jakiegoś przechodnia i poszliśmy razem do knajpy. Grupa najwyraźniej zamyśliła się nad dwiema nieżyjącymi już dziewczętami, bo znów zapadła cisza. Nagle wszyscy wydali mi się tacy młodzi i bezbronni. Nawet Spike, który nadal stał nad nami z rękami w kieszeniach, z papierosem przyklepionym do ust. Wyglądał jak porażony. Siedziałam cicho, nie chcąc przerywać tej szczególnej chwili.

- Ona mnie raz pocałowała - rzekł Laurie; zrobił się czerwony jak burak. - Powiedziałem jej, że ja jeszcze nigdy, no wiecie... - Zamilkł, skurczył się w sobie. Carla wzięła go za rękę i położyła ją sobie na kolanach, niespodziewanie czułym i macierzyńskim gestem. - W każdym razie wyznałem jej to, sam nie wiem dlaczego, może dlatego, że wcześniej miałem spotkanie z moim kuratorem i dowiedziałem się, że nadal nikt nie chce mnie zaadoptować, byłem w cholernym nastroju, samotny, wiecie, jak jest, każdy tak się czasami czuje, no i ona tam siedziała, przy stole do gier, nic nie robiła, i nikogo nie było w pobliżu. I zupełnie niespodziewanie mnie pocałowała. - Oczy mu się zaszklily. Carla pogłaskała go po rękę.

- Kiedyś słyszałem, jak płakała - odezwał się nagle Spike zmienionym głosem. Mówiąc, przesunął się coraz bliżej do drzwi, jakby chciał je zamknąć na łańcuch. Nikt się nie odzywał. - Poznaliśmy się dzień przedtem. Strasznie się pokłóciliśmy, bo ona zabrała mi radio i twierdziła, że jest jej. Tak, ona była małą złodziejką. W każdym razie to było za dnia, a ja

skądś wróciłem, no, załatwiałem pewne sprawy. - Rzucił ostrożne spojrzenie i ciągnął: - Usłyszałem jakiś dźwięk dochodzący z góry. Najpierw nie mogłem się zorientować, co to takiego. Były to dziwne dźwięki, jakby torturowano kota czy coś w tym rodzaju. Wszedłem po cichu na schody i zorientowałem się, że te piski dobiegają z jej pokoju. Stałem strasznie długo, a ona nie przestawała. Płakała i jęczała, jakby jej serce pękało.

- Wszedłeś do niej? Zmarszczył brwi.

- Nie chciałem jej zawstydzić - odpowiedział.

Wsunęłam głowę do pokoju Willa. Zauważyłam, że wpatrywał się w monitor, ale ręce położył na blacie.

- Pracujesz do późna? - Oparłam się o ścianę, bo nogi się pode mną uginały, a głowa pękała z bólu.

- Co? Tak, chyba tak.

- Czy mogę cię o coś zapytać?

- Mhm?

- Czy masz do kogo wracać?

- Nie.

- Tak myślałam. - Popatrzyłam na niego. Jego twarz była jak wyciosana z kamienia. Pochyliłam się, ujęłam jego głowę obiema rękami i pocałowałam go prosto w usta. Następnie odwróciłam się i wyszłam.

## Rozdział 23

Ludzie powinni czerpać radość z pracy. Jedną z wielkich przyjemności życia jest aktywność, a praca stanowi główną formę ludzkiej działalności. Czymkolwiek ona jest, powinna sprawiać frajdę, a pod tym względem ludzie mają szczególny dar zamieniania najdziwniejszych form działania w coś, co daje im satysfakcję, i w tym tkwi głęboki sens. Ja osobiście przepisywałabym tę zdolność czerpania radości z pracy jako najlepszy lek na depresję, na lęk i nudę codziennego życia u większości z nas. Jestem o tym głęboko przekonana, tak właśnie czuję, ale mimo to czasami praca wydaje się trudna do zniesienia.

Kiedy miałam pięć lat, pojechałam na pogrzeb babci. Gdy wyszliśmy z krematorium, zaprowadzono nas do Ogrodu Pamięci, niedużego skweru otoczonego żywopłotem, z trawnikiem pośrodku, który wyglądał tak, jakby był miniaturowym polem golfowym z dołkami w równych odstępach. Dorośli stanęli wokół, odczytując napisy na szarfach wieńców. Po paru minutach odeszłam. Pamiętam, że dostrzegłam wtedy dwie rzeczy. Pierwsza to dym unoszący się z komina; zastanawiałam się, czy jest nim moja babcia. A potem zawędrowałam do miejsca, gdzie stały zaparkowane samochody z zakładu pogrzebowego. Był ciepły wiosenny dzień i kierowcy stali oparci o maski aut. Niektórzy zdjęli marynarki, zawinęli rękawy koszul. Palili papierosy, gadali ze sobą. Kilku opowiadało so-



bie kawały, głośno się z nich śmiejąc, ale stałam za daleko, żeby cokolwiek usłyszeć.

To było głupie, nawet w oczach dwunastolatki, ale wówczas dopiero pojęłam, że ci karawaniarze wcale nie żałują, że moja babunia umarła. W istocie nic ich to nie obchodziło. Kiedy wracałam z pogrzebu z ojcem, ze złością opowiedziałam mu o tym wydarzeniu i oświadczyłam, że nie powinien im zapłacić, bo zachowywali się niegodnie. Ojciec począł mi cierpliwie tłumaczyć, że ci ludzie obsługują trzy pogrzeby dziennie i nie mogą być smutni przez cały czas.

- Dlaczego nie? - odparłam. - Ich zajęcie polega na tym, żeby byli smutni. Ojciec nie potrafił mnie przekonać. Zdecydowałam w duchu, że tylko ludzie bez serca mogli zostać karawaniarzami. Gdyby człowiek był dobry i miał miękkie serce, wszystkie te śmierci, żałoba, płacze doprowadziłyby go do szaleństwa. A zatem z samej definicji ludzie, którzy pracowali w zakładach pogrzebowych, musieli być psychopatami, którzy w ciągu dnia przybierali pełne powagi miny, a potem biegli do domu i oglądali telewizję lub bawili się z dziećmi i mówili, że dobrze spędzili dzień.

Oczywiście, kiedy dorosłam, pojęłam, że chirurg, który przystępuje do operacji czyjegoś dziecka z uszkodzonymi zastawkami serca, nie przeżywa tego tak, jak jego rodzice. Stara się jak najlepiej wykonać powierzone mu zadanie, nawet jeśli jest primadonną w krawacie, myślącą jedynie o swej sławie

i o grze w golfa, która go czeka zaraz po wyjściu z sali operacyjnej.

Czego więc spodziewałam się po Obanie i Furcie, po reszcie tych kobiet i mężczyzn pracujących w policji po cywilnemu? Gdy w pobliżu znajdowały się kamery telewizyjne, wszyscy przybierali poważne miny i wyrażali się w sposób odpowiedni do sytuacji. Byli wstrząśnięci, głęboko poruszeni. To była straszna sprawa, wszystkich poruszyła. W istocie jednak świetnie się bawili. Weźmy takiego inspektora Obana. Byłoby przesadą twierdzić, że jest w radosnym nastroju, ale bez wątplenia różnie stapał. To zrozumiałe. Powierzono mu śledztwo

w sprawie pospolitego morderstwa, którym nikt inny nie chciał się zajmować. Zainteresowanie nim było żadne, chyba że coś zdecydowanie źle poszło. A teraz cała sprawa stała się morderstwem roku i wszyscy dobijali się do niego.

Kiedy złożyłam mu wizytę następnego ranka po spotkaniu z młodzieżą w Kersey Town, było tak trudno się do niego dostać, jakby został właśnie premierem. Skinął ku mnie przyjaźnie.

- Spieszysz się?

- Niespecjalnie - odparłam.

- To dobrze. Możesz mi opowiadać w drodze, bo ja mam urwanie głowy. Nie było to takie proste. Oban ciągle przyjmował jakieś telefony, biegł z jednego zebrania na drugie. Zawsze się odrobinę spóźniał, żeby dać poznać zgromadzeniu, że jest najważniejszą figurą. Rozmowa z nim przypominała dialog pasażera wychylonego z okna ruszającego pociągu z osobą, która go odprowadzała. Usiłowałam mu pokrótce zrelacjonować przebieg spotkania z kolegami Lianne, ale szybko mi przerwał:

- Czy ja muszę o tym wiedzieć?

- Proszę posłuchać, panie Oban...

- Mów mi Dan - rzucił.

- Mamy jedynie nieco faktów dotyczących pochodzenia ofiary.

Przystanął, chrząknął powątpiewająco.

- Kit, nie jestem przekonany do tego wszystkiego. Póki nie ujrzę czegoś konkretnego, musimy działać w myśl wskazówek, o których wspomniałem na konferencji prasowej. Założenie się nie zmieniło - mamy do czynienia z mordercą działającym na oślep. Czy rozmawiałś z Sebem? On jest tego zdania.

- Nie, nie rozmawiałam. - W istocie starałam się odwlec to spotkanie. Dlatego między innymi nie oddzwaniałam do Poppy. Nie chciałam się natknąć na Seba.

- Zaraz się z nim zobaczymy. Możecie potem zamienić parę słów.

- To nie będzie konieczne.

- I nie życzę sobie żadnej rywalizacji między wami.

- Z pewnością z nim nie rywalizuję.
- Kit, a propos, czy rozmawiałaś z kimś na temat naszego pana Dolla?
- Nie - odparłam. - Z kim miałabym o nim rozprawić? -Nagle przypomniałam sobie. - On mnie odwiedził w domu. Oban się wzdrygnął.
- Lepiej uważaj na siebie.
- Co znaczy, że Julie, oczywiście, o nim wie - dodałam.
- Oczywiście - rzekł z błyskiem w oku.
- Och, i mówiłam o nim z Willem Pavicem. W każdym razie Will go poznał.
- Znowu ten Pavic? - Oban zaklął pod nosem. - Obracasz się w dziwnym towarzystwie. On się porusza po bardzo grząskim gruncie.
- Tak mówią. Oban spowaźniał.
- Kit, mówię serio. Pavic naraził się wielu ludziom w tej okolicy. Pracownicy opieki społecznej po prostu go nie trawią. Sądzę, że zasadziło się na niego paru dziennikarzy.
- A to z jakiego powodu? - spytałam z gniewem. - On może nie jest łatwy w obejściu, ale przecież stara się pomóc innym, prawda?
- Doprawdy - odparł Oban podejrzliwie - nie każdy by się z tobą zgodził. Krążą plotki, a właściwie coś więcej niż plotki, o handlu narkotykami w tym jego schronisku. Niektórzy twierdzą, że on przymyka na to oko, natomiast inni utrzymują, że czerpie z tego zyski. Powiadam ci, że wystarczy, by zrobił jeden fałszywy krok, a zginie. Ale nie o tym chciałem mówić. Zatelefonowałem do paru reporterów w sprawie Mickeya Dolla.
- Po co?
- No, odpowiedziałem na parę pytań. Czy to prawda, że był przesłuchiwany w związku z morderstwem? Czy można się spodziewać, że zostanie formalnie oskarżony? Dlaczego wypuściliśmy go z aresztu?
- Jak oni się o nim dowiedzieli?
- Nasz komisariat to jedna wielka agencja prasowa. Gdy

ktoś u nas pierdnie, to od raz „Daily Mail” donosi o tym na pierwszej stronie.

- Co im powiedziałaś?

- Rzuciłem parę ochłapów. Jeśli ktoś zadzwoni w tej sprawie do ciebie, odeślij go do mnie. O, zjawił się!

Spodziewałam się, że miał na myśli Michaela Doiła, ale chodziło mu o Seba, ulubionego psychiatrę mediów. Męża Poppy, mego rzekomego przyjaciela. Dzisiaj Seb wyglądał tak, jakby się szykował do wystąpienia w południowym wydaniu dziennika telewizyjnego. Miał na sobie świeżo odprasowane czarne spodnie, sztyblety i nadzwyczajnej jakości skórzaną marynarkę nałożoną na lśniącą białą koszulę. Do tego uczesanie jak prosto od fryzjera, i bodaj dwudniowy zarost, który dodawał mu męskości. Podszedł do mnie, ucałował w oba policzki i na dodatek wyściskał.

- Kit - rzekł. - Czy to nie wspaniałe? To znaczy, że pracujemy nad tą samą sprawą.

- Świetnie - odparłam, czując się zdecydowanie nie na miejscu w jego ramionach. - Jak się miewa Poppy?

- Co takiego? Och, doskonale. Przecież dobrze ją znasz. - Uśmiechnął się i mrugnął do Obana. - Kit i ja mamy ze sobą wiele wspólnego.

- Naturalnie.

- Ona i moja żona przyjaźnią się od lat. Więc to prawie rodzina.

- A zatem zna pan Julie? - spytał Oban.

- Julie? - Seb zmarszczył brwi. - Kit, czy ja znam Julie?

- Mam nadzieję, że się nie wtrącam w nie swoje sprawy - rzekł Oban z przewrotną miną.

- Nie! - krzyknęłam, czując, jak palą mnie policzki. - Posłuchaj, chciałam powiedzieć...

- Mniejsza o to. Mamy do przedyskutowania parę kwestii. Chwileczkę. - Jego komórka znowu zadzwoniła.

- Oban relacjonował mi twoje poglądy na sprawę - odezwałam się do Seba, gdy czekaliśmy, aż inspektor skończy kolejną rozmowę. - Niektóre z nich znałam już przedtem. Słuchałam radiowego programu z tobą, ale nie jestem pewna, czy

zrozumiałam twoją konkluzję. Zdaje się, że puścili jakąś muzykę, która ją zagłuszyła.

- Ach, to - odparł obojętnie.

Oban włożył komórkę do kieszeni i wrócił do nas.

- Musimy pogadać o integracji - rzekł.

- Oczywiście. Ja jestem wręcz zachwycony, że mamy Kit w naszej grupie.

- Seb uśmiechnął się szeroko i dotknął mego ramienia. - Zawsze pragnąłem, aby była w swojej pracy bardziej ambitna. Myślę jednak, że musimy jedynie sformalizować sprawę. Dwa osobne śledztwa zostały połączone w jedno, a ja zostałem powołany w charakterze konsultanta do ważniejszego z nich.

- Seb, pamiętaj, że najpierw zamordowano Lianne. Czy uważasz, że zabójstwo Philippa Burton jest ważniejsze?

- Rozumiem przez to, że wymaga znacznie bardziej szczegółowego śledztwa. W każdym razie mamy tu dwoje konsultantów i chcę postawić sprawę jasno. Po to, by formalności stało się zadość.

- Nie bardzo rozumiem - odrzekłam.

- No, by podać pierwszy z brzegu przykład, musi być jednomyślność co do publicznej prezentacji rezultatów ekspertyzy psychologicznej.

- Czyli oznacza to, że pan się chce pojawiać w telewizji i na konferencjach prasowych - powiedział Oban suchym tonem.

- Ja nie mam nic przeciwko temu - wtrąciłam szybko.

- A więc już ustaliliśmy - rzekł Oban.

- To był tylko hipotetyczny przykład - wyjaśnił Seb. - Ale świetnie, jeśli chcecie, chętnie przyjmę na siebie tę odpowiedzialność.

- Jednakże Kit pozostaje aktywna - podkreślił Oban. - W końcu to dzięki niej oba śledztwa mogliśmy połączyć w jedno.

- Taaa, słyszałem o tym. Co za łut szczęścia!

Wzięłam głęboki wdech. Nie zamierzałam dopuścić do takiego traktowania.

- A co z analizą włókien? - zapytałam. - Czy eksperci ustalili już markę wozu?

Oban potrząsnął głową.

- Możesz zajrzeć do opisu technicznego, jeśli masz ochotę. To jest bardzo szczególne włókno syntetyczne o specyficznej barwie. Z pewnością pochodzi z tego samego źródła, ale nie wiadomo, czy z tapicerki. Równie dobrze mógł to być koc, jakaś szmata, sto innych rzeczy. Niestety, wynik badania nie okazał się zbyt pomocny. - Włożył ręce do kieszeni, w jego oczach widniała pustka. - Muszę już iść. Mam ważne spotkanie z kimś z Home Office. A potem przesłucham ludzi, którzy wyrazili gotowość poszukiwania mordercy. Przynajmniej tak im się zdaje. Banda idiotów z różdżkami.

Zostawił nas. Seb i ja nie wiedzieliśmy, co ze sobą począć.

- Jak tam Poppy? - zapytałam, przypominając sobie w tym momencie, że już zadawałam to pytanie.

- Och, no wiesz. - Patrzył gdzieś ponad moim ramieniem. - Ale chciałem ci powiedzieć, że zamierzałem do ciebie zatelefonować. Poppy nic ci o tym nie wspominała? Megan i Amy przez parę dobrych nocy nie mogły zasnąć po tej twojej opowieści. Budziły się z krzykiem.

- Przykro mi - odparłam. - Nie zdawałam sobie sprawy...

- Nie, żartowałem. Choć to intrygująca idea. Zastanawiałem się nad nią. Przeczytałaś gdzieś o tym?

- Już ci mówiłam, że miałam taki sen po tym wypadku.

- Czerwony pokój. Naprawdę interesująca. Krwawa komnata. Myślisz, że to rodzaj macicy? Twoja matka wcześniej cię osierociła, prawda? Sądzisz, że ten sen wyrażał powrót do łona zmarłej?

Miałam wielką ochotę rąbnąć Seba w głowę czymś ciężkim.

- Nie, nie sądzę - rzekłam. - Ten sen obrazuje moje lęki, ponieważ przeraziłam się rany ciętej na twarzy.

- Możliwe. - Seb się zamyślił. - Pisałaś o tym? Zamierzasz to ogłosić?

- Nie - odpowiedziałam. - Zajmuję się snami innych ludzi.

- To dobrze - oznajmił. - Dobrze.

Wczesnym rankiem następnego dnia zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się głos Obana.

- Weź gazetę.

- Jaką znowu gazetę?

- Jakąkolwiek poranną. Kurwa! - Trzasnął słuchawką. Pięć minut później, gdy zdyszana wróciłam z kiosku przy wejściu do metra, rozłożyłam na stole kuchennym wszelkie możliwe dzienniki. Z pierwszych stron wyzierało na mnie i na Julie zdjęcie dobrze mi znanej twarzy - Michaela Dolla. Nagłówki krzyczały wielkimi literami: „ARESztOWANIE W SPRAWIE MORDERSTWA PIPPY” , „JESTEM NIEWINNY - TWIERDZI PODEJRZANY” , „DZIWNA PRZESZŁOŚĆ PODEJRZANEGO W SPRAWIE ZABÓJSTWA PIPPY”.

Pippa. Znowu to imię. Na całą szerokość stronicy. A gdzie Lianne? Kogo obchodził jej los? Przejrzałam gazety. Było w nich wszystko.

Przesłuchanie, podejrzenie szczegółowa relacja na temat taśm nagranych przez Colette, wypuszczenie Dolla z aresztu, jak napisano „z powodów technicznych”. Podano nawet życiorys Michaela - dom dziecka, pomniejsze przestępstwa na tle seksualnym. Jakaś młoda reporterka z „Daily News” zdołała nawet uzyskać „wyłączny wywiad”, jakby to było trudno młodej i efektownej kobiecie wypytać tego rozpaczliwie samotnego człowieka. Dopiero w tym tekście pojawiła się wzmianka o Lianne. Doli chwalił się, że był w pobliżu miejsca zbrodni. By jeszcze bardziej się pogrążyć, utrzymywał, że nigdy nie był podejrzanym w tej sprawie. Absolutnie nie - upierał się. Był jedynie kluczowym świadkiem, bo okazał się jedyną osobą, która coś zauważyła. W tekst wcięto jego zdjęcie z dumną miną.

Ten jego pokoik. Zamożna i sprytna dziennikarka podała jego dokładny opis. Poszła tam, stając twarzą w twarz z pożałowania godnym, biednym, popieprzonym chłopakiem. Już to samo było oskarżeniem. Artykuł zakończyła ostrożną konkluzją, jakby nad ostatnim akapitem czuwał radca prawny gazety, patrzący jej przez ramię. Nie sugerujemy, że Michael Doli był wmieszany w morderstwo. On nie jest podejrzanym.

Nie znaleziono żadnych dowodów świadczących o jego udziale w zabójstwie Lianne czy młodej matki, Philippy Burton. Jednakże mężczyźni tacy jak on, z fantazją seksualną rozkręconą przez pornograficzne pisemka, z kryminalną przeszłością, stanowią poważne zagrożenie dla społeczeństwa, dla naszych rodzin i dzieci. Ujawniając tożsamość Michaela Dolla, drukując jego fotografię, podając jego adres, nie zalecamy oczywiście jakichkolwiek akcji przeciwko niemu ze strony rozwścieczonych członków społeczeństwa. Byłoby to bezprawne, chociaż zrozumiałe. Czas, żeby sprawą zajęli się nasi politycy. Julie wzięła ten artykuł, wczytując się w jego treść w trakcie śniadania złożonego z kawy i sałatki owocowej.

- Hm - mruknęła. - Nie uchwycono wszystkich jego uroków.

Jednakże następnego dnia Oban poinformował mnie obojętnym tonem, że Doli znajduje się w szpitalu. Przejęty sprawą obywatel podszedł do niego w pubie i zaatakował go rozbitą butelką.

- Teraz i on ma szramę - dodał wesoło. - Dopytywał się o ciebie, ale na twoim miejscu darowałbym sobie tę wizytę.

- Tak, to nie byłby najlepszy pomysł - odparłam, czując w głębi duszy przykre poczucie winy. I postanowiłam wykreślić Dolla z pamięci.



## Rozdział 24

Dwa dni po ataku na Dolla ponownie złożyłam wizytę Bur-tonom. Nie dlatego, że spodziewałam się jakiejś owocnej dla śledztwa rozmowy, ale z tego prostego powodu, że skłonił mnie do odwiedzin sam Oban.

- Z tym facetem dzieje się coś dziwnego.
- Dotyczy to większości ludzi.
- On nie jest tak przejęty, jak powinien być.

Zastanawiałam się, co miał na myśli. Moim zdaniem Jeremy Burton wydawał się pogrążony w żałobie - miał pozbawioną wszelkiej nadziei, zmęczoną twarz, zmarszczki świadczące o rozpaczach. Czy istnieje zatem odpowiednia doza żalu? Jak się ją mierzy? Pomyślałam o tysiącach ludzi, którzy zostawili wiązanki w miejscu, gdzie znaleziono zwłoki Philippy, i oplakiwali młodą matkę, współczując zarazem osieroconej dziewczynce. Czym jest żałoba? Nie dzieliłam się tymi uwagami z Obanem, nie chcąc się wystawiać na jego ironiczną reakcję. Najwyżej zamiast mnie posłałby Seba.

Podjechałam pod dom Burtonów w niedzielę rano, jak sobie życzył Jeremy. Drzwi otworzyła matka Philippy i wprowadziła mnie do lśniącej czystością kuchni. Wszędzie stały kwiaty - przywiedłe aksamitne irysy, pożółkłe stokrotki i mnóstwo białych lili, których ciężki aromat wypełniał całe wnętrze. Gdy mijałam salon, dostrzegłam na stoliku i na kominku stosy listów kondolencyjnych.

Wyjrzałam przez kuchenne okno. Ojciec i córka byli w ogrodzie, siedzieli na żeliwnej ławce plecami do mnie. On, jak zauważyłam, rozwiązywał krzyżówkę, a dziewczynka kopała w powietrzu niewidzialną piłkę. Jeremy chyba poczuł na sobie mój wzrok, bo odwrócił się w moim kierunku. Uniosłam rękę i dałam do zrozumienia, że zejść do ogrodu. Gdy zbliżałam się do niego, idąc przez trawnik, skinął głową. Zastanawiałam się, czy ponownym najściem nie sprawię mu więcej kłopotów, ale nie robił wrażenia niezadowolonego na mój widok. Wymieniliśmy uścisk dłoni. Szybko złożył gazetę, niemniej zdążyłam zauważyć, że nie wpisał do krzyżówki żadnego hasła. Miał na sobie podkoszulek rozpięty pod szyją i szorty koloru khaki, ale w tym swobodnym stroju prezentował się schludnie, a nawet szykownie. Pomyślałam, że niektórzy ludzie zawsze wyglądają porządnie, a inni - nigdy, choćby nie wiadomo co włożyli. Gdyby Doiła wykapać, ostrzyc, ogolić, zrobić mu manikiur i ubrać w garnitur za tysiąc funtów, i tak nadal robiłby wrażenie niedomytego i zaniedbanego. Nie sposób zmyć przeszłości.

- Popatrz - odezwała się Emily.

Kucnęłam obok niej. Rozłożyła na ławce swoje skarby. Był tam jeden okrągły i jeden kanciasty kamyk, patyk rozdwojony na końcu, piórko, kępka mchu, różowa piłeczka oblepiona błotem, zniszczona kocia obróżka, drewniana łyżeczka do lodów i plastikowa rurka.

- Popatrz - powtórzyła i otworzyła piąstkę. Na jej malutkiej dłoni leżała muszelka.

- Gdzie ją znalazłaś? - spytałam.

Wskazała na zwirowaną przestrzeń pod oknem kuchennym.

- Śliczna - powiedziałam, podczas gdy Emily zacisnęła piąstkę. Była ubrana we wzorzystą sukieneczkę. Włosy miała spięte za uszami, co sprawiało, że jej twarzyczka wydała mi się szczuplejsza niż poprzednim razem.

- Chcę ją dać mamie - oznajmiła poważnym tonem. Zerknęłam na jej ojca.

- Ona chce, żeby położyć te skarby do grobu Phil - wyja-

śnił. - To był pomysł mojej teściowej, która zasugerowała Emily, żeby zebrała najulubieńsze rzeczy dla mamusi. Nie wiem, czy to ma sens. Dziecko rozumie to zbyt dosłownie. - Nad jego nosem ukazała się głęboka zmarszczka.

- Co jeszcze znalazłaś? - zwróciłam się do dziewczynki. Posłusznie zsunęła się z ławki z muszelką w zaciśniętej rączce, a drugą zaczęła zgarniać swoje skarby.

- Chodź tu i zobacz - rzekła.

- Czy mogę przyjść za chwilę? Najpierw chciałabym porozmawiać z tatą. Kiwnęła głową. Kamyki, mech i plastikowa rurka spadły na ziemię. Mała uklękła i zaczęła je zbierać. Ojciec nie wykonał żadnego gestu, by jej pomóc. Włożył ręce do kieszeni szortów, pod pachą trzymał złożoną gazetę. Popatrzyłam na niego. Twarz miał pobrużdżoną, jakby zmiętą.

- Wiesz co, Emily, najlepiej będzie, jak zanieziesz te wszystkie rzeczy do swojego pokoju, a ja tam potem zajrzę i jeszcze raz mi pokażesz, co wybrałaś dla mamy, dobrze?

- Obiecujesz?

- Tak.

- Nie zapomnij tego. - Wskazała rurkę leżącą u mych stóp.

- Bądź spokojna.

Oboje obserwowaliśmy, jak się oddala w stronę domu.

- Ona wyobraża sobie, że Philippa wróci.

- Och, tak? - Wpatrywałam się w jej wyprostowane plecy i chude nóżki, póki nie zniknęła w kuchennych drzwiach.

- Może pani usiądzie? - Wskazał mi ławkę.

- Dziękuję.

- Kawy?

- Nie, nic mi nie potrzeba. Również usiadł, ale na drugim krańcu.

- Słyszałem o pani wkładzie w śledztwo.

- O, nie ma o czym mówić.

- Chyba pani nie doceniałem.

- Jak się panu wiedzie? - zapytałam.

- W porządku.

- Sypia pan?

- Tak. To znaczy niezupełnie. Budzę się i... - Urwał.
  - A jak z apetytem? Kiwnął głową.
  - Kilka dni temu rozmawiałam z Tess Jarrett. Powiedziała mi, że na parę tygodni przed śmiercią Philippa sprawiała wrażenie wytrąconej z równowagi. Czy pan potwierdza jej spostrzeżenia?
  - Nie, nie potwierdzam. - Czekałam, czy coś doda. - Przepraszam, to wszystko, co mogę na ten temat powiedzieć.
  - Czy nie odniósł pan wrażenia, że coś ją nękało? Jak nieobecny gapił się w trawę pod swoimi nogami.
  - Wydawało mi się, że była taka, jak zazwyczaj.
  - Proszę mi opowiedzieć o nocy przed jej śmiercią. Opisać wasz ostatni wspólny wieczór.
- Westchnął ciężko i zaczął mówić monotonnym głosem:
- Wróciłem z pracy około siódmej. Emily leżała już w łóżeczku, a Philippa czytała jej bajkę. Oboje pożegnaliśmy małą.
  - Co dokładnie powiedziała Philippa, mówiąc córeczce dobranoc?
  - Co powiedziała? - Mrugnął parę razy powiekami. - Wie pani, że nie mogę sobie przypomnieć. Zeszliśmy na dół, nalałem nam obojgu trochę wina i razem wyszliśmy do ogrodu. Był ładny wieczór. - Jego głos nabrał nieco barwy. - Kolację zjedliśmy na zewnątrz, o tam. - Wskazał ręką stolik w patio.
  - Co państwo jedli?
  - Grecką potrawę. Moussaka. I sałatę.
  - O czym rozmawialiście?
  - Nie pamiętam. - Spojrzał na mnie zrozpaczony. - Niczego nie mogę sobie przypomnieć, prócz jednej jej uwagi. Philippa zapytała mnie, czy sądzę, że się trochę zestarzała.
  - I co pan na to odparł?
- Bąknął coś pod nosem, czego nie mogłam zrozumieć.
- Musiałem odpowiedzieć, że dla mnie jest zawsze piękna, ale nie zacytuję dokładnie.
  - Czyli innymi słowy, nie dostrzegł pan u żony niczego zagadkowego, a w waszych kontaktach nie nastąpiła żadna zmiana?

Odezwał się jakby zbudzony z głębokiego snu.

- Czy ona była inna? Nie rozumiem, do czego pani zmierza. Czy myśli pani, że miało to coś wspólnego ze mną? Albo z nią? Nie była w depresji. Nie piła. Nie brała narkotyków. Nie bywała w okolicach Kersey Town, jak tamta dziewczyna...

- Lianne.

- Właśnie. Wstawała rano i przygotowywała mi śniadanie. Zajmowała się domem. Wychowywała Emily. Spotykała się z przyjaciółmi. Była szczęśliwa. Rozmawiała ze mną o ewentualnym powrocie do pracy zawodowej. Pragnęła kiedyś powiększyć rodzinę. Wkrótce. - Głos lekko mu się załamał. - I nagle, któregoś dnia, po zrobieniu śniadania i posprzątaniu w domu, wyszła z dzieckiem na spacer i została zamordowana. Koniec opowieści. W każdym razie tak uważa policja i ten drugi lekarz, który zaglądał tu, żeby zadać mi parę pytań. Jeśli pani ma powody, by sądzić inaczej, proszę mi je wyjawić. Chcę wiedzieć.

Wstałam.

- Przepraszam, że sprawiam panu ból. - Schyliłam się i podniosłam z trawy kawałek mchu, plastikową rurkę, dwa kamyki. - Pozwoli pan, że odniosę to Emily?

- Ona jest pewnie w swoim pokoju. Drzwi na wprost ze schodów.

- Dziękuję.

Emily układała na półce plastikowe zwierzątka. Kucnęłam obok niej, trzymając w obu rękach przedmioty zebrane w ogrodzie.

- Przyniosłam ci twoje skarby.

- Czy słonie idą razem z lwami czy z konikami?

- Gdybym ja miała decydować, postawiłabym je z lwami. Czy chcesz mi pokazać, co jeszcze zebrałaś dla twojej mamy?

Wstała i podeszła do łóżeczka, spod którego wyciągnęła duże kartonowe pudło. Po kolei wyjmowała z niego różne rzeczy: słoik po dżemie, zakrętkę, kupony z opakowań po płatkach, trzy guziki, sznurek plastikowych koralików, kulkę ze szkła, jakiś ścinek pomarańczowego materiału, pognieciony papier

do pakowania prezentów, porcelanowego pieska odłupanego w paru miejscach, jabłko. Wpatrywałam się w jej buzię. Dziewczynka była całkowicie pochłonięta tym, co robiła.

- Którą z tych rzeczy lubisz najbardziej? Wskazała na szklaną kulkę.

- A która najbardziej podobałaby się twojej mamie?

Po chwili wahania pokazała palcem na pomarańczową szmatkę.

Drzwi się otworzyły i matka Philippy wsunęła głowę.

- Przepraszam - rzekła stanowczym, lecz miłym głosem. - Lada chwila do Emily przyjdzie koleżanka. - Dała mi do zrozumienia, że wślizgnęłam się tutaj wbrew jej woli.

- Oczywiście - odpowiedziałam i zaczęłam wkładać wszystkie przedmioty do kartonu. - Dobranoc, Emily.

- I muszelka - dodała mała, nie podnosząc wzroku. - Muszelka jest śliczna. A mama lubiła ładne rzeczy.

Albie zadzwonił. Chciał się tylko dowiedzieć, jak mi idzie, oświadczył.

Trzymałam słuchawkę ostrożnie, jakby mogła mnie zranić. Czekaliśmy, aż któreś z nas powie coś więcej. A potem pożegnaliśmy się grzecznie.

Zatelefonowałam do ojca, lecz go nie zastałam. Chciałam, żeby ktoś mi powiedział: „Życie jest ciężkie, ale - moja kochana - nie martw się,

wszystko będzie dobrze”. Pragnęłam, żeby ktoś przytulił mnie i pogładził

po włosach. Tęskniłam za matką. Głupie to może, ale prawdziwe. Czy to uczucie nigdy nie minie? Czy będę tęskniła za matką do końca moich dni?

Znowu podniosłam słuchawkę i chciałam wykręcić numer Willa. W

mieszkaniu panowała taka cisza, że słyszałam cykanie zegarka na ręce,

bicie serca, drżenie liści za oknem. Nie zadzwoniłam. Co miałabym mu powiedzieć? Jestem sama, zajrzyj i przytul mnie?

Nalałam sobie kieliszek wina i zapaliłam dwie świece. Zgasłam lampę i

rozłożyłam się na sofie. W półmroku bzyczał komar. Znowu zaczęło

padać i wiatr szarpał gałęziami. Co ja

o nim wiem? Nic prócz tego, że rzucił pracę w City, żeby prowadzić schronisko dla bezdomnej młodzieży, która pozostała bez żadnej opieki. Ze policja mu nie ufa i podejrzewa, że w ośrodku odbywa się handel narkotykami. I że jest zgorzkniały, zły i mroczny. Pragnęłam go teraz, bo tak bardzo różnił się od pełnego życia Albiego, wyglądał jak kruk, samotne ptaszysko. Chciałam przytulić się do jego wymizerowanego ciała i sprawić, żeby nam obojgu było lepiej.

Nie zadzwoniłam do Willa, ale on sam przyszedł do mnie. Następnego wieczoru, kiedy już leżałam w łóżku po ciężkim dniu, ktoś zadzwonił do drzwi. Włożyłam szlafrok i spojrzałam na zegarek. Było już po północy. Pewnie Julie znów zapomniała kluczy. Potknęłam się przy drzwiach, nadal nierozbudzona. Stał na progu i gdy mnie zobaczył, raczej mną potrząsnął, niż mnie objął.

- Nie mogłem spać - oznajmił.

Cofnęłam się i wtedy ruszył za mną po schodach. Usiadł na sofie, nalałam mu pełną szklaneczkę whisky, a sobie dużo mniej. Żałowałam, że mam włosy w nieładzie i znoszony szlafrok. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Will wydał mi się nagle taki wielki i obcy w pustym mieszkaniu. Jak śmiałam go pocałować, marzyć o nim? Siedzieliśmy bez słowa, pijąc alkohol. Nawet nie zdjął płaszcza, tylko wpatrywał się w szklanekę, jakby tam szukał na coś odpowiedzi.

Wreszcie to ja uczyniłam pierwszy ruch, bo już nie mogłam siedzieć dłużej w milczeniu. Podeszłam do sofy i nachyliłam się nad nim. Nie pocałowałam go - to byłby zbyt intymny gest. Odpięłam guziki jego płaszcza, a potem koszuli, aż ujrzałam nagi tors. Nie wykonał żadnego gestu, miał zamknięte oczy, gdy dotknęłam jego skóry niepewnymi rękami. Wreszcie uniósł dłonie i na oślep głaskał mnie po twarzy. Gdy siadłam mu na kolanach, odgarnął połę mojego szlafroka i przytulił głowę do piersi, wsłuchując się w bicie serca.

- Powinnaś być ostrożna - mruknął.

Nie wiedziałam, co miał na myśli i wcale mnie to nie obchodziło.

Byliśmy jedynie obcymi sobie ludźmi, spragnionymi pociechy. Deszcz coraz gwałtowniej bił w szyby.

## Rozdział 25

Gdy zadzwieczył telefon, natychmiast sobie uprzytomniłam, że dzwoni o dziwnej porze. Za oknami było jeszcze ciemno, powieki miałam zlepione snem. Jak długo spałam? Bez wątpienia znajdowałam się we własnym łóżku, ale czułam się jakby nie u siebie. Leżałam nie po zwykłej stronie, lecz po tej, którą kiedyś zajmował Albie. Gdy wyciągnęłam rękę, okazało się, że jestem sama. Z tego wszystkiego rozbolał mnie brzuch. Will znikł.

- Tak? - Tylko tyle potrafiłam wykrztusić do słuchawki.

- Czy to Kit?

- Kto mówi?

- Furth. Nic ci nie jest?

- Co? - spytałam nieprzytomnie. - Właśnie mnie obudziłeś.

- Wysłaliśmy po ciebie samochód. Możesz się pozbierać i wyjść przed dom?

- Po co?

- Szef przekazał mi, że spotka się z tobą w szpitalu.

- W którym szpitalu? Zapanowała cisza.

- Co za różnica w którym?

- Nie wiem. Co się stało?

- Nie mam czasu tłumaczyć. Dowiesz się o tym w drodze. Możesz wstać? Czy mam powiedzieć, że nie dasz rady?



Dopiero teraz mój mózg zaczynał się powoli rozkręcać, jak jaszczurka grzejąca się na skale w porannym słońcu. Nareszcie mogłam zebrać myśli. Na przykład dotarło do mnie, że Furth byłby bardzo zadowolony, gdybym powiedziała, że jestem zbyt zmęczona.

- Nie ma sprawy - rzekłam prawie różnym głosem. - Gdzie się spotykamy?

- Kierowca zna adres - rzucił i się rozłączył.

A więc już wysłali po mnie wóz. Zostało mi zaledwie kilka minut.

Weszłam pod prysznic, odkręciłam kran z lodowatą wodą i na moment zamyśliłam się o Willu. Obejmowaliśmy się jak dwoje tonących pływaków. Kto kogo ciągnął na dno? O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego uciekł jak złodziej? Przekręciłam rączkę prysznica na lewo i gorąca woda aż poparzyła mi skórę. Myślałam o wyrazie jego twarzy, gdy przeżywał orgazm. To było jak łkanie; wzruszyła mnie bliskość drugiej istoty, której od tak dawna mi brakowało. I wtedy ja poczułam rozkosz, chyba od patrzenia mu w oczy. Ścisnął mnie tak mocno, aż się przestraszyłam, a teraz odszedł. Więc to tyle? - powtarzałam w duchu. Szybko się wytarłam i zaczęłam się ubierać. Zapinałam bluzkę, gdy w drzwiach pojawiła się Julie, zupełnie naga. Pewnie nie oglądała filmów, w których heroina po wstaniu z łóżka okręca się kosmatym ręcznikiem. Zastanawiało mnie, czy chce w ten sposób pokazać irytująco duże piersi w stosunku do szczupłej figury, ale przecież wiedziałam, że nie jest taka próżna. Po prostu nie zwracała uwagi na swoją nagość, co ja uważałam za jeszcze bardziej niepokojące.

- Co się dzieje? - wymamrotała. - Pali się?

- Praca - rzuciłam lakonicznie. - Coś się wydarzyło, ale nie wiem, co.

- Boże - jęknęła. - Pewnie coś ważnego.

- Naprawdę nie mam pojęcia. Ktoś zatelefonował. - Nadal byłam tak senna, że nie potrafiłam sformułować zdań złożonych.

- Chcesz trochę kawy? - Julia wyraźnie chciała mi się przysłużyć.

- Chyba już nie zdążę. Zaraz podjedzie po mnie samochód. Julie się uśmiechnęła.
  - Słyszałam, że nie byłaś sama w nocy.
  - Od kogo?
  - Od nikogo. Słyszałam przez ścianę.
  - Na miłość boską, Julie...
  - Nie, nie - rzekła szybko. - Przecież nie podsłuchiwałam. Nic nie mogłam na to poradzić. Ściany są cienkie jak papier...  
Czułam, że oblewam się rumieńcem.
  - Och, to okropne. Przepraszam, że nie dałam ci spać. Myślałam, że gdzieś wyszłaś.
  - To prawda, ale wróciłam. Daj spokój, niech ci nie będzie wstyd. Należy ci się trochę radości od życia.
  - Nie jestem pewna, czy była to aż taka radość - odparłam, czując się trochę jak pruderyjna krewna Julie.
  - Co ty powiesz? - Tym razem na jej twarzy odmalowała się troska. - No, brzmiało rajcownie. A kim był on?  
Wzięłam głęboki wdech.
  - Tak się złożyło, że to Will. No wiesz, Will Pavic.
  - Chryste - jęknęła. - To obłąkane. To znaczy... świetnie. Pavic. Boże. On też już nie śpi?
  - Nie. Trzeba trafu, że wyszedł.
  - Wyszedł? Coś podobnego! Niewiarygodne. Kiedy wrócisz, chcę, żebyś mi wszystko szczegółowo opowiedziała.
  - Julie! Po pierwsze, nie zamierzam ci zdradzać żadnych szczegółów. Po drugie, i tak chyba wszystko wiesz. - Rozległ się dzwonek do drzwi. Rozdarł ciszę nocną jak alarm przeciwpożarowy. - A po trzecie, muszę iść.
- Gdy wychodziłam, Julie powtarzała:
- Will Pavic. Fantastyczne. Niezwykłe. Ale czy on nie jest trochę dziwny? Potrząsnęłam głową i zamknęłam za sobą drzwi. Mężczyzna w garniturze otworzył mi drzwiczki. Auto wyglądało jak taksówka bez oznakowania.
  - Pani jest doktor Quinn?
  - Czy pan mnie wiezie na spotkanie z inspektorem Obanem?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Mam panią podzucić do szpitala St. Edmund's.

- Zgoda.

Kiedy ruszyliśmy, zapytałam, czy wie, o co chodzi. Ponieważ oznajmił, że nie ma pojęcia, resztę trasy przebyłam w milczeniu, patrząc przed siebie. Dochodziła trzecia w nocy, ale Londyn nigdy nie śpi. Jeździły ciężarówki rozwożące prasę, czasami mijał nas jakiś samochód, dokądś spieszyli przechodnie - garstka tych, którzy zarwali noc, mieszała się z ludźmi rozpoczynającymi pracę daleko od domu na rannej zmianie.

Nagle poczułam szybkie uderzenia pulsu. Zastanawiałam się, co mnie tym razem czeka. Kolejne morderstwo? Aresztowanie? Kogo? Co jeszcze mogło być tak ważne, żeby mnie zrywać w środku nocy?

- Pani jest prawdziwym doktorem? - spytał kierowca.

- Raczej tak.

- Zna pani ludzi z tego szpitala?

- Nie z nocnego dyżuru.

Samochód podjechał pod izbę chorych. Na warcie stał umundurowany policjant. Gdy wysiadłam z auta, mruknął coś do krótkofalówki. Coś w niej zaskrzeczało w odpowiedzi. Nie mogłam zrozumieć ani słowa.

- Jestem Kit Quinn.

- Tak - odrzekł. - Zaprowadzę panią na górę. Spędziłam sporo czasu w miejscach, gdzie człowiek zawsze

czuje się nieswojo - na lotniskach, w komisariatach policji, w szpitalach.

Do pewnego stopnia lubię je za to, że ruch trwa w nich dwadzieścia cztery

godziny na dobę, nawet wtedy, gdy na dworze jest zupełnie ciemno, a

zwykli obywatele głęboko śpią. Na podjeździe stały karetki, przemknął

obok mnie lekarz, potem kilka pielęgniarek, z różnych kierunków

dobiegały krzyki. Młoda bledziutka kobieta w białym płaszczu siedziała

w rogu, pijąc kawę z papierowego kubka i jedząc gumowatego

sandwicza; jednocześnie usiłowała wypełnić formularz. W holu wrzało.

Policjant w mundurze przeprowadził mnie przez ciżbę, potem weszliśmy

na schody i ruszyliśmy długim korytarzem. Z odległości bodaj

pięćdziesięciu metrów

ujrzałam Obana siedzącego na ławce. On też mnie zauważył, więc poczułam się trochę skrępowana, że zbliżam się bez słowa, ale w tym miejscu trudno było wykrzykiwać z daleka słowa powitania. Kiwnął głową, po czym udał, że ogląda sobie paznokcie, jakby spostrzegł w nich coś fascynującego. Wreszcie spojrzął mi w oczy.

Byłam zaintrygowana wyrazem jego twarzy. Czy malował się na niej smutek? A może triumf? Nie mogłam się zdecydować. Doszłam w końcu do wniosku, że Oban wygląda jak zmartwiony krewny spragniony wieści o stanie zdrowia chorego kuzyna, albo jak przygnębiony ojciec czekający na werdykt lekarza. W każdym razie przedstawiał sobą żalosny widok. Nieogolony, w pomiętym ubraniu, szary ze zmęczenia.

- Kit, dzięki, że się pofatygowałaś - mruknął.

- No więc? - spytałam. - Co się dzieje? Kolejne morderstwo?

- Nie - odparł, starając się na siłę uśmiechnąć. - Sądzę, że wygrałem z tobą zakład. Jeśli się zakładaliśmy. Szkoda tylko, że wcale mnie to nie cieszy.

- Jaki zakład?

- Zdaje się, że powiedziałem coś w tym rodzaju: morderca będzie krążył samochodem i ponownie zaatakuje, gdy tylko będzie miał sposobność. Ty miałaś wątpliwości. I oto ruszył do ataku. A przynajmniej próbował zabić kolejną ofiarę.

- O czym ty mówisz? Kto leży w tym pokoju?

- Pani lub panna, bo nie wiem, czy jest mężatką, Bryony Teale.

Trzydzieści cztery lata.

- Czy jest ciężko ranna?

- Ucierpiała nie tyle fizycznie, ile psychicznie. Poprosiłem, aby lekarz dyżurny porozmawiał z tobą.

- Co się stało?

- Bryony Teale, biedna dziewczyna, spacerowała wieczorem wzdłuż kanału. Ludzie zachowują się tak, jakby wychodzili na przechadzkę nad rzeczkę w swojej wsi. Zaczepił ją jakiś mężczyzna i następnie zaatakował. Jednakże w trakcie szarpaniny pojawiło się na ścieżce dwoje ludzi. Napastnik zbiegł. Słysząc było, jak odjechał z dużą szybkością.

Przez chwilę stałam w milczeniu, gorączkowo myśląc. - Czy jesteś pewien, że między tym napadem a naszymi morderstwami istnieje jakiś związek?

- Badamy to. Ale to był ten sam punkt, niemal metr od miejsca, w którym znaleziono zwłoki Lianne. Fakt wydaje się dość znaczący.

- Cholera jasna! A świadkowie?

- Tak, jest dwóch.

- Czy podali opis samochodu? Oban ponuro pokręcił głową.

- To byłoby zbyt łatwe, prawda? Zajęli się Bryony. Dziewczyna była w okropnym stanie.

- A ona niczego nie zeznała?

- Jeszcze nie. Jest w głębokim szoku. Z trudem duka pojedyncze słowa.

- Więc co ja tu robię?

- Chcę, żebyś z nią porozmawiała. Teraz lub trochę później, gdy tylko odzyska mowę. Zrób wszystko, żeby coś z niej wyciągnąć. Zahipnotyzuj ją, poświeć jej w oczy, kołysz wahadłem, tylko dowiedz się, na miłość boską, co ona wie.

- Dobrze. A co z Sebem?

- To nie jest jego działka. Nie martw się, biorę to na siebie. A poza tym lepiej, żeby tę dziewczynę przepytowała kobieta.

- Doktor Quinn?

Odwróciłam się. Stał przede mną łysiejący mężczyzna o bardzo bladej skórze, mniej więcej w moim wieku, spoglądający na mnie z ledwie skrywaną niechęcią. Przeszkadzaliśmy mu - zajmowaliśmy przestrzeń i czas. On zdawał się przebywać w kilku miejscach równocześnie.

- Tak, to ja.

- Jestem doktor Steen. Pani zapewne przybyła, żeby zobaczyć się z Bryony Teale. - Zerknął do karty chorobowej. - Ona nie jest moją pacjentką, ale sprawdziłem wyniki badań. Brak głębszych zranień prócz zadrapań naskórka. Jest w szoku, co zrozumiałe. Doktor Lander zastosował typową terapię - nawodnienie, ogrzanie wychłodzonego ciała, dalsza obserwacja. Rano powinna poczuć się dużo lepiej.

- Czy ma krewnych? Ktoś z nich został powiadomiony? Seen zmarszczył brwi.

- Ona nie jest moją pacjentką. Przykro mi.

- Czy mogę z nią porozmawiać?

Znowu zerknął do teczki z dokumentacją chorej, jakby w niej szukając ratunku.

- Nie wiem - odrzekł z wahaniem. - To chyba nie jest najlepszy moment.

- Proszę się nie obawiać - powiedziałam uspokajającym tonem. - Często mam do czynienia z pacjentami w podobnym stanie. Będę bardzo ostrożna.

- No dobrze - odparł z ociąganiem. - Jest u niej pielęgniarka. Ja muszę pędzić.

I zniknął.

- Czyli - spytałam Obana - mam wejść?

- Tak, cokolwiek to nam da.

Położyłam rękę na klamce, ale się zawahałam.

- Nie rozumiem - rzekłam. - Przynajmniej raz wydarzyło się coś pozytywnego dla naszego śledztwa. Mamy świadków. Nikt nie został zabity. Dlaczego jesteś taki ponury?

- Nie jestem ponury - odpowiedział Oban. - Jedyne skołowany. A tego nie lubię.

- Co masz na myśli?

- Nie wspomniałem ci o czymś.

- O czym?

- O tych dwóch świadkach, którzy uratowali Bryony.

- Tak?

- Jednym z nich jest Mickey Doli.

## Rozdział 26

Chciałabym ujrzeć własną minę.

- Doli? - powtórzyłam bezdennie głupim tonem. Oban wpatrywał się we mnie z udręką i kiwał głową. - On znowu jest świadkiem?

- Zgadza się...

- Ale to... - Zamilkłam. Nie wiedziałam, co mam odpowiadać, co myśleć.

- Taaa...

- Ale dlaczego?

- Rozpracowujemy tę zagadkę.

Zapadła długa cisza. Byłam niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu, gestu, nic nie przychodziło mi do głowy. Wreszcie zebrałam się w sobie.

- Lepiej porozmawiam z tą kobietą.

Pierwszą rzeczą, jaka mnie uderzyła, były jej włosy - długie, barwy dojrzałej moreli. Drugą to ręce zaciśnięte na prześcieradle, którym ją przykryto. Zbliżyłam się do łóżka, pozostawiając za sobą dyżurną pielęgniarkę - postawną kobietę poruszającą się jak krążownik. Jej buty na gumie skrzypiały na linoleum.

- Proszę jej teraz nie denerwować - rzekła do mnie, biorąc do swej ogromnej łapy rękę pacjentki. Ścisnęła ją lekko w nadgarstku i trzymała przez minutę. Z przekrzywioną głową wsłuchiwała się w puls chorej. Potem podeszła do drzwi i delikatnie zamknęła je za sobą.

- Cześć, Bryony - odezwałam się, widząc, że dziewczyna wpatruje się we mnie niezbyt przytomnym wzrokiem. Miała rozszerzone źrenice. Przynęłam metalowe krzeselko i usiadłam, zauważywszy w tym momencie, że włożyłam skarpetki nie od pary. - Mam na imię Kit.

- Dzień dobry - wymamrotała. Usiłowała podciągnąć się na poduszce, a wtedy morelowe włosy opadły jej na policzki. Miała niezwykle atrakcyjną twarz - nieco płaską, z wyraźnymi kośćmi policzkowymi i mocno zarysowaną szczęką. Oczy były piwne, a raczej złotawe.

- Przeżyłaś szok - ciągnęłam. - Teraz jednak jesteś już bezpieczna. Nie musisz się niczego obawiać. W porządku?

Skinęła głową i starała się uśmiechnąć.

- Przykro mi - wyjąkała. - Przykro mi, że jestem taka słaba. Uśmiechnęłam się do niej promiennie.

- Nie tłumacz się. Czy potrzebujesz czegoś? Masz ochotę na coś do zjedzenia?

- Nie.

- Spójrz, zaczyna świtać. - Wskazałam na małe okno. Ciemności zamieniały się w lekką szarość. - Noc już prawie za nami.

- Chcę wrócić do domu.

- Na pewno wkrótce zostaniesz zwolniona ze szpitala. Gdzie jest twój dom?

- Dom - powtórzyła z wahaniem i uniosła rękę do twarzy. -Dlaczego tak dziwnie się czuję?

- Przeszłaś okropne rzeczy. To normalne, że po czymś takim człowiek czuje się, jakby nie był sobą.

- Jak ludzie po katastrofie na stadionie piłkarskim?

- Tak.

- Ale ja nie jestem kibicem. - Wodziła palcem po twarzy, jakby chciała sobie przypomnieć własne rysy. - Co się stało?

- Nie pamiętasz? - Uzmysłowiłam sobie, że Oban, kiedy dowie się o jej amnezji, wpadnie w jeszcze większą rozpacz.

- Przypominam sobie jakieś fragmenty, jak we mgle. Proszę mi powiedzieć, co się wydarzyło. Bardzo proszę. - Nachyliła się i delikatnie pogłaskała mnie po rękę.



Pomyślałam o tych okropnych, mrocznych sekundach w komisariacie przy Stretton Green, o mojej twarzy zalanej krwią.

- Wczoraj wieczorem zostałam zaatakowana nad kanałem. Miałam jednak szczęście. Dwóch mężczyzn rzuciło ci się z pomocą. Twój napastnik zbiegł. Oczywiście, wszystko, co sobie zdołasz przypomnieć, będzie bardzo ważne dla śledztwa, ale nie chcę cię teraz naciskać. Pamięć wróci ci sama, tylko staraj się nie blokować złych wspomnień.

Kiwnęła głową i usiadła wyżej, okręcając się prześcieradłem.

- Głowa mnie boli - jęknęła. - I strasznie chce mi się pić. Czy mogłabym dostać szklanek wody?

Nalałam wody z dzbanka stojącego na szafce. Plastikowe naczynko miało dzióbek. Jej ręka jednak gwałtownie drżała, więc parę kropel wylało się na pościel. Przytrzymała kubek obiema dłońmi.

- Dziękuję - powiedziała. - Boże, jaka ja jestem zmęczona. Czy Gabriel przyjdzie tu wkrótce?

- Gabriel?

- No tak, mój mąż.

- Jestem pewna, że policja skontaktuje się z nim.

- To dobrze. - Wyczerpana opadła na poduszki.

- Bryony, zanim się zdrzemniesz, możesz mi opowiedzieć, co zapamiętałaś?

- Pamiętam... pamiętam cię w mroku. Ktoś wynurzył się z ciemności. -

Zacisnęła powieki. - I ktoś krzyknął. - Szeroko otworzyła oczy. - Nie

mogę - zaszlochała. - Proszę! Jeszcze nie teraz, to takie straszne. Ledwie uda mi się schwytać jakiś fragment, zaraz umyka. Jest jak sen, którego nie mogę sobie przypomnieć. Okropny, dręczący sen.

- Dobrze. Nie spieszmy się. Czy przypominasz sobie mężczyznę, który cię zaatakował?

- Nie! Nie, choć przecież jego powinnam była zapamiętać, prawda? Czy też wręcz przeciwnie?

- A pamiętasz tych ludzi, którzy przyszli ci z pomocą? - spytałam, starając się nadać swemu głosowi jak najbardziej naturalny ton.

- Co takiego? - Zamrugła powiekami, przetarła twarz dłonią.
- Czy widziałaś ich przedtem, tych dwóch mężczyzn?
- Czy widziałam? Nie. Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Kim oni są? Zaraz, chwileczkę...

Wstałam i podeszłam do okna. Świtało. Okno wychodziło na inny pokój. Zauważyłam w nim puste łóżko, szafkę, aparat telefoniczny na kółkach, dokładnie taki, jaki stał przy Bryony. Mózg pracował mi na najwyższych obrotach. Co do diabła Doli tam robił? Będę musiała porozmawiać także z nim. Ale trochę później. Usta miałam wyschnięte od whisky wypitej poprzedniej nocy, bolały mnie gałki oczne. Na gwałt potrzebowałam kofeiny.

- Nie wiem - powtórzyła. - Bardzo mi przykro.
- Bryony, posłuchaj. - Zbliżyłam się do niej. Wpatrywała się we mnie bez słowa. - Jest ogromnie ważne, żebyś przypomniała sobie cokolwiek, nawet jakiś drobny szczegół, który tobie może się wydawać zupełnie nieistotny. Powiedz o tym komuś. Policji. Mnie. Komukolwiek. Tylko powiedz, dobrze?

Kiwnęła głową. W tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem. Oban zajrzał do pokoju, mówiąc:

- Pani Teale, ma pani gościa. To znaczy, pani mąż tutaj idzie.
- Bryony, zostawiam cię teraz, ale zajrzę później, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziałam, idąc w kierunku drzwi. Oban wpatrywał się we mnie z widocznym niepokojem na twarzy. Kobieta potwierdziła gestem dłoni, że zgadza się na mój powrót i przymknęła oczy.
- No i co? - syknął, gdy tylko znaleźliśmy się na korytarzu.
- Ona prawie nic nie pamięta.
- O, kurwa. - I po chwili: - Kurwa, kurwa, kurwa.
- Ale sobie przypomni - dodałam. - Jest nadal w szoku. Dajmy jej trochę czasu.
- Czasu, powiadasz. Tego właśnie nie mamy. A co będzie, jeśli morderca znowu zaatakuje?

Minął nas wysoki mężczyzna. Domyśliłam się, że to mąż Bryony. Miał pięknie sklepiony nos, ciemne włosy i krzaczaste brwi. Przypominał cesarza rzymskiego z książek, które czytałam w dzieciństwie.

- Czy chcesz, żebym z nią później porozmawiała?
- Zechcesz to zrobić?
- Jasne. Przecież sam mówiłeś, że najlepiej, aby przesłuchi-wała ją kobieta, biorąc pod uwagę, co jej się przydarzyło.
- Zgoda - mruknął.
- A co z Doilem? Jego też mam zobaczyć?
- Kur... - powtórzył. - Sam nie wiem. On jest teraz w komisariacie, składa zeznanie.
- A zatem wykluczone, by on był tym napastnikiem? - zapytałam ostrożnie.
- O Boże! Kit, zapytaj mnie o to za kilka godzin, dobrze? Drugi świadek jest także u nas. Na szczęście tym razem to sensowny gość.
- To znaczy mężczyzna w garniturze, z komórką, tak?
- Taaa, no właśnie. W każdym razie teraz wracam do siebie, więc może dowiem się czegoś więcej. - Zaklął pod nosem. - Ale tylko może - dodał.
- Dobrze, zadzwoń do mnie na komórkę, bo pewnie nie będę pod telefonem.
- W porządku. Dzięki. - Widać było, że jest czymś głęboko zaabsorbowany. Jego zwoje mózgowe obracały się pewnie jak młyńskie koło w wodzie gęstej od mułu.
- Wiesz, co mnie tak gryzie?
- Co?
- Mamy trzech świadków, jeśli liczyć tego pieprzonego Mickeya Dolla. Jednym z nich jest mała osierocona dziewczynka, drugi znajduje się w szoku. A trzeci to porąbany zboczeniec, który nie umie zliczyć do trzech, a na dodatek znajduje się na liście podejrzanych. Ludzie, dajcie mi żyć!
- Poczekaj trochę. Może nastąpi jakiś przełom.
- Może.
- A zatem porozmawiamy później.

Szarym świtem odwożono mnie do domu autem policyjnym. Na ulicach panował już duży ruch. Mokra jezdnia błyszczała w pierwszych promieniach słońca. W kioskach podniesiono metalowe żaluzje. Azjatyccy sprzedawcy układali na straganach pomarańcze i koszyczki śliwek. Wóz śmieciarzy jechał wolno, a jeden z pracowników co chwila podnosił pękate plastikowe torby pozostawione na chodniku. Oparłam głowę i przez boczną szybę oglądałam mijany Londyn. Myślałam o Willu i jego zaciętej twarzy w blasku świateł, o Bryony Teale z jej morelowymi włosami, niepewnym uśmiechem i drżącymi rękami. Wyobraziłam ją sobie razem z Philippą i Lianne. Dotknęłam blizny na policzku. Witamy w klubie - powiedziałam w duchu. A potem postanowiłam w ogóle nie myśleć.

## Rozdział 27

Julie ciągle spała. Słyszałam, jak się wierci na tapczanie w pokoju, który dawno temu miał być moim gabinetem. Nastawiłam czajnik i wsypałam do młynka sporo ziaren. Przykryłam go ścierką, żeby nie hałasował, ale był to zbyt ciężki trud, bo Julie nadal spała w najlepsze. Wsadziłam nos do świeżo zmielonej kawy i wciągnęłam jej aromat. W lodówce znalazłam samotną nektarynkę, którą przekroiłam na ćwiartki i położyłam na talerzyku obok kubka z greckim jogurtem. Piłam mocny, aromatyczny napar małymi łykami, zagryzając owocem i zawieszonym jogurtem. Była siódma rano.

Musiałam się zastanowić nad rozmową z Doilem i pewnie z tym drugim świadkiem. Miałam w planie ponowne odwiedzin u Bryony Teale. I bardzo chciałam zobaczyć Willa. Uniosłam dłoń i przeciągnęłam ją po szyi, po policzku. Moja skóra była miękka i gładka. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie jego twarz. Może wcale nie chciał następnych spotkań. Może chodziło mi o parę godzin bliskości w trakcie bezsennej nocy.

Do kuchni wtoczyła się Julie w męskiej koszuli dziwnie przypominającej mi tę pozostawioną przez Albiego. Gdzie ona ją znalazła?

- Cześć - rzekła zasnętym głosem i podeszła do lodówki. Nalała sobie szklankę mleka i wypła jednym haustem. Odwróciła się w moją stronę z białym wąsikiem nad górną wargą. - Wszystko w porządku?

- Na to wygląda.
- Alert odwołany?
- Na jakiś czas.
- To dobrze. Chcesz tosta?
- Nie, dzięki.

Wstałam od stołu i podeszłam do okna. Wpatrzyłam się w ulicę, jakby Will miał się tam przechadzać.

- Chciałabym... - Nie dokończyłam.
- Tak? Chcesz mi coś powiedzieć?

Miałam jego numer domowy. Dlaczego nie? Zadzwoiłam. Odebrał dopiero po wielu dzwoniach. W słuchawce rozległ się jakiś głuchy dźwięk, coś w rodzaju „Umgh”.

- To ja, Kit.

Kolejny niezrozumiały odgłos. Po czym zapadła cisza. Pewnie zbierał myśli.

- Czy właśnie wstałaś? - odezwał się wreszcie ludzkim głosem.
- Nie, właśnie wróciłam.
- Co masz na myśli?
- Wezwano mnie.
- Och. - Znowu pauza. - Chcesz zjeść ze mną śniadanie?
- Teraz?
- Która godzina? - Usłyszałam jakieś sapanie, szmery.
- To może około ósmej?
- U ciebie?
- Ja w zasadzie nie jadam u siebie.

Poczułam się rozczarowana. Chciałam zobaczyć, jak mieszka. Uważa się, że człowiek jest najsilniejszy na swoim terytorium. To nieprawda.

Właśnie na własnym gruncie jest się najbardziej podatnym na zranienia. Gdzie indziej można grać turystę, ale u siebie, tam gdzie śpisz, twoje rzeczy odsłaniają cię bezlitośnie. Will podał mi namiary - jak to określił - miłej kawiarenki, w której często jada w drodze do pracy. Odłożyłam słuchawkę. Jak długo spałam? Godzinę, góra dwie. Odnosiłam wrażenie, że w mojej głowie zamieszkał ludzik, który od spodu nakłuwa mi igielkami gałki oczne. Powlokłam się do łazienki, napełniłam umywalkę zimną wodą i zanurzyłam w niej twarz na tak długo, póki mogłam

wytrzymać. Spojrzałam w lustro, zobaczyłam w nim swoje odbicie ociekające wodą. Czy zeszła noc w ogóle się zdarzyła? Byłam teraz zupełnie oszołomiona, a strzępy obrazów i myśli nie układały się w żadną całość. Ta twarz, moja własna twarz, była dowodem na to, że coś się jednak stało. Błada, z zapadniętymi oczami - co za widok!

Kawiarnia U Andy'ego była pełna dymu i ludzi w kusych marynarkach, w kowbojkach zdobnych metalowymi esami--floresami. Will pomachał mi ręką od stolika w rogu. Usiadłam naprzeciwko niego. Nawet się nie dotknęliśmy.

- Ja zamawiam specjalność zakładu - rzekł. - A ty?

- Ja tylko kawę.

- Kawy bym tu nie polecał.

- A zatem herbatę.

- Nic do jedzenia?

- Skubnęłam coś przed wyjściem.

Podano śniadanie Willa na dużym owalnym półmisku, z dwoma kubkami prawie czarnej herbaty. Mój jednodniowy kochanek nałożył sobie na widelec okazałą porcję sadzonych jaj, bekonu i smażonego pomidora.

- Przepraszam - rzekł, zanim włożył ją do ust.

- Za co?

Żuł i przetykał, więc minęła chwila, nim się znowu odezwał. Popił herbatą.

- Że wyszedłem w ten sposób. Nie mogę spać, staję się niespokojny.

Lepiej w takiej sytuacji się ulotnić.

Nie odpowiadałam, a Will nadal jadł. Nie patrzył na mnie.

- Nie musisz się tłumaczyć - rzekłam w końcu. - Mam nadzieję, że jesteś ze mną szczery. Męczą mnie gry uprawiane przez ludzi. A może po prostu jestem wykończona.

Will wycierał talerz kawałkiem chleba smażonego w tłuszczu. O tej porze ten widok był mi wstrętny. On jednak z wyraźnym apetytem chrupał chleb umazany żółtkiem. Następnie wytarł usta papierową serwetką. Podniósł głowę i spojrzał na

mnie. Pomyślałam wtedy, że zdarza się to bardzo rzadko. Zazwyczaj wpatrywał się w jakiś punkt nad moim ramieniem. Widziałam go nagiego, poszłam z nim do łóżka, jednakże prawie nie miałam okazji, by popatrzeć mu w oczy. Był ode mnie nieco starszy, miał około czterdziestki, ale wyglądał starzej ze szpakowatymi włosami i twarzą, która była nie tyle pomarszczona, ile pofałdowana nad wystającymi kośćmi policzkowymi. Natomiast jego oczy były szare i bardzo przejrzyste, jak u dziecka.

- To nie było dokładnie tak, jak myślisz - powiedział z lekkim rumieńcem.

- Patrzyłem na ciebie, gdy zasnąłaś. Odgarnąłem ci włosy z twarzy. Jak ty mocno śpisz! - Uśmiechnął się lekko. - Wyglądałaś uroczo.

- Słuchaj, nie musisz... ja wiem, że nie jestem...

- Siedź cicho. Chciałem ci powiedzieć, że wyglądałaś inaczej. Po raz pierwszy nie widziałem cię smutnej, zaniepokojonej czy... - zawahał się przez chwilę - oczekującej zbyt wiele.

- O tak, akurat z rozbudzonymi nadziejami - wtrąciłam. Zabrzmiało to okropnie, jak skomlenie spaniela, który za chwilę zostanie kopnięty.

- Nawet kiedy podeszłaś do mnie, żeby mnie pocałować, byłaś trochę smutna. Ale wtedy, kiedy spałaś, nieświadoma niczyjej obecności, dostrzegłem, jaka jesteś młoda i pełna wewnętrznego spokoju.

Dokończyłam herbatę. Na dnie była jeszcze ciemniejsza i bardziej gorzka niż z początku. Tymczasem Will ciągnął:

- Uprzytomniłem sobie wtedy, że zrobię ci największą przysługę, jeśli zniknę z twojego domu.

- Nie potrzebuję ochrony - odpowiedziałam. - Sama wiem, co dla mnie jest najlepsze. W każdym razie myślę, że możesz być całkiem szczęśliwym człowiekiem na swój ponury sposób. Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę liczbę osób, które cię nienawidzą. Zdumiewające. Sądziłam, że jednym z twoich zadań jest utrzymywanie kontaktów z policją i z pracownikami opieki społecznej.

- Nie mam wobec nich żadnych zobowiązań - odparł,



marszcząc brwi. - Przeciwnie, staram się te dzieciaki trzymać jak najdalej od glin i służb społecznych.

- Mówisz, jakby oni chcieli cię dopaść.

- Bo chcą.

- Podobno krążą pogłoski o handlu narkotykami w twoim ośrodku.

Gliniarze dali mi do zrozumienia, że mogą cię oskarżyć o ukrywanie tego procederu przed władzami. Groziłoby ci dziesięć lat więzienia.

- Niech się odpieprzą - rzucił gniewnie.

- Ale pozwalasz na to? Wydał jakiś pomruk.

- Chyba nie sądzisz, że mam przy sobie ukryty magnetofon.

Wzruszył ramionami.

- Widziałaś to miejsce. Oczywiście, pozbywamy się handlarzy, a przynajmniej próbujemy ich nie dopuścić do naszej grupy. Ale to kwestia swoistej podkultury. Staramy się pomóc tym młodym ludziom. Jest to jednak zadanie bardzo skomplikowane, przysparzające wielu kłopotów. Z pewnością trudniejsze niż prezentacja referatu na sesji naukowej.

- Wiesz, nad czym się zastanawiam?

Na jego twarzy pojawiła się nareszcie oznaka lepszego humoru.

- Nie, Kit. Nie mam pojęcia.

- Myślę, że jakaś częśćka w tobie nie miałaby nic przeciwko aresztowaniu i wtrąceniu do więzienia, żeby dowieść, że świat jest taki, jak go oceniasz.

- Nie interesują mnie puste gesty.

- To zależy, czy męczeństwo traktujesz jako gest. Spojrzałam na niego, nie wiedząc, czy za chwilę wybuchnie

gniewem, czy też sarkastycznym śmiechem. Sprawiał jednak wrażenie niezdecydowanego.

- Może nienawiść, jaką wzbudzam, jest w moich oczach komplementem - zauważył w końcu.

- A ja myślę, że to jedna z definicji paranoi - odparłam. -Przekonanie, że każdy chce cię dopaść, jest zapewne lepsze od świadomości, że jesteś ignorowany.

- Ale to ty powiedziałaś przed chwilą, że każdy chce mnie dopaść.
- No tak, zapomniałam. Czy kiedykolwiek zaprosisz mnie do siebie?
- O co ci chodzi?
- Mówiłeś, że nie możesz zasnąć w nieznanym ci wnętrzu. Ciekawa jestem, jak sobie radzisz we własnym łóżku.

Spojrzał na zegarek.

- Zaproszę cię, ale teraz jest za dwadzieścia dziewiąta. Mam pilne spotkania.

- Nie myślałam, że mamy tam pójść od razu.

Po raz pierwszy robił wrażenie wyraźnie zawstydzonego.

- Jasne. Kiedy tylko chcesz.

- Na przykład dzisiaj wieczorem?

- Jest taka możliwość, ale chcę cię uprzedzić, że jest to dość surowe wnętrze. To znaczy, nie znać w nim kobiecej ręki.

- Miło mi to słyszeć.

Nagle popatrzył na mnie z powagą.

- Kit, nie spodziewaj się po mnie zbyt wiele. - Wrócił do zgryźliwego tonu.

Westchnęłam.

- Nie sędzę, bym w ogóle spodziewała się czegokolwiek. -I szeroko ziewnęłam.

- Zmęczona?

- Dziś odbędzie się ostra walka.

- A co się stało zeszłej nocy?

Oparłam się na krzesło i utkwiałam w nim wzrok.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? To nic szczególnie interesującego.

- Tak, chcę wiedzieć.

Zamówiłam zatem dwie świeże herbaty i zdałam mu relację z nocy spędzonej w szpitalu.

- I co teraz zamierzasz zrobić? - spytał, gdy skończyłam.

- Dziewczyna była w głębokim szoku, kiedy ją odwiedziłam. Spróbuję widywać się z nią przez parę następnych dni i wyciągnąć od niej jakieś informacje.

- Spacerować wzdłuż kanału po północy - odezwał się Will ironicznym tonem. - To nie do wiary.

- Uważasz, że się o to prosiła?

- Myślę, że była koszmarną idiotką. - Napił się herbaty. - Jak ma na imię jej mąż?

Zastanawiałam się przez chwilę, walcząc z pamięcią. Zamiast mózgu miałam chyba kalafiora.

- Gabriel - wykrztusiłam w końcu. - Will znowu zaśmiał się sarkastycznie. - Znasz go?

- Wiem, kim jest.

- Kim?

- Nie słyszałaś o teatrze, który otwarto w jednym ze starych magazynów przy torach kolejowych? Jak on się nazywa? Cukrownia czy coś. No wiesz, węgierscy mimowie na szczydach, takie rzeczy. To jego idea.

- Coś mi się obilo o uszy.

- Wspomaga go finansowo loteria. Rewitalizacja dzielnicy. Powinien wypieprzyć stąd do Islington i wtedy jego żona nie zostałaby napadnięta.

- Rewitalizacja dzielnicy to twoje zadanie, prawda?

Will nie odpowiedział, tylko przejechał palcem po brzegu kubka.

Wreszcie spojrzał na mnie.

- Co robisz? - spytał.

- Co masz na myśli?

- No, zastanawiam się, co robisz. Czy starasz się, żeby ci z dochodzeniówki byli sprawniejsi, czy też sądzisz, że sama schwytasz mordercę?

- Jestem tylko doradcą, to wszystko - odparłam zdeorientowana.

- Mnie akurat nie musisz przekonywać - rzekł. - Co ja mogę wiedzieć?

Tylko tyle, że istnieje ktoś, kto jeździ samochodem i atakuje kobiety. To jest jasne. Nie rozumiem natomiast, na czym polega twoja rola. I po co się tym zajmujesz. Dlaczego dałaś się tak wciągnąć. Nie potrafię odgadnąć, z jakiego powodu tak ci na tym zależy. - Delikatnie pociągnął palcem po mojej bliźnie. Zadrzałam. - Już raz zostałam zaatakowana. Czy ci nie wystarczy?

Wzięłam go za rękę.

- Przestań. Może powinieneś pogadać z innymi detektywa-

mi. Macie podobne zdanie na temat mojego działania. A przecież to ja muszę odwalić kawał niepotrzebnej roboty.

- Nie mówię, że jest niepotrzebna. Powiedziałem tylko, że nie rozumiem twoich motywów.

Pochyliłam się nad stołem i pocałowałam go.

- Problem polega na tym, że dopiero pod koniec rozumiesz, że coś było warte zachodu, a wtedy jest już za późno. I tak jest ze wszystkim. Do zobaczenia.

- Dziś wieczorem?

- Chcesz?

- Spodziewasz się, że będę cię prosił na kolanach? Rozejrzałam się po kawiarni.

- Nie tutaj. Posłuchaj, oto jestem, pełna oczekiwań - jak się wyraziłeś.

Powiadam, że chcę się z tobą znowu zobaczyć, dziś wieczorem, u ciebie.

Co ty na to?

- Tak - odpowiedział takim cichym głosem, że zabrzmiał jak szept. - Tak. -

Popatrzyliśmy sobie w oczy.

Kiedy wychodziłam, nadal tkwił nad talerzem z resztkami śniadania i nad zimną herbatą. Z tą samą surową miną.

## Rozdział 28

Nareszcie - pomyślałam - trafił się świadek z prawdziwego zdarzenia: człowiek, który mówił jasno, relacjonował jedynie fakty i nic więcej, widział, co było do zobaczenia i nie pozwalał sobie na wygłaszanie zbędnych komentarzy. Energicznie uściśnął mi rękę i odchrząknął, nim zaczął mówić. Ze zmęczenia oczy miałam czerwone jak królik. Kawa i mocna herbata wypite tego ranka były zabójcze dla mego organizmu.

- Jestem doktor Quinn.

- A ja Terence Mack. Mówią do mnie Terry.

- Czy pan ma zwyczaj spacerowania po północy wzdłuż kanału?

Pociągnął nosem.

- Nie sądzę, aby ktoś taki jak ja musiał się czegoś obawiać.

Mogłam się tylko zgodzić. Był średniego wzrostu, ale korpulentny i energiczny, z owłosionymi dłońmi i nadgarstkami. Zauważyłam, że ma duże uszy. Szary garnitur był trochę zbyt opięty w pasie. Biała koszula, krawat w czerwono-czarne ukośne paski. On również musiał być na nogach przez większość nocy, ale nie robił wrażenia zmęczonego.

Siedział naprzeciwko mnie z żywym błyskiem w oku.

Lecz i on niestety wniósł niewiele nowego. Jak większość świadków, dopiero po fakcie uprzytomnił sobie, że coś się stało. Leżało przede mną jego zeznanie, krótkie i precyzyjne; odnotował w nim nawet dokładny czas napaści - tuż po 1.19 we-

dług jego zegarka, który, jak sam zapewniał, był bardzo dokładny. Oświadczył w pisemnej relacji, że spacerował wzdłuż kanału, ponieważ tego wieczoru był na spotkaniu z klientami z Singapuru w hotelu Pelham tuż obok, i po rozmowach z nimi nie mógł złapać taksówki. Dróżka, którą szedł, była skrótem do ruchliwego skrzyżowania niedaleko stacji metra Kersey Town. Wiedział, że stamtąd można wezwać taksówkę.

- Wyszedłem z tunelu - opowiadał mi teraz - który jest oświetlony. I gdy nagle znalazłem się w ciemności, z początku nic nie widziałem. Pani wie, jak to jest. - Kiwnęłam głową. - I w tym momencie usłyszałem jakieś głosy. Z trudem zauważyłem zarysy postaci szarpiących się tuż nad wodą. W następnej chwili trzymałem w ramionach rozpaczliwie krzyczącą kobietę.

- I ona krzyczała - zerknęłam na jego zeznanie - „Pomocy! Błagam, pomocy!”, tak?

- Może wzywała pomocy więcej razy, niż tu napisałem, tego nie jestem pewien. Dosłownie wrzeszczała mi nad samym uchem. Nie widziałem zbyt wiele, ale jej głos mówił wszystko.

- I potem nie widział pan już nic...

- Tylko tego drugiego faceta, który stał w pobliżu.

- Drugiego świadka? Uniósł krzaczaste brwi.

- Dziwnie ten gość wyglądał.

- Co robił?

- Kto?

- No ten dziwnie wyglądający gość.

- Pomagał.

- I z całą pewnością był tam ktoś jeszcze? - Chciałam usłyszeć ten fragment zeznania z jego ust.

- Co pani ma na myśli? O co pani chodzi? Ponownie zerknęłam do jego akt.

- Opis jest bardzo lakoniczny. Popatrzył na mnie z zażenowaniem.

- To wszystko skończyło się tak nagle. Tylko cienie w pobliżu i kobieta, która rzuciła się w moim kierunku, szukając

pomocy. Naprawdę nie wiem, co się tam działo. Dobrze, że przynajmniej spojrzałem na zegarek.

- Doskonale pan postąpił - pochwaliłam go. - A w jakim stanie była ta kobieta, Bryony?

- Była bardzo wystraszona. Choć powtarzała, że wszystko jest w porządku, że nie potrzebuje pomocy, to strasznie to przeżyła. Biedaczka! Czy nic jej się nie stało?

- Jest straumatyzowana, ale myślę, że szybko z tego wyjdzie. A co Doli, mam na myśli tego drugiego, robił, kiedy pan telefonował po pomoc?

- Co robił? Niewiele, jak sędzę. Czuwał nad nią, uspokajał. To znaczy, ona nie była przecież w takim stanie, żeby natychmiast wymagała hospitalizacji. Płakała, ale dość cicho. Trzymała mnie za ramię, chlipała, prosiła, żebym z nią został. Była w szoku, to ewidentne. Drżały jej ręce, miała krótki oddech, jakby była zdyszana. Mam nadzieję, że dano jej od razu dużo mocnej, słodzonej herbaty. To zawsze pomaga. Czy mogę o coś zapytać?

- Jasne.

- Gliniarz, któremu złożyłem oświadczenie, powiedział mi, że napastnik był pewnie tym samym człowiekiem, który zamordował Philippę Burton.

- Tak się wyraził? - rzekłam sucho.

- No i co? To ten sam?

- Nie wiem.

- Ach, powinienem był go złapać, przecież mogłem. Ale nie wiedziałem, co się dzieje.

- Czy na pewno nic sobie pan nie przypomni na temat tej czwartej, sylwetki? Wzrost, włosy, ubranie?

Z żalem pokręcił głową.

- To wszystko odbyło się zbyt szybko.

- Czy może pan dostrzegł, którądy ten mężczyzna uciekał?

- Nie. Zakładam, że zbiegł po schodkach prowadzących na ulicę, ale go nie widziałem. Pewnie powinienem za nim pobiec, prawda?

- Zatelefonował pan po pomoc. To najważniejsze. Ściganie podejrzanych należy do policji.

- Ta dziewczyna dosłownie dygotała z zimna. Zdjąłem marynarkę i okryłem ją, czekając na patrol i na karetkę.

- To był właściwy gest. W porządku.

- Ale chodzi mi po głowie ten morderca Philippy Burton. To by dopiero było...

- Ładna kobieta - rzekł trzęsącym się głosem. - Taka ładna.

- Michael... - usiłowałam go uspokoić. Miał rozbiegany wzrok i nie mogłam go zmusić, żeby popatrzył mi dłużej w oczy. Głównie gapił się w okno, które wychodziło na parking.

- Dwa razy - wystękał. - Zdarzyło mi się to dwukrotnie. Dwa razy, jak tam byłem, Kit.

Wyglądał okropnie. Miał świeżo zabliznioną ranę ciągnącą się od lewego nozdrza, przez kącik ust do podbródka. Nadawała jego twarzy złowrogi wygląd. Wargi mu nabrzmiały, na policzku pojawiał się nerwowy tik.

Szrama też była spuchnięta i przybrała teraz fioletową barwę. Mogłabym się założyć, że Doli usiłował sobie wydłubać szew. Końcówki nylonowej nici sterczały ze skóry. W trakcie naszej rozmowy nieustannie ich dotykał i ciągnął. Zasnęte usta ciągle oblizywał językiem. Na czole miał duży siniak, a jedno oko podbite. Tłuste, od dawna niemyte włosy wręcz cuchnęły. Ubranie na nim wisiało, jakby w ciągu kilku dni chłopak stracił na wadze z dziesięć kilogramów. Odór jego ciała unosił się w całym pokoju.

- Dlaczego to ciągle wypada na mnie? - zapytał przestraszonym głosem. - Dlaczego muszę być zawsze ja?

- Nie wiem - odpowiedziałam szczerze. - Ale ty się na pewno dobrze czujesz? Bohater dnia!

- Śliczna kobieta - powtarzał swoje. Jego rozbiegane oczy zatrzymały się na chwilę na mojej twarzy. - Nie taka ładna jak pani. Pani jest najpiękniejsza, proszę się nie martwić. Ale miała takie miękkie włosy... - Miauknął tak dziwnie, że aż zadrżałam.



Jego zeznanie było chaotyczne i pełne sprzeczności. Opowiedział, że ujrzał ogromnego faceta - po prostu olbrzyma, próbującego udusić Bryony, że ona zdołała uciec od napastnika i trafiła wprost w jego wyciągnięte ramiona, że on sam ją ocalił, że widział tego zbrodniarza odjeżdżającego niebieskim autem, a może czerwonym, albo dostrzegł tego człowieka biegnącego wzdłuż kanału, gdy tymczasem Bryony zemdlała.

- Michael, opowiedz mi tylko o tym, czego jesteś absolutnie pewien.

Dlaczego byłeś tak późno nad kanałem?

- Łowiłem ryby. To jest dobra pora. Księżyc w pełni, nikt się nie kręci, nie ma pieprzonego hałasu.

- Gdzie siedziałeś? Tuż nad wodą?

- W moim stałym miejscu. W cieniu, niedaleko tunelu, skąd nikt nie może mnie wypatrzeć, ale ja wszystko widzę.

- I co ujrzałeś?

- No wie pani, tę panią. I faceta, co za nią biegł. I jeszcze jednego, nazywa się Terry. Poznała go pani? Obaj ją uratowaliśmy. Odgoniliśmy tamtego, ocaliliśmy jej życie.

- Potrafiłbyś go opisać?

- Mężczyzna. Olbrzym.

- Coś więcej?

- Chyba nie. Widziałem tylko cienie i kiedy wstałem, to znaczy kiedy myślę, że wstałem, nie mogłem się w niczym połapać. Kit, byłem taki pokręcony, każdy by był w takiej sytuacji... A tamten ją trzymał i nie chciał wypuścić.

- Jesteś pewien? Naprawdę myślisz, że to się tak odbyło? Odciągnąłeś ją?

- Och, tak. - Uśmiechnął się krzywo zapuchniętymi ustami. - Ocaliłem ją. Jestem absolutnie pewien, że ją uratowałem. Pani im to powie, dobrze? Proszę wszystkim opowiedzieć, czego dokonałem. Kit, wtedy oni będą żałować tego, co mi zrobili. Każdemu będzie przykro. - Znowu dotknął twarzy, oblizał przeciętą wargę.

- I co się potem stało?

- Potem?

- No, kiedy ją odciągnąłeś.

- Wtedy ten drugi wyszedł z tunelu, i ona podbiegła do niego, a tamten zbrodniarz uciekł. A ona tak krzyczała, tak krzyczała! Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś się darł tak głośno.

- Michael, posłuchaj uważnie. Musisz pomyśleć. Czy jest coś, co zapamiętałeś - cokolwiek, jakiś drobiazg, o którym nie wspomniałeś ani policji, ani mnie?

- Poglaskałem ją po włosach.

- Tak?

- A ten drugi, który biegł od strony tunelu, powiedział głośno, przepraszam, Kit, „kurwa mać”. Bardzo przepraszam -usprawiedliwiał się.

- Michael, a teraz gdzie pójdziesz?

- Gdzie? - Jego oczy znów gdzieś powędrowały. - Nie myślę, żebym mógł pójść do...

- Powinieneś wrócić do siebie. Zjedz coś pożywnego. Wyczyść ubranie. Odpocznij.

- Odpocznij - powtórzył. - No tak. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Dali mi jakieś pastylki, ale nie wiem, gdzie je wsadziłem.

- Michael, idź do domu.

- Czy jestem bezpieczny?

- Policja cię nie chroni?

- Powiedziano mi, że będą mieli mnie na oku.

- Dobrze - odparłam i uśmiechnęłam się do niego. Pomimo tej całej sytuacji, ogromnego zmęczenia i obrzydzenia, poczułam nagle do niego zupełnie niespodziewaną czułość. Żal mi się zrobiło jego pokiereszowanej twarzy, zapuchniętych i czerwonych oczu, rozpaczliwej bezradności i poczucia kompletnej beznadziei. - Myślę, że tym razem będziesz bezpieczny. To się już nie powtórzy. Tylko uważaj na siebie.

- Kit, Kit!

- Tak?

Nic jednak więcej nie powiedział. Wpatrywał się jedynie we mnie przez kilka sekund. Oczy napełniły mu się łzami, które zaczęły wolno spływać po zranionej twarzy i brudnej szyi.

Była jedenasta. Do spotkania z Obanem i Furthem zostało mi dwie godziny, a do wizyty w szpitalu u Bryony - trzy. Pomyślałam, że może wpadnę do domu, wezmę prysznic, wyciągnę się trochę na łóżku. Nagle nie czułam już dłużej zmęczenia. Owszem, brakowało mi snu, lecz rozumowałam jasno i precyzyjnie, jakbym stała na wysokim szczycie górskim i oddychała rześkim powietrzem. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zjeść czegoś, ale myśl o jedzeniu napawała mnie lekkim wstrętem. Właściwie miałam ochotę tylko na dużą szklanke wody, która oczyściłaby mój organizm z nadmiaru kofeiny.

Wyszłam z komisariatu, na głównej ulicy kupiłam butelkę wody gazowanej i skierowałam się w stronę skrawka zieleni. Na trawniku obok ławek rosły pnące róże. Usiadłam w słońcu i popijając wodę, obserwowałam przechodniów. Promienie słońca na mej skórze sprawiały mi przyjemność, przynosiły uspokojenie. Zamknęłam oczy i westchnęłam, gdy poczułam słońce na szyi. W głowie huczało mi od scen i strzępów rozmów z ostatniej doby. Usłyszałam w wyobraźni jęk rozkoszy wydobywający się z gardła Willa, przypomniałam sobie jego rękę na mojej piersi. Potem ujrzałam go, jak dzisiaj rano wszelkimi sposobami starał się niczego mi nie obiecywać. Po chwili ukazała mi się twarz Bryony na szpitalnej poduszce, jej jasnopomarańczowe włosy, drżące dłonie. Wreszcie napotkałam w myślach Dolla, usłyszałam jego niezborny głos, zobaczyłam poranioną twarz. Mignął mi też przed oczami drugi świadek, Terence Mack, z silnymi, owłosionymi rękami, niewiele widzący w ciemności po wyjściu z tunelu. Nikt nie zauważył czegoś, co byłoby istotne. Każdy patrzył akurat w innym kierunku. Dramat rozegrał się wśród cieni.

Długo siedziałam na ławce, pozwalając obrazom płynąć w myślach jak w gęstej mgle. Słońce chowało się za chmury i po chwili znów rażno świeciło. Ludzie wychodzili ze swoich biur, siadali na trawie i jedli kanapki. Pomyślałam o Albiem, ale wydawał mi się kimś bardzo odległym - mężczyzną śmiejącym się z dala, z głową odrzuconą do tyłu, z białymi równymi zębami. Obcy. Aż trudno uwierzyć, że przez tyle miesięcy

marzyłam, by leżał znowu koło mnie, a kiedy budziłam się rano, musiałam sobie powtarzać, że mnie głęboko zranił i nie wróci, by objąć i przeprosić. Nigdy więcej. Nigdy już nie weźmie mnie w ramiona, nigdy nie dotknie. To takie ostre, bezwzględne słowo: nigdy. Ostateczne, jak nóż albo jak granica.

A dzisiaj wieczorem zobaczę Willa. Pójdę do niego i sprawię, że na mnie popatrzy, i przez chwilę poczuję się szczęśliwa. Wstałam i zmusiłam się do myśli o Bryony Teale.

## Rozdział 29

- Ładnie tu - rzekłam, wyglądając przez okno.

- Ale zła dzielnica - mruknął Oban.

Zakomunikował mi przed godziną, że Bryony Teale pragnie ze mną porozmawiać. Zwłaszcza ze mną. Ze współczującą drugą kobietą - rzucił do słuchawki. Nie brzmiało to jak komplement. Gdy podeszłam do jej domu, ktoś w samochodzie zaparkowanym w pewnej odległości od wejścia opuścił szybę i gestem ręki zaprosił mnie do środka. Poznałam Oba-na. Otworzył tylne drzwiczki i powiedział, żebym usiadła obok niego. Chciał najpierw omówić ze mną taktykę. Wołałam odbyć tę rozmowę na dworze, chociaż dzień był szary, a powietrze ciężkie. On jednak niewątpliwie czuł się lepiej w służbowym aucie. Pewnie traktował go jak gabinet na kółkach.

Dom Teale'ów znajdował się w szeregu innych, które razem tworzyły łagodny łuk, nie tyle w kształcie litery „C”, ile nawiasu. Wysokie, wąskie kamieniczki wzniesiono w stylu wiktoriańskim. Niektóre z nich były zaniedbane, jedna miała zabite deskami okna i drzwi, ale kilka zostało przywróconych do dawnej świetności: drzwi wejściowe błyszcząły świeżą farbą, mosiężnymi klamkami i kołatkami. Cegły na fasadzie oskrobano, a w oknach na parterze wstawiono metalowe żaluzje. Oban wskazał ręką w głąb ulicy. - Dziesięć lat temu leżała tu masa wiązanek.

- Dlaczego?

- Szło wtedy dwóch chłopców w kierunku Euston Road. Napadł na nich gang szczeniaków. Zaczęli uciekać, ale jednego z nich schwytano, o tam, przy tym ogrodzeniu. Został strasznie pobity, a na koniec któryś z gówniarzy wbił mu nóż w plecy. - Popatrzył na odnowione domy. - Nie wiem, dlaczego tacy ludzie jak Teale'owie chcieli się tutaj przeprowadzić. - Z tego, co słyszałam, próbują zrobić coś dobrego w sąsiedztwie, ufają miejscowym.

Oban zrobił minę.

- Tak - warknął. -1 oto, z jakim spotykają się podziękowaniem. Oni są cholernie naiwni. Ciągle się z tym spotykam. Kobieta udaje się na przechadzkę wzdłuż kanału, jakby to była ścieżka na wsi. To znaczy, nie jestem wcale miłośnikiem wiejskich drózek, ale to jest po prostu idiotyczne. Czy znasz historię kobiety, która kilka lat temu zatrzymała się w jednym z tutejszych hotelików?

- Nie wiem - odparłam. - Nasłuchałam się wielu historii o kobietach.

- Ta, o której mówię, szła chodnikiem, opadły ją miejscowe szczeniaki i zaciągnęły na ścieżkę wzdłuż kanału. Została brutalnie zgwałcona. Potem gwałciciele zapytali, czy umie pływać. Odpowiedziała, że nie - tu przynajmniej wykazała refleks. Więc wrzucili ją do wody. Przepłynęła do drugiego brzegu i w ten sposób uszła z życiem.

- Jaka jest twoja rada? - spytałam. - Siedzieć w domu z drzwiami zaryglowanymi na wiele zamków i oglądać telewizję?

- Owszem, tak by było bezpieczniej.

- Najlepiej jednak by było, gdyby wszyscy spacerowali wzdłuż kanału.

- Kto by chciał przechadzać się nad tą śmierdzącą wodą? Miałam dość.

- Może wreszcie pójdziemy do Bryony Teale i porozmawiamy z nią?

Oban się zamyślił.

- Może będzie lepiej, jeśli sama tam pójdziesz? Przynajmniej na razie.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle coś od niej wyciągniemy  
- odpowiedziałam. - Wczoraj wieczorem była zdecydowanie w złej formie.

- Zrób, co możesz. Wydobądź z niej cokolwiek. - Dokończył myśl zupełnie niezrozumiałym szeptem.

- O co ci chodzi?

Chciał coś powiedzieć, lecz tylko poruszał ustami. Wreszcie wykrztusił:

- To ten przekłety Doli. On musi być w to wmieszany. Nie wiem jak, ale głowę dam za to.

- Przecież powiedziałaś, że jest tylko świadkiem.

- Sradkiem - wybuchnął gniewem. Kierowca odwrócił się i spojrzał na mnie. Oban zwrócił się do niego: - Udusiłbym go własnymi rękami. Niech pan ją spyta o Dolla. Niech pan zapyta, co on tu robił.

- Chwileczkę - wtrąciłam. - Jeśli dobrze rozumiem, łączy te dwie sprawy miejsce, ten sam odcinek nad kanałem, taka sama metoda napaści. Tutaj Doli spędzał większość czasu, siedząc z wędką i przynętą. Przecież dziewczyna i ten drugi świadek zeznali, że on jej przyszedł z pomocą. Oban roześmiał się z sarkazmem, wydając z siebie dźwięk podobny do kasznięcia.

- Nie mam zielonego pojęcia, co się tu działo - orzekł. - Niemniej Doli pojawia się w tym wszystkim jak zły cień. Jest w to w jakiś sposób wmieszany. Po prostu tak mi podpowiada intuicja. I tobie też. Znasz go, widziałaś, jak mieszka.

Wstrząsnął mną dreszcz.

- Wiem. W porządku, będę ją wypytywać. Mam zastukać do drzwi?

- Tak. Umieściliśmy tam policjantkę na straży, pewnie przez cały dzień popija sobie herbatę. Ona ci otworzy.

- A co ty zamierzasz robić?

- Odjeżdżam stąd. Jeśli Bryony złoży oświadczenie, przyślę tu jednego z detektywów, żeby je spisał. - Gdy otwierałam drzwiczki, schwycił mnie za rękę. - Kit, zdobądź coś dla mnie. Jestem już na skraju wytrzymałości. W progu stała młoda kobieta w mundurze policyjnym.

- Doktor Quinn? - upewniła się.

- Tak jest. Jak się ma chora?

- Nie wiem. Prawie się nie odzywa.

Rozejrzałam się po wnętrzu. Podłoga i schody były wycy-klinowane i pociągnięte lakierem, ale nic tu nie było na wysoki połysk. Na haku w ścianie wisiał rower. W holu półki były zapchane podniszczonymi książkami w taniej edycji, dalszy ich zbiór umieszczono na podeście i na piętze, jak zdołałam zauważyć. Korytarz prowadził do kuchni; z jej okna rozciągał się widok na ogródek. Drzwi otworzyły się i stanął przede mną mężczyzna, który mignął mi w szpitalu. Teraz jednak był nieogolony, a jego kędzierzawe włosy zwisały w nieładzie. Miał na sobie granatową bluzę, dzinsy i znoszone tenisówki na bosych stopach. Wyglądał nieszczerze. Przypuszczam, że spał nawet mniej niż ja. Był wysoki, miał ponad metr osiemdziesiąt. Uścisnął mi rękę, mówiąc:

- Jestem Gabe.

- Widziałam już pana. - Zrobił zaskoczoną minę. - W szpitalu. Wczoraj, to znaczy dzisiaj nad ranem. Mniejsza o to.

- Ach, tak, przepraszam. Nie byłem w najlepszej formie. Czy mogę podać coś do picia?

- Zaparzę świeżej herbaty - wtrąciła policjantka nazwiskiem Devlin i pomaszerowała do kuchni niczym staroświecka pokojówka.

- Jak się miewa pańska żona? Gabe zrobił zatroskaną minę.

- Przyznam, że nie wiem. Na pewno jednak lepiej niż poprzedniej nocy.

- To dobrze. Czy mogę z nią porozmawiać? Gospodarz domu zmienił się na twarzy. Włożył ręce do kieszeni, potem zaraz je wyjął.

- Czy mogę najpierw o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Czy Bry została zaatakowana przez tego samego osobnika, który popełnił te straszne morderstwa?

- Wydaje się to niewykluczone. W każdym razie napadnię-



to na nią dokładnie w tym samym miejscu, gdzie znaleziono zwłoki jednej z ofiar.

- Ja myślę jednak, że to mało prawdopodobna hipoteza. Dlaczego, na miłość boską, sprawca miałby wrócić dokładnie do tego samego punktu, w którym już kogoś zabił? Przecież to bardzo ryzykowne.

- Zgoda, ale mordercy często tak czynią. I to wcale nie jest teoria, takie przypadki są na porządku dziennym. Mordercy wracają na miejsce zbrodni.

- Racja, racja - mamrotał Gabe. Miałam ochotę położyć mu rękę na ramieniu i pocieszyć go, ale należało pozwolić mu się wygadać. -

Chciałam zapytać, to znaczy pewnie to zabrzmiało głupio albo paranoicznie, niemniej muszę się dowiedzieć, czy Bry była w niebezpieczeństwie. Czy może jej grozić powtórny atak?

Nie odpowiedziałam od razu. Pragnęłam wyrażać się precyzyjnie.

- W opinii oficerów dochodzeniowych sprawca tych przestępstw szuka okazji. Wczoraj w nocy pańska żona, spacerując nad kanałem, była bez wątplenia łatwym celem.

Jego oczy się zwięzły. Zachrypniętym głosem zapytał:

- Ale co pani o tym sądzi?

- Powinnam odpowiedzieć, że zostałam zaproszona przez policję do współpracy. Zastanawiam się nad różnymi kierunkami śledztwa. Zawsze podejrzewałam, że istnieje jakieś powiązanie między dwiema pierwszymi ofiarami.

- Co takiego? Jak to? - Gabe Teale krzyknął, jakby budząc się z koszmaru sennego.

- Nie wiem. Może pan to nazwać przecuciem. Nie wykluczam, że się mylę. Może nie mam racji. Policja nie zgadza się z moją hipotezą, to pewne. Chciałam być z panem szczerą.

- Ale jeśli pani się nie myli... - mówił powoli wskutek zmęczenia i stresu - oznacza to, że Bry nadal grozi niebezpieczeństwo.

- O to proszę się nie obawiać. Policja zapewni pańskiej żonie niezbędną ochronę. W porządku?

- To dobrze - odparł, nie do końca przekonany. - Dziękuję pani.

- Czy mogę teraz zobaczyć się z nią? - zapytałam łagodnym tonem.
- Zaprowadzę panią. Czy chciałaby pani porozmawiać z nią na osobności?
- To już zależy od państwa. Jestem pewna, że ona wolałaby, aby pan nie odchodził.
- Jest tutaj - rzekł, otwierając drzwi. Zajrzał do środka. -Bry? Przyszła pani doktor.

Weszłam za nim. Dwa pokoje połączono w jeden, tworząc dużą przestrzeń na całą głębokość domu. Jedno okno wychodziło na ulicę, a drugie, z szybą do samej ziemi - na ogród. Bryony Teale siedziała w głębi, na sofie rdzawego koloru. Ubrana była w pomarańczowy sweter i błękitne rybaczkę. Podkurczyła bose stopy i nakryła je poduszką. Jej mąż podsunął mi fotel, a sam siadł obok Bry, przytulając ją do siebie. Oboje wymienili spojrzenia; Gabe poklepał ją uspokajająco po plecach.

Na ścianie nad nimi wisiała duża fotografia wielkości plakatu.

Przedstawiała małą dziewczynkę stojącą na opustoszałej ulicy. Dziecko było wystrojone, wyglądało jak cygańska wróżka. Co mnie jednak najbardziej zaintrygowało to jej oczy -wielkie, płonące, wpatrzone prosto w obiektyw. Odnosiło się wrażenie, że mała rozglądała się wokół i nagle dostrzegła przed sobą fotografa. Można było przypuszczać, że za chwilę spuści powieki albo się odwróci, ale ten moment był niesamowity.

Chciało się wiedzieć coś więcej o tym dziecku - gdzie teraz przebywa, co się z nim stało.

- Niezwykłe - powiedziałam.

Bryony spojrzała i zmusiła się do uśmiechu.

- Dzięki - odparła. - To ja zrobiłam.

- A więc jest pani fotografikiem.

- Nie wiem, czy nadal mam prawo tak się przedstawiać -odparła z wahaniem. - Bardzo trudno znaleźć pisma gotowe publikować takie zdjęcia, na jakich mi zależy.

- Aż trudno w to uwierzyć.

- To zdjęcie zrobiłam w zeszłym roku, niedaleko stąd. Idąc na spacer, spotkałam rodzinę tej dziewczynki. Byli uchodźcami z Rumunii. Czy ona nie jest śliczna?

Jeszcze raz przyjrzałam się fotografii.

- Ona jest zacięta w sobie.
- Może ją przestraszyłam - zamyśliła się Bryony.
- Jak się pani teraz miewa?
- Przepraszam, że byłam zupełnie niekontaktowa.
- Proszę sobie nie robić żadnych wyrzutów. Nie musi pani niczego dowodzić. Nawet nie musi pani ze mną rozmawiać, jeśli nie ma pani ochoty.
- Nie, nie, mam ochotę. Tylko ciągle jeszcze nie czuję się normalnie. Przyjrzałam się jej uważnie. Bez wątplenia wyglądała lepiej niż na łóżku szpitalnym, niemniej nadal była blada, z podkrążonymi oczami.
- Każdy byłby w takim stanie, gdyby przeszedł to, co pani. A zatem pani praca wymaga chodzenia po różnych dziwnych miejscach, tak?
- W pewnym sensie - odparła.
- Powinna pani jednak zachować ostrożność. Właśnie rozmawiałam z szefem dochodzenia. Jego zdaniem przechadzka nocą koło kanału nie jest zbyt rozsądnym pomysłem.
- Ciągle jej to powtarzam - wtrącił Gabe. - Ale ona niczego się nie boi. I na dodatek jest uparta. Zawsze uwielbiała chodzić na długie spacerunki.
- Teraz nieco zmieniłam zdanie - rzekła Bryony słabym głosem.
- No, w każdym razie na temat samotnych wypraw nocą -dodałam, widząc, że zanosi się na sprzeczkę. - Czy czuje się pani wystarczająco silna, żeby teraz porozmawiać o tych przejściach?
- Pragnę być pomocna.
- Jeśli pani poczuje się gorzej, proszę mi o tym powiedzieć. Wtedy przerwiemy.
- Na razie nic mi nie dolega.
- A zatem czy mogłaby pani zrelacjonować, co się właściwie stało?
- Przez cały dzisiejszy dzień zastanawiałam się nad tym, wracając w myślach do zdarzenia nad kanałem, ale obawiam

się, że niewiele wniosę do sprawy. Wszystko nastąpiło w mgnieniu oka. W każdym razie spacerowałam ścieżką wzdłuż kanału. Poczułam na sobie czyjąś rękę, która pociągnęła mnie z całej siły, więc zaczęłam krzyżeć. I wtedy niemal natychmiast pojawili się ci ludzie. To może głupie, ale w pierwszej chwili wcale nie myślałam, że przyszli mi z pomocą. Zanim się zorientowałam, co się dzieje, tamten mężczyzna już uciekł.

- I to wszystko?

- Co pani przez to rozumie?

- Bryony, proszę posłuchać. Po napaści była pani w stanie szoku. Trauma. Nie musi pani minimalizować tego, co się pani przydarzyło.

- Och! - Roześmiała się sztucznie. - No, szczerze mówiąc, byłam porażona strachem. To prawda, że moje zajęcie wymaga łażenia po najdziwniejszych miejscach, ale jeśli raz człowiek dopuści do siebie lęk, to potem już nigdy się go nie pozbędzie i nie zdoła wykrzesać z siebie nic interesującego. Będę musiała robić sobie autoportrety w ogródku. -

Znowu sztucznie się roześmiała. - No więc otwarcie muszę przyznać, że szłam wzdłuż kanału po to, by siebie sprawdzić. Czy to brzmi zupełnie idiotycznie?

- Nie, raczej ryzykancko.

- W każdym razie trochę się bałam, posuwając się wśród cieni - zerknęła na męża, który zachęcająco kiwnął głową - i wtedy jakaś ciemna sylwetka wyskoczyła w moim kierunku. Poczułam na sobie czyjeś ręce. Myślałam, że umrę, że ten napastnik mnie utopi. Albo zgwałci. - Zadrżała gwałtownie. - Kiedy myślę o tym, staram się przekonać samą siebie, że nic takiego by się nie stało, ale wtedy byłam przekonana, że zostanę zabita tylko dlatego, iż byłam na tyle głupia, by chodzić po północy wzdłuż kanału. Przyśniło mi się to wczoraj w nocy i obudziłam się z płaczem.

- Czy zauważyła pani jakieś cechy charakterystyczne napastnika?

Potrząsnęła smutno głową.

- Było ciemno. To raczej żałosne, co zapamiętałam. Wyda-

je mi się, że był raczej niski. Zdaje się, że miał krótko przystryżone włosy. Tyle sobie przypominam. To wszystko.

- Biały?

- Tak, przynajmniej tak sędzę.

- Czy zapamiętała pani, co miał na sobie?

- Nie.

- Albo w co nie był ubrany? Nie w garnitur, nie w długi płaszcz, nie był w szortach?

Lekko się uśmiechnęła.

- Nie, w żadną z tych rzeczy.

- Na koniec chciałabym panią zapytać, co pani myśli o tych dwóch świadkach.

- Ale o co chodzi?

- Co oni zrobili?

Bryony zrobiła zaskoczoną minę.

- Nie rozumiem. Przecież pani wie, co zrobili - przegnali tamtego.

Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Spróbowałam inaczej sformułować pytanie.

- Z tego, co pani opowiada, wynika, że trudno się było połapać w tym wszystkim. Równie dobrze mogła pani odnieść wrażenie, że napadło na panią trzech mężczyzn. Albo że zaatakowało dwóch, a trzeci ich przegonił.

- Dlaczego?

- Tak się nad tym zastanawiam. Bryony się zamyśliła.

- Jeszcze raz oglądam w myślach te sceny. Mogę tylko powtórzyć, co już powiedziałam. Napadł na mnie mężczyzna, który następnie zbiegł. To wszystko.

- A więc jeden napastnik i dwóch świadków, którzy zmusili go do ucieczki?

- Tak. - Była jednak bardziej skonfundowana niż przedtem.

- Na pewno?

- Tak. Nie. No cóż, chyba jestem pewna.

- Kiedy będzie pani zeznawała na policji, zadadzą pani dużo więcej pytań. To zdumiewające, jak wiele człowiek mo-

że sobie przypomnieć, gdy spotka się z właściwym podejściem.

- Zrobię wszystko, by wypaść jak najlepiej, doktor Quinn.

- Proszę mi mówić Kit. Kiedy ludzie zwracają się do mnie doktor Quinn, rozglądam się po pokoju, bo odnoszę wrażenie, że zagadują kogoś innego.

- Dobrze, Kit. Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

- Jasne.

Przełknęła ślinę.

- Jestem bardzo wdzięczna za to, co dla mnie zrobiliście, ale... ale...

- Co takiego?

- Zastanawiam się, czy nie była to po prostu próba napadu rabunkowego. Ten facet może chciał ukraść mi torebkę...

- Rozumiem. Jeden ze świadków wspomniał o tym. Utrzymałaś, że ty powtarzałaś, iż to tylko incydent i nie chciałaś, aby wzywał policję.

Niemniej on ze swojej komórki zadzwonił po pomoc.

Podciągnęła nogi wysoko i oparła brodę na kolanach. Zmęczonymi oczami wpatrywała się w moje zmęczone oczy.

- Czy to wydaje ci się dziwne?

Uzbroiłam się w typowy lekarski uśmiech zaufania.

- Ależ skąd! Pewnie nieraz widziałaś, jak ktoś idący przed tobą na ulicy nagle się potyka i upada, prawda? Czasami kończy się to przykrym stłuczeniem, ale w większości wypadków człowiek zrywa się na nogi i idzie dalej, jakby nic się nie stało. To bardzo silny ludzki impuls - udawać, że wszystko toczy się normalnym trybem. Zauważysz to nawet w poważnych wypadkach. Ludzie z krwotokiem podrywają się i ruszają naprzód. Tak więc to zupełnie normalne przekonywać samego siebie, że nic groźnego się nie stało. Może w ten sposób mózg broni się przed nadmiarem stresu.

- Ale to może okazać się prawdą - przerwała. W jej głosie wyczułam coś w rodzaju błagalnej prośby. - To mogła być zwykła napaść rabunkowa, prawda? Co za koszmarny zbieg okoliczności!

- Owszem, nie można tego wykluczyć. Weźmiemy i to pod

uwagę. Ale już rozmawiałam z twoim mężem na ten temat. Nie możemy sobie pozwolić na żadne ryzyko.

- To dobrze - odparła słabym głosem. Pochyliłam się nad nią.

- Prawdopodobnie mówiono ci już o tym, jednak powtórzę raz jeszcze: ludzie po takich doświadczeniach często miewają depresję. Nie wiesz, co o tym wszystkim sądzić, czujesz się winna, albo ktoś obarcza cię winą. Popatrzyłam znacząco na Gabe'a.

- Wiem, co masz na myśli - odparł. - Niekiedy z Bry rzuca się sobie do oczu. Jednakże w żadnym wypadku nie zamierzam jej winić o cokolwiek.

- Nie chodzi mi o to - rzekłam. - Chciałam tylko zauważyć, że te sprawy są dla ofiar trudniejsze, niż one same sądzą. A także dla ich partnerów. Bryony wyprostowała się na sofie i zamknęła oczy.

- Chciałabym o tym wszystkim zapomnieć - wyjąkała.

- Myślę, że dla ciebie to już przeszłość - powiedziałam z naciskiem. - Naprawdę w to wierzę. Pragniemy jednak, aby ta sprawa skończyła się dla wszystkich.

Przytuliła się do męża, który pogłaskał ją po włosach. Nagle poczułam lekkie ukłucie zazdrości i szybko ruszyłam do drzwi wyjściowych.

## Rozdział 30

Kiedy z ruchliwej arterii skręciłam w lewo i dojechałam do zaułka, przy którym mieszkał Will, byłam dość zaskoczona. Jego dom, jak mi wytłumaczył przez telefon, był niedużym wiktoriańskim bliźniakiem, z drzwiami pomalowanymi na butelkowy kolor i furtką z żeliwa, a nie ten ze starannie wystrzyżonym żywopłotem i kratami w oknach na parterze. Will nie powiedział mi jednak, że dwa bliźniacze domy były na tej uliczce jedyną pozostałością starego budownictwa. Wznosiły się tu wysokie domy mieszkalne ze ścieżkami do różnych klatek schodowych i z placami parkingowymi. Była nawet nieduża karuzela na ogrodzonym placu zabaw. Dwóch nastolatków ćmiących papierosy kołysało się na huśtawce przeznaczonej dla maluchów, ciągnąc nogi po ziemi. Domek Willa z ogródkiem od frontu i porządnym ogrodzeniem wyglądał na tym tle trochę surrealistycznie, jakby wyrwany z innych czasów i wsadzony tu przez pomyłkę.

Wyobrażałam sobie, że jego właściciel otworzy drzwi wejściowe i wciągnie mnie do środka. Spojrzelibyśmy sobie głęboko w oczy i padli w ramiona. Oczywiście nic takiego się nie zdarzyło. Will wprawdzie otworzył drzwi, ale miał przy uchu telefon bezprzewodowy, więc wpuścił mnie bez słowa. Następnie zniknął w kuchni, żeby dokończyć rozmowę. Zostałam sama w saloniku, z zamierającym uśmiechem na wargach. Przynajmniej dał mi szansę rozejrzeć się wokół. Pokój był



niemal pusty. Gdybym krzyknęła, pewnie odpowiedziałoby mi echo. Znajdowały się tutaj dokładnie cztery sprzęty: rozłożysta i wspaniała sofa koloru musztardowego, błyszcząca wieża stereo w kącie, automatyczny odtwarzacz kompaktowy z mnóstwem płyt i jedna z tych przepięknych szafek aptecznych z dziesiątkami wąskich szufladek; wiedziałam, że takie чудо można kupić za tysiące funtów w sklepach z antykami na północy Londynu. I to było wszystko. Ani stołu, ani choćby jednego krzesła. Nie było również telewizora czy wideo. Półek z książkami. Nawet wieszaka, gdzie można by zostawić płaszcz czy marynarkę. Na białych ścianach nie wisiała ani jedna fotografia, ani jeden obraz. Żaden przypadkowy przedmiot nie leżał na podłodze. Pomyślałam o moim mieszkaniu: choć i ono było pustawe, to jednak pełne różnych drobiazgów - piór i notesów, książek, gazet i pism, dekoracyjnych pudełeczek z kompletem kości do gry lub parą kolczyków wrzuconych do środka, lichterzy, lusterek, szkła stołowego, kwiatów. Tutaj jednak nie zauważyłam żadnego śladu życia codziennego.

Zdjęłam zamszową kurtkę, rzuciłam ją na oparcie sofy i zajęłam się przeglądaniem kompaktów. Nie znałam nawet jednego nazwiska spośród wykonawców. Podeszłam do szafki i ostrożnie otworzyłam szufladkę. Była pusta. Podobnie jak trzy sąsiednie. W piątej znalazłam stertę spinaczy, a w którejś z kolejnych - złamaną figurę szachową. I nic więcej.

- Przykro mi, że nic tu nie trzymam.

Aż podskoczyłam. Wszedł cicho jak kot i nakrył mnie na wertowaniu jego rzeczy, choć prawdę mówiąc, nic tu nie było.

- Czy naprawdę tutaj mieszkasz?

- Co masz na myśli?

- No, to. - Gestem wskazałam cały pokój. - Co robisz, kiedy tu jesteś?

Przecież tu nic nie ma. Żadnych śladów twojej obecności. Naprawdę dziwnie tu - nie tyle minimalistyczne wnętrze, ile minimalnie urządzone.

- O to właśnie mi chodziło.

- Jak długo tu mieszkasz?

- Kilka lat.

- Aż tyle! I w ciągu tego czasu nie zgromadziłeś żadnych rzeczy? A gdzie mieszkales przedtem?

- W domu zastawionym rzeczami.

- Z żoną?

- Tak, dom był pełen jej obecności.

- Więc oszedłeś, zostawiając wszystko?

- Chyba nie przysłaś na pogaduszki, prawda? Chcesz drinka?

- Tak. Co masz do picia?

Poszłam za nim do kuchni, która w niczym nie przypominała mi podobnych miejsc. Zauważyłam zlew pod oknem, duży pojemnik na śmieci ze stali nierdzewnej, lodówkę w rogu. Nie było tu jednak żadnych blatów, żadnych półek. Nie mogłam wypatrzeć kuchenki. Natomiast pod jedną ze ścian stał stary stół sosnowy, na którym znajdowały się: czajnik, toster, młynek do kawy i dwa noże kuchenne.

- Chryste, Will, to naprawdę zaskakujące.

- Whisky, dzin, koniak, wódka. Aha, jest jeszcze campari i jakiś islandzki trunk, którego nigdy nie otworzyłem. - Robił przegląd zawartości wysokiej szafki. - A w lodówce jest wino i piwo. Albo sok pomidorowy. Nie miałam ochoty ani na wino, ani na piwo, a już na pewno nie na sok. Chciałam czegoś, co by paliło mnie w gardło i spływało ogniem do żył.

- Spróbuję tej islandzkiej gorzały.

- Jesteś odważna. Dołączę do ciebie.

Podeszłam do drzwi kuchennych wychodzących na tyły domu i wyrzłam przez okienko do ogrodu. Zapadał już zmierzch, ale zdołałam dostrzec w mroku niewielki trawnik i drzewo rosnące pośrodku. Will wrzucił kilka kostek lodu do obu szklanek i napełnił je prawie do pełna przezroczystym trunkiem.

- Dzięki. - Podniosłam szklankę w toaście, po czym wlałam sobie połowę zawartości do gardła. - O kur...! - krzyknęłam. Alkohol palił do żywego, oczy zaszklily mi się łzami.

- W porządku?

- Ty jeszcze nie wypileś.

Bez mrugnięcia okiem wychylił szklankę prawie do dna, po czym postawił ją na stole. Dzieliły nas metry podłogi. Will wydawał się nieosiągalny, daleki.

- Nie bardzo wiem, dlaczego chciałaś tu przyjść - rzucił w dzielącą nas przestrzeń. Nie chciało mi się odpowiadać. Wypiłam resztę trunku jednym haustem. Pokój zawirował wokół osi, ale wrócił na miejsce. Co się stanie, to będzie. Przynajmniej byłam tu i coś się działo.
- A więc chcesz, żebym sobie poszła?
- Nie.
- Dobrze. I tak przekroczyłam limit. Co teraz?
- Coś do jedzenia?
- Nie, dzięki.
- Spalaś?
- Nie.
- Bez jedzenia i bez spania.
- Will, nie zrobię pierwsza żadnego kroku. - Alkohol sprawił, że poczułam się odważna.
- Zgoda.
- Ponieważ teraz jest twoja kolej.
- Dobrze, odpowiem na twoje pytanie: oszedłem, ponieważ pewnego dnia obudziłem się z kacem i poczułem się zbrzydzone tym wszystkim.
- Twoją pracą?
- Pracą, całym tym blichtrzem, moją zdumiewającą umiejętnością przestrzegania litery prawa, ale nie ducha, moimi żalonymi triumfami i sukcesami, pić, rosnącym uzależnieniem od kokainy, domem urządzonym antykami, kontem bankowym, elegancką teczką, laptopem i komórką, z którą się nie rozstawałem, jadąc każdego ranka do biura, w masie innych mężczyzn podobnych do mnie. Miałem serdecznie dosyć wszystkich tych rzeczy. Im więcej masz, tym więcej potrzebujesz. Najnowsze i najmniejsze telefonu komórkowego, różnych gadżetów, zegarka, który zarazem jest komputerem. Rzygać mi się chciało od tych pieprzonych spodni w kant świeżo spod maszyny do prasowania, od mityngów z ludźmi ubranymi w takie same garnitury, mających w domu identycz-

ne urządzenia do prasowania, i od stylowych mebli, i od wakacji na Cape Cod, o których się potem opowiada, od rozmówek o golfie, o czesnym w prywatnych szkołach, o luksusowych winach. Budziłem się i zmuszałem do tego kieratu. I w pewnym momencie uprzytomniłem sobie, że nie wytrzymam ani jednego dnia dłużej. To trochę przypomina zatrucie alkoholem. Miałem dosyć siebie, dostałem alergii na świat, w którym żyłem. Brzydziło mnie, że nie zwracałem uwagi na otoczenie. Wiesz, o czym mówię? Dzień w dzień mijałem grupy bezdomnych dzieci - takich, z którymi teraz spędzam większość czasu, przechodziłem obok pijaków i prostytutek, i dosłownie ich nie dostrzegałem, chyba że mnie zaczepiali. Byłem na nich ślepy.

- I nagle ich ujrzałeś?

- To nie była dokładnie droga do Damaszku.

- Ale to sumienie kazało ci rzucić wszystko i rozpocząć działalność w ośrodku? - Pragnęłam, aby powiedział o sobie coś dobrego.

- Nie używam tego słowa, chyba że chcę wyciągnąć jakiś datek na centrum od biznesmena, który pragnie się poczuć szlachetną jednostką... Politycy zdegradowali ten wyraz. Podobnie jak sumienie, integralność, honor. Prawdę. Uczciwość. Miłość. - W jego głosie znać było gniew. - Nie rób ze mnie członka krucjaty. Zrobiłem to dla siebie, by się uratować. Chcesz się jeszcze napić?

- OK, dlaczego by nie? A co z twoją żoną?

- Została.

- W domu pełnym rzeczy.

- Właśnie.

- Dzieci?

- Nie mam.

- Czy ją widzisz?

- Nie.

- Tęsknisz za nią?

- Nie.

- Czy czasami czujesz się samotny?

- Nie. Przynajmniej do teraz.

- Dlaczego do teraz?
- Jak myślisz, Kit?
- Czy często to robisz?
- Co?
- To, co mamy zamiar zrobić.
- Nie. A ty?
- Też nie. Nie zauważyłeś?
- Ludzie wydają się jacyś tam, a potem okazuje się, że są inni.
- A jaka ja ci się wydaję?
- Jak ktoś przestraszony, a jednak idący do przodu.
- Czego się boję?
- Nie wiem. Może mnie?
- Dlaczego miałabym się ciebie bać? - Prawdę powiedziawszy, obawiałam się go. Lęk i ekscytacja to mocna mieszanka.
- Więc może świata? Boisz się zostać zraniona?
- To ja powinnam prowadzić terapię w tym tonie.
- Napij się.
- Już skończyłam.
- Jeśli poproszę, żebyś poszła na górę, co na to odpowiesz?
- Zapytaj, a wtedy się dowiesz.
- Pójdiesz na górę?
- Tak.

Chwycił butelkę za szyjkę. Ruszyłam za nim wąskimi schodami bez żadnego chodnika. Weszliśmy do sypialni: japoński materac, szafa, standardowa lampa stojąca i - niespodziewanie - pogodna żółta zasłona, nie do końca zasunięta. Z otwartego okna wiał lekki wiatr.

- Rozepnij guziki u bluzki.
- Najpierw daj mi butelkę. Potrzebuję trochę odwagi w płynie. No masz. Podoba ci się?
- Tak. Naprawdę jesteś śliczna.
- To dlaczego patrzysz na mnie, jakby cię coś bolało?
- Bo jesteś śliczna.
- No to w porządku.
- Kit, nie powinnaś mi ufać.
- Wcale ci nie ufam. Na tym polega cała sprawa.

- Nie będę dla ciebie dobry.
- To nie ma żadnego znaczenia.

Wyciągnęłam się potem na materacu, patrząc przez okno na ogromny księżyc na granatowym niebie. Will leża! kolo mnie w milczeniu i spod półprzymkniętych powiek wpatrywał się w sufit. Wreszcie się odezwał:

- Jestem głodny.
- A mnie się chce pić.
- Chciałabyś coś zjeść?
- Nie wygląda, jakbyś miał tu jakieś zapasy.
- Bo nie mam. Ale mogę nam przynieść jakieś dania na wynos. Włoskie, hinduskie, chińskie, tajskie, greckie. Niedaleko stąd mieści się nawet japońska knajpka.
- Weź, co chcesz, mnie jest wszystko jedno.
- Nie zajmie mi to długo. - Wciągnął na siebie stare dzinsy i szarą bluzę. - Nie odchodź.

Leżałam nieruchomo, wsłuchując się w jego kroki na drewnianych schodach. Potem dobiegł dźwięk otwieranej i zamykanej furtki. Zostałam sama w domu Willa. Po kilku minutach poszłam do łazienki. Była bardzo czysta i funkcjonalna. Umyłam się i włożyłam na siebie gruby niebieski ręcznik frotté, który wisiał na haczyku na drzwiach, i postanowiłam obejrzeć pokój na piętrze - kwadratowe pomieszczenie z oknem wychodzącym na ogród. Jedynym sprzętem znajdującym się w nim był fortepian koncertowy ze stołkiem. Dotknęłam białego klawisza i jeden ton zawisł w powietrzu. Brzmiał fałszywie. Uniosłam siedzisko i znalazłam w skrytce kilka zeszytów nutowych z zadartymi rogami i notatkami na marginesach oraz puszkę po piwie.

Zeszłam na parter, żeby wziąć sobie coś do picia, bo po alkoholu czułam okropną suchość w ustach. W holu zadzwonił telefon, po chwili włączyła się sekretarka automatyczna. -Will - odezwał się męski głos teatralnym szeptem - to ja, stary. Muszę z tobą porozmawiać. Will, jesteś tam? Halo? Proszę, to bardzo pilne. - Zapadła cisza, słyszałam tylko jego ciężki

oddech. Z przestachu sama wstrzymałam oddech, jakby mógł mnie usłyszeć. W końcu się rozłączył.

Wyjęłam z lodówki butelkę gazowanej wody i chciwie wypilałam dwie szklanki. Dochodziła jedenasta wieczorem. W ciągu minionych czterdziestu godzin spałam najwyżej dwie godziny. Nie czułam się jednak zmęczona, raczej w dziwny sposób nadwrażliwa. Skóra mnie paliła, serce biło mocno, mózg pracował jak szalony. Wszystkie przedmioty w pokoju wydawały mi się aż nadto widoczne, jakby podświetlone od spodu. Poszłam do saloniku i rozsiadłam się na wygodnej, miękkiej sofie, stopy podwinęłam pod siebie. I w takiej pozycji znalazł mnie Will, gdy wrócił po kwadransie. Wszedł do pokoju z dużą plastikową torbą, z zaabsorbowaną i niechętną światu miną - taki wyraz twarzy przybierał, gdy był sam. I wtedy mnie spostrzegł. Nie zareagował uśmiechem, lecz jakby jakiś cień ustąpił z jego oczu. Ja natomiast uśmiechnęłam się na jego widok i zrobiłam mu miejsce na sofie. Pozostał milczący, ale objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie. Jego policzek był zimny, bo na dworze się ochłodziło. Wreszcie westchnął i nachylił się, żeby wyciągnąć z torby dwie czarne tacki.

- One są śliczne, wyglądają jak dzieło sztuki! Aż szkoda je niszczyć.

- Powinniśmy napić się do tego sake.

- Ja już nie będę więcej piła.

- Masz, koniecznie spróbuj tego.

Włożył mi do ust kawałeczek surowego tuńczyka z ostrą zieloną pastą, umoczywszy go przedtem w sosie sojowym. Posłusznie zaczęłam przeżuwać. To danko nie miało smaku ryby. Było samą świeżością.

- Dobrze.

- I jeszcze jeden.

- Mmm...

- Nie zamykaj oczu.

- Nie, przecież nie zamykam.

- Kit, jedz! Kit! Kit!

Starłam się mieć otwarte oczy, ale było mi zbyt rozkosznie,

żeby ich nie zamknąć - ciepły pokój, wygodna sofa, szlafrok  
przesiąknięty jego zapachem otulający moje nagie ciało, nieznane mi  
jadło, lekkie ukłucie lęku w brzuchu, dotyk ręki na moich włosach,  
brzmienie jego głosu w moich uszach, sposób, w jaki wymawiał moje  
imię. Oraz jego oddech na mojej szyi. Zapadłam się w aksamitną  
ciemność.



## Rozdział 31

Zanim podeszłam do Michaela Doiła, przyglądałam mu się przez jakąś minutę. Nad brzegiem kanału stało kilkunastu mężczyzn. Był środowy poranek. Czy ci ludzie nie chodzili do pracy? Kilka radioodbiorników nastawionych na różne stacje grało na pełen regulator. Teleskopowe wędkarzy były monstrualnej długości; niektóre z nich sięgały do przeciwległego brzegu. Gdy tak stałam, przejechał obok rowerzysta, zmuszając wędkarzy do cofnięcia się ze ścieżki, co uczynili z pomrukiem niezadowolenia.

Kilku z nich stało w kółeczku, popijając z termosu gorący napój, ale większość tkwiła samotnie na swoich posterunkach. Na ich tle Michael Doli wyglądał jeszcze bardziej odizolowany, siedząc z dala od innych. Obok warował nieruchomo jego pies, a ślina ściekała mu bąblami spod żółtych kłów. Ruszyłam w stronę Dolla, skacząc między wędkami, plastikowymi pudełkami z masą haczyków, żyłek, przynęty. Choć nie było chłodno, Michael miał na sobie kurtkę w czerwono-czarną kratę, popularną wśród kanadyjskich drwali. Głowę okrył sfatygowanym granatowym kapturem. Wpatrywał się w jakiś punkt przed sobą, więc gdy się zbliżałam, nie dostrzegł mnie. Podśpiewywał pod nosem. Dopiero kiedy poczuł mój wzrok na swej twarzy, odwrócił się. Uśmiechnął się, ale nie wyraził zdziwienia. Czulałam, że czegoś się po mnie spodziewa, co mnie lekko zmroziło.

- Cześć, Kit - odezwał się. - Jak się masz?

- Świetnie - odpowiedziałam, wkładając ręce do kieszeni. Rozejrzałam się wokoło. - Nigdy przedtem nie widziałam cię z wędką.

Ni to parsknął śmiechem, ni to kaszlnął.

- Tu jest dobre życie - rzekł z przekonaniem. - I przychodzą porządni ludzie. - Uniósł wędkę. Na haczyku nie było ryby. - To cwaniaki, wyjadają robaki. - Znów parsknął. Fachowym ruchem złapał haczyk w locie, nie wstając ze składanego stołka. Obok lewego buta postawił blaszane pudełko po tytoniu pełne dżdżownic. Przebierał w nim palcami, aż wyciągnął jedną z nich, najwyraźniej odpowiadającą mu wyglądem.

- Inni łowią na sztuczną przynętę.

- Te sztuczne muszki to strata forsy. Na miejscu można wykopać masę robaków. Tyle, ile potrzeba. A poza tym robak jest bardziej mięsisty. - Przymknął jedno oko, gdy nadziewał biedną dżdżownicę na haczyk. - Wiesz, śmieszne, że ludzie troszczą się o lisy i o foczeta, ale nic ich nie obchodzi męka ryb czy robaków. No, sama popatrz na tę dżdżownicę. Ludzie mówią, że ona nie czuje bólu, ale spójrz, jak się wije. - Końcem haczyka przebił robaka, z którego wypłynął szarawy płyn. Zaczęłam się zastanawiać, czy robaki mają krew. Przerabiałam to na biologii, gdy miałam trzynaście lat, ale teraz w żaden sposób nie mogłam sobie przypomnieć. - No, popatrz uważnie, jeszcze bardziej się wije. Można by się założyć o wszystko, że ją to boli i chce się wyzwolić, prawda? Już się uspokój. - To ostatnie zdanie skierował do robaka. Dżdżownica była teraz dwukrotnie przebita haczykiem. - Kto powiedział, że robak nie czuje bólu tak jak ty czy ja?

- Więc dlaczego to robisz?

Doli zarzucił wędkę i przynęta zniknęła w ciemnych wodach kanału. Spławik podskakiwał i chwiał się na boki, aż wreszcie znieruchomiał we właściwej pozycji.

- Nie myślę o tym - bąknął w końcu.

- Ależ myślisz. Przecież przed chwilą o tym właśnie mówiłeś.

Zmarszczył brwi, by się skoncentrować.

- No, przychodzi mi to na myśl, jeśli chcesz znać prawdę. Ale nie przeszkadza. Robak to robak, nie?

- Pewnie tak. I dużo łowisz tych ryb?

- Czasami z dziesięć. A znowu innym razem siedzę w deszczu przez cały dzień i nie udaje mi się złowić ani jednej.

- I co z nimi robisz?

- Wrzucam z powrotem do wody. Chyba że haczyk wejdzie za głęboko. Wyciągasz go i rozrywasz rybnie gardło albo flaki. Wtedy taką sztukę walę kamieniem w łeb i zanoszę kotu, który mieszka w sąsiedztwie. On uwielbia ryby.

Wcisnęłam ręce głębiej do kieszeni i usiłowałam zachować pozory zainteresowania tematem. Usłyszałam, że Doli gada do siebie, ale kiedy baczniej się wsłuchałam, zrozumiałam, że przemawia do ryb, do niewidzialnych istot w ciemnej oleistej wodzie, zachęcając je do połknięcia przynęty.

- Tu jesteście - szeptał. - Podpłyńcie, moje piękne. No, chodźcie. -

Podciągnął wędkę, haczyk wynurzył się z toni. Ryba się nie złapała, ale robak był na pół zjedzony. - To dopiero cwaniaki - skomentował.

- Michael, przyszłam tu, żeby porozmawiać z tobą o tym, co się stało nad kanałem. - Wymamrotał coś pod nosem. - Nie myślisz, że to raczej dziwne, iż byłeś tutaj w czasie ostatniego napadu?

Spojrzał na mnie.

- Wcale nie dziwne - rzekł. - Ja zawsze tu siedzę. To jest moje miejsce. Jeśli on chce zabijać dziewczęta na moim terenie, to nie moja wina.

- W porządku - odparłam. - To jest twój teren. Wiem o tym. Czy rozpoznałbyś tego człowieka? Czy wydawał ci się znajomy?

- Neeee - mruknął. - To wszystko spadło na mnie znienacka. Było ciemno. Nic nie widziałem.

- Michael, czy dobrze się czujesz? Nikt cię znów nie napadł?

- Neeee - powtórzył przeciągle, uśmiechając się do mnie. - Wszystko zapomniane. Zapomniane i przebaczone.

Zerknęłam na spławik unoszący się nad wodą. Teraz ryba

objadła pewnie większość robaka. Nie czułam się na siłach, żeby przypatrywać się, jak Doli będzie nadziewał następną dżdżownicę na haczyk.

- Zastanów się - powiedziałam z naciskiem. - Jeśli cokolwiek sobie przypomnisz, daj mi znać. Najłatwiej znajdziesz mnie przez policję.

- Przecież mam numer twojego telefonu.

- No tak - odparłam zdetonowana.

- Wiem, gdzie mieszkasz.

- Albo możesz po prostu powiedzieć policji.

- Popatrz, popatrz, cholerna ryba!

Na końcu wędki dyndała srebrna rybka. Szybko odeszłam, żeby nie być świadkiem, jak Doli wyciąga z niej haczyk razem z wnętrznościami.

W drodze do domu przechodziłam obok kawiarni z kuszącym stolikiem na zewnątrz, ustawionym w pełnym słońcu. Usiadłam, zamówiłam podwójne espresso i starałam się nadać jakiś sens gonitwie myśli.

Gdy podano mi filiżankę kawy, zatelefonowałam do Obana. Owszem, Bryony złożyła zeznanie i z tego powodu inspektor był w marnym nastroju.

- Jak się domyślasz, musimy wydusić, co się tylko da z tego pierdolonego Doiła - pardon za mój język - bo zdaniem Terence'a Macka napastnik był zdecydowanie wysoki, a zdaniem Bryony - raczej niski. Może więc wezwiemy ich obu i wreszcie dowiemy się, jak było naprawdę.

- Pamiętaj, że to była napaść w środku nocy. Czego się spodziewałeś?

- Nie mogę uwierzyć, że facet znów zaatakował, ludzie go zauważyli, a my dalej mamy gówno w ręku. A ty co robisz?

- Siedzę w kawiarni i piję kawę.

- Chciałbym sobie posiedzieć obok ciebie. A propos, czy zamierzasz sporządzić dla nas raport z tego incydentu? Co o tym sądzisz?

- W opinii Bryony to mógł być zwykły napad rabunkowy,

który się nie powiódł, nie mający nic wspólnego z naszą sprawą.

- Taa, to samo napisała w swoim oświadczeniu. Co z nią? Nie chce być sławna?

- Musimy się nad tym zastanowić.

- Chcesz może powierzyć jej kierowanie dalszym śledztwem? Chętnie ustąpię. - Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. - Kit, jesteś tam?

- Nie chciałabym, żeby ktoś miał nas przechytrzyć. Widzisz, to nie jest jedynie opinia Bryony. Mnie też ten napad nie pasuje do naszego schematu.

- Co ty wygadujesz? Jak to nie pasuje? Pasuje aż do zbyt wielu schematów. To samo miejsce nad kanałem, znowu Doli w tym wszystkim. To powinno wystarczyć, nawet tobie.

- Ja myślałam o samym ataku. Dwa poprzednie dokonano z dużą fachowością, że tak powiem. Natomiast ten ostatni był jakiś niezdamy.

- Kit, daj spokój! Ci zabójcy eskalują, podejmują coraz większe ryzyko. Muszą coraz bardziej się wystawiać, żeby czerpać z tego podniecie. Gdyby jeden z naszych świadków nie był fujarą, a drugi psycholem, to już byśmy go mieli. A co do tego porąbanego, to...

- Dan, naprawdę nie wiem. Właśnie wróciłam znad kanału, gdzie odbyłam rozmowę z Doilem.

- Och, nawet mi nie mów. Twoim zdaniem on jest zbyt miły, żeby mógł to zrobić.

- Gdyby Doli był mordercą, byłby dużo gorszy niż jest. Obserwowałam, jak wbijał robaka na haczyk.

- Czy to jest podstawa twojego osądu o nim?

- Jeden z przyczynków.

- Aha, wobec tego muszę cię trzymać z dala od mego trzynastoletniego syna. Nie masz pojęcia, co on robi z żukami pod szkłem powiększającym. Moja filiżanka była pusta. Miałam dość kawy. Już teraz huczało mi w głowie. Słońce schowało się za chmury i nagle zrobiło się bardzo chłodno.

- Jakie więc masz plany? - zapytałam.

Przez parę sekund w słuchawce zapanowała cisza. Zaczęłam się zastanawiać, czy nasza rozmowa nie została przerwana.

- Prześladowuje mnie okropne uczucie, że tak sobie siedzimy i czekamy, aż zabójca zrobi jeszcze coś głupszego, i dopiero wtedy go złapiemy. Na razie spróbujemy zrobić więcej hałasu wokół tej sprawy.

Poinformowałem paru reporterów o nowym ataku. Chciałem przekonać panią Teale, żeby wystąpiła w telewizji, ale wyraźnie się obawiała. Może ty ją zdołasz namówić.

- Spróbuję.

- Masz jakieś pomysły? Nad czym się zastanawiasz? Teraz ja zamilkłam na kilka sekund. No tak, do czego zmierzam?

- Chyba jeszcze raz wszystko przeanalizuję. Ciągle jestem zdania, że coś przeoczyliśmy.

- Szukasz analogii między tymi trzema sprawami?

- Nie wiem.

- Ależ, Kit - wykrzyknął z leciutką nutą rozpacz. - Przecież już mamy związek łączący te zbrodnie. Sama odkryłaś główne zbieżności. Po co szukasz innych?

- Nie wiem - powtórzyłam, czując nagły spadek energii. -Może ciągle poruszam się po omacku, w ciemnościach.

- Ty to powiedziałaś, nie ja - rzekł Oban z irytacją. - Daj mi znać, jak natrafisz na kontakt w ścianie.

I na tym skończył rozmowę.

Poszłam do przychodni i przez cały dyżur byłam bardzo zajęta.

Przeprowadziłam wiele rozmów telefonicznych, odpowiadałam na zaległe listy, przewodniczyłam naradzie poświęconej chłopcu, który podpalił dom rodziny zastępczej, przeegzaminowałam dwóch beznadziejnych kandydatów do pracy. Wygłaszałam mądre uwagi, dyskutowałam i sprzeczałam się, ale przez cały czas myślą byłam zupełnie gdzie indziej. Wróciłam do domu dopiero po ósmej i na stole kuchennym zastałam kartkę: „Wyszłam. Będę bardzo późno. Dzwonił ten pomyleniec. Ściskam, J.”.

Wzięłam sobie długą kąpiel, w trakcie której przysnęłam. Wiedziałam, że można zasnąć przy kierownicy i zginąć w kraksie. Ale czy zdarza się, żeby zdrzemnąć się w wannie i utonąć? Nie zamierzałam ryzykować. Narzuciłam szlafrok i zatelefonowałam do Willa. Nikt nie podniósł słuchawki. Zajrzałam do lodówki i zauważyłam miseczkę ryżu. Zjadłam go na stojąco, cały czas myśląc, że byłby lepszy, gdybym podsmażyła go na oliwie i dodała trochę parmezanu. Wypatrzyłam jeszcze dwa korniszony i pomidora. I otwartą butelkę wina. Nalałam sobie kieliszek. Nastawiłam radio i bez szczególnego zdziwienia poznałam głos Seba Wellera, który rozprawiał o Philippie i Lianne. Boże, ale z niego zawodowiec! Słowa płynęły gładko, bez wahania. Czasami mała pauza, by uwiarygodnić spontaniczność wypowiedzi.

- Rzecz jasna, że ta sprawa dotyka wielu kobiet mieszkających w okolicy - oświadczył. - Czasem myślę, że mężczyźni nie do końca zdają sobie z tego sprawę.

- Prócz ciebie, oczywiście - mruknęłam, po czym zawstydziłam się tej uwagi.

- Mężczyźni nie pojmują, czym jest dla kobiet przejście przez ciemną ulicę, stanie na pustym peronie metra, gdy słyhać czyjeś zbliżające się kroki, leżenie nocą w łóżku, gdy zza okna dobiegają dziwne odgłosy. Wszystkie kobiety - odważne czy ostrożne - mają w sobie ukryte zasoby lęku. Mógłbym tę tajemniczą przestrzeń wewnętrzną nazwać... - zrobił efektowną pauzę - ...czerwoną komnatą.

- O Chryste! - krzyknęłam głośno.

- Czerwonym pokojem, gdzie znajdują się wszystkie rzeczy, jakich boją się najbardziej...

Zadzwoił telefon, więc ze złością wyłączyłam radio.

- To ja.

- Kto?

- Mike.

Dopiero po paru sekundach uprzytomniłam sobie, że to Michael Doli. Teraz już przedstawia mi się jako Mike.

- Cześć - rzekłam.

- Co robisz?

Poczułam mdłości. Zaraz mnie zapyta, co mam na sobie. Mocniej otuliłam się szlafrokiem.

- Michael, po co dzwonicz? Czy przypomniałeś sobie o czymś?

- Po prostu dzwonię. Odwiedziłaś mnie nad kanałem, więc teraz ja telefonuję do ciebie. - Nastąpiła chwila ciszy. - Ucieszyłem się na twój widok.

- Muszę już kończyć.

- W porządku - odparł.

- Dobranoc.

- Spij dobrze.

Dobrze to ja nie spałam. Nie po tej rozmowie. Godzinami przewracałam się na łóżku. Kiedy w końcu obudziłam się z płytkiego snu, wydawało mi się, że w ogóle nie zmrużyłam oka. Język miałam przyklejony do podniebienia. Przecież nie wypiałam aż tak dużo? Wstałam o wpół do dziewiątej. Julie siedziała przy stole kuchennym z dzbankiem kawy i rozłożoną gazetą. Inne pisma były rozrzucone na blacie. Wyglądało to jak lektura w niedzielny ranek, lecz był dopiero czwartek. Poszła spać cztery godziny po mnie, ale prezentowała się rześko i młodo, jak z reklamy.

- Co słyszeć? - zapytałam.

- Wyszłam po gazetę, ale ponieważ zobaczyłam, że i w innych sporo napisano o tych twoich morderstwach, więc kupiłam i pozostałe.

- No wiesz, to nie jest moja zbrodnia.

- Niesamowite. Pewna kobieta twierdzi, że znajdzie mordercę za pomocą kryształu. Ktoś inny utrzymuje, że wyczyta jego nazwisko z Księżyca. O, i zgłosił się jakiś psycholog. Zamieścili nawet jego zdjęcie. - Pokazała mi gazetę. - Kogoś mi przypomina, i doprowadza mnie do szału, że nie mogę go sobie skojarzyć.

- Bustera Keatona - odparłam.

- No tak, ale on chyba już nie żyje, co?

- Raczej nie. A zresztą był podobny do tego faceta w 1925 roku.



To gliny tylko tyle zdołały wyciągnąć z Terence'a i z Bryony. Boże, muszą być w rozpacz - pomyślałam.

- Nigdzie jednak nie wymieniono ciebie. - Julie była trochę rozczarowana. Może podejrzewała, że wszystko sobie wymyśliłam, a w gruncie rzeczy albo w ogóle nie mam nic wspólnego ze śledztwem, albo uczestniczę w nim jak piąte koło u wozu. Asystentka od podawania herbaty. - Chcesz przeczytać?

- Chyba nie.

Wypiłam kawę i szybko się ubrałam. Chciałam załatwić wiele spraw. Jeśli nic sensownego nie przyjdzie mi do głowy, poproszę o krótki urlop, spróbuję wrócić do normalnego życia, przestanę dopatrywać się wszędzie schematów postępowania psychopatów, zacznę szukać natchnienia w obłokach.

- Musimy porozmawiać - rzuciła Julie, gdy zbliżałam się do drzwi wyjściowych.

- Później - odpowiedziałam, zbiegając po schodach. Gdy znalazłam się na dworze, poczułam czyjąś obecność.

A raczej wyczułam. Nosem. Odwróciłam się.

- Dzień dobry, Kit.

To był Doli w asyście psa. Miał na sobie tę samą co wczoraj kurtkę, ten sam kaptur. Dołożył do tego stroju szalik zawiązany w dwa ciasne supły, którym owinał szyję. Jak zdoła je roz-plątać? I jak długo czekał tu na mnie?

- Michael - zwróciłam się do niego. - O co chodzi?

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Czy masz coś ważnego do przekazania?

- Po prostu chcę pogadać.

- Spieszę się.

- A ja nie.

Dziwaczność tej odpowiedzi wprawiła mnie w zdumienie.

- Naprawdę muszę iść - powiedziałam z naciskiem. Ruszyłam, ale on mnie nie odstępował.

- Chciałem cię odwiedzić - wybąkał. - Zobaczyć się z tobą.

- W związku z czym?

- No, rozumiesz. Żeby pogadać o paru sprawach.

Zatrzymałam się.

- Masz na myśli morderstwa?

Gwałtownie pokręcił głową. Miał minę świadcząca o tym, że moje pytanie go zabolalo.

- No, pojmujesz, o różnych rzeczach.

Staralam się myśleć precyzyjnie. W głębi ducha marzyłam, żeby chłopak się zmył i nigdy więcej nie zaszczycił mnie swoją obecnością. Ale jeśli miał mi coś ważnego do zakomunikowania?

- Michael, ja pracuję nad rozwikłaniem tych morderstw. Dobrze o tym wiesz. Jeśli masz cokolwiek do dodania na ich temat, to zamieniam się w słuch. Ale na nic innego nie mam czasu.

- Dlaczego?

- Bo jestem zajęta.

- Ciebie tylko to obchodzi, prawda? Zajmujesz się mną, bo myślisz, że ci coś powiem. Jesteś taka sama jak inni.

- Jacy inni?

- Później z tobą porozmawiam - rzekł z twarzą czerwoną jak burak. - Pogadamy, kiedy ja będę miał ochotę. Kit, odtąd będę miał cię na oku. Ale teraz odchodzę. Ja też jestem zajęty, jak widzisz. Nie tylko ty. Oddalił się, mrużąc coś pod nosem, wzruszając ramionami. Młody mężczyzna idący naprzeciwko niego przeszedł na jego widok na drugą stronę ulicy.

## Rozdział 32

- Nie wiem, w czym mogłabym pani pomóc - rzekła Pam Veré. Usiadła w fotelu naprzeciwko mnie wyprostowana jak struna, z rękami na oparciach, jakby za chwilę miała wstać i wskazać mi drzwi.

Siedziałam w miejscu, które Philippa najbardziej lubiła, gdzie światło wpadało przez wysokie francuskie okna. Bukiety kwiatów, które za mojej pierwszej bytności zajmowały każdą wolną przestrzeń, teraz zostały uprzątnięte. Ludzie dość szybko tracą zainteresowanie takimi wydarzeniami. Jedynie na stoliku między nami stał wazon różowych i fioletowych groszków. Pamiętałam, jak gadatliwa przyjaciółka Philippy wspomniała, że to ulubione kwiaty zmarłej. Jej duża, czarno-biała fotografia stała na kominku za panią Veré, więc spoglądając na matkę, widziałam zarazem jej zamordowaną córkę, która z niewesołym uśmiechem wpatrywała się ciemnymi oczami w sobie tylko znaną przestrzeń.

Pam Veré jakby się postarzała o dziesięć lat od naszego ostatniego spotkania. Przepuszczalnie zbliżała się do sześćdziesiątki, ale jej twarz była blada, zmięta, a głębokie zmarszczki przypominały bruzdy wyciosane w kamieniu. Usta miała wąskie i zaciśnięte, a pod oczami sine worki. Kiedy odwiedziłam ten dom poprzednim razem, byłam poruszona Emily. Wyobrażałam sobie, jaką tragedią dla małej jest strata matki, ale nie zastanawiałam się zbytnio, co śmierć jedynej

ukochanej córki znaczyła dla Pam. Dopiero teraz, gdy patrzyłam na jej zmienioną twarz i ręce drżące na oparciach fotela, uprzytomniłam sobie, jakie to dla niej nieszczęście.

- Nie wiem, w jaki sposób mogłabym pani pomóc - powtórzyła.

- Przepraszam, że znowu panią niepokoję... Zastanawiałam się jednak, czy mogłabym zajrzeć do rzeczy Philippy.

- W jakim celu?

- Czy policja tego nie zrobiła?

- Nie. Jasne, że nie. Dlaczegoż miałyby to robić? Moja córka została zabita przez szaleńca, gdzieś tam... - Wskazała ręką przestrzeń za oknem.

- Niemniej chciałabym na nie zerknąć.

- Ale chyba nie zamierza pani znowu rozmawiać z Emily, prawda?

- Nie w tej chwili. Czy mała jest w domu?

- Na górze, w swoim pokoju. Zajmuję się nią teraz, spędzam z nią większość czasu. Przychodzę tu rano i wracam do siebie, kiedy jej ojciec pojawia się po pracy. Robię to, póki sprawy się nie unormują. Emily głównie bawi się w swoim pokoju. Niedługo zacznie chodzić do przedszkola.

- Jak sobie radzi?

- Sweter, który Philippa często nosiła, służy jej teraz za koc. Zwija się pod nim i ssie kciuk. Doktor poradził, abym pozwoliła jej to robić. Powiedział mi, że dziecko samo dojdzie do siebie po śmierci matki.

- To brzmi sensownie - rzekłam, przypatrując się jej uważnie.

Zastanawiałam się, czy to moja obecność tak ją denerwuje, czy może popełniłam jakiś błąd, zadałam niestosowne pytanie.

- Jeremy bez końca rozwiązuje krzyżówki i płacze, kiedy myśli, że nikt go nie słyszy. Emily leży na dywaniku... - Przetarła oczy. - Nie wiem. Nie wiem, co jest lepsze.

- A pani? Czym pani się zajmuje?

- Ja? - Wzdrygnęła się lekko. - Staram się przeżyć dzień. - Nagle wstała. - A czego pani właściwie szuka?

- Czy ona trzymała gdzieś swoje papiery osobiste - listy, dziennik, jakieś inne dokumenty?

Wzięła głęboki wdech, krzywiąc się, jakby coś zakłuło ją w piersi. Czuję, że zastanawia się, czy powiedzieć mi, abym sobie poszła i nigdy więcej nie wracała.

- W sypialni na piętrze znajdzie pani biurko - wycodziła w końcu. - Nie sądzę, aby było tam wiele, prócz starych rachunków i paru listów. Jeszcze ich nie przeglądaliśmy. - Zerknęła na fotografię córki, ale szybko spuściła powieki. - Jeremy już spakował większość jej ubrań. Przekazał je do fundacji charytatywnej. Sprawia mi przykrość, gdy myślę, że jacyś zupełnie obcy ludzie będą paradować w jej ślicznych sukniach. Ona się doskonale ubierała, jak może pani wie. Policja wzięła jej dziennik.

- Tak, poinformowano mnie o tym.

- Nic tam pani nie wytropi. Moja córka wyszła któregoś dnia do parku i już stamtąd nie wróciła.

- A jednak czy mogę zajrzeć do jej biurka?

- No dobrze. Cóż to ma za znaczenie?

Czuję się trochę jak złodziej w sypialni, bez wątplenia urządzonej ręką kobiety. Ten pokój nadal wyglądał jak pomieszczenie dla dwojga. Na stoliku pod ścianą zostały jej porzucane drobiazgi, a na łóżku ciągle leżały dwie duże poduszki. Jednakże jedna część szafy w ścianie była już opróżniona, wisiały w niej tylko puste wieszaki, a na krześle przy drzwiach widać było jedynie męskie ubrania.

Antyczne biurko w kształcie sekretarzyka stało blisko okna, które wychodziło na tyły ogrodu. Na blacie zauważyłam bukiet suchych kwiatów w dzbanuszkach, telefon bezprzewodowy, sporo fotografii w ramkach. Usiadłam przy nim, żeby jeszcze raz przyjrzeć się Phillipie Burton. Na tym zdjęciu trzymała na rękach malutką Emilię. Nóżki dziecka obejmowały ją w talii, a jego rumiany policzek był przytulony do bladej twarzy matki.

Otworzyłam drzwiczki. Wewnątrz panował porządek, ale rzeczy, niestety, było bardzo mało. Ich przegląd zaczęłam od sprawdzenia zawartości przegródek wyłożonych zielonym fil-

cem. Kilka piór, zaostrzone ołówki, klej do papieru. Wąska taśma klejąca, nieco znaczków do listów miejscowych i zamiejscowych. Także papeteria z nagłówkiem pani domu - białe koperty, beżowe koperty, wkłady do wiecznych piór w małej plastikowej torebce, kilka widokówek, paczka z rachunkami z odręczną notą „Zapłacone”.

Przejrzałam je, ale nie znalazłam nic nadzwyczajnego: 80 funtów za przetkanie zlewu, 109 funtów za skrzynkę wina, 750 funtów za komplet krzesel z drewnianymi oparciami, plus dwa stołki. Dalej natrafiłam na zbiór rysunków Emily - ludziki z samymi głowami i nogami, ale bez korpusów, zamazane tęcze, niezdarne kwiatki, jakieś niewyraźne wzorki. Na odwrocie Philippa zanotowała daty ich powstania. Była bez wątpienia bardzo dobrze zorganizowaną kobietą.

Znalazłam sztywną reklamówkę farb firmy National Trust z wymyślnymi nazwami: sepia, stare płótno, szafran, salonowa czerwień. Ulotki z instytucji charytatywnych z apelami o datki. Trzy zaproszenia dla obojga na przyjęcia, na które ona już nie pójdzie. Wiele kartek od przyjaciół. Jacyś Pam i Luke, Carrie, Rachel, John, Donald i Pascal pozdrawiają z Grecji, z Dorset, Sardynii, ze Szkocji. Kilka odręcznie pisanych listów. Nadawczynią jednego z nich była Laura, dziękująca obojgu za uroczą kolację... Drugi nadesłała niejaka Roberta Bishop, przedstawiając się jako sąsiadka. Zapraszała Philippę na zebranie w sprawie przepisów parkowania na ulicy i projektu ograniczenia szybkości ruchu kołowego. Miała skłonność do nadużywania wykrzykników.

Zamknęłam drzwiczki i wysunęłam pierwszą szufladkę. Paczka papieru A4, sterta broszur z agencji turystycznych, stare zestawienia bankowe ułożone chronologicznie i starannie spięte. Szybko je przejrzałam, ale też nie znalazłam niczego, co by mnie zastanowiło. Philippa nie była rozrzutna, każdego tygodnia pobierała mniej więcej taką samą kwotę z bankomatu. Już miałam zasunąć szufladkę, gdy zauważyłam kątem oka książkę wciśniętą na sam spód: tanie wydanie w różowej okładce z dużym tytułem: Marzenie Lucy i podtytułem: Powieść erotyczna dla kobiet. Niżej widniała podobizna dziewczyny

z odsłoniętymi piersiami, z zarysem ciemnych sutków, z głową odchyloną do tyłu i kaskadą włosów spadających na ramię. Przez chwilę zastanawiałam się nad przywłaszczeniem sobie tej książki, zanim Jeremy opróżni zawartość szuflady, ale doszłam do wniosku, że nie będę jej zabierała. Phillipie pewnie jest wszystko jedno, czy mąż odkryje jej sekretną lekturę.

W dolnej szufladzie znajdowała się duża lalka w firmowym opakowaniu. Przeczytałam, że ma na imię Sally. Przez celofan widać było jej kasztanowe loczki, długie brązowe rzęsy i błękitne oczy. Przeszedł mnie dreszcz. Do kartonu przytroczona była buteleczka ze smoczką. Na załączonej instrukcji podano, że jeśli Sally da się pić wody, będzie płakała i zrobi siusiu. Pomyślałam, że Philippa z pewnością kupiła tę lalkę dla Emily na jej zbliżające się urodziny. Obok pudła leżał notesik.

Otworzyłam go i na pierwszej stroniczce odczytałam listę zakupów z przekreślonymi nazwami produktów. Na drugiej stronie widniała lista spraw do załatwienia: zadzwonić do hydraulika, kupić sznurowadła, rozmrozić lodówkę, zostawić samochód na stacji obsługi.

Trzecia stroniczka była pokryta jakimiś rysunkami w kształcie owoców. Czwarta była prawie pusta, jeśli nie liczyć paru numerów telefonicznych zanotowanych na marginesie. Na piątej nabazgrano kilka słów po skosie. Zerknęłam na nie bez szczególnego zainteresowania. Kiedy jednak śliniłam palec, żeby przewrócić kartkę, przyjrzałam się im bliżej i zamarłam z wrażenia.

Znalazłam bowiem imię Lianne. Wpatrywałam się w litery jak zahipnotyzowana, lękając się, że znikną, zamienią się na moich oczach w inny wyraz. Jednakże nic takiego nie nastąpiło. Dalej gapiłam się na słowo Lianne.

Gdy skierowałam wzrok na dół strony, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Widniało tam, napisane mniejszymi literami, nazwisko Bryony Teal, zakończone pytajnikiem. Lianne i Bryony Teale, tyle że Philippa nie umieściła „e” na końcu. A więc zapisała imiona dwóch innych ofiar. Zauważyłam także jeszcze jedno, z narysowanym obok kwiatkiem, jak symbolem: Daisy - stokrotka.

Ostrożnie, jakbym trzymała w rękach granat, włożyłam notes do swojej torebki. Następnie zasunęłam szufladę.

Siedziałam nieruchomo przez całą minutę, wpatrując się w okno.

Próbowałam uporządkować fakty, na które przypadkiem natrafiłam.

Słońce schowało się na chwilę za szybko płynącym obłokiem. Ujrzałam w ogrodzie Emily, ubraną w dżinsowe szorty i bluzeczkę w paski.

Dziewczynka wbiegła na trawnik i zatrzymała się, wołając coś do babci, która nadal była w domu. Nagle popatrzyła w górę i zobaczyła mnie w oknie pokoju matki. Przez chwilę jej twarzyczka rozjaśniła się cudowną radością. Dziecko uniosło ręce i chciało wykrzyknąć słowo, które cisnęło się mu na usta. I zaraz potem skurczyło się w sobie, bezwładnie opuściło rączki. Pod powiekami poczułam palące łzy.

Wstałam od biurka i wyszłam z pokoju, ściskając pod pachą drogocenną teraz torebkę. Nie mogłam myśleć o niczym innym prócz imion zapisanych w notesie. Jakże byłam głupia, przekonując Bryony, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.



### Rozdział 33

Zatelefonowałam do przychodni Welbeck, przepaszając za nieobecność na zebraniu kierownictwa. Odwołałam lunch z Poppy. Siedziałam teraz w samochodzie koło Obana, który kłął jak szewc, pocił się jak w łaźni i po raz setny wykrzykiwał, że to nie ma żadnego sensu. Jego donośny głos świdrował mi w uszach. Przyciskałam palcami skronie. Przecież musiało istnieć jakieś wytłumaczenie. Jednakże nic nie przychodziło mi do głowy. Gdybyśmy spojrzeli na tę sprawę od innej strony, może doszlibyśmy do czegoś. I wszystkie bezsensowne fakty nabrałyby nowego znaczenia. Zamknęłam oczy, starając się zrelaksować, żeby ten węzeł gordyjski dało się mimo wszystko rozplątać. Czekałam, aż spłynie na mnie jasność. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Jęknęłam i przetarłam oczy. Oban obok mnie siedział z ponurą miną. On również nie był zachwycony nieuniknioną wizytą.

Zadzwoiła jego komórka.

- Tak? - warknął. - Tak, zajmijcie się tym. - Wyraz jego twarzy zmienił się nieco. Pochyliwszy się do przodu, chwycił wolną ręką za kierownicę. - Powtórz. Dobra, dobra, zajrzemy w drodze powrotnej, powiedzmy, za pół godziny. Nie, nie dłużej. Bądźcie przygotowani.

Rozłączył się.

- Kurwa!

- Co?

- Kurwa.

- No dobrze, ale co jeszcze, Daniel? Gwałtownie zahamował przed domem Teale'ów.

- Nie uwierzysz, czego się właśnie dowiedziałem.

- Powiedz! Czego się dowiedziałeś?

- Nie ma teraz czasu, później ci opowiem. - I wyskoczył z auta.

- Nie - wyszeptała. Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Wpatrywała się w nas ogromnymi ciemnymi oczami. - Nie! - Tym razem odezwała się głośniej, z pasją, i uniosła ręce jak w modlitwie. - Nie rozumiem. To nie może być prawda. Co to wszystko oznacza?

- Nie wiemy - odpowiedziałam. Zerknęłam na Obana, chcąc wyczytać z jego oczu, czy ma ochotę coś dodać, ale siedział bez ruchu, gapiąc się na swoje dłonie, które spoczywały na stole kuchennym. Wyglądał tak, jakby rozpaczliwie pragnął sobie przypomnieć strzęp własnego snu.

Bryony otworzyła usta, żeby coś wyjąkać, ale spuściła głowę i zakryła twarz rękami. Jej wspaniałe włosy okryły ją jak zasłona.

- Coś takiego nie może się zdarzyć. - Usłyszałam, jak mamrocze do siebie. I po chwili to samo: - Coś takiego nie może się zdarzyć.

Za naszymi plecami, na kuchence, zaczęła skwierczeć jakaś potrawa, potem wykipiała. Kuchnię wypełnił zapach przypalonego cukru, ale Bryony nie ruszyła się z miejsca. Oban zerwał się i odstawił patelnię na bok, a następnie wrócił do stołu, na którym kobieta oparła głowę gestem bezbrzeżnej rozpacz.

- Jedna z ofiar zapisała twoje nazwisko - odezwałam się. -A ty twierdzisz, że nigdy jej nie spotkałeś?

- Nie - odparła wolno. - Naprawdę.

Teraz Oban zakrył twarz swoimi wielkimi dłońmi.

- Bryony, jesteś tego pewna? Spotykamy tyle ludzi, może ją gdzieś poznałaś, ale nie zapamiętałaś nazwiska. Może ona знаła ciebie.

- Nigdy jej nie spotkałam. Czy myślicie, że bym o tym zapomniała, zwłaszcza gdy tyle się teraz o niej pisze? Nigdy nie widziałam jej na oczy. Nigdy nie słyszałam tego nazwiska, poznałam je dopiero z prasy, gdy ją zamordowano.

- Ani Lianne?

- Na miłość boską, nie znałam jej. Co więcej mogę powiedzieć? - Jej głos przypominał wycie.

- A czy imię Daisy coś ci mówi? Daisy Gili? - rzucił Oban, nagle unosząc głowę. - Nie! Nie! Kim jest ta Daisy? Kolejną ofiarą?

Oban w milczeniu podał jej fotografię, której nigdy przedtem nie widziałam. Policja, jeśli musi, pracuje z błyskawiczną szybkością. Były to cztery zdjęcia zrobione w automacie. Dziewczyna o ostrych rysach, z trójkątną twarzą i czarnymi postrzępionymi włosami. Na pierwszym ujęciu miała poważną minę i lekko rozchylone wargi, z których wystawał nad-szczerbiony ząb. Na drugim zaczynała się lekko uśmiechać, ale patrzyła w bok, pewnie w stronę niewidocznej koleżanki. Na trzecim chichotała i najwyraźniej machnęła głową, bo część jej twarzy została ucięta. Na czwartym wyszła z kadru; została tylko jej ręka.

Bryony wpatrywała się w fotki przez minutę, po czym odepchnęła je od siebie, gwałtownie potrząsając głową.

- Nie! - wybuchnęła i zalała się łzami. Pochyliłam się nad stołem i pogłaskałam ją po ręce. Ścisnęła mi dłoń gestem tonącego. Pewnie sądziła w tym momencie, że tylko ja mogę ją ocalić.

- Jednakże Philippa Burton zapisała przed śmiercią twoje nazwisko - powiedział Oban takim tonem, jakby mówił do siebie.

- Wiem, do cholery! - krzyknęła Bryony przez łzy. - Słyszę, co do mnie mówicie! Przepraszam, że się uniosłam. Wybaczcie. Rzucam się na was, jakbyście to wy byli winni. Ale to jest okropne. - Otarła oczy wierzchem dłoni i próbowała zapanować nad sobą. Wyprostowała się na krześle, zaczesła ręką włosy za uszy. - Muszę jakoś sprostać tej sytuacji.

Napijecie się kawy?

- Nigdy nie odmawiam - odparłam, gdy Oban jednocześnie mruknął:
- Nie, dziękuję.

Bryony wstała z wdziękiem od stołu. Miała na sobie długą czarną spódnicę z bawełny i czarny podkoszulek, jej stopy były bosc. Wokół kostki zwisał srebrny łańcuszek.

- Dajcie mi kilka sekund, żebym mogła to przemyśleć - powiedziała, stawiając czajnik na gazie. - Bardzo was proszę.

Oban z trudem się uśmiechnął i rozpiął górny guzik koszuli. Jego błękitne oczy wydawały się bledsze i mniejsze niż zazwyczaj. Chyba sprawiały mu ból, bo stale mrugał, jakby chciał wyostrzyć wzrok. Jego nieliczne rude włosy były przetłuszczzone, na policzkach ciemniał zarost. Jadąc tutaj, powiedział do mnie, między jedną a drugą rozmową przez komórkę:

- Chcę, żebyś odtąd stale mi towarzyszyła. Zabrzmiało to nie jak rozkaz, lecz jak pokorna prośba.

W jednej chwili z szefa przemienił się w petenta. Nie byłam tym zachwycona, prawdę mówiąc. Wprawdzie coś odkryłam, ale było to zupełnie bezsensowne. W gruncie rzeczy odebrało nam wszelkie podstawy do logicznego myślenia. A tymczasem gdzieś czaił się morderca.

Wzięłam do rąk fotki Daisy i zaczęłam się w nie wpatrywać. Dziewczyna miała sztuczny brylancik umocowany na brwi i drugi na języku. Na jej szyi zauważyłam wisiorek. Na trzecim zdjęciu, tym z uciętym fragmentem twarzy, widać go było wyraźniej. Miał kształt serduszka, takiego samego, jakie nosiła Lianne, gdy została zamordowana. Na tamtej połowce był wygrawerowany napis „Najlepszy...”. Zastanowiło mnie, czy na wisiorku Daisy znajdowała się druga część hasła: „...Przyjaciel”. Popatrzyłam, jak Bryony wsypuje kawę do dwóch kubków. Zagryzała przy tym dolną wargę i marszczyła brwi. Gdy jednak spostrzegła, że na nią patrzę, posłała mi ni to uśmiech, ni grymas.

- Czy twój mąż jest w domu? - spytałam.
- Gabe? Nie, właśnie poszedł na pocztę. Wróci lada mo-

ment. Zazwyczaj pracuje dopiero po południu. Proszę, to twoja kawa. Zdaje się, że nie lubisz z mlekiem?

- Bez mleka i bez cukru. Dzięki.

Znowu usiadła przy stole, oplatając dłońmi kubek, jakby w nim szukała pociechy. Nagle wydała mi się bardzo młoda i nadzwyczaj wrażliwa.

- No dobrze - zwróciła się do nas. - Co się teraz stanie? Oban odchrząknął i rzekł z pozorną lekkością:

- Prowadzimy intensywne śledztwo.

Bryony wlepiała w niego oczy, wyczekując z napięciem dalszych wyjaśnień.

- Posłuchaj - powiedziałam. - Z pozoru nie ma żadnego sensu, iż jedna z ofiar zna tożsamość pozostałych dwóch. Nie wiemy, kiedy Philippa zapisała imiona, więc nie potrafimy ustalić, czy uczyniła to wówczas, gdy Lianne już nie żyła, czy też przed jej śmiercią. - Przez chwilę się zawahałam, ale miałam do czynienia z inteligentną kobietą, która się domyśliła, co mam na myśli: - Nasuwa to podejrzenie, że nad kanałem nie napadł cię zwykły rabuś.

Kiwnęła głową. Jej usta zbieleły.

- I że morderca nie działał na oślep - dodałam opanowanym tonem.

- Nie - mruknęła. - Rozumiem.

- Policja zatem zajmie ci trochę czasu, żeby ustalić...

Gdy wypowiadałam to zdanie, usłyszałam, że ktoś przekręca klucz w zamku i wchodzi do holu, poświstując fałszywie.

- Gabe! - krzyknęła Bryony. - Gabe, jestem w kuchni, z policją.

Gwizdanie natychmiast umilkło. Gabe wszedł do kuchni, zdejmując po drodze sfatygowaną kurtkę ze skóry. Na jego twarzy widać było napięcie.

- Co się dzieje? - zapytał od progu. - Bry? Nic ci nie jest?

- Panie Teale, proszę się nie niepokoić - rzekł Oban. W tym momencie Bryony wtrąciła szybko:

- Philippa Burton zapisała przed śmiercią moje nazwisko. Gabriel otworzył usta, ale nie był zdolny wykrztusić ani sło-

wa. Przeniósł spojrzenie z żony na nas. Robił wrażenie wstrząśniętego wiadomością.

- Moje nazwisko i tej dziewczyny, Lianne, oraz jeszcze innej imieniem Daisy. - Bryony mówiła wolno, jakby chcąc się upewnić, że wszystko do niego dociera. Jego przerażenie zdawało się dodawać jej sił. -

Powiedzieliście Daisy Gili?

- Tak jest, pani Teale.

- A więc to nie wygląda na napad rabunkowy. I robi wrażenie, że on nie chciał zabić przypadkowej osoby, lecz właśnie mnie.

Gabriel podszedł do żony i ukląkł przy krześle. Obiema rękami ścisnął jej dłonie, pocałował je, a następnie ukrył twarz w jej spódnicy. Ona zaczęła głaskać go po włosach, po czym uniosła jego głowę i popatrzyła mu w oczy.

- Już dobrze, przecież wiesz - powiedziała czule, w moim przekonaniu uspokajając i siebie, i jego. - Obiecuję ci, że wszystko dobrze się skończy. Nic złego się nie stanie. Słyszysz, kochany?

- Czy mogę państwu zadać jeszcze kilka pytań, zanim zostawię was pod opieką odpowiedzialnych detektywów? - odezwał się Oban.

Gabriel się podniósł i stanął za krzesłem Bryony, kładąc ręce na jej ramionach.

- Czy znają państwo mężczyznę nazwiskiem Will Pavic? Gapiłam się na niego, nie mogąc pojąć, dlaczego o to pyta.

- Chyba nie. Znamy kogoś takiego, Gabe?

- No cóż, wiem, kim on jest - rzekł Gabriel. - To znaczy, pewnie większość mieszkańców tej dzielnicy zna jego nazwisko.

- Dlaczego? - spytał Oban. - Ja nie mam pojęcia, jak się nazywa moja sąsiadka, nie mówiąc o ludziach mieszkających po przeciwnej stronie ulicy.

Gabriel uniósł ręce.

- Chodzi mi o to, że należymy do tego samego świata. Prowadzę dzielnicowy teatr i zależy mi na tym, żeby dotrzeć do najbardziej opuszczonych ludzi i przywrócić ich społeczeństwu. On kieruje schroniskiem dla bezdomnej młodzieży. Cie-

szy się z tego powodu pewną sławą, prawda? Zawsze robi - jak by to ująć - szum wokół swojej placówki. Z pewnością gdzieś się spotkaliśmy, i tyle. Dlaczego pan jednak pyta o niego? Co on ma wspólnego z naszą sprawą?

- Na razie to wszystko - rzekł Oban. - Chciałbym tylko dodać, że inspektor Furth będzie chciał z państwem porozmawiać.

Zostawiliśmy ich w kuchni w tej samej pozie. Teale nadal trzymał ręce na ramionach żony, a ona, odwróciwszy głowę, wpatrywała się w niego. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Widząc to, sama poczułam dreszcz trwogi.

- Kit, co o tym wszystkim myślisz? - zapytał Oban, gdy jechaliśmy na komisariat. - Zgadnij, czego się dowiedziałem, jadąc tutaj: w ciągu miesiąca poprzedzającego śmierć Philippy Burton wykryto trzy połączenia telefoniczne między ośrodkiem Pavica i jej domem. - Och - jęknęłam, czując chłód do szpiku kości, choć dzień był parny.

- Och? To tyle? Chryste! Kit, słyszałaś, co powiedziałem? Pierwsze dwa połączenia trwały nieco poniżej minuty. Natomiast ostatnie - aż osiemdziesiąt siedem! I co ty na to?

- Nie wiem.

- Pavic, co? To zaczyna być interesujące.

- Bardzo - wymamrotałam. Po chwili dodałam szeptem: -Chyba muszę ci o czymś wspomnieć.

- Zaraz - mruknął, naciskając szereg guziczków w swojej komórce. - Powiesz mi potem.

- Dobrze.

Oparłam głowę o boczną szybę i przymknęłam oczy. Cóż to za koszmar.

## Rozdział 34

Gdy podjechaliśmy pod komisariat, Oban wyskoczył z auta i ruszył z taką szybkością, że z trudem za nim nadążałam.

- Co teraz? - krzyknęłam zdyszana za jego plecami.

- Będziemy rozmawiać z różnymi osobami. Umundurowany policjant przyłączył się do nas na korytarzu i zrównał się krokiem z Obanem, który go zapytał:

- Czy on już tu przyjechał?

- Jest w pokoju numer dwa - poinformował tamteff. --Głłice pan, abym go teraz przesłuchał?

- Sami to zrobimy. Wystarczy nam parę minut. Podążyłam za Obanem, widząc, że skręca w lewo, potem w prawo. Podeszliśmy do drzwi- Inspektor zastukał do nich energicznie. Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich policjantką. Z szacunkiem skinęła głową.

- Facet jest w porządku?

- Nie wiem, panie inspektorze - odparła zagadnięta. - Nie otworzył ust, jeśli nie liczyć ziewania.

- Proszę zostać na zewnątrz - zwrócił się do niej. - Zajmie nam to pięć minut.

Oban przytrzymał drzwi i weszłam do środka. Nie wiedziałam, kogo mam się spodziewać, nie miałam czasu na myślenie. Kiedy więc ujrzałam Willa Pavica, poczułam się tak, jakby ktoś niespodziewanie zdzielił mnie pięścią w twarz. Will siedział przy stole, ręce trzymał w kieszeniach. Spojrzał w drzwi



i nasze oczy się spotkały. N\$gi odmówiły mi posłuszeństwa. Na jego twarzy nie dostrzegłam żadnej zmiany prócz cienia ironicznego uśmiechu. Miał na sobie szary garnitur i białą koszulę, był bez krawata. Zastanawiałam się, czy został aresztowany. Czy w areszcie padał odbierają zatrzymanym krawaty, żeby się na nich nie powiesili? Zwróciłam się do Obana.

- Nie wiedziałam. - Zająknęłam się. - Nie spodziewałam się...

- Pan Pavic łaskawie przyszedł tu, żeby zamienić z nami parę słów.

Musimy omówić kilka spraw. Proszę usiąść.

Oban wskazał ręką jedno z krzeseł przy stole. Will zajął miejsce. Nadal nic nie mówił. Ja natomiast oparłam się o ścianę przy drzwiach, żeby być jak najdalej od niego. Usiłowałam spojrzeć mu w oczy, ale ze znudzoną miną wpatrywał się w blat stołu. Była to reakcja, z którą zdążyłam się już zapoznać - ten człowiek wydawał się nieugięty, nieprzenikniony.

Drżałam ze zdenerwowania, lecz Oban zachowywał się swobodnie. Robił wrażenie odprężonego, gdy siadł naprzeciwko Willa, jakby obaj spotkali się na drinka.

- Nastąpił pewien postęp w śledztwie dotyczącym zamordowania Lianne i Philippa Burton - oznajmił. Will nawet nie mrugnął powieką. Oban kaszlnął. - Może pan wie, że doszło do kolejnego ataku nad kanałem. Tym razem napadnięto kobietę nazwiskiem Bryony Teale. Zdaje się, że zna pan jej męża Gabriela.

- Słyszałem o nim - odparł bezbarwnym tonem Will. -Jednakże nie znam go osobiście.

- On też słyszał ó panu. No, ale pan jest przecież ogólnie znaną osobistością, prawda, panie Pavic? I oczywiście miał pan kontakty z Lianne. Muszę przyznać, że do dzisiejszego ranka poważnie wątpiłem, czy istniały jakieś powiązania między tymi kobietami.

Will zmrużył oczy i jego uśmiezek stał się bardziej widoczny, ale nadal milczał.

- Nigdy nie spotkał pan Bryony Teale? Ona jest fotografikiem. Spędza wiele czasu z aparatem w pana sąsiedztwie - nad kanałem i na przyległych ulicach.

- Nie - odparł Will.

- A Philippa Burton? Znał ją pan? Zetknął się pan z nią kiedyś? Słyszał pan o niej?

Zacisnęłam ręce za plecami, wbijając sobie paznokcie w dłonie.

Will pokręcił głową.

- Nie.

- No tak, właściwie dlaczego mieliście się znać? - rzekł Oban. - Ona mieszkała w drogiej dzielnicy Hampstead. Była żoną biznesmena. Myśle jednak, że kontaktuje się z pan ludźmi z najróżniejszych środowisk.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Tym razem wszakże Will zerknął na mnie. Nie spuściłam oczu. Staralam się go zapewnić wzrokiem, że chociaż należę do grupy śledczej, uważam tę sytuację za bezsensowną i jestem przekonana, iż przesłuchiwanie go jest w moim pojęciu absolutnie niepotrzebne. Ponieważ chciałam mu przekazać tak wiele, przypuszczam, że odczytał to jako wyraz ostatecznej paniki. Nie robiło to na nim najmniejszego wrażenia. Will patrzył na mnie tak, jakbym była płaszczem rzuconym na krzesło.

- Jak już zauważyłem - ciągnął Oban - odnosiłem się sceptycznie wobec koncepcji jakichś powiązań między ofiarami. Zakładałem, że morderca działał na oślep. Doktor Quinn natomiast upierała się, że powiązać te zabójstwa. Teraz odkryła notatnik Philippa Burton. Były tam zapisane imiona Lianne i Bryony Teale. Niesłychane, prawda? Dane dwóch ofiar odnotowane przez trzecią.

Will lekko wzruszył ramionami.

- O co tu chodzi?

- Do tego właśnie zmierzam. Sprawdziliśmy, z kim Philippa rozmawiała telefonicznie w minionym miesiącu. W większości wypadków były to zwykłe kontakty: z matką, mężem w pracy, kilkoma przyjaciółkami, agentem z biura podróży, tego rodzaju sprawy, ale jedna rzecz była zaskakująca. Dziewiątego lipca ktoś z jej domu dzwonił do pańskiego schroniska. Domyślam się, co pan zaraz odpowie, ale nie było to połączenie z automatem na korytarzu ośrodka z tym, z którego pańscy podopieczni korzystają w celu handlu narkotykami.

Gdyby to przesłuchanie było testem na brak reakcji, Will otrzymałby maksimum punktów. Ale to nie był test i doskonale wiedziałam, że każdy

na miejscu Willa powinien okazać zdumienie, że coś takiego miało miejsce. Nawet ktoś kompletnie niewinny ugiąłby się pod tym brzemieniem i zaczął zachowywać się jak odpowiedzialny za zarzucane mu czyny. Will jednakże ani na jotę nie zmienił znudzonej miny.

- Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia - oznajmił.

- Czy to oznacza, że odmawia pan odpowiedzi? To pana prawo.

- Nie, nie to mam na myśli. Nie wiem, jak pan sobie wyobraża moją reakcję. Proszę mi zadawać pytania, a ja spróbuję na nie odpowiedzieć.

- Czy rozmawiał pan przez telefon z Philippą Burton?

- Nie.

- Czy inne osoby mają swobodny dostęp do telefonu? Znow wzduszył ramionami.

- Prawdopodobnie.

- Nie chcę słyszeć „prawdopodobnie”. Tak czy nie? Will zacisnął szczęki.

- Tak - wycedził.

- Dostęp z nadzorem?

- Często przebywam poza biurem. Mój asystent imieniem Fran przesiaduje w gabinecie większość czasu. Mamy również wielu pomocników i ochotników. Jestem jednak pewien, że czasami w pokoju z telefonem nie było nikogo.

- Czy Lianne zatrzymała się w ośrodku właśnie w tym czasie?

- Ona nigdy tam nie mieszkała, raczej się kręciła.

- To ważne, ponieważ wzmiankowana rozmowa telefoniczna odbyła się przed obu morderstwami.

- To chyba oczywiste - rzucił Will.

- Przepraszam - przerwał Oban. - Czy ja coś przeoczyłem? Dlaczegoż jest to dla pana takie oczywiste?

Will zabębnił palcami po stole.

- Nieważne - odparł.

- Ale co pan przez to rozumiał? Will westchnął.

- Jeśli te osoby ze sobą rozmawiały, to raczej zanim zostały zamordowane. Tyle chciałem powiedzieć.

- Kto mówił, że one rozmawiały ze sobą?

- Pan.

- Nic podobnego. Powiedziałem jedynie, że ktoś telefonował z domu Philippy do pańskiego ośrodka. Przykładowo, ona mogła rozmawiać z panem. Choć teraz już nie podałyby takiego przykładu, skoro pan nas zapewnił, że nigdy nie kontaktował się z nią. Ale mógł to zrobić ktoś inny. Albo ktoś, nie ona, mógł telefonować z jej mieszkania. Istnieją niezliczone możliwości. Dlatego jest niezmiernie ważne, by ustalić, kiedy Lianne znajdowała się w ośrodku. Czy pan ma jakieś dokumenty w tej sprawie?

- Owszem, ale one nie są zbyt precyzyjne.

- To wielka szkoda. - Przyjazny ton Obana stawał się coraz ostrzejszy. - Szczegółowe dane byłyby nam nadzwyczaj pomocne.

Will odsunął krzesło gestem, jakim czynią to goście po obfitej wiktoriańskiej kolacji. Metalowe nóżki ohydnie zazgrzytały o podłogę. Po raz pierwszy okazał jakąś reakcję, co wróżyło wybuch gniewu.

- Wie pan - odparł z nieukrywaną furią - po latach doświadczenia doszedłem do wniosku, że jedyny sposób, w jaki mogę trzymać was z daleka od moich dokumentów, to wcale ich nie prowadzić.

Przez dłuższą chwilę Oban wydawał się kompletnie zaabsorbowany usunięciem niewidocznego brudu zza paznokci.

- Panie Pavic - odezwał się w końcu. - Nie jestem zainteresowany pana komentarzem o charakterze politycznym. Skupmy się na czymś innym: młoda kobieta, która przez pewien czas korzystała z pańskiego ośrodka, została zamordowana. Inna ofiara telefonowała do schroniska. Przykro mi, jeśli nudzę tym pana.

Zapadła cisza. Kiedy Will przemówił, jego głos był bardzo

cichy, ale zarazem tak przenikliwy i lodowaty, że ze swojego miejsca słyszałam każdy wyraz.

- Pracuję z tymi ludźmi od dawna - rzekł. - Normalnie dla was nie istnieją. A kiedy coś się wydarzy, nagle zaczynacie się nimi ogromnie interesować. A potem odchodzicie do innych zajęć. Proszę mi więc wybaczyć, że nie jestem wdzięczny za obecną troskę. - Wstał. - Chyba nie rozumiecie, jak działa mój ośrodek. Ludzie nie podbijają kart pracowniczych. Nie wpisują do notesu, kiedy dzwonią do kogoś. - Dopiero teraz spojrzał na mnie jak na kogoś, kogo zna. - To nie jest college dla dobrze urodzonych pań. Raczej skalista wysepka pośrodku oceanu. Rozbitkowie docierają do jej brzegów. Przez chwilę trzymają się rozpaczliwie tej skały, ale potem fala znowu ich porywa. Jeśli mimo wszystko stają się nieco silniejsi niż wtedy, gdy przybyli, jest to jedyna moja nadzieja.

- Czy Lianne nabrała sił, nim odeszła z ośrodka? Mimo wszystko Will nie potrafił ukryć smutku w oczach.

- Nie wiem - odparł.

Wychodząc, nie spojrzał na mnie, nie zatrzymał się, nie wyciągnął do mnie ręki. Po jego odejściu zagryzłam wargi i roztrzęsionym głosem wyznałam Obanowi, że spotykałam się z nim w ciągu ubiegłego tygodnia. Oban popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakbym obudziła go z pijackiego snu i wybełkotała coś kompletnie niezrozumiałego.

- Pavic? - spytał niezbyt przytomnie. - Bo ja myślałem... Ale co z... Ty i on? No cóż... - Ze zdziwieniem zmarszczył brwi. - Pavic? - powtórzył. -

Jesteś pewna? Ty i on jesteście parą?

- Nie użyłabym takiego określenia.

- Aha, jak moja żona i ja. Nareszcie do mnie dotarło.

## Rozdział 35

- Chcę, żebyś mnie nie odstępowała - zdecydował przed paroma dniami Oban. A więc byłam razem z nim, ponownie stojąc na rozmokłym trawniku Jeremy Burtona, cały czas świadoma obecności Emily, która z palcem w buzi obserwowała nas z okna swego pokoju. Jeremy chciał, abyśmy rozmawiali przed domem, jakby w jego murach czuł się osaczony. Miał na sobie tylko koszulę z krótkimi rękawami, ale nie zwracał uwagi na chłodny wiatr, buszujący w ogrodzie. Mnie wcale nie było za ciepło w rozpinanym swetrze. W butach mi chlupało.

- Nie rozumiem - powtarzał. Tyle tylko miał do powiedzenia od chwili, gdyśmy do niego przyjechali. Wpatrywał się w fotografie Daisy, Lianne i Bryony, trzymając każdą z nich na długość wyciągniętej ręki, jakby był dalekowidzem. Wreszcie zwrócił je Obanowi. - Nie - zakomunikował krótko po ich obejrzeniu. - Nie, nigdy ich nie widziałem. Nie spotkałem się z żadnym z tych nazwisk. Nie, nie, nie. Nie mogę pojąć, po co mi pokazujecie te zdjęcia.

- Pańska żona zanotowała przed śmiercią nazwiska dwóch pozostałych ofiar - tłumaczył cierpliwie Oban. - Lianne. I imię tej kobiety, która przed paroma dniami została napadnięta nad kanałem, pani Teale - Bryony feale. A Daisy Gili to dziewczyna, która kilka miesięcy temu najprawdopodobniej popełniła samobójstwo. Zdaje się, że była dobrą koleżanką Lianne. Pana żona również zapisała jej dane.

- Dlaczego? - Stanowczo potrząsnął głową i zmarszczył brwi, jakby nie widział dokładnie naszych twarzy. - Po co? - Miał pobrużdżoną twarz o szarym odcieniu, wydawał się wykończony. Oczy były przekrwione, jakby chore.

- Nie wiemy, dlaczego, panie Burton - rzekł Oban. - Znaleźliśmy te nowe dowody, które bez wątpienia zmieniają nasz pogład na dotychczasowe śledztwo.

- Philippa z pewnością ich nie znała - upierał się Burton. - Nie mam co do tego wątpliwości.

- Niemniej zapisała ich nazwiska.

- To wszystko jest jakąś straszną pomyłką - wykrzyknął z rozpaczą. - Nie potrafię tego wyjaśnić, ale to z pewnością nieporozumienie. Ona nie miała z nimi nic wspólnego.

- Co sprawia, że jest pan tego tak pewny? - zapytałam delikatnym tonem.

- Powiedziałyby mi o nich.

- Co by panu powiedziała?

- Wszystko. Cokolwiek. O wszystkich sprawach w swoim życiu. - Przez chwilę odniosłam wrażenie, że zaraz wybuchnie płaczem, lecz rzucił nam pełne cierpienia spojrzenie i ruszył w gład ogrodu.

- Panie Burton - zawołał za nim Oban. - Wiem, że to szok, ale...

- To nie szok, lecz... jakiś koszmarny sen.

- Czy pańska żona mogła otrzymywać pogróżki, czy...?

- Ja naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego zapisała nazwiska tych ofiar.

Któż miałby jej czymś grozić? - Nagle stanął i obrócił się w naszą stronę.

- Wiem, co myślicie.

- Co takiego?

- Że moja żona miała jakieś sekrety - na przykład romans czy coś w tym guście. Albo że ja coś przed nią ukrywałem. Może sądzicie, że miałem przygody z tymi trzema kobietami, a ona je wykryła. Chcecie, abym temu zaprzeczył? No to proszę: zaprzeczam.

I odszedł.

- Jeremy! - Przyspieszyłam kroku i położyłam mu rękę na ramieniu, by nie odszedł zbyt daleko. - Proszę posłuchać

uważnie. Niczego nie zakładamy ani nie sugerujemy. Wysłuchaj nas. Wiem...

- Co ty wiesz? Nic. Ja nie umiem okazywać emocji. Nigdy nie potrafiłem. To nie znaczy jednak, że jestem zimny jak ryba. Phil znała mnie dobrze. Natychmiast spostrzegła, kiedy byłem przygnębiony albo zmartwiony. Wystarczyło, że stawałem w drzwiach, ona widziała moją minę i od razu zgadywała, czy coś mnie gnębi, czy wszystko jest w porządku. Nie musiałem jej nic mówić. Nie gruchaliśmy do siebie bez przerwy, nikt nie nazywał nas parą gołąbków. Ale istnieją różne sposoby okazywania miłości bliskiej osobie. Ja ją kochałem, ona kochała mnie, a teraz, gdy ona nie żyje, przyszliście tu z insynuacjami. Podejrzewacie, że nasze życie małżeńskie układało się źle. Nie. Nam się dobrze żyło razem. Mieliśmy takie życie, jakiego oboje pragnęliśmy. Niekoniecznie było ono na pokaz, ale mieliśmy siebie, a potem przyszła na świat Emily. Chcieliśmy mieć drugie dziecko. Wtedy nasza rodzina byłaby w komplecie. To słowa Phil. A teraz moja żona nie żyje i nigdy już nie zostaniemy taką rodziną, o jakiej marzyła.

- Panie Burton...

I wtedy ujrzelśmy oboje, że po policzkach spływają mu łzy. Stał pod jabłonią, pochylony pod gałęzią z na pół dojrzałymi owocami i płakał jak mały chłopiec, aż jego twarz stała się mokra od łez.

- Nie - oświadczyła Pam Veré, siedząc sztywno na krześle. Jej bursztynowe kolczyki chwiały się, gdy energicznie potrząsała głową. Nie rozpoznała na fotografiach żadnej znajomej twarzy. Tak, była tego pewna. Absolutnie pewna.

- Pani Winston, jak długo Daisy tu mieszkała?

Pani Winston, otyła i ufryzowana kobieta, może i wydawałaby się sympatyczna, gdyby nie przesadny makijaż i baczne spojrzenie zza grubych szkieł. Siedziałyśmy w jej przytulnej kuchni, trzy koty zwinęły się koło moich stóp, a my jadłyśmy herbatniki z czekoladową polewą. Oban wrócił na komisariat, nie dzielając mojej potrzeby dowiedzenia się czegoś więcej o Daisy.

- Kit, musimy się skoncentrować na głównych postaciach tej gry - powiedział. - A zresztą moi ludzie już tam byli, to jest załatwione.



- Jak długo? - Pani Winston zmarszczyła czoło i siorbnęła łyk herbaty. - Niech pomyślę. Co ja wtedy powiedziałam tym miłym policjantom, którzy złożyli mi wizytę? Faktycznie, nie mieszkała tutaj zbyt długo. Zwykle lubimy, gdy nasze dzieci przebywają z nami dłuższy czas, bo wtedy można z nimi nawiązać nić porozumienia. Wie pani, przekonać ich do życia rodzinnego. Jedna dziewczyna spędziła z nami dwa lata. Prawda, Ken?

Ken, który był o głowę niższy od mojej rozmówczynie, skwapliwie przytaknął.

- Tak jest - potwierdził.

- Georgina, znaczy się, była taką porządną dziewczyną.

- Taką miłą - dodał Ken.

- Ale ta Daisy nie zagrzała u nas miejsca. Była tu może trzy miesiące, może ociupinę dłużej.

- Dlaczego przebywała u państwa tak krótko?

- Och, ona nigdy się nie ustatkowała. Pani sobie wyobrazi, myśmy próbowali. Daliśmy jej pokój do wyłącznego użytku, zawiesiłam tam nowe zasłony, które sama uszyłam, wstawiliśmy ładne meble. I powitaliśmy ją z otwartymi rękami, prawda, Ken?

- Tak było.

- Tego dnia, kiedy do nas przyjechała, powiedziałam jej: Daisy, traktuj ten dom jak swój własny. A jak będziesz miała jakieś problemy, poważne czy niewielkie, przyjdź z nimi do mnie.

- I przyszła? To znaczy, ze swoimi problemami?

- O, nie. Nigdy. Była jak ślimak w skorupie. I od razu w pierwszym tygodniu powiedziałam do Kena: „Zobaczysz, nic z tego nie wyjdzie”. Tak rzekłam, prawda, Ken?

- Tak powiedziałaś.

- Ona była zamknięta w sobie. Jadła tylko w swoim pokoju. Wszędzie znajdowałam okruszki. Nie chciała tu przynależeć, nawet nie próbowała. I wygadywała okropne rzeczy o moim synu Berniem. - Widziałam Berniego, dryblasza około siedemnastu lat w podkoszulku z wizerunkiem czaszki, który otworzył mi drzwi. - A on tylko starał się być towarzyski. - A więc Daisy nigdy nie opowiadała o swoim życiu? - Nie. Rzadko w ogóle się odzywała. Taka była zamknięta w sobie. - Czy spotkała pani jakichś jej kolegów, koleżanki? - Nie. Często wychodziła, ale nikogo tu nie przyprawiała. Czasami nie wracała na noc. Mówiłam jej: „Daisy, nie mam nic przeciwko, że gdzieś idziesz, tu masz klucz, ale daj mi znać, o której wrócisz”. I wie pani co? Ani razu tego nie zrobiła.

Rozłożyłam przed nią fotografie.

- Nie - rzekła po chwili zastanowienia. - Już to mówiłam. Oczywiście, rozpoznaję tę kobietę, ale widziałam jej zdjęcie w telewizji.

- To Philippa Burton.

- Co ktoś taki jak ona mógł mieć wspólnego z naszą Daisy?

- Więc jest pani absolutnie przekonana, że nie spotkała pani żadnej z nich?

- Już powiedziałam policji, że nie.

- Dziękuję - odezwałam się zmęczonym tonem. - Chciałam się tylko upewnić.

- Wie pani, niełatwo być rodziną zastępczą. Pewnie pani myśli, że nie zajmowałam się Daisy, lecz robiłam, co w mojej mocy. Bardzo mi było przykro, kiedy się dowiedziałam, że odebrała sobie życie. Biedaczka, powiedziała, prawda, Ken? Ale nie byłam zaskoczona.

- Dlaczego nie? Wzruszyła ramionami.

- Ona tak naprawdę była złą, zepsutą dziewczyną. Drażliwa, wulgarna, wybuchała gniewem ni stąd, ni zowąd, płakała w swoim pokoju, zrzucała rzeczy na podłogę. Czasami kopała koty. Raz ją na tym złapałam. To już był szczyt. Uważała, że cały świat obrócił się przeciwko niej. Było już za późno.

- Za późno na co?
- Na nas, na naszą pomoc. Na wszystko zresztą.
- Dziękuję. - Wstałam i postanowiłam jak najszybciej opuścić tę przegrzaną kuchnię i drzemiące koty.
- Zrobiliśmy, co w naszej mocy.
- Nie wątpię w to.
- Ale są tacy ludzie, którym nie sposób pomóc.
- Dziękuję, trafię do wyjścia.
- Ona była swoim najgorszym wrogiem.
- Do pewnego stopnia winię siebie samą - powiedziała Carol Harman.
- Kto ją znalazł?
- Ja. Zawiadomił mnie ktoś z moich podwładnych, ponieważ jej drzwi były zamknięte, nie odpowiadała na pukanie. Otworzyłam je kluczem pasującym do wszystkich zamków i tam na nią natrafiłam. Powiesiła się, ale przecież o tym pani wie, prawda?
- Tak, wiem.
- Zdawaliśmy sobie sprawę, że ma tendencje samobójcze. Mogła się pociąć żyletką, odmawiać posiłków. W naszym ośrodku znajdowała się pod szczególną opieką, wie pani, ciągłe dyżury u niej kogoś z personelu, takie sprawy. To nie powinno się było zdarzyć.
- Musiała być bardzo zdeterminowana - odparłam. Polubiłam tę kobietę, która nie próbowała się przede mną usprawiedliwiać. - Jej samobójstwo nie było krzykiem o pomoc.
- Gdyby ten zamach na własne życie nie okazał się skuteczny, może Daisy by go nie powtórzyła. A zresztą, nie wiem. Była trudną dziewczyną
- strasznie upartą, spragnioną uczuć. Kiedyś poskarżyła mi się: „Nikt nigdy nie powiedział, że mnie kocha”.
- I co pani jej na to odpowiedziała?
- Ze ja ją kocham, ale nie zabrzmiało to szczerze, szczególnie w ustach osoby, która знаła ją od paru tygodni i której płacono za opiekę nad nią.

- Przynajmniej wypowiedziała pani te słowa.
- Hm. W każdym razie chciała się pani dowiedzieć, czy kiedykolwiek spotkałam te kobiety. Owszem, tę widziałam chyba raz. - Wskazała końcem palca na zdjęcie Lianne. - Ona tu odwiedzała Daisy. Obie zamykały się w jej pokoju. To wszystko.
- Ale pozostałych pani nie spotkała?
- Nie.
- Jak pani myśli, dlaczego Daisy odebrała sobie życie?
- Dlaczego się zabiła? Naprawdę nie potrafię wyjaśnić. Miała żalowaną egzystencję, to pewne. Nie znam innych okoliczności, ale równie dobrze mogło ich nie być. Może po prostu samobójstwo było dla niej łatwiejsze niż zmaganie się z życiem.

## Rozdział 36

Następnego dnia pojechałam do przychodni, przesiadłam na zebraniu w sprawie restrukturyzacji personelu i udawałam, że zagłębiłam się w papierach. Mój umysł zajmował się wyłącznie wydarzeniami z ostatniej doby. Miałam przed oczami listę nazwisk, zbiełałam twarz Bryony, gdy dowiedziała się o notesie Philippy, słyszałam w uszach rozpaczliwy płacz Jeremy'ego pod drzewem jabłoni.

I zupełnie nie wiedziałam, co mam począć z Willem. Czy będzie na mnie tak wściekły, że już się nie odezwie? Czy chcę go jeszcze zobaczyć?

Kwadrans po szóstej zadzwoniłam do niego. Za dziesięć dziewięć spojrzłam na zegarek, który Will zdjął mi z ręki i położył na podłodze obok łóżka. Kiedy go znowu zapinałam na nadgarstku, byłam świeżo po prysznicu. Wskazywał parę minut po dziesiątej. Potem wyciągnęłam się z powrotem koło Willa. Jeszcze niezupełnie wyschłam po kąpieli, a on ciągle był spocony po naszym seksie. Ja pachniałam jego mydłem, a on - mną. Wszędzie.

- Było cudownie - rzekłam i natychmiast zaczęłam się usprawiedliwiać. - Zawsze czuję się głupio, gdy wygłaszam podobne truizmy. Brzmi to tak, jakbym ci za coś dziękowała. - Usiadłam, opierając się o ścianę, podłożyłam sobie poduszkę pod plecy. Rozejrzałam się po pokoju. Zauważyłam resztki chińskich potraw z dostawą do domu. Obok leżała pusta bu-

telka, a obok niej stała druga, wypita w dwóch trzecich. Nasze ubrania były rozrzucone na podłodze.

- Przepraszam za wczorajsze popołudnie - dodałam. - Zupełnie nie wiedziałam, co mam zrobić.

- To nie ma znaczenia - odparł, wodząc palcem po moim ciele. Nie patrzył jednak na mnie.

- To właśnie mnie zaskoczyło - wtrąciłam. - Wydawało się, że to przesłuchanie w ogóle cię nie poruszyło. Mnie policja poraża, chociaż z nią pracuję. Ty robiłeś wrażenie całkowicie obojętnego.

- Czy to dla ciebie jakiś problem?

- Może bardziej się lękam niż ty.

- To zrozumiałe.

- O, masz na myśli to? - Wskazałam ręką na bliznę na policzku.

- Czego się spodziewałaś? Ze padnę na kolana i będę przekonywał ich o swojej niewinności?

- Co rozumiesz przez swoją niewinność?

- Ach, tego się też domagasz, tak? Pragnęłabyś, bym ci patrzył w oczy i zaklinał: „Kit, jestem niewinny, Bóg mi świadkiem”.

- Nie - zaprotestowałam. - Ale...

- Aha, więc jest jakieś ale. - Wstał. - Idę wziąć prysznic. Leżałam w łóżku przykryta tylko cienkim prześcieradłem i intensywnie rozmyślałam. Gdy wrócił do pokoju, owinięty w duży ręcznik, odezwałam się:

- Czy wiesz, na czym polega problem?

- Czyj? Mój czy twój?

- Ty ani przez chwilę nie straciłeś tam zimnej krwi. Przez cały czas doskonale się kontrolowałeś.

- I pytanie brzmi: czy niewinny człowiek zachowuje się w ten sposób?

- Nie liczysz się z tym, co inni myślą o tobie, prawda?

- Co? - Uniósł brwi. - Z tym, co ludzie o mnie myślą? A dlaczego miałbym na to zwracać uwagę?

- Nie. Nie chodzi mi o to, co inni sądzą o tobie. Myślę o... no, o tym wszystkim. O Lianne, Phillipie, Daisy, a teraz

i o Bryony. Jesteś w to jakoś wmieszany. Nawet jeśli nie masz z tym absolutnie nic wspólnego w sensie technicznym, to przecież w pewnym sensie jesteś zaangażowany. Will, znałeś kilka z tych ofiar. Wiedziałeś, że Lianne jest młoda, straszliwie osamotniona, potrzebująca pomocy, a teraz nie żyje. One wszystkie zginęły, a ty siedzisz z ironicznym uśmiechem i w rozmowie z Obanem liczysz punkty na swoją wygraną. To znaczy, gdzieś w środku musisz chyba coś odczuwać, bo w przeciwnym razie twoja praca w tym schronisku i cała reszta, czyli, oczywiście, współczujesz im...

- Nie, nic nie wiesz. To nie jest tak.

- No dobrze, mam rozumieć, że nic cię w ogóle nie obchodzi i to mnie przeraża.

Uśmiechnął się diabolicznie.

- Bardziej boisz się mojego chłodu, czy tego, że mogę być zdolny do popełnienia morderstwa? - Może - zrzucił ręcznik na podłogę i włożył szlafrok - może ta ewentualność nawet cię podnieca? Czy czerpiesz przyjemność z rozmyślań, że potrafiłbym kogoś zabić? Przejrzałem cię - lubisz stawać twarzą w twarz ze swoimi lękami, prawda? Odczuwać trwogę, a mimo to sprostać obowiązkom? - Jego ton był szyderczy, okrutny.

Usiadłam na łóżku.

- Słuchaj, Will. Nie zabawiaj się ze mną w takie gry. Proszę. Natknęłam się w życiu zawodowym na kilkudziesięciu zabójców. Może nawet spotkałam ich więcej. Istnieją grube raporty poświęcone studiom nad tym, dlaczego dopuścili się tych czynów. Nie znam żadnego przykładu, by ktoś przed popełnieniem przez nich zbrodni rozpoznał ich jako potencjalnych morderców. Wręcz przeciwnie, ludzie tacy jak ja wypuścili ich na wolność, a oni potem znowu kogoś zabili. Zatem nie zamierzam stać tu i twierdzić, że nie mógłbyś zabić kobiety.

- Siedzieć.

- Co takiego?

- Nie stoisz, lecz siedzisz.

- Och, na miłość boską. Dowodzisz swoim zachowaniem

dokładnie tego, o czym mówię. Posłuchaj, obserwowałam cię dziś po południu. I nagle przyszło mi do głowy, że chciałbyś, aby policja doszła do wniosku, iż popełniłeś morderstwo. To dla ciebie byłoby wspaniałe pod wieloma względami. Znowu stałbyś się ofiarą systemu. Wielki Niezrozumiany Will Pavic. I wykazałbyś w ten sposób, jak głupia jest policja. Znalazłbyś się w idealnej sytuacji - ty miałbyś rację, wszyscy pozostali byłiby w błędzie. A to jest twoim podstawowym światopoglądem.

Nieprzyjemny uśmiech nie zniknął mu z warg.

- A więc nie dałaś się oszukać? - rzekł.

Pociągnęłam go za rękę i przewróciłam na łóżko. Zaczęłam głaskać jego krótkie gęste włosy. Pocałowałam go w czoło. Położyłam rękę na policzku i przez krótki moment poczułam, że się do niej przytulił.

- Miałam ciężki rok - odezwałam się. - Prześladowają mnie sny.

- Kit...

- Przez pewien czas moje życie erotyczne nie istniało, a teraz jest wspaniałe, co jest niezwykłą odmianą. Miłe, nie, to nieodpowiednie słowo. Zresztą wiesz, co mam na myśli. I czasami zastanawiam się, czy przypadkiem nie zakochałam się w tobie.

- Kit... - powtórzył. Wreszcie nie drwił i nie żartował sobie ze mnie. To już było coś. Nawet jeśli ten romans wkrótce miałby się zakończyć, było to lepsze niż jego pogardliwe uwagi. - Może masz rację - mówiłam dalej.

- Ciągnie mnie do ciebie, ponieważ jesteś gwałtowny, masz skłonność do dyrygowania ludźmi i w pewien sposób wzbudzasz we mnie lęk. A może pragnę cię, bo jesteś nieszczęśliwy, a ja sobie wmawiam, że mogę przywrócić ci radość życia. Znasz te obłąkane fantazje kobiet, pewnie o nich czytałeś. W każdym razie poczułam się szczęśliwa po prostu dlatego, że budzę w tobie pożądanie. Pozwalam sobie na różne myśli w związku z tobą. Wydaje mi się, jakbym znowu wracała do życia. Ale nie chcę być z kimś, kogo nic nie obchodzi, kto nie ugnie się przed nikim i niczym. Nie wychodzi mi namiętność, gdy nie spotyka się z czułością.



Nie jestem wystarczająco twarda na takie warunki. A już fatalnie czuję się jako uczestniczka gry. Dlatego kładę karty na stole. Jak widzisz, nie ma tu asów. - Roześmiałam się cicho, ale on nadal milczał. - Więc może potrzebuję łagodniejszego mężczyzny.

Pogłaskał mnie po głowie i założył wilgotny kosmyk włosów za ucho.

- Sądzę, że jeśli przestaniemy się widywać, będzie to cięższe dla mnie niż dla ciebie - podjęłam swój monolog. - Okropnie trudno mi odchodzić.

Zawsze tak było. Tobie pewnie nie przysparza to takich kłopotów. Założę się, że gdy się rozstajesz z kobietą, nie oglądasz się za siebie.

- Kit, nadal chcę się z tobą spotykać.

- Tak, ale na twoich warunkach.

- A jakie wobec tego są twoje?

- Nie wiem. - Pociągnęłam nosem. - Ale problem polega na tym, że jakieś są.

Uśmiechnął się.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że jest to kompletnie niezrozumiałe oświadczenie.

- Wiem. - Podał mi chusteczkę, wytarłam nos. - Tak czy inaczej, na razie odchodzę. Nie zostanę na noc. Może tak właśnie powinnam stale postępować. - Położyłam mu palec na ustach. - Sza, nic nie mów. Nie teraz.

Wstałam, wciągnęłam na siebie dzinsy i sweter.

- Nie podoba mi się, że postanowiłaś wyjść o tej porze - rzekł Will.

- Sądzę, że nic mi się nie stanie - odparłam. - Mojego nazwiska nie było na liście Philippy.

Wyszłam od Willa i ruszyłam, nie oglądając się za siebie. Była pełnia księżyca, chmury wyglądały jak podświetlone. Czułam napięcie w całym ciele. Z oczu płynęły mi łzy, które dosłownie parzyły skórę na policzkach, ale nie zważałam na nie. Wzięłam kilka głębokich wdechów i rękawem otarłam twarz. Mimo wszystko uważałam, że postąpiłam właściwie.

Pewnie teraz wszystko skończone, ale nie mogłam przestać o tym myśleć. Idź przed siebie - powtarzałam sobie w duchu. Masz wiele do przemyślenia.

Nigdy nie obawiałam się samotnych spacerów po mieście, nawet w środku nocy. Mam na ten temat własną teorię: jeśli idziesz energicznie i zmierzasz do celu, nic ci nie grozi. W swojej pracy zawodowej rozmawiałam z wieloma groźnymi przestępcami i często ich pytałam, jak wybierają ofiary. Sądzę, że w większości wypadków odpowiedź brzmiała następująco: głównie napadają na kobiety, które wskutek słabości fizycznej, nieuwagi albo okazywanego lęku zwracają ich uwagę. Usiłowałam sobie wmówić, że jeśli człowiek nie wygląda na ofiarę, to się nią nie stanie. Pewnie w ten sposób sama siebie oszukiwałam. Przerazało mnie cierpienie zadawane na oślep. Dlatego lepiej uwierzyć, że ludzie są odpowiedzialni za to, co ich spotyka.

Szłam dziarskim krokiem opustoszałymi ulicami, póki nie dotarłam do oświetlonej i hałaśliwej arterii, przy której znajdowała się stacja metra Kersey Town. Taksówki ruszały spod świateł z piskiem opon, w kiosku sprzedawano poranne wydania gazet, jakby niektórzy ich czytelnicy byli tak niecierpliwi, że nie chcieli czekać do rana. Zazwyczaj poddawałam się urokowi miasta nocą. Uwielbiam patrzeć na ludzi, którzy wydają się być w nieodpowiednim miejscu o niewłaściwej porze. Próbuję sobie w takich razach wyobrazić, jakie sprzężenie losów zaprowadziło ich aż tutaj. Układałam w myślach historie, których są bohaterami. Ale teraz miałam na głowie inne sprawy, które walczyły ze sobą o prawo pierwszeństwa. Przeszłam na drugą stronę ruchliwej arterii i ruszyłam na skróty przez plac, zostawiając za sobą cały ten zgiełk. Rozmyślałam o Bryony, która nocą przechadzała się nad kanałem. Zdaniem Obana było to ryzykowne posunięcie, ale rozumiałam jej impuls. Ciemności, cisza, lekko falująca czarna woda - to taki tajemniczy świat pośrodku miasta. Pomyślałam o Philippie, która w biały dzień znalazła się na wypełnionym dziećmi placu zabaw w Hampstead Heath. Myślałam tak intensywnie, że drogę do domu przebyłam

prawie nieświadomie, choć wybrałam skomplikowaną trasę, wiodącą bocznymi uliczkami i alejkami. W odległości stu metrów od mego mieszkania coś zupełnie niespodziewanego wyrwało mnie z rozmyślań. Czy coś usłyszałam? Znajdowałam się na cichej uliczce z rzędem domów po jednej stronie i kościołem po drugiej. Nikogo nie zauważyłam, lecz kątem oka zarejestrowałam jakiś ruch. Obejrzałam się za siebie, ale doszłam do wniosku, że uległam złudzeniu. Może ktoś usunął się w cień? Od drzwi wejściowych dzieliła mnie minuta marszu. Ruszyłam energicznie przed siebie, ściskając w ręce pęk kluczy. Pozostało mi ze trzydzieści sekund. Puściłam się biegiem. W chwili gdy wkładałam klucz do zamka, poczułam rękę na ramieniu i wydałam z siebie zdławiony krzyk. Obróciłam się, coś mnie zakłuło w klatce piersiowej. Tuż za mną stał Michael Doli. Czułam na twarzy jego kwaśny oddech.

- Dogoniłem cię - rzekł z uśmiechem.

Gorączkowo myślałam, jak się zachować. Bądź opanowana. Rozwiąż tę sprawę polubownie. Zmusz go do odwrotu. Jednakże na mojej twarzy odmalowało się zaskoczenie. Ciągle nie chciałam wierzyć, że to Doli stoi przede mną.

- Co tu robisz, na miłość boską? - odezwałam się.

- Stęskniłem się za tobą - odparł. - Nie odwiedziłaś mnie.

- A dlaczego miałabym ci składać wizyty?

- Bo myślałem o tobie.

- Śledziłeś mnie?

- Nie, po co? - powiedział, robiąc krok do tyłu. Spuścił powieki.

A więc mnie śledził. Od jak dawna? Czy sterczał przed domem Willa Pavica?

- Byłaś z kimś innym.

Z kimś innym? Co tu się dzieje?

- Michael, muszę już iść.

- Czy mogę wejść?

- Nie, nie możesz.

- Tylko na parę minut.

- Jest za późno. Moja przyjaciółka jest u mnie. Spojrzał w okna.

- Nie pali się światło.
- Bo już śpi.
- Chcę porozmawiać.

Nie mogło mi się pomieścić w głowie, że tuż przed północą stałam na progu swego domu, pertraktując z Michaeliem w sprawie jego wizyty u mnie.

- Muszę już iść.
- Innych ludzi wpuszczasz do siebie.
- Michael, jest bardzo późno. Musisz wracać do domu.
- Ja go nie znoszę.
- Dobranoc - powiedziałam z lekkim uśmiechem, który wyraźnie świadczył o mojej niegościnnosci. Dotknęłam jego ramienia gestem znamionującym współczucie, ale nie czułość.
- Chcę się z tobą widzieć - zaskomlał słabszym głosem.
- Jest późno - powtórzyłam stanowczo.

Nie za szybko wślizgnęłam się przez drzwi i chciałam je zatrzasnąć, ale nie ustępowały. Michael wsunął nogę między futrynę i próg. Pochylił się i w szparze ukazała się jego twarz.

- Nienawidzisz mnie? - rzekł, bo trudno było to nazwać pytaniem. - Chcesz, żebym sobie poszedł. Już nigdy mnie nie zobaczysz.

Och, jakże chciałam, żeby spełnił swoją groźbę. Żeby zniknął z mego życia i jeśli już musi przyczepić się do kogoś, niech to będzie ktoś inny.

- Wcale tak nie myślę - odparłam pojednawczo. - Jestem jednak strasznie zmęczona. Miałam trudny dzień. Proszę.

Jego twarz była teraz bardzo blisko mojej. Oddychał ciężko, wydając z siebie jakieś świsty. Wcisnął rękę przez szparę i pogłaskał mnie po policzku.

- Dobranoc, Kit - rzekł miękki tonem.

Nie odpowiedziałam. Michael cofnął rękę. Uzmysłowiłam sobie, że nacisk na drzwi zmaleł, więc wreszcie mogłam je zatrzasnąć. Oparłam się o futrynę i o mało nie zwymiotowałam. Napawał mnie wstrętem dotyk palców Doiła. Ciągłe w środku czułam obecność Willa. Wydawało mi się, że cuchnę zapachem obu mężczyzn. Pobiełam na górę i choć brałam prysz-

nic przed wyjściem od Pavica, długo stałam pod strumieniem wody.  
Potem przewróciłam wszystko w szafce, by znaleźć butelkę whisky.  
Nalałam sobie szklanekę i zaniósłam do sypialni. Piłam małymi łykami,  
alkohol parzył mi gardło i tumał umysł.

## Rozdział 37

Następnego ranka zatelefonowałam do Obana i opowiedziałam mu o swoim spotkaniu z Michaeliem Doilem. Zareagował na moją relację z pewnym rozbawieniem.

- A więc masz zalotnika. A raczej następnego wielbiciela.

- To wcale nie jest śmieszne - odparłam. - Myślę, że Doli mnie śledził.

- Dlaczego tak uważasz?

Zawahałam się. Nie miałam zamiaru zwierzać się, że Doli szedł za mną od domu Willa.

- To się zapowiada na poważną aferę - powiedziałam. - On się kręci w moim sąsiedztwie, obserwuje mnie. Nie czuję się bezpieczna.

Usłyszałam kasznięcie, które można było wziąć za wybuch śmiechu.

- Nie mogę uwierzyć - odezwał się w końcu Oban. - Przez kilka ostatnich tygodni bezskutecznie usiłowałam cię przekonać, że Doli jest groźnym osobnikiem, a ty się upierałaś, że to miły, nierozumiany przez ludzi chłopak.

- Wcale tak nie twierdziłam.

- Wiem, kochanie, ale chyba zniesiesz żart pod swoim adresem? Co powinienem zrobić w tej sytuacji?

- Nie jestem pewna, co należałoby zrobić. Jednak zaczynam się obawiać Michaela.

- No, no - odrzekł Oban. - A ja tymczasem zacząłem się poważnie interesować tym twoim drugim admiratorem.

- Co?

- Trudno tego uniknąć. Im dłużej się zastanawiałem, tym bardziej się okazywało, że wszystkie drogi prowadzą do Willa Pavica i jego schroniska jako siedliska narkotyków.

- Przecież to idiotyczne.

- Być może. Niemniej musimy to brać pod uwagę. Jeśli chcesz, pošlę kogoś do Mickeya Dolla, żeby szepnął mu coś do ucha.

Odetchnęłam z ulgą.

- Niezły pomysł. Problem polega na tym, że cokolwiek ja mu powiem - czy w tonie przyjaznym, czy w złości, zachęca go to do dalszych zakusów na mnie. Nie chcę traktować go brutalnie, ale sytuacja wymyka się spod kontroli.

- Nie martw się. Już my sobie z nim poradzimy. W elegancki sposób, rzecz jasna. Czy masz zamiar się tu pojawić?

- Może później. Dzisiaj będę długo w przychodni.

Przedpołudnie przesiedziałam w jednym z gabinetów z piętnastoletnią pacjentką imieniem Anita, jej przerażoną matką, pracownicą socjalną i prawnikiem. Przejrzałam jej teczkę. Była to często spotykana katastrofa. Chociaż nie - w tym wypadku był to już kataklizm. Nie składano jej kontrolnych wizyt, nie podawano leków, papiery gdzieś zagubiono. To wszystko mieściło się jeszcze w standardowych przypadkach tego typu. Ale dziewczyna podpaliła szkołę. Tego było już za wiele. Anita próbowała dwukrotnie popełnić samobójstwo, dokonała kilku samookaleczeń, a jej sprawa gdzieś utknęła w szufladach biurokratów. Jednakże gdy podkłada się ogień pod budynek publiczny, zwraca się na siebie uwagę społeczeństwa.

Rozległo się pukanie do drzwi. Po chwili w szparze ukazała się głowa telefonistki.

- Telefon do pani.

Rozejrzałam się wokół zdumiona, że ktoś w takiej chwili usiłuje nam przeszkadzać.

- Oddzwonię później - oznajmiłam chłodno.
- To policja. Ten detektyw mówił, że próbował połączyć się z panią przez komórkę.
- Jest wyłączona. Proszę mu przekazać, że zatelefonuję za minutę.
- On mi kazał powiedzieć, że muszę panią wyciągnąć z zebrania bez względu na okoliczności. Czeka przy telefonie.

Gościwo przepraszałam uczestników spotkania, pobiegłam do recepcji i podniosłam słuchawkę.

- Lepiej, żeby to była...
- Doli nie żyje.
- Co takiego?!

- Zginął w swoim mieszkaniu. Proszę natychmiast tam pojechać. Kiedy po raz pierwszy odwiedziłam Michaela Doiła, doszłam do wniosku, że jest to rozpaczliwe lokum dziwaczego i bardzo samotnego chłopaka. Był on typem człowieka, który za życia wydawał się kompletnie pomijany przez innych, jego śmierć zapewne również by pominięto całkowitym milczeniem. Ale nie w obecnych warunkach. Otaczała go mroczna sława. Przed jego domem stały trzy wozy policyjne, karetka pogotowia i kilka nieoznakowanych aut zaparkowanych na trzeciego. Ruch na ulicy wstrzymano, żółta taśma zakazywała wjazdu. Wejścia na klatkę schodową strzegło dwóch umundurowanych policjantów, a naprzeciwko zgromadził się tłumek gapiów, nie mających w dzielnicy Hackney nic ciekawszego do roboty.

Przepchnęłam się przez ciżbę, prosząc, by zgromadzeni ludzie ustąpili mi z drogi. Gdy zbliżyłam się do policjantów, ujrzałam starą kobietę z wózkiem na zakupy, gapiącą się na mnie z żywym zainteresowaniem. Kim mogłabym być w jej oczach? Detektywem? Przedstawicielką zakładu pogrzebowego? Jeden z gliniarzy wszedł do środka, skąd rozległ się przytłumiony krzyk. Po dłuższej chwili w drzwiach ukazał się Oban. Robił wrażenie całkowicie oszołomionego; jego twarz przybrała barwę popiołu. Zapytałam, jak się czuje.



- Chryste - odparł łamiącym się głosem. - Pierdo... niewiarygodne.  
Przepraszam. - Zerknął z potulną miną na staruszki.

- Co się stało?

- Ci z sądówki właśnie przystąpili do pracy. Chciałbym, żebyś się tam rozejrzała, zanim wywiozą zwłoki. Poradzisz sobie?

- Tak sędzę - odpowiedziałam, krztusząc się ze zdenerwowania.

- To nie jest ładny widok - uprzedził mnie Oban. Musiałam włożyć ochraniacze na buty. Pouczono mnie, abym niczego nie dotykała. Wchodzenie na schody wymagało zdwojonej uwagi, ponieważ stopnie zakryto plastikowymi płachtami. Na podeście piętra Oban odwrócił się w moją stronę i poradził, żebym nabrała powietrza do płuc. Pchnął drzwi i wpuścił mnie do środka, sam czekając na progu.

Ciało Michaela leżało na podłodze, twarzą do dołu, z tym że z głowy została krwawa miazga. Wyglądał jak niedokończona kukła.

Rozpoznałam ubranie, które chłopak miał na sobie poprzedniej nocy.

Podeszwy jego butów były skierowane wprost na mnie. Sznurowało prawego buta zwisało niezawiązane. Brązowe spodnie ze sztruksu.

Puchówka. A nad jej kołnierzem ciemna wilgotna plama. Chciałam coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mi na to suchość w ustach. Musiałam kilkakrotnie przełknąć ślinę. Poczulałam dotyk czyjejś ręki na plecach.

- Opanuj się, kochana - mruknął mi do ucha Oban.

- Gdzie jest jego głowa? - zapytałam nieswoim głosem.

- Wszędzie wokół - odpowiedział Oban. - Denat otrzymał wiele ciosów bardzo ciężkim, tępym narzędziem, większość z nich zadano zapewne już po jego śmierci. To był pieprzony amok. Stąd taki rezultat.

Rozejrzałam się po wnętrzu. To był czerwony pokój. Czerwona komnata z moich koszmarów sennych. Myślałam o niej dotychczas jako o idei, o symbolu, i oto znalazłam się w niej. Ściany zlane krwią. Nawet na suficie widniały ogromne nacieki, które spadałyby kroplami na nasze głowy, gdyby nie to, że krew zdążyła już zakrzepnąć.

- No, wiesz, rany głowy - rzekł Oban. - Z nich zawsze jest mnóstwo krwi, prawda?

Patrzyłam to w prawo, to w lewo. Wszelkimi siłami starałam się zachować obiektywizm, ale nie mogłam zapomnieć widoku Dolla przed moimi drzwiami, jego namolnych próśb, bym go wpuściła. A teraz uczyniono z niego znieruchomiałą stertę szmat leżących na podłodze. Chyba rzuciłam na niego złe czary. Chciałam, aby na zawsze zniknął z mego życia. Czy życzyłam mu rychłej śmierci?

- Popatrz na to - odezwał się Oban.

Trzymał w rękach przezroczysty folder, w którym umieszczono stronicę papieru. Napisano na niej kulfonami „MORDERCZY SKÓRFIEL”.

- Ta kartka leżała na jego zwłokach. Widzisz? Nie potrafiał nawet pisać ortograficznie.

- A więc go dopadli. Oban pokiwał głową.

- Co za nora! Byłaś tu już?

- Tak - odpowiedziałam.

- Uważałem, że będzie lepiej, jak zobaczysz miejsce zbrodni na własne oczy. Zostań tu, jak długo chcesz. Albo jak krótko.

Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, więc zbliżyłam się do krzesła, ale nim zdążyłam usiąść, podbiegł jeden z detektywów, machając rękami. Przeprosiłam go za bezmyślne zachowanie.

- Co za pierdolony bajzel - wycedził Oban. - Wygląda jak rzeźnia w muzeum etnograficznym.

- Michael Doli był zbieraczem - rzekłam. Nie mogłam sobie pozwolić na wymioty. Znów przełknęłam ślinę i płytko oddychałam przez usta. Oban zrobił minę.

- Naprawdę? A cóż on takiego kolekcjonował?

- Wszystko, cokolwiek znalazł. Różne odpadki nad kanałem. Co tylko zdołał udźwignąć. To rodzaj choroby.

- Nie zazdroszczę ludziom, którzy będą musieli uprzątnąć to wszystko...

Oban nadal rozprawiał, ale przestałam go słuchać. Nie słyszałam niczego. Ponieważ nagle coś ujrzałam. Przeszłam przez pokój, ostrożnie omijając zwłoki. Podeszłam do półki i wyciągnęłam rękę, żeby wziąć ten przedmiot z półki. Leżał między słoikiem po dżemie i zwiniętym kawałkiem zardzewiałego drutu. Usłyszałam krzyk i przed moimi oczami ukazała się dłoń detektywa.

- Proszę nie ruszać!

- Tamto - rzekłam, wskazując palcem. - Tam. Detektyw w gumowych rękawiczkach zbliżył się i wziął to bardzo ostrożnie do ręki.

- Co to takiego? - zapytał Oban.

- To ty mi powiedz.

- To jest kubeczek do karmienia małych dzieci. Co jest na nim napisane?

- Emily - odpowiedziałam.

Wydawał się zupełnie zaskoczony moim odkryciem.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że Mickey Doli miał córeczkę imieniem Emily, co?

- Nie - odrzekłam. - Ale miała ją Philippa Burton.

## Rozdział 38

- W porządku? - chciał się upewnić Oban, gdy zdołaliśmy się przecisnąć przez rosnący tłum na ulicy.

- A jakże. - Udało mi się przekazać tę uwagę stanowczym tonem, z lekkim uśmiechem. Nie miałam dreszczy. Mój głos był opanowany, oddech równy. Opuściłam boczną szybę w aucie i wdychałam świeże powietrze.

- To niewiarygodne, prawda? - Szarość z jego twarzy ustąpiła, głos nabrał cieplej barwy. Oban - jak sobie uprzytomniłam - wyglądał lepiej niż w ciągu minionych tygodni. Był zarazem uważny i zrelaksowany. Zastanawiałam się, kiedy zacznie gwizdać przez zęby.

- To racja.

- Ciężkie zadanie dla chłopaków. Koszmar po prostu. Ale zobaczysz, że odezwą się słowa poparcia dla sprawców. Surowa sprawiedliwość wymierzona ręką współobywateli. Musimy mieć się na baczności podczas konferencji prasowej.

Zamknęłam na minutę oczy i zamyśliłam się nad skrwawionymi zwłokami Michaela Dolla. Nad morzem krwi. Wszędzie czerwona krew; pokój ciemny od skrzepniętej krwi.

- No i zatoczyliśmy pełne koło, Kit.

- Co takiego?

- To jednak był Doli. Mimo wszystko.

Wydałam z siebie bliżej nieokreślony dźwięk i dalej wyglądałam przez otwarte okienko. Na błękitnym niebie nie do-

strzegłam żadnej chmurki, słońce było złote jak dukat, przechodnie ubrani w kolorowe stroje. To był dzień upału i światła, ostatni upominek od lata.

- Kit, opanuj się. Masz to już wszystko za sobą. To naprawdę koniec.

- No...

- Daj mi zgadnąć. Nadal nie jesteś przekonana. Znajdujemy kubek Emily w jego pokoju, z jej imieniem wypisanym na ukos! Na miłość boską! Jasne, że musimy uzyskać potwierdzenie od Burtona, ale to jak kropka nad i, nieprawdaż? A ty nadal masz wątpliwości. - Mówił to wszystko, odwracając głowę w moją stronę, z lekkim uśmiechem. Jego ton sugerował raczej zadowolenie niż bezsilność.

- Rzecz w tym, że ja nie rozumiem.

- No to co? Kto to może pojąć? Nikt od ciebie nie wymaga, abyś zorganizowała seminarium dla swoich kolegów poświęcone Dollowi. Chcieliśmy jedynie natrafić na osobę, która zabiła te kobiety i, dzięki Bogu, znaleźliśmy ją.

- Nie. To znaczy... to się nie trzyma kupy.

- Wiele spraw nie ma sensu. - Gwałtownie skręcił, żeby ominąć rowerzystę w tęczowym stroju z lycry. Zatrąbił ostrzegawczo. - Kit, niemniej Doli był mordercą.

Nie odpowiedziałam.

- Kit? Przyznaj to wreszcie. Przecież nic cię to nie kosztuje...

- Nie twierdzę, że się mylisz...

- Ale też nie powiesz, że mam rację.

- Nie.

Roześmiał się. Następnie przykrył ciepłą dłonią moją rękę.

- Kit, doskonale się spisałaś. Choć na samym końcu instynkt cię zawiódł, to w sumie byłaś bez zarzutu. Nie myśl, że nie zdawałem sobie sprawy, jakie to musiało być dla ciebie ciężkie. Ale bez ciebie nadal kluczylibyśmy bez celu. Ty wskazałaś nam drogę.

- Nie - zaprzeczyłam. Sama byłam zdziwiona stanowczością mego głosu.

- Nie. Osobiście powstrzymałam cię od wydania nakazu aresztowania Dolla kilka tygodni temu. Gdybyś

go wtedy oskarżył, to, bez względu na to, czy okazałby się winny, czy nie, dziś nadal by żył. W ciągu najbliższego roku pewnie by wylądował w moim szpitalu. Zapewniałam go, że jest bezpieczny.

- Nie ma sensu myśleć w ten sposób. W trakcie tego śledztwa wszyscy popełnialiśmy błędy, ty natomiast wykryłaś powiązania, których my nie dostrzegliśmy. To nas ustrzegło od dalszych błędów, które bez wątpienia nam groziły. Nie dopuściłaś do strasznego zamieszania.

- Ale...

- Chryste, Kit, daj temu spokój. Przestań ze swoimi „ale”. Jesteś najbardziej przenikliwą kobietą, z jaką miałem przyjemność i przywilej pracować.

- Umieszczę to zdanie w swoim życiorysie - rzekłam suchym tonem.

- I najszlachetniejszą - dodał. Spojrzałam na niego, ale patrzył przed siebie.

Lekko dotknęłam jego ramienia.

- Dziękuję, Daniel - powiedziałam.

Moje mieszkanie robiło wrażenie opuszczonego. Okna były zamknięte, zasłony spuszczone, jakbym wyjechała na wakacje, a wszelkie powierzchnie pokryte kurzem. W wazonach nie było żadnych bukietów, choć zazwyczaj mam świeże kwiaty. Jedynie na parapecie w kuchni tkwił wazonik z paroma uschniętymi badylami. W misie na kuchennym stole brak było owoców, na oparciu sofy nie leżała otwarta książka. Nie znalazłam nawet karteczki od Julie, przyczepionej magnesem do lodówki.

Kiedy ją otworzyłam, zobaczyłam, że wewnątrz jest wymyte i niemal puste, jeśli nie liczyć kartonu z chudym mlekiem, kostki masła, słoiczka z sosem pesto opróżnionym do połowy oraz torebki z niezmieloną kawą.

Kiedy po raz ostatni widziałam się z Julie? Ze wstydem musiałam przyznać, że nie mogłam sobie przypomnieć. W ciągu minionych, obłąkanych dni moja współlokatorka znalazła się na peryferiach moich myśli. Była zamazaną sylwetką, ignorowaną przeze mnie, wykreśloną z mego życia. Majaczyła na skraju pamięci. Teraz uzmysłowiłam sobie, że wspomniała coś o konieczności porozmawiania ze mną, ale ja pomknęłam do swoich zadań. Kiedy to było?

Drzwi do pokoju, który coraz częściej w myślach nazywałam jej sypialnią, były otwarte, więc wsadziłam głowę. Na mój gust był zbyt

wysprzątany. Julie zawsze rzucała ubranie na podłogę, łóżko zostawiała niepościelone, szminki i słoiki z kremem niezakręcone na szafce z dokumentami, którą przekształciła w toaletkę. Przez chwilę pomyślałam, że wyprowadziła się na dobre, ale jej walizka nadal stała na podłodze, a w szufladach kłębiły się rzeczy.

Wróciłam do pokoju dziennego i otworzyłam okna. Starłam kurze. Następnie wybiegłam do najbliższych delikatesów, gdzie kupiłam ser kozi i kawał parmezanu, świeżo przyrządzony makaron, śmietankę, włoskie salami i szynkę, oliwki nadziewane anchois, kruche ciasteczka migdałowe, małą doniczkę bazylii, karczochy w puszcze, cztery dojrzałe figi. Nie chodziło o to, że chciałam to wszystko zjeść, ale miałam ochotę, by było w domu, jako poczęstunek na przyjęcie kogokolwiek, kto przekroczy mój próg.

Po zakupach w delikatesach przeszłam się do sklepiku z warzywami na końcu ulicy. Wybrałam czerwone i żółte papryki, zielone jabłka, melona w bladezielone pasy, nektarynki, fioletowe śliwki i kiść prawie czarnych winogron. W kwaciarni nabyłam gigantyczny bukiet żółtych i oranżowych dali. Z trudem dowlokłam się do domu, bo plastikowe rączki wpijały mi się w palce, a kwiaty drażniły nozdrza. Nastawiłam czajnik, zmieliłam kawę, wsadziłam bukiet do wazonu, a sery do lodówki, wyłożyłam jarzyny i owoce na duży talerz. No. Jeśli Julie wejdzie teraz, będzie wiedziała, że wróciła do prawdziwego domu. Rozmyślałam nad wymoczeniem się w wannie, kiedy zadzwonił telefon.

- Tak?

- Kit, za pięć minut będę pod twoimi drzwiami, dobrze? Już prawie dojeżdżam.

- Daniel, chyba słyszałam, jak mówiłeś, że to już koniec.
- Tak, tak. To tylko koda. Zapewniam cię, że będziesz z niej zadowolona.
- Nie lubię niespodzianek... - Połączenie się urwało.
- Byłaś zaangażowana w to śledztwo od samego początku. Doszedłem do wniosku, że powinnaś być również u jego kresu.
- Nadal chcę się dowiedzieć, dokąd jedziemy. Oban skrzywił się w uśmiechu.
- Nie narzekaj za bardzo.

Kilka minut później stanęliśmy przed wejściem do Te-ale'ów.

- Jesteś pewien, że ona jest w domu?
- Dzwoniłem przed wyjazdem.

Kiedy Bryony otworzyła drzwi, byłam zaskoczona jej wyglądem. Cudowne rude włosy związała na karku, jej twarz była trupio blada. Cienie pod oczami świadczyły o wielu nieprzespanych nocach. Chyba znacznie zeszczupiała, choć duża biała bluzka noszona na wierzchu dzinsów nie pozwalała tego dostrzec. Uśmiechnęła się na nasz widok, ale jej oczy pozostały bezbrzeżnie smutne.

- Wejdźcie.
- Pani Teale, nasze najście nie potrwa długo - rzekł Oban, gdy tylko znaleźliśmy się w saloniku. - Chciałem tylko zapytać, czy pani kiedykolwiek widziała to. - Włożył na prawą rękę cienką rękawiczkę, nachylił się nad torbą postawioną na podłodze i gestem czarodzieja wyciągnął z niej niedużą skórzaną sakiewkę.

Bryony przyjrzała się jej i uniosła dłoń do ust.

- Tak - wyszeptała.
- Znalezione ją w mieszkaniu Michaela Dolla. - Z triumfem w oku spojrzał na mnie.
- Och! - jęknęła, jakby ktoś zadał jej niespodziewanie cios w brzuch i nagle zabrakło jej tchu. Zaniosła się łkaniem. Zasłoniła twarz rękami i płakała jak dziecko. Spomiędzy jej palców spływały łzy.



Patrzyłam ze zgrozą na Obana, który wstał, podszedł do niej i niezręcznym gestem położył jej dłoń na ramieniu.

- No już dobrze, pani Teale. Bryony, proszę się uspokoić. On już nie żyje, nic pani nie zagraża.

- Bezpieczna? - Uniosła zapłakaną twarz i z obłędem w oczach powtórzyła: - Bezpieczna?

- Tak. Nie wolno mi zdradzić szczegółów, ale mogę panią zapewnić, że jesteśmy przeświadczeni, iż Doli - człowiek, który przedstawił się jako świadek w sprawie napadu na panią - okazał się mordercą. On zawsze znajdował się na liście podejrzanych, a teraz okazało się, że został zabity w swoim mieszkaniu. Znaleźliśmy u niego rzeczy należące do Philip-py Burton oraz do pani. Wiedzieliśmy, że ten woreczek należy do pani - wziął go do ręki i potrząsnął nim - ponieważ, wśród innych drobiazgów, trzymała tam pani klucze do domu i wizytówkę. Może zabrał również jakąś rzecz należącą do Lianne, ale tego pewnie nigdy się nie dowiemy.

-Kiwnął do niej zachęcająco głową. - Widzi pani, to były jego trofea.

- Ale jak... co...?

- On już był przedtem celem ataku ludzi, którzy uważali go za zbrodniarza, więc obecnie zakładamy, że to oni go w końcu zabili. Jednak jeszcze za wcześnie, by o tym mówić.

- Mój woreczek - powtarzała wolno Bryony. - On miał mój woreczek.

- Czy pani zauważyła jego stratę?

- Nie, nie wiem. To znaczy, musiałam go zgubić w noc tej napaści na mnie. Ale nie myślałam... Wiedziałam, że go gdzieś zgubiłam, nie mogłam sobie jednak przypomnieć, kiedy miałam go w rękach po raz ostatni. Byłam zbyt wytrącona z równowagi. Kiedy upadłam, musiałam... Sądziłam, że przyszedł mi na pomoc. Jakże mogłam być taka naiwna? - Gwałtownie zadrżała i mocno objęła się rękami.

- Nic ci nie jest? - spytałam. Bryony odwróciła się w moją stronę.

- Myślę, że nie. Zrobiło mi się nagle niedobrze. Ale teraz, jak sędzę, poczuję się znacznie lepiej, prawda? Na razie jesz-

cze nie wszystko do mnie dotarło. - Usiłowała się uśmiechnąć, w końcu udało się jej zrobić jakiś grymas. Oban wyciągnął rękę.

- Do widzenia, pani Teale. Wkrótce się skontaktujemy. Jak to się mawia, musimy powiązać ze sobą różne nitki. Chociaż dla ciebie, Kit, sprawa nie jest tak jasna, jak byś sobie życzyła.

- Do widzenia, Bryony. - Ja również chciałam uścisnąć jej dłoń, ale objęła mnie i ucałowała w oba policzki. Pachniała czystością, była delikatna i bardzo wrażliwa.

- Byłaś cudowna - szepnęła mi do ucha. Dzięki.

- Zadowolona? - odezwał się Oban, gdy już wyszliśmy z domu Teale'ów.

- Dan, nie gadaj głupstw, bo do ciebie nie pasują. Gdzie teraz idziesz?

- Na konferencję prasową. Mam nadzieję, że ty też się na nią wybierasz.

- Nie próżnujesz, co?

- Nie wtedy, kiedy mam konkretne dane. Wskakuj. -Otworzył mi drzwiczki.

- Nie wiem, dlaczego pozwałam ci rządzić sobą. Wybuchnął śmiechem.

- Chyba żartujesz.

Machinalnie przeciągnęłam palcami po swojej bliźnie.

- Zabawne - rzekłam. - Ale już nie pamiętam, jak wyglądałam bez niej.

- To znaczy?

- No, bez blizny.

- Wyglądasz bardzo dobrze - mruknął. I dodał po chwili: -Wsiadaj, nie daj się dłużej prosić. Nie możemy przecież sterczeć pod domem pani Teale, omawiając twoją urodę.

Ściemniło się, kiedy dotarłam w końcu do domu. W oknach było czarno, więc Julie jeszcze nie wróciła. Zaraz po wejściu napuściłam wody do wanny. Nie minęło jeszcze dwanaście godzin od momentu, gdy wpatrywałam się w zwłoki Dolla. Jego twarz w mojej pamięci ukazała się jak za życia, a nie jak wtedy, gdy stała się czerwoną pulpą na dywanie.

Przypomniałam sobie, jak odwrócił się do mnie, łowiąc ryby nad kanałem. Ten uśmiech oczekiwania. Zamordował dwie kobiety - Lianne i Philippę. Usiłował zabić trzecią, Bryony. Jednakże nie mogłam powstrzymać szlochu litości nad tym nieszczęsnym człowiekiem. On nigdy nie miał żadnej szansy przed sobą. Był zły, odrażający,

perwersyjny, miał instynkt zabójcy, ale nikt mu nie dał szansy na inne życie. Spotkałam zbyt wielu takich jak on.

- Hej, masz pianę we włosach. Usiadłam w wannie.

- Nie słyszałam, jak weszłaś.

- Pewnie dlatego, że zanurzyłaś się z głową. Mieszkanie wygląda super.

- To dobrze. Strasznie je zaniedbałam.

- Fakt.

- Skończone.

- Co skończone?

- Śledztwo. Zamknięte. Wygląda na to, że za tym wszystkim stał Michael Doli.

- Doli? Ten facet, który odwiedził nas tutaj?

- Właśnie.

- Chryste! Na przyszłość muszę się bardziej zastanawiać nad wpuszczaniem nieproszonych gości.

- Julie, może wybierzemy się gdzieś wieczorem? Chyba że masz inne plany.

- Świetnie! Ale brakuje mi kasy...

- Ja stawiam. Zarobiłam dużo forsy, której nie mam na co wydać.

- O, od wydawania to jestem specjalistką.

Zamówiłam bulion, tajskie kotleciki z ryb, potrawę z wieprzowiny i kurczaka w ostrym sosie, kluski i ryż, pierożki gotowane na parze, wielkie krewetki z chili, kałamarnicę z ziołami, żeberka w glazurze i butelkę białego wina z Afryki Południowej. Julie była zaskoczona i zachwycona.

- I dwa kieliszki szampana - powiedziałam kelnerowi.

- O co tu chodzi?
- To znaczy?
- Zamówiłaś dania, których wystarczyłoby na sześć osób. Chyba nie jesteś w ciąży, prawda?

Przyniesiono nam szampana. Stuknęliśmy się kieliszkami.

- Julie, to jest mój sylwester.
- Kit, mamy środek sierpnia.
- Nowy rok może się zaczynać kiedykolwiek.
- Nie mogę się połączyć, czy obchodzimy jakąś uroczystość, czy chcesz zapisać smutki.
- Po trochu i jedno, i drugie. Cieszę się, że mam tę sprawę za sobą. Z ulgą myślę, że Doli już nikomu nie zagraża. Ale nie mogę zrozumieć, jak to wszystko się stało. Jestem kompletnie zbita z tropu, to się nie składa w żadną sensowną całość. I dlatego czuję się...
- Sfrustrowana? - podpowiedziała Julie.
- Więcej. Jakbym je zawiodła. Philippe i Lianne. Czy mówię od rzeczy?
- Sądzę, że tak. Martwisz mnie tym swoim...
- Dzisiaj na konferencji prasowej Oban przeszedł sam siebie w pochwałach pod moim adresem. Nadmiar komplementów. Poczułam się jak oszust.
- Z jakiego powodu?
- Z takiego, że jeszcze za wcześnie, aby miały wieczne odpoczywanie. Tak to odbieram. Głupie, co?
- One już nie żyją, a więc i tak mają wieczny spokój. A najważniejsze z tego wszystko jest, że go złapali.
- On też nie żyje.
- Och! - Zupełnie ją zaskoczyłam tą informacją.
- Zabili go jacyś samozwańczy stróże porządku, którzy poczują się w pełni usprawiedliwieni, gdy się okaże, co on takiego zrobił. No, ale niosą nam nasze danie.

Wypiłam jednym haustem całą miseczkę zupy. Była tak ostra, jakbym połykała szpilki i igły. Rozgrzało mnie po chwili od środka. Potem wzięłam do ust trzy mocno przyprawione pierożki. Najpierw długo je żułam, a potem z pewnym trudem połykałam.

- Przepraszam za moją obsesję.
- W porządku. Chcę się tylko dowiedzieć, co się dzieje z Willem Pavicem.
- To też skończone. Albo ma się ku końcowi.
- Naprawdę? Wobec tego nastąpiło dość szybko. Może i lepiej... On był dość ponury, co?
- Sądzę, że jego ponuractwo jest uzasadnione - odparłam. Ugryzłam kawałek żeberka i popiłam winem. Ciągle miałam przed oczami zmasakrowaną głowę Doiła. Nie mogłam zapomnieć widoku pokoju skapanego w krwi. Jego krwi, mojej krwi.
- Więc dlaczego chcesz z nim skończyć?
- Dlaczego? Ach, bo nie chcę zmierzać w tym kierunku, w którym on podąża. Myślę, że wolałabym dążyć do jakiejś formy szczęścia.
- Według mnie brzmi świetnie.

Wbiłam widelec w krążek kałamarnicy. Wyglądała jak plasterek gumy. Albo jelit. Odłożyłam ją na talerz i zapatrzyłam się w miseczkę niełuskanego ryżu. Znow sięgnęłam po kieliszek z winem. Czułam się zdecydowanie nieswojo.

- Mam ci coś do zakomunikowania - odezwała się Julie. Usłyszałam ją jak przez mgłę.

Zamrugałam powiekami.

- O co chodzi?
- Odjeżdżam.
- Wiem, chcesz wynająć sobie mieszkanie.
- Nie. Postanowiłam znowu wyjechać z Anglii. Nie mogę tu wytrzymać, czuję się jak w pułapce. Nie mam ochoty uczyć w szkole czy pracować w firmie fonograficznej, stawiać się każdego ranka w biurze w kostiumie, rajstopach i butach na wysokich obcasach. A więc znowu udaję się w długą podróż. Wygląda to tak, jakbym nie umiała sobie poradzić z uwarunkowaniami normalnego życia?
- Zawsze byłam zdania, że nie ma nic złego w eskapizmie
- skomentowałam i usłyszałam siebie jakby z ogromnej dali.
- Ja po prostu też pragnę być szczęśliwa. Jak ty. Uniosłam kieliszek.

- Za twoje szczęście.
- Kit, nie płacz. Obie możemy być szczęśliwe, i to w tym samym czasie. Zaśmiałyśmy się do siebie przez łzy.
- Ponieważ trochę wypiałś i jesteś rozemocjonowana, coś ci wyznam - dodała. - Pożyczyłam sobie bez pytania twoją czarną aksamitną sukienkę. Na dodatek uprałam ją w gorącej wodzie, czyli właściwie już jej nie masz. Dół się cały sfalował.

## Rozdział 39

Następnego dnia obudziłam się przy akompaniamencie wichury, która usiłowała zerwać parapety i połamać gałęzie. Kilka żółkłych liści przylepiło się do szyby. Przez okropną chwilę nie mogłam sobie przypomnieć niczego - ani jaki mamy dzień tygodnia, ani gdzie się znajduję, ani kim jestem. Uprzytomniłam sobie jedynie, że nic nie pamiętam, że jestem jak czysta tabliczka. Leżałam w łóżku, czekając, aż wróci mi pamięć. I rzeczywiście, wspomnienia zaczęły napływać wielką falą. Przede wszystkim widok Dolla ze zmiażdżoną głową, leżącego w kałuży krwi. Krew skapywała ze ścian, z sufitu. Izba tortur. Potem ukazał mi się przed oczami Doli z nienaruszoną twarzą, z podniesioną ręką, ściskający w niej rozbity kubek. Znowu krew rozprysnęła się wszędzie, tym razem moja. Mocno oparłam się na poduszce, ale choć oczy miałam otwarte, nie widziałam nic naokoło prócz obrazów pamięci. Czułam się, jakbym przez ostatnie miesiące wciąż uciekała, pragnąc zostawić za sobą czerwony pokój. Jednakże okazywało się, że biegam w kółko i ciągle znajduję się w punkcie wyjściowym.

Z Market Hill pojechałam prosto do Kersey Town. Zaparkowałam samochód i wiedziona impulsem postanowiłam kupić kwiaty. Nie miałam pojęcia, jakie lubiła, ale zdecydowałam się na duży pęk anemonów - fioletowych, czerwonych i różo-

wych, jeszcze pokrytych rosą i delikatnych jak biżuteria z bajki. Ruszyłam biegiem, bo chciałam zdążyć. Odnosiłam wrażenie, że jedyne, co mogę zrobić, to nie spóźnić się. Chciałam złożyć jej hołd. Pragnęłam przekazać, jak bardzo jest mi przykro.

Nie umiem wyjaśnić, dlaczego los Lianne tak głęboko mnie poruszył. Nie znałam jej przecież, ale miałyśmy jedną wspólną cechę: byłyśmy pozbawione matek. Widziałam jej twarz już po śmierci - okrągłą buzię z piegami u nasady nosa. Nic

o niej nie wiedziałam i gdybyśmy się spotkały, kiedy żyła, pewnie bym jej nie polubiła i nie poczuła do niej tej dziwnej tkliwości. Nie miałam pojęcia o życiu, jakie prowadziła. Nie znałam nawet jej prawdziwego imienia. Nikt go nie znał. Równie dobrze mogła nazywać się Lizzie czy Suzan, Charlotte czy Alex. Była anonimową dziewczyną pochowaną w grobie kupionym z kasy opieki społecznej. I kobieta, której nigdy nie ujrzała na oczy, będzie pewnie jej jedyną żalobnicą.

Gdy przybyłam na miejsce, uczestnicy poprzedniego pogrzebu wychodzili na zewnątrz. Towarzyszyły im dźwięki muzyki organowej. Po chwili ciszy organy znowu zagrzmiały

i weszłam do sali - długiej, pomalowanej na kremowo, z nowymi drewnianymi ławkami. Byłam w tym wnętrzu jedyną osobą. Nie wiedziałam, co począć z wiązanką. Czy powinnam położyć ją na trumnie? Czy tak należy postąpić? Rozejrzałam się wokół, po czym położyłam pęk barwnych anemonów na błyszczącym wieku z metalowymi uchwytami. Następnie usiadłam w pierwszym rzędzie ław i wsłuchałam się w muzykę z taśmy. Po jakiejś minucie usłyszałam za sobą szelest. Odwróciwszy się, ujrzałam zbliżającą się kobietę, która usiadła tuż za mną. Zauważyłam, że ściągnięte do tyłu włosy przewiązała wstążką. Na wzorzystą sukienkę narzuciła ciemnoszary żakiet, jakby w pośpiechu chciała przykryć strój niezbyt stosowny na pogrzeb.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie smutno. Na ten znak nowo przybyła pochyliła się w moją stronę i szepnęła mi do ucha:

- Witam, jestem Paula Mann z opieki społecznej. - Odczekała chwilę, po czym dodała: - Nie znałam jej, ale do mnie na



leżało zorganizowanie ceremonii. Zmarła w naszym okręgu, a skoro nie miała żadnych bliskich... biedna myszka, kimkolwiek była. To spada na nas. Jeśli tylko mamy czas, staramy się przyjść i nieść ostatnią posługę. Niekiedy nam się nie udaje. Ale to niesprawiedliwie, by nikt im nie towarzyszył w ostatniej drodze.

- Kit Quinn - przedstawiłam się. Uścisnęłyśmy sobie dłonie. Pomyślałam, że Lianne żegnają dwie osoby, które widziały ją tylko po śmierci.

- Pani pewnie też jej nie znała?

- Nie.

- Tak myślałam. Zazwyczaj staramy się zawiadomić bliskich zmarłego, jeśli oczywiście takie osoby istnieją. Zdumiewające, jak wielu ludzi umiera w całkowitej samotności i nawet nie wiadomo, skąd pochodzą. To coś mówi o naszym życiu w społeczeństwie. Tyłu samotnych, mój Boże. - Na jej miłej twarzy ukazały się zmarszczki smutku.

- A więc pani próbowała ustalić, kim była Lianne, tak?

- Widzi pani, to należy do moich obowiązków. Jestem jak detektyw, tyle że na ogół mam do czynienia z naturalną śmiercią, nie ze zbrodnią.

Otrzymuję zawiadomienie, że są zwłoki, po które nikt się nie zgłosił.

Szukam zatem krewnego lub choćby przyjaciela, który zechce podjąć się załatwienia niezbędnych formalności. Jeśli nie udaje mi się ustalić danych takiej osoby, sama muszę się zająć pogrzebem i wszelkimi rzeczami pozostałymi po zmarłym. W większości wypadków wyrzucam je. Czasem czuję się okropnie, gdy napotykam fotografie lub listy albo drobiazgi, z którymi zmarły musiał być związany uczuciowo. Wtedy pakujemy je do pudeł i trzymamy przez kilka miesięcy w szafie, ale w końcu musimy się ich pozbyć. Na ogół je palimy.

- A co pani zrobiła z rzeczami należącymi do Lianne?

- To odrębny przypadek. Nawet nie wiemy, czy cokolwiek posiadała. Dostaliśmy jedynie jej zwłoki znalezione nad kanałem.

- I takie sytuacje nie zdarzają się zbyt często?

- Raczej nie, ale też częściej, niż można by myśleć.

Zabrzmiała inna muzyka i do sali wszedł duchowny, więc obie szybko umilkłyśmy. Popatrzył na nas, z powagą kładąc ręce na wieku trumny, tuż nad moją wiązką. Zanim jednak zdołał coś powiedzieć, rozległ się za nami jakiś hałas. Odwróciłam się i ujrzałam czwórkę zalęknionych młodych ludzi stojących w progu. Natychmiast ich poznałam, choć na tę okazję ubrali się całkiem inaczej. Była wśród nich zielonooka Sylvia, tym razem wyglądała na bardzo zadbaną dziewczyną, Carla -ostatnia z pensjonariuszy schroniska, która widziała Lianne żywą, Spike z ogolonym łbem, Laurie z szopą włosów. Każde z nich trzymało w rękach bukiet kwiatów, choć odniosłam wrażenie, że Sylvia zerwała swoje z czyjegoś klombu w drodze na pogrzeb. Carla kupiła wielkie lilie, które musiały ją kosztować majątek. Ich intensywny zapach docierał do mojej ławki. Uśmiechnęłam się do kolegów Lianne, ale oni nie zareagowali. Robili wrażenie zawstydzonych, niepewnych siebie. Spike chichotał i szczyptała Laurie, gdy ta ruszyła w stronę trumny i położyła swój bukiet koło mojej wiązanki, a następnie szybko zawróciła i usiadła kilka rzędów za nami.

Nabożeństwo wreszcie się rozpoczęło. Pastor na szczęście nie udawał, że znał Lianne i że mógł wspomnieć o niej coś sensownego. Po prostu szybko odprawił modły. W połowie ceremonii żałobnej poczułam na sobie czyjś wzrok, więc znowu się odwróciłam. Poczułam lekkie ukłucie w piersiach. A więc Will przyszedł. Ubrany w skromny czarny garnitur, jeszcze bardziej przypominał kruka. Usiadł na samym końcu z założonymi rękami i wpatrywał się we mnie. Nie, właściwie wcale nie patrzył na mnie, lecz przeze mnie, jakby mnie w ogóle nie było. Jego oczy wyglądały jak ziejące czernią dziury w wychudzonej, pokrytej kilkudniowym zarostem twarzy. Włosy miał przylizane, a na czole zauważyłam świeżą szramę. Zwróciłam głowę w stronę pastora, ale jego oczy ciągle paliły mi szyję jak rozżarzone węgle.

Gdy trumna wjechała do pieca krematoryjnego, wyobraziłam sobie ciało Lianne w płomieniach ognia. Z lodówki do paleniska. Ujrzałam w myślach jej słodką twarzyczkę, pogryzione paznokcie, wisiorek w kształcie serduszka. „Najlepszy...”.

Pod powiekami poczułam łzy, ale zmusiłam się, by się nie rozplakać. Z sąsiedniej ławki dobiegło mnie łkanie. Kiedy się obejrzałam, okazało się, że to płacze Laurie. Była tą dziewczyną, którą Lianne kiedyś pocieszała. Ujęła wtedy jej twarz w ręce i pocałowała prosto w usta wygięte w grymasie ostatecznej rozpacz. Teraz nieśmiała Carla ścisnęła dłoń koleżanki. Spike gapił się na swoje czarne buciska, więc nie mogłam dostrzec wyrazu jego twarzy. Tylko Sylvia wpatrywała się przed siebie łagodnymi, zielonymi jak morze oczami.

Muzyka się zmieniła, dając nam sygnał do odejścia. Wstaliśmy z miejsc. Will nadal jednak siedział bez ruchu, gapiąc się w katafalk, na którym jeszcze niedawno stała trumna. Robił wrażenie zupełnie obojętnego, póki nie spostrzegłam, że twarz ma zalaną łzami. Nawet nie próbował ich otrzeć lub ukryć przed pozostałymi uczestnikami ceremonii. Podeszłam do jego ławki i wyciągnęłam rękę.

- Chodź - powiedziałam. Dopiero wtedy na mnie spojrzał, ale w taki sposób, w jaki patrzy się na obcych sobie ludzi. Pociągnęłam go za ramię.

- Wyjdźmy. Za chwilę odbędzie się kolejne nabożeństwo. Nie chcesz chyba na nim zostać, prawda?

Wyprowadziłam go na zewnątrz. Mrugnął parę razy w oślepiających promieniach słońca. Miał zimną rękę, poruszał się jak automat.

- Will, nic ci nie dolega?

Nie odpowiedział, ale wreszcie zatrzymał na mnie wzrok ślepeca.

Wyjęłam z torebki chusteczki jednorazowe i otarłam mu twarz.

Położyłam rękę na jego ramieniu, lecz było sztywne jak blacha.

- Chcesz, abym odwiozła cię do domu?

- Nie. - Gwałtownie wyzwolił się z mojego uścisku.

- Gdzie jest twoje auto?

- Przyszedłem pieszo - wymamrotał. Na jego twarzy widać było ból i napięcie, jakby na głowę spadła mu cegła.

- Daj sobie pomoc.

- Nie potrzebuję niczyjej pomocy.

Spojrzałam na jego nieruchomą twarz. Gdy uświadomiłam sobie jego skamieniałą rozpacz, poczułam przyływ dawnej

tkliwości. Jemu bardziej niż komukolwiek potrzebne było oparcie w drugim człowieku.

- Chodź - powiedziałam. - Przejdziemy się trochę. Ruszyliśmy w milczeniu, oddalając się od krematorium.

Will szedł za mną tam, gdzie go prowadziłam, jakby stąpał po omacku w ciemnej jaskini. Mogłabym go zaciągnąć nad kanał i wrzucić do brudnej, mętnej wody, a on pewnie by nawet tego nie zauważył. Stopniowo jednak czułam, jak się odrobinę odpręża. Chciałam go wziąć do siebie i otoczyć opieką. Pragnęłam pomasować mu kark, przygotować ciepłą kąpiel, ugotować jakiś posiłek, zachęcić do uśmiechu, mocno go przytulić, pocałować w udręczone usta - nie chodziło mi o seks, lecz o bliskość. O ludzki kontakt - poczuć drugą istotę koło siebie w tym pogmatwanym zimnym świecie. Ale on by do tego nie dopuścił. Nie pozwoliłby na gest czułości.

- Tu zostawiłam samochód. Podrzucę cię do domu.

Nie stawiał oporu. Otworzyłam drzwiczki, kazałam mu wsiąść. Popatrzył na mnie, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale w końcu zmienił zdanie. Jechaliśmy w milczeniu. Stałam przed jego domem, wysiadł. Kiedy ruszałam, nadal stał przed drzwiami jak człowiek zupełnie obcy w tej okolicy, niemający pojęcia, gdzie się znajduje. Był taki opuszczony. Zatelefonowałam do Poppy. Robiła wrażenie obrażonej.

- Co się dzieje? - spytałam.

- Nic - odparła nadętym tonem. Zaraz potem dodała: - Tyle razy dzwoniłam i zostawiałam wiadomości tej całej Julie, ale nigdy nie oddzwoniłaś.

- Bardzo cię przepraszam - odrzekłam. - Byłam strasznie zapracowana.

- W porządku - powiedziała. - Nie możesz jednak kazać czekać przyjaciółom.

- Poppy, naprawdę mi przykro. Mogę wpaść teraz?

- Nie. Seb i ja wychodzimy zaraz na rozmowę. Nie jestem pewna, czy to cokolwiek zmieni. - Wybuchnęła nerwowym śmiechem.

- Co się stało? Wydarzyło się coś złego?
  - Och, wiesz, sytuacja typowa. Mąż odnoszący sukcesy zawodowe i żona
  - kura domowa.
  - Masz na myśli...
  - Kit, nie wiem. Pogadamy o tym później, dobrze? Muszę już wyjść, a jeszcze nie zdążyłam się umalować. Wyglądałam w tej chwili jak podstarzała matrona.
  - Gadasz głupstwa.
  - Wcale nie. To prawda.
  - Nic podobnego. Jesteś urocza.
  - To ty wygadujesz głupoty. Już się nie mieszczę w sukienki.
  - Ależ ja naprawdę tak uważam. Jesteś urocza, cudowna i twój mąż nawet nie wie, jakim jest szczęściarzem.
- Pociągnęła nosem.
- Przepraszam, że rozmawiam z tobą tak krótko.
  - Nie, to ja ciebie przepraszam.

Postawiłam czajnik na gazie, żeby zagotować wodę na kluski. Najbardziej pragnęłam usiąść na sofie i czekać, aż ktoś poda mi herbatę i ciasteczka, zatroszczy się o mnie, utuli. Przez ułamek sekundy wyobraziłam sobie mamę głaszczącą mnie po włosach i mówiącą, że teraz mogę odpocząć... Myśląc o trumnie Lianne zsuwającej się do otwartych drzwiczek paleniska, poczułam potworne zmęczenie, do którego dołączyły silne emocje. Wyobraziłam sobie Poppy, jak z rozpaczą stoi przed lustrem i przymierza kolejne sukienki, obserwując swoje odbicie z rosnącym niezadowoleniem na twarzy. I ujrzałam w myślach Willa, który sam jak palec siedzi w domu.

Nagle nie mogłam tego dłużej znieść. Narzuciłam zamszową kurtkę i pobiegłam do auta. Jechałam bardzo szybko, zniecierpliwiona nieuniknionymi postojami na czerwonym świetle. Kiedy Will otworzył, wciąż miał na sobie ten czarny garnitur. Cofnął się i wpuścił mnie do środka. Zatrzasnęłam drzwi za sobą, ujęłam go za rękę i zaprowadziłam do kanapy. Pchnęłam go, inaczej by nie usiadł. Ujęłam ciepłymi dłońmi

jego lodowate ręce i lekko na nie dmuchałam, żeby je szybciej ogrzać. Rozpięłam mu guzik od kołnierzyka, ściągnęłam z nóg sztywne czarne buty.

- Przyniosę ci herbaty - rzekłam. Nie protestował.

W kuchni zrobiłam mu dwa tosty i posmarowałam je marmoladą, którą znalazłam w lodówce.

- Matkujesz mi - rzucił. Jednakże zjadł podsunięte kromki.

Nie wypytywałam, dlaczego jest taki smutny. Po prostu przyglądałam się, jak je tosty i popija je herbatą. Następnie zaprowadziłam go na górę i zdjęłam z niego całe ubranie, jakby był małym dzieckiem. Kiedy się położył, usiadłam koło niego i poczęłam gładzić jego szorstkie włosy.

Wreszcie, gdy przymknął oczy, cofnęłam rękę.

- Nie zasnąłem - powiedział miękko.

- Przyszłam tu tylko po to, żeby się upewnić, że nic ci nie dolega.

- Taaa... Kit, nie powinnaś tak się przejmować innymi.

- Nic na to nie mogę poradzić.

- Aha. - Odsunął się ode mnie. - Powinnaś bardziej zajmować się sobą.

- Dlaczego?

- No tak, dobry lekarz.

- Will?

- Mhm?

- A propos tego, co powiedziałam...

On jednak w końcu zasnął. Jego twarz złagodniała, usta lekko się rozchyliły, palce nie zaciskały się już tak kurczowo na poduszce.

Patrzyłam na niego przez dłuższą chwilę, wstałam, zaciągnęłam zasłony i wyszłam po cichu.

## Rozdział 40

Człowiek, z którym się umówiłam, jeszcze się nie pojawił, więc kupiłam sobie piwo i stanęłam na schodach, obserwując nadchodzącą publiczność. Sugarhouse, teatr Gabe'a Teale'a, mieścił się w opuszczonym magazynie stojącym na obszarze należącym do kolei, między gigantyczną gazownią i kanałem. Pospiesznie przebudowano go do nowych celów, zostały rusztowania i przenośne toalety, ale zaśmieconą drogą podążał elegancki tłum - mężczyźni w garniturach, kobiety w pantofelkach na wysokich obcasach. West End leżał stąd zaledwie o kwadrans spacerem, choć wydawało się, że znajdował się na innym kontynencie. To właśnie kochałam w Londynie. Choćby człowiek czuł się nie wiadomo jak bezpiecznie w znanej sobie okolicy, po pięciu minutach marszu w dowolnym kierunku natrafiał na coś dziwnego, nieoczekiwanego. Szacowna publiczność znikła za zaimprovizowanymi drzwiami wejściowymi i wówczas niemal bez wyjątku rozglądała się wokół z uśmiechem dziecięcego oczarowania. Zaskakujące wnętrze zawierało w sobie znane i zupełnie zdumiewające elementy, było miejscem tajemnym. A może widzowie po cichu gratulowali sobie odwagi, z jaką wyruszyli do niebezpiecznej placówki na końcu cywilizowanego świata. Tłum przed teatrem stopniał, bo większość już zdołała zniknąć w środku. Spojrzałam na zegarek. Minęło ponad dwadzieścia minut od umówionej godziny. Chyba mnie nie wysta-

wił? W tym momencie go zauważyłam, a on też wyłowił mnie wzrokiem. Sapiąc, wykonał z daleka ruchy sugerujące szybki bieg, żeby mi pokazać, jak się spieszy.

- Chyba się nie spóźniłem? - Inspektor Oban zrobił zmartwioną minę.

- Do rozpoczęcia spektaklu zostało jeszcze parę minut. Czy mogę ci postawić drinka?

Rozpogodził się.

- To tu jest bar? - W odpowiedzi uniosłam kufel piwa.

- Podwójną szkocką poproszę.

Przepchnęłam się przez ciżbę. Gdy udało mi się odebrać drinka od barmana, rozległ się gong.

- Musimy się pospieszyć - rzekłam. Wypił whisky jednym haustem.

- Oj, potrzebowałam tego - zachrypiął. - Nie jestem bywalcem takich miejsc.

- Ani ja. Nie zaglądałam do teatru od miesiący, może nawet od lat.

Pomyślałam, że byłoby wskazane, abyśmy obejrżeli sobie to

przedstawienie. Powiedzmy, w nagrodę za zakończenie śledztwa.

Oban zrobił sceptyczną minę.

- Po raz ostatni w teatrze byłem bodaj w 1985 roku. Na musicalu. Aktorzy jeździli na wrotkach. Odtąd nie miałem ochoty powtarzać podobnych doświadczeń. A o czym jest ta sztuka?

Zerknęłam do programu.

- Nie wiem - odparłam. - Ma to coś wspólnego z historią tego skrawka miasta.

Spojrzał ze smutkiem na dno szklaneczki.

- Nie sądziłem, że to miejsce ma jakąś historię, oczywiście prócz historii przestępstw.

Przez megafon rozległ się głos zawiadamiający, że przedstawienie zaraz się rozpocznie. Poszliśmy więc, żeby zająć nasze miejsca, ale okazało się, że miejsc nie ma.

*Dzień targowy* nie był bowiem normalną sztuką, tak jak *Sugarhouse* nie był normalnym teatrem. Spektakl polegał na wędrowaniu, oglądało się grupy artystów niczym podczas karnawa-



łu pod dachem. Pojawiali się przed nami żonglerzy, kłowni, aktorzy na szczydach, mówcy wygłaszający orację z wysokości drewnianych skrzynek. Dzieci grały w różne gry i zabawy, śpiewając i krzycząc. Tu i ówdzie rozgrywano skecze, których uczestnicy przebierali się na oczach widzów w stylizowane kostiumy wyciągnięte z kufra. Akcja toczyła się w różnych punktach, czasami jednocześnie, co wymagało szybkiej orientacji, by udać się w kierunku kluczowego wydarzenia. Z początku to mnie rozzłościło, bo ciągle miałam uczucie, że przeoczyłam coś ważnego po drugiej stronie holu, ale stopniowo się uspokajałam i zaczęłam się wciągać w tę przechadzkę jakby po obcym, egzotycznym mieście. Oban też zrazu narzekał, że spektakl nie ma akcji, lecz w pewnej chwili popędził w stronę prześlicznej czarodziejki. Gdy specjalistka od magii zapytała, jak się nazywa i kim jest z zawodu, wyznał wszystko jak na spowiedzi. Poczerwieniał ze wstydu, gdy okoliczni widzowie wybuchnęli śmiechem na wieść, że jest policjantem. Choć był czerwony jak burak, szczerze się ucieszył, kiedy czarodziejka wyjęła mu z kieszeni marynarki kurze jajo.

Nagle ogromnie mi się wszystko spodobało, częściowo dlatego, że uwalniało mnie od myślenia. Z zachwytem przyglądałam się linoskoczkowi, a jednocześnie w głowie aż mi huczało od skłębionych wspomnień z minionego miesiąca. Usiłowałam je jakoś uporządkować i nadać im sens, ale oczywiście znowu nic z tego nie wyszło. Jednakże po raz pierwszy od dawien dawna, będąc częścią radosnego tłumu, doszłam do wniosku, że to nie jest takie istotne.

W czasie antraktu artyści nie zniknęli w swoich garderobach, ale kręcili się wśród widzów, zatrzymując się na krótkie pogawędki. My porozmawialiśmy sobie z jednym z żonglerów, z akordeonistą i z grupą dzieci, które - jak się okazało -uczęszczały do pobliskiej szkoły podstawowej. Po chwili Oban zaproponował, żebyśmy zajrzeli do barmanki, więc udaliśmy się w kierunku foyer, które było w istocie inną częścią magazynu. Sobie zamówił jeszcze jedną podwójną szkocką, a mnie dzin z tonikiem. Dziewczyna, która go obsługiwała, była z pewnością nastolatką. Miała krótko obcięte włosy, zupełnie

odbarwione, dziesiątki kolczyków w uszach, w nosie, a nawet na dolnej wardze. Zapytałam, od jak dawna tu pracuje.

- Od paru tygodni - odparła.

- Jesteś stąd? - spytałam.

- No, tak - rzekła.

- To chyba dobrze, że takie miejsce powstało w waszej dzielnicy.

- No tak - powtórzyła mechanicznie. Zaraz potem ktoś zamówił u niej butelkę meksykańskiego piwa, więc nie było okazji do dalszej rozmowy. Ruszyliśmy przed siebie.

- Twoje zdrowie - rzekłam do Obana. Stuknęliśmy się kieliszkami. - Gabe bez wątpienia robi coś istotnego dla dobra okolicznych mieszkańców.

Wydaje mi się, że ten teatr przypomina w jakimś sensie schronisko Willa Pavica.

Inspektor umoczył usta z wyrazem błogości.

- Moim zdaniem Gabe osiągnął lepsze rezultaty niż Pavic -mruknął. - Nie jest to rodzaj przedstawienia, za którym przepadam, wolę wyrazistą akcję. Większości tych działań scenicznych nie zrozumiałem. Ale muszę przyznać, że to kawał dobrej roboty. Hej, popatrz, kto przyszedł!

Skinął do kogoś głową. Kiedy obejrzałam się za siebie, ujrzałam Gabe'a Teale'a pogrążonego w rozmowie z elegancko ubraną parą.

- Podejźmy do nich - zaproponowałam.

- Są zajęci.

- No to im przerwiemy.

Przepchnęliśmy się przez tłum. Chwyciłam Gabriela za ramię. Obejrzał się zaskoczony.

- Niespodzianka! - krzyknęłam.

Gabe przedstawił nas parze swoich znajomych. Nie usłyszałam ich nazwisk, ale nie miało to znaczenia, bo oboje szybko się oddalili do kolejnej grupy osób, rzucając nam na odchodnym lekko niezadowolone spojrzenie.

- Nie uważałeś nas za takich, co chodzą do teatru - rzekłam do Gabe'a. Spojrzał na nas wyraźnie zmieszany. Czy doszedł do wniosku, że jesteśmy parą? A może ja wprowadziłam go w zakłopotanie-

nie? Czy już wszyscy na tym świecie poszaleli i uważają, że z kimkolwiek się pojawię, musi to być mój partner?

- No... - bąknął.

- Fantastyczne - zmieniłam temat. - Nie zdawałam sobie sprawy, że to taka ogromna inscenizacja. I wspaniały spektakl. Z udziałem tylu miejscowych ludzi - paplałam. Ostrzegłam siebie w duchu: nie gadaj tyle, Kit.

- To nie tylko moja zasługa - odparł. - Jestem jedynie dyrektorem artystycznym. Mamy tu radę nadzorczą i wielu innych szefów.

- Nie bądź zbyt skromny - przerwałam mu. - Czy Bryony też tu jest?

- Ona tu nie pracuje. Została w domu. A zresztą nie czuje się najlepiej. Zapadła kłopotliwa cisza.

- Pewnie masz sporo na głowie. - Dałam do zrozumienia, że nie będziemy zajmować mu czasu.

- Tak - odparł. - Muszę dopilnować paru spraw. Uścisnęliśmy sobie dłonie, żegnając się, ale pomyślałam, że pewnie się już nie spotkamy. Nie dlatego, że Gabriel i Bryony postanowili wyjechać. On z pewnością będzie nadal pracował w swoim teatrze, ale Londyn jest Londynem, więc szanse ponownego spotkania w tak wielkim mieście są znikome. Kiedy odszedł, Oban uśmiechnął się do mnie.

- Robisz wrażenie bardzo zadowolonego - zauważyłam.

- Owszem. Spędziłem z tobą półtorej godziny i w ciągu tego czasu ani razu mi nie oświadczyłaś, że się mylę.

Nie mogłam opanować śmiechu.

- Właśnie do tego zmierzałam - parsknęłam. W tym momencie gong obwieścił początek drugiej części przedstawienia. Wypiłam trochę dżinu z tonikiem. - Wiesz, że ja też jestem w dobrym nastroju. To ciekawy wieczór, wreszcie wyszłam z domu. Ale kłopot polega na tym, że kiedy czuję się świetnie, jest to zapowiedzią zmartwień. Trzeba ci wiedzieć, że jestem purytanką. Wierzę, że ludzie tylko dlatego bywają szczęśliwi, iż nie wiedzą, że coś gdzieś się czai, z czego oni nie zdają sobie sprawy.

- Z takim podejściem do życia nigdy nie osiągniesz szczęścia.
- Często słyszałam takie uwagi od znajomych. Powinnam coś powiedzieć i potem się zamknąć. Wiem, że należy być z siebie zadowolonym, dobrze wykonywać powierzone sobie obowiązki i tak dalej, ale wciąż coś mnie dręczy. Powiedzmy, że kupujesz koszulę i choćbyś był najbardziej uważny, zawsze znajdzie się w niej szpilka, która cię ukłuje.
- Oban spojrział na mnie zaskoczony.
- Czy to ta sprawa, o której chciałaś mnie poinformować? O koszulach?
- Nie, posłuchaj: Zwłoki Michaela Dolla odkryto w mieszkaniu pełnym tych... trofeów.
- Coś cię w tym niepokoi? Ty jesteś specjalistką od ludzi jego pokroju. Mordercy często zbierają trofea, prawda?
- Zgoda - odparłam. - To jest wręcz standardowe. Robią tak, bo chcą zachować władzę nad swoimi ofiarami, jeszcze raz przeżyć moment zabijania. Ale bez wątpienia te rzeczy nie są typowymi trofeami. Kubeczek należał do dziewczynki, która nie była ofiarą Dolla.
- No tak, ale przecież można go traktować jako swoiste trofeum. Może miał mu przypominać, że zamordował jej matkę. Zresztą w tym śmietniku, w jakie zamienił swoje mieszkanie, może jeszcze znajdzie się coś, co należało do Philippy Burton.
- Masz rację - rzekłam. - Przecież skórzana sakiewka, którą Doli wziął Bryony, też nie była normalnym łupem. Przede wszystkim dlatego, że Bryony nie została zamordowana.
- Wyrwał ją w trakcie szarpaniny i zatrzymał sobie. Mogła się okazać użyteczna, bo w ten sposób miał klucze do mieszkania Bryony. Może planował najście swojej ofiary w jej własnym domu.
- No tak - odparłam. - Wspomnę tylko o dwóch niejasnych dla mnie kwestiach, a potem obejrzymy dalszy ciąg przedstawienia i damy temu wszystkiemu spokój. Zatem przyjmujemy teraz, że to Michael Doli zaatakował Bryony Teale na ścieżce wzdłuż kanału. To by tłumaczyło zagadkowy zbieg okoliczności, że akurat wtedy znajdował się w tym miejscu. Ale co z tym drugim facetem?
- Myślałem o tym - rzekł Oban, przełknąwszy haust whisky. - Oceniamy tę sytuację pod niewłaściwym kątem. Zamiast Terence'a Macka i Michaela Dolla biegnących na pomoc Bryony, mamy teraz Macka i

nieznanego osobnika, którzy uratowali dziewczynę z rąk Dolla. Ponieważ zeznania i tak się nie pokrywały ze sobą, wcale mnie nie dziwi, że i Mack, i Bryony nie wiedzieli, co się właściwie działo.

- I ten anonimowy bohater uciekł, bo był zbyt skromny, by otrzymać laury?

- Istnieje mnóstwo ludzi, którzy nie chcą mieć do czynienia z policją, nawet w charakterze świadków. Może facet miał ze sobą narkotyki lub coś w tym rodzaju.

- No, dobrze - odparłam. - Zadam więc ostatnie pytanie. A jak wyjaśnisz sprawę listy osób w notesie Philippa Burton? I jej telefonów do schroniska?

Oban dopił drinka i odstawił szklaneczkę na blat baru.

- Po pierwsze, nie musimy nic wiedzieć. Kiedy morderca umiera przed rozpoczęciem procesu, pewnych spraw nigdy nie da się już wyjaśnić do końca. Mogło to oznaczać cokolwiek. Na przykład - rozejrzał się wokół - Bryony zrobiła zdjęcie Lianne i... i Philippa zauważyła je na wystawie, chciała mieć odbitkę i...

- Bryony wyraźnie podkreśliła, że nie знаła ani Philippa, ani Lianne, a poza tym nie mamy pojęcia, dlaczego pani Burton dzwoniła do ośrodka. I z jakiego powodu Doli miał je wszystkie zabić?

- To już przechodzi moje wyobrażenie - przyznał Oban z lekką irytacją w głosie. - Daj mi trochę czasu, a spróbuję znaleźć na to odpowiedź.

- Czy to cię nie martwi?

- Niepokoi mnie raczej to, że w sprawie sześciu morderstw, nad którymi od dawna pracuję, nie mam cienia poszlaki. Myślę o nich każdego wieczoru przed zaśnięciem. Raz do roku wyciągam stare akta i zastanawiam się, czy coś przeoczyliśmy, a może zostaną ujawnione jakieś nowe fakty, które pozwolą

nam ująć sprawców. To dochodzenie jest skończone, co daje mi poczucie zadowolenia. Nie przejmuję się paroma niewyjaśnionymi szczegółami. Pamiętaj, że rzeczywistość bywa bardziej pogmatwana, niż nam się wydaje. Nie sposób zrozumieć wszystkiego. Chciałam ciągnąć tę rozmowę, ale obiecałam, że zadam tylko dwa pytania, a poza tym z wnętrza dobiegły dźwięki muzyki.

## Rozdział 41

Lottie i Megan bawiły się na trawniku w jakąś zawiłą i kompletnie niezrozumiałą dla mnie grę. Godzinę przedtem wręczyłam Lottie miękkiego fioletowego dinozaura, a Megan -biało-czerwonego ślimaka. Oba zwierzątka zostały natychmiast włączone do zabawy. Amy, która turlała się z górki porośniętej trawą, dostała ode mnie zielono-niebieskiego szmacianego kraba i teraz robiła z nim różne ewolucje. Za nimi rozciągał się Londyn, lekko zamglony w upalne popołudnie z perspektywy wzniesienia Primrose Hill.

Rozłożyłam się na kocu i, oparta na łokciu, sączyłam zimne białe wino. - Opowiedz mi o tym wszystkim - odezwała się Poppy. - Seb oczywiście coś mi wspominał... - Obejrzała się za siebie i krzyknęła: - Megan, natychmiast przestań to robić! Jeśli nie przestaniesz, odbiorę ci zabawkę! Ale wersja Seba z pewnością różni się od twojej. - Mówiąc to, miała dziwnie oschły ton.

Położyłam się na wznak.

- Nie wiem, czy potrafię ci to składnie zrelacjonować - powiedziałam. - Szczególnie w takie leniwe popołudnie, z dwoma kieliszkami wina krążącego w moich żyłach.

To był wyłącznie żeński piknik. Dziewczynki bawiły się nieopodal, a my, czyli dwie matki i jedna kobieta samotna, rozsiadłyśmy się na kocach. Tą drugą matką była Ginny, przy-

jaciółka Poppy. Ojcowie przebywali gdzie indziej. Mąż Ginny gra! w krykieta poza miastem, a Seb gości! w studiu telewizyjnym w centrum Londynu, gdzieś naprzeciwko nas.

- O czym on u diabła teraz mówi? - spytałam. – Ciągłe o sprawie Philippy Burton?

- Tak sądzę - odparła Poppy. - Pewnie sprzedaje książkę, którą już prawie skończył.

- O tym morderstwie? Jest niewiarygodnie szybki.

- Pisał ją w trakcie śledztwa.

- Czy między wami już wszystko w porządku?

- Niezupełnie. - Znów obejrzała się na córeczki. - Nie mogę jednak mówić o tym teraz.

- Oczywiście. Porozmawiamy później.

- A co do książki, to będziesz mile zaskoczona. Zgadnij, dlaczego.

Napiłam się trochę wina.

- No, dlaczego?

- Seb częściowo oparł się na historii, którą opowiadałaś dziewczynkom, gdy parę miesięcy temu przyszłaś do nas na kolację. One potem przez miesiąc nie mogły zasnąć z wrażenia. To było o zamku, tak?

- Jaki tytuł będzie miała ta książka?

- Zdaje się, że *Czerwony pokój*. Może się tak nazywać?

- Pewnie, że tak. Miałam kiedyś koszmarny sen, który im opowiedziałam.

- Aha. Seb musiał go z tobą omawiać.

Nic nie odrzekłam, bo właśnie pogrążyłam się w rozpacz nad sobą. To przecież ja miałam pociętą twarz, to mnie przyśnił się koszmar, od którego nie mogłam się uwolnić. I teraz poczułam się ograbiona; mój sen, mój prywatny, intymny sen, został mi skradziony. Wypiłam jednym haustem resztę wina

i pomyślałam: no i co z tego? Kogo to obchodzi?

Na kocu leżały kanapki, owoce, butelki z napojami gazowanymi i parę produktów, które chwyciłam w biegu w supermarkecie: plastikowe tubki z sosami, płaskie bułki, słoiczki z oliwkami, miniaturowe zapiekanki z wieprzowiną, młoda marchewka, pokrojony w kawałki kalafior.

Umoczyłam mar-



chewkę w jednym z sosów o różowej barwie i nadgryzłam na próbę. Czułam się trochę otepiała, co nawet sprawiało mi pewną przyjemność. Podjadałam smakołyki, popijałam wino, gadałam, ale widziałam, że uwaga moich towarzyszek była rozproszona. Gdy plotkowały ze mną, pogryzając od czasu do czasu surowe jarzyny, jednocześnie rozglądały się wokół, by nie stracić z oczu dziewczynek. W pewnej chwili mruknęłam, że przecież ich córeczki znajdują się w zasięgu paru metrów, a wtedy Ginny natychmiast opowiedziała historię koleżanki swojej przyjaciółki, która zostawiła w ogrodzie trzyletniego synka zaledwie na dwie minuty bez dozoru. W ogrodzie była sadzawka, nie głębsza niż kilka centymetrów. No cóż, resztę można odgadnąć. Ginny była miłą szatynką o zaraźliwym śmiechu. Odznaczała się tak rozwiniętym macierzyństwem, że zastanawiałam się, kim była przed urodzeniem Lottie.

Położyłam się wygodnie i zamknęłam oczy. Tuż nad moim uchem rozległ się krzyk Poppy, która domagała się od dziewczynek, aby natychmiast przyszły i zjadły lunch. Nagle na kocu zakłębiło się od małych ciałek. Poczułam przez dzinsy, że coś zimnego ścieka mi po nodze. Usiadłam z jękiem, widząc, jak rozlewa się wino z butelki, bo Megan wspięła się po mnie, żeby dosięgnąć kurzego udka. Kiedy ujrzała, co zrobiła, jej wrzaski zagłuszyły nawet płacz młodszej siostrzyczki. Poppy wzięła ją w ramiona.

- Megan, kochanie, to nie ma żadnego znaczenia. Nie płacz, dziecinko, nic się takiego nie stało. Kit, czy możesz zapewnić Megan, że wszystko jest w porządku?

- Megan, wszystko w porządku - odparłam posłusznie.

- Przepraszam cię, Kit, ale Megan strasznie się przejmuję takimi wypadkami.

Tymczasem Megan odzyskała już humor i wgryzała się w udko.

- W każdym razie - powiedziała Ginny z uśmiechem - białe wino nie zostawia plam. Zdaje się, że nim się wywabia plamy z czerwonego wina, prawda?

- Jest mi tylko trochę mokro - rzekłam, osuszając plamę

kawałkiem papierowego ręcznika z rolki. Uważałam w duchu, że to ja powinnam zbagatelizować sprawę, a nie one.

- Boże! - Poppy się zaśmiała. - Powinnaś być wdzięczna losowi, że to tylko wino. Nie wyobrażasz sobie, jakie ja mam plamy na ubraniu!

Zrobiłam uprzejmą minę i napełniłam kieliszek resztką wina.

- Czy wiesz - odezwała się Ginny - że mnóstwo matek strasznie się przejęło tymi twoimi morderstwami?

- Nie nazwałabym ich moimi - zaprotestowałam.

- Ta biedna dziewczynka, której matka została uprowadzona, gdy ona bawiła się w ogrodzie! Od czasu, kiedy to się zdarzyło, nie spuszczałam Lottie z oka. Wiem, że to irracjonalne.

Mruknęłam potwierdzająco.

- Kitty, czy nie czujesz się z tego powodu w strasznym dołku? Przecież to sytuacja nie do zniesienia.

Postawiłam kieliszek na kocu, ale po namyśle szybko ujęłam go w dłoń.

- Nie wiem, czy wybrałaś właściwe słowo na określenie mojego stanu.

Raczej jestem z tego powodu smutna.

- Ze swego punktu widzenia czuję się teraz bezpieczniej, bo osoba, która dokonała tych zabójstw, już nie żyje. Oglądałam twego inspektora w telewizji. On tak miło mówił o tobie.

Spojrzałam na dziewczynki. Amy dobrała się już do deseru. Miała zjeść babeczkę czekoladową, ale tak ją sobie rozmazała po twarzy i tyle nakruszyła na kocu, że pewnie nic nie trafiło do ust.

- To nie przyniosło mi takiej satysfakcji, jak mogłybyście sądzić -

rzekłam. - Ten człowiek, Michael Doli, został właśnie zamordowany.

- Zabity przez ludzi, którzy wzięli sprawę w swoje ręce - przerwała mi Poppy.

- Z pewnością nie przyklaskuję takim akcjom - dodała Ginny. - Niemniej, gdy się o tym dowiedziałam, moja pierwsza myśl była: „Och, to świetnie!”. - Mocno przytuliła do siebie Lottie. - Może to okrutna forma sprawiedliwości, ale przynajmniej ten człowiek nie wyrządzi już nikomu krzywdy.

- Lub dobra.
- Aż tyle o nim wiesz - rzekła Peppy zachęcającym tonem, wyczuwając mój wewnętrzny niepokój.
- Spotkałam go kilka razy.
- Och! - wykrzyknęła Ginny. - To musiało być okropne! Jaki on był?
- No cóż, budził strach - odparłam. - Był bardzo pokrecony, wzbudzał odrazę, ale i litość.
- Jak to jest znać kogoś takiego, kto popełnił takie straszliwe morderstwa?
- dopytywała się Poppy.
- Nie umiem ci jednoznacznie odpowiedzieć. Powinnaś zapytać Seba. Bo ja uważam, że Doli nie popełnił tych zbrodni. I zginął, zanim zdołano wszystko wyjaśnić.
- Przecież istniały solidne dowody. Policja o tym trąbiła.
- Owszem, zebrano wiele dowodów, poważnych dowodów. Niestety, one się nie składają w sensowną całość. Ale chyba nie chcecie o nich słyszeć. Popatrzyłam na obie kobiety. Miałam rację. Na dodatek dziewczynki, które dotychczas bawiły się w pewnym oddaleniu, przyszły teraz i domagały się uwagi ze strony matek. A te były przywiązane do swoich dzieci niewidzialną linką, czujne na każdy ich krok. Czy przypadkiem nie upadły? Albo nie uciekły? A może są zbyt hałaśliwe? Nagle ich nie słysząc - może ktoś je zamordował? Pomyślałam o małej Emily, która bawiła się w piaskownicy, gdy jej matkę ktoś uprowadził i zatłukł na śmierć. Znowu ułożyłam w głowie kolejny scenariusz, chyba już po raz setny, z Michaeliem Doilem jako psychopatycznym mordercą. I nagle coś mnie olśniło. Skoczyłam na równe nogi.
- Dokąd idziesz? - spytała Poppy. - Wyglądasz, jakbyś ujrzała ducha.
- Może ujrzałam. Przepraszam, muszę biec. Coś...
- Czy mogę popatrzeć w słońce? - zapytała Megan.
- Nie! - krzyknęła Poppy. - Nigdy nie wolno patrzeć w słońce.
- Dlaczego?
- Bo spali ci oczy.

- To je zamknę. - Zacisnęła powieki. - Czy mogę patrzeć z zamkniętymi oczami?

- Chyba tak. Ale wówczas nic nie zobaczysz.

- Wcale nie jest ciemno - rzekła Megan. - Tylko czerwono. Skąd się bierze ta czerwień?

- Nie wiem - odparła Poppy. - Pewnie z krwi w twoich powiekach.

- Z krwi? Hurra, patrzę na własną krew. Popatrzmy wszystkie, dobrze? I trzy dziewczynki posłusznie zamknęły oczy, wpatrując się na ślepo w słońce, podczas gdy ja biegłam przed siebie jak nawiedzona.

## Rozdział 42

Gdy dotarłam do mieszkania, byłam bez tchu, w głowie mi wirowało od wina i słońca. Natychmiast chwyciłam słuchawkę i wykręciłam numer Obana. Zastałam go w mieście, bo dochodził do mnie gwar ludzi i odgłosy pojazdów.

- Jesteś zajęty? - spytałam.

- Kit, jest weekend - odpowiedział. - Co się dzieje? Chcesz mnie wziąć do opery?

- Chciałam cię zawiadomić, że zamierzam zobaczyć się z Emily Burton.

- Co takiego?

- No wiesz, z córeczką Philippą Burton.

- Przecież wiem, kim, do cholery, jest ta mała. To... to... -Odniosłam wrażenie, że go zatkało. - To fatalny pomysł.

- Muszę jej zadać jedno ważne pytanie.

- Kit, Kit - przemawiał czułym tonem, jakby starał się odwieść mnie od rzucenia się z okna. - Zawsze pozostaje jakieś jedno zasadnicze pytanie. Pomyśl nad tym, co zamierzasz zrobić. Znowu wyprowadzisz z równowagi całą tę nieszczęsną rodzinę. Sama sobie zaszkożysz. A na dodatek ja też dostanę szału.

- Chciałam się zapytać, czy uważasz, że powinien mi towarzyszyć policjant.

- Nie, kategorycznie nie. Śledztwo jest zakończone. To wolny kraj. Możesz odwiedzić, kogo tylko chcesz, ale to nie ma

z nami nic wspólnego. Prawdę mówiąc, Kit, lubię cię, ale niekiedy nie mogę pojąć, do czego zmierzasz. Nie wiem, czego potrzebujesz... Połączenie zostało zerwane. Może Oban wjechał do tunelu, a może rozłączył się, nie mogąc mi niczego wyperswadować. Magnetofon. Muszę go ze sobą wziąć. Gdzieś go wetknęłam. Po kilku minutach poszukiwań wyciągnęłam z dna szuflady niedużego, zużytego kasetowca. A następnie w schowku ze starymi wtyczkami, gumkami, piórami bez skuwek i spinaczami odnalazłam zakurzoną kasetę, która chyba pamiętała moje studenckie czasy. To mi wystarczało. Zatelefonowałam do Burto-nów. Usłyszałam kobiecy głos.

- Halo, czy to pani Pam Veré?

- Tak.

- Tu mówi Kit Quinn. Czy pani mnie sobie przypomina? Jestem...

- Tak, pamiętam.

- Jak pani sądzi, czy mogłabym spędzić kilka minut z Emily?

- Teraz nie ma jej w domu.

- Czy mogę wpaść później?

- Myślałam, że sprawa jest zakończona.

- Muszę dodać parę szczegółów. A przy okazji pragnęłam się dowiedzieć, jak się miewa Emily.

- Wydaje się, że w porządku. Cieszą ją zabawy z rówieśnikami. I przyjęliśmy do niej au pair.

- Czy mimo wszystko mogę państwa odwiedzić? Zabiorę tylko pięć minut.

- Nie chcę pani utrudniać zadania, ale czy to konieczne?

- Czułabym się bardzo zobowiązana. - Byłam nieustępliwa.

Zapadła cisza. Wreszcie Pam Veré się odezwała:

- Emily wróci po czwartej. Może pani z nią porozmawiać przed podwieczorkiem.

- Będę z pewnością.

Atmosfera była jeszcze bardziej formalna niż przedtem. Zjawiłam się w domu Butlerów przed powrotem Emily i w kuchni znalazłam kontakt, do którego mogłabym podłączyć magnetofon. Ze zdenerwowania sprawdziłam go kilkakrotnie, powtarzając do wbudowanego mikrofonu „raz-dwa, raz-dwa”, po czym przewijałam taśmę i odsłuchiwałam efekt. Za drugim razem nie byłam pewna, czy odtwarzam pierwszą próbę, czy też drugą, więc na wszelki wypadek nagrałam się po raz trzeci, tym razem mówiąc „A-B-C-D” z braku lepszego pomysłu.

Emily wpadła do pokoju jak mały chochlik, w poplamionym farbą czerwonym kombinezonie. Próbowwała jej dotrzymać kroku młoda blondynka, zapewne au pair. Dziewczynka miała taką uszczęśliwioną minę. Nagle wyobraziłam ją sobie za pięć lat, kiedy już nie będzie miała własnego obrazu matki. A tego nie da się zastąpić oglądaniem starych zdjęć i wsłuchiwaniem się w zmyślane na ogół opowieści krewnych o Philip-pie. Emily podbiegła do babki i objęła ją za kolana. Kiedy mnie ujrzała, zamilkła stropiona. Zbliżyłam się i uklęknęłam przy niej.

- Pamiętasz mnie? - zapytałam. Pokręciła głową i odwróciła ode mnie wzrok. - Chcę ci coś pokazać - dodałam.

Chyba chciała odejść, ale ciekawość zwyciężyła. Ujęła mnie za rękę i razem podeszliśmy do stołu kuchennego, na którym stał mój magnetofon. Pat usiadła naprzeciwko nas, obserwując mnie bacznie.

- Popatrz na to - rzekłam.

- Co to? - spytała.

- Powiedz coś.

- Nie chcę powiedzieć coś.

- Co robisz, jak bawisz się w szkołę?

- Robię, co chcę - odpowiedziała stanowczo. Zatrzymałam nagranie, przewinęłam taśmę i włączyłam od początku. Ze zdziwienia otworzyła usta.

- Jeszcze raz - poprosiła.

- Dobrze. - Nacisnęłam klawisz nagrywania. Usiadłam bardzo blisko małej. Czulałam od niej zapach mydła i farby.

- A o czym będziemy rozmawiały? - zapytałam.

Emily zmarszczyła nosek i zachichotała.

- Nie wiem - rzekła z namysłem. - To jest twój znak - dodała, wskazując palcem na moją twarz.

- To prawda - odpowiedziałam. - Widzisz? Pamiętasz mnie.

- Czy to boli?

- Już nie tak bardzo. Zagoiło się.

- Mogę dotknąć?

- Pewnie!

Pochyliłam się nad nią, a ona przeciągnęła paluszką po mojej bliźnie - od ucha, przez policzek aż do szczęki. Nie czułam bólu.

- Kiedy spotkałyśmy się poprzednim razem - rzekłam - bawiłaś się ze swoją koleżanką i rozmawiałyśmy o placu zabaw. Stawiałaś tam babki z piasku, kiedy twoja mamusia odeszła. Pamiętasz?

- Tak - odparła.

- Dużo ludzi pytało cię o to, prawda?

- Policjanci.

- Właśnie. I policjanci oraz policjantki wypytywali, czy widziałaś, jak twoja mamusia odeszła z kimś, a ty mówiłaś, że nie zauważyłaś.

Emily bez słowa skrobała blat stołu. Czułam, że tracę jej zainteresowanie. Uwaga czteroletniego malucha była już na wyczerpaniu. Spojrzałam na magnetofon. Szpule nadal się kręciły. Przyszłam tutaj z jednym nabojem w magazynku. Wystrzelę i jeśli nic z tego nie wyjdzie, przegram. Powiem grzecznie „Do widzenia” i wrócę do okruchów mego życia, które tak ostatnio zaniedbałam. Wyciągnęłam rękę i położyłam ją na małej, wilgotnej łapce dziewczynki. Ścisnęłam ją lekko, żeby zwrócić na siebie uwagę. Emily zerknęła na mnie.

- Nie chcę cię o to pytać. Zapytam o coś innego. Możesz mi opowiedzieć o ładnej pani?

- Co? - spytała Emily.

- O co pani cho...? - przerwała Pam.

- Szs - rzekłam szybko, podnosząc rękę do góry. - Emily, co ona ci dała?



- Nicz.  
- Nic?  
- Lizaka.  
- To miło. - Poczułam, jak serce wali mi młotem. Słyszałam je w każdym zakątku ciała, w głowie. - I co potem zrobiła? Bawiła się z tobą na huśtawce?  
- Trochę. Wzięła mnie do piaskownicy.  
Usiłowałam wyobrazić sobie plac zabaw. Naturalnie, to jasne.  
Piaskownica znajdowała się w najdalszym miejscu od ogrodzenia, przy którym stała Philippa i obserwowała córeczkę.  
- Pewnie dobrze się bawiłaś - ciągnęłam. - A potem ta pani odeszła. Zostawiła cię tam?  
- Nie wiem.  
- Jak ta pani wyglądała?  
- Nuu-dzę się - rzekła głośno Emily.  
- Była duża?  
- Chcę iść!  
- Świetnie, Emily - powiedziałam. - Bardzo ci dziękuję. - Mocno ją uściskałam. Mała wyrwała mi się i wybiegła do ogrodu. Wyłączyłam magnetofon. Spojrzałam na Pam. Wydała się oszołomiona. Wreszcie jakby się ocknęła.  
- Ale przecież... - wyjąkała - to był mężczyzna. Co ona...? Miałam zamiar wstać i wyjść, lecz byłam jej winna małe wyjaśnienie.  
- Powinam była wcześniej o tym pomyśleć - rzekłam. - Bez większego trudu można porwać kobietę w ciemną noc, w odludnym miejscu. Można tego dokonać również w tłumie, choć wymaga to więcej sprytu. Ale nie sposób namówić matkę, by zostawiła swoje dziecko bez opieki nawet na ogrodzonym placu zabaw, choćby przez minutę. Musiał być więc ktoś, kto zająłby się dzieckiem. To właśnie przyszło mi do głowy. I wedle mojego rozeznania musiała to być kobieta. Emily stale powtarzała, że mamusia wróci, prawda? - Pam przytaknęła bez słowa, wpatrując się we mnie. - Ponieważ pewnie te słowa Philippa wypowiedziała po raz ostatni do Emily. Coś w rodzaju „Nie martw się, zaraz wrócę”. I Emily ciągle na nią czeka.

Wyciągnęłam wtyczkę magnetofonu z kontaktu i wstałam, przyciskając kasetowiec do piersi, jakby w obawie, że ktoś mi go skradnie.

- Muszę już iść - oznajmiłam.

- A więc on miał współnika - rzekła bezdźwięcznym głosem Pam.

Pokręciłam głową.

- Znałam Michaela Doiła - powiedziałam. - Nie sądzę, żeby potrafił namówić do tego jakąkolwiek kobietę. Nie umiał z nimi rozmawiać. -

Prócz mnie, dodałam w duchu. I szybko wyszłam z kuchni, zostawiając Pam siedzącą nieruchomo przy stole, z rękami złożonymi jak do modlitwy.

## Rozdział 43

Zatelefonowałam z komórki do Ośrodka Tyndale dla Młodzieży dopiero wtedy, gdy znalazłam się parę minut jazdy od niego. Kiedy kobieta, która odebrała telefon, oznajmiła mi, że Willa nie ma, przejechałam resztę drogi, zaparkowałam przed samym wejściem i zadzwoniłam do drzwi.

- Czy zastałam Sylwię? - zapytałam dziewczynę na dyżurze. Miała bardzo krótko ostrzyżone włosy, tatuaż w kształcie pajęczyny na policzku i nie wyglądała na wiele starszą od pensjonariuszy.

- Nie. - Gdy mówiła, pajęczyna się rozciągała i ruszała.

- A kiedy wróci?

- Trudno powiedzieć.

- Nie wie pani, gdzie mogłabym ją znaleźć?

- Nie mogę udzielać takich informacji. - Wyciągnęła zza ucha papierosa i włożyła go sobie do ust. - To poufne - dodała i zapaliła, zaciągając się dymem.

- Och. No tak. Jeśli ją pani zobaczy, proszę łaskawie przekazać, że Kit Quinn chce ją o coś zapytać, dobrze? Zapiszę tu mój numer telefonu. - Młoda kobieta nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na mnie podejrzliwie.

- Ona mnie zna - pospieszyłam z wyjaśnieniem. Wyciągnęłam z torby notes, nasmarowałam moje numery i wręczyłam jej karteczkę. Położyła ją na biurku, nawet na nią nie patrząc. Nie byłam przekonana, czy

zechce to dać Sylvii. - Dziękuję i przepraszam za fatygę - dodałam na wszelki wypadek.

Gdy już zamierzałam wyjść, nie mając pojęcia, gdzie szukać Sylvii, usłyszałam:

- Może pani spróbować w wesołym miasteczku. Odwróciłam się, i dostrzegłam w drzwiach wejściowych chłopaka siedzącego w kucki. Wyglądałby na dziesięć lat, gdyby nie papieros zwisający mu z kącika ust. Bawił się kozikiem.

- Wesołe miasteczko? To na Bibury Common? Minełam je, jadąc do schroniska, i wywołało ono we mnie falę wspomnień. Bardzo lubiłam jako dziecko jazdę na diabelskim młynie i karuzelach, różne pluszowe zabawki i plastikowe młotki, które wygrywało się po zestrzeleniu wszystkich celów z wiatrówki.

- Taa. - Pomyślał przez chwilę. - Mogłaby mi pani pożyczyć kilka fajek?

- Przykro mi, ale nie palę.

- A więc dostanę trochę kasy?

Wyciągnął złożone ręce w ironicznym geście prośby. Zerknęłam na recepcjonistkę i wcisnęłam mu parę monet.

Zapadał zmierzch i wesołe miasteczko właśnie ruszyło. Mężczyźni w skórzanych kurtkach, z wybrylantowanymi włosami, czynili ostatnie przygotowania. Wielka karuzela już krążyła w zapadających ciemnościach, choć większość siedzeń była pusta. Znajdowały się tam też łodzie, mniejsza karuzela z gondolami w kształcie filizanek, i inna, gdzie siadało się na grzbiecie różnych zwierząt. Wagoników pilnowali chudzi młodzi mężczyźni w dżinsach, żując gumę. Ujrzałam zamek, w którym straszy, i zdezelowany pawilon krzywych luster, który naprędce kończono montować. W rozlicznych kramach można było zarzucać kółka na szyjki butelek i wygrać plastikowego delfina, albo rzucać strzałką do tarczy, by odejść z torebką obrzydliwych w smaku cukierków lub pokracznych wazoników. Z przyczep ciężarówek sprzedawano ociekające tłuszczem hamburgery lub grube, pomarańczowe kiełbaski. I wszędzie było mnóstwo błota - ciężkiego, burego, które chlupało pod nogami i tworzyło przeszkody nie do przebycia, szczególnie tam, gdzie pozostały głębokie bruzdy po przejeździe wozów cyrkowych.

Rozglądałam się wokół, szukając Sylvii. Publiczność właśnie zaczęła się schodzić. Rozbrzmiała jarmarczna muzyka. Napełniony balon helem wznosił się wysoko, puszczonego przez płaczącego malca. Odór smażeniny i papierosów stawał się ciężki. Może Sylvii w ogóle tu nie było. Ruszyłam przez błądź, patrząc na twarze przybyłych, i gdy zastanawiałam się, czy nie zrezygnować, zobaczyłam ją. Gramoliła się do elektrycznego samochodziku z mniej więcej szesnastoletnim chłopakiem. Gdy usiedli, on objął ją ramieniem, ale ona z gniewem odepchnęła jego rękę. Włosy miała powiązane w jakieś idiotyczne pęczki i wyglądała dużo młodziej, niż ją zapamiętałam. Na dodatek była rozradowana, jakby miała za nic cały ten parszywy świat. Patrzyłam, jak uderza w inne samochodziki, piszcząc z udawanego strachu, gdy ktoś inny w nią wjeżdżał. Walczyła zaciekle i bez pardonu rozbijała się na torze.

Kiedy jazda się skończyła, podeszłam do bramki.

- Cześć, Sylvia - powitałam ją.

- O, hej. - Nie robiła wrażenia zaskoczonej naszym spotkaniem.

- Szukałam cię.

- Taa?

- Chciałam cię o coś zapytać. Nie chcę jednak przerywać ci zabawy, więc jeśli chcesz, możemy porozmawiać później.

- Może być teraz. I tak nie mam więcej kasy. Robbie, potem się z tobą zobaczę - rzekła do towarzyszącego jej chłopaka. Ten odszedł, chlupiąc w błocie.

- Masz ochotę na coś do jedzenia? Do picia?

- Nie mam nic przeciwko temu.

- A więc?

- No dobra. Hamburger ze smażoną cebulą i keczupem, frytki i coca-cole. Podeszliśmy do jednej z ciężarówek, gdzie podano nam jedzenie.

- Zobacz, tam jest ławka, możemy usiąść i porozmawiać
- zaproponowałam.
- Jasne - odparła przyjaznym tonem. Nie wydawała się szczególnie zadowolona moimi pytaniami, lecz z pewnością była głodna. Pochłonęła prawie całą porcję, zanim zbliżyliśmy się do ławki. Miała usmarowaną tłuszczem brodę i ślady keczupu na ustach. Przeciągnęła rękawem po twarzy i westchnęła.
- Istnieje coś, w czym mogłabyś mi pomóc - zaczęłam.
- W związku z Lianne?
- Coś w tym rodzaju. Ale również z Daisy, przyjaciółką Lianne.
- Aha. Tą, która się powiesiła.
- Tak. Dobrze ją znałaś?
- Widywałam ją. Czasami z nią łąziłam. Pani wie, to samo towarzystwo.
- Czy myślisz, że Will Pavic ją znał?
- Pewnie tak. To znaczy tak uważam, nie? - Spojrzała gdzieś w dal. - Czy mogłabym jeszcze dostać pańską skórkę?
- Oczywiście, ale za chwilę. Teraz zadam ci trudne pytanie, spróbuj się skupić. Czy myślisz, że Will Pavic kiedykolwiek był zaangażowany w jakąś sprawę z kimś z młodych ludzi, którymi się opiekuje?
- Zaangażowany? - powtórzyła, jakby było to dla niej obce słowo.
- Tak. Czy miał z kimkolwiek z nich stosunki seksualne.
- Ma pani na myśli, czy ich pieprzył? - Zachichotała. Poklepała mnie po ramieniu, wykrzyknęła, naśladowując mój ton: -Stosunki seksualne!
- Miał?
- Ma pani cyga?
- Nie.
- No, trudno. - Wyciągnęła własne papierosy z kieszeni dżinsów i zapaliła. - Nie sądzę.
- Jesteś tego pewna?
- Pewna? Jasne, że nie. Chyba nigdy nie można mieć stuprocentowej pewności w takich sprawach. W każdym razie ja

nic o tym nie wiem. - Zmarszczyła nos, prychnęła. - Przynajmniej nie jest macaczem.

- Kim?

- No, takim, co kładzie człowiekowi rękę na ramieniu, na kolanie, poklepuje cię, kiedy do niego mówisz. Ech! - Wzdrygnęła się. - Zboczeńcy! Jakbyśmy nie wiedzieli, co robią. Will nigdy się tak nie zachowuje. Trzyma dystans.

- No dobrze, a co powiesz o Gabrielu Teale'u? Czy Daisy wspomniała o nim kiedyś w rozmowach z tobą?

- Gabriel? Cóż to za idiotyczne imię dla mężczyzny? Pierwsze słyszę.

- On jest dyrektorem teatru Sugarhouse.

- Ach, ten! Już wiem.

- Czy Daisy tam chodziła? - Z trudem udawało mi się ukryć napięcie w głosie.

- Jasne. Wielu z nas tam się pokazywało. Ja nie, to nie moja broszka. Ale Daisy zaglądała z całą pewnością. Chciała się nauczyć salta. -

Uśmiechnęła się. - Na koniec była w tym po prostu super! Mogła je robić prawie bez rozbiegu, i to wielokrotnie. W ten sposób wchodziła do pokoi w ośrodku.

Wzdłuż kręgosłupa czułam igielki podniecenia. Wyciągnęłam z torby program teatralny i obróciłam na tylną okładkę.

- Pamiętasz, że kiedyśmy się spotkały po raz pierwszy, powiedziałaś, że ktoś wypytywał o Lianne. Czy to ten mężczyzna? - Wskazałam palcem na zdjęcie Gabe'a.

Zerknęła na nie.

- W życiu! - Zachichotała. - Osoba, która rozpytywała o Lianne, była kobietą.

Zamarłam z wrażenia.

- Nigdy o tym nie mówiłaś - wykrztusiłam.

- Bo pani nigdy o to nie zapytała.

Z torby wyciągnęłam teraz zdjęcie Bryony.

- Czy to ta?

Sylvia zmrużyła oczy w półmroku.

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie. Nie ma żadnego podobieństwa. Tamta była blondynką. Jak w gorączce wyjęłam kolejne zdjęcie.

- Ta?

- Taa... Jasne, ta sama. Jestem tego pewna. Węszyła wokoło, zadając pytania tym swoim eleganckim akcentem. Kim ona jest?

Spojrzałam na zdjęcie, przeciągnęłam po nim palcem.

- Nazywa się Philippa Burton.

- Philippa Burton - powtórzyła Sylvia i przez jej twarz przeleciał cień. Zaciśnęła szczęki. - A więc to ona zabiła Lianne?

- Nie. - I po chwili dodałam: - Nie wiem.

- Dziwnie pani wygląda. Źle się pani czuje?

- Nie, Sylvio. Jestem tylko skołowana. Czy chcesz teraz swoją pańską skórkę?

- A pani też zje?

- Nie.

- Dlaczego? Niech się pani zrelaksuje. - Zwróciła do mnie delikatną twarz z przenikliwymi oczami i przyjrzała mi się uważnie. - Pani powinna się odprężyć.

Zaraziła mnie nastrojem.

- OK, kupię nam obu różową pańską skórkę. Największą porcję.

- Fajnie. A potem przejedziemy się tym. - Wskazała na ogromne koło karuzeli, która wirowała w szaleńczym tempie. Z daleka migwały twarze wrzeszczących pasażerów.

- Jeszcze się zastanowię.

- Nie ma się co wahać. Idziemy.

Zjadłam całą pańską skórkę, której resztki utkwily mi między zębami, przykleily się do włosów i do policzka. Następnie ruszyłam z Sylwią w stronę karuzeli. Wspięłyśmy się na siedzenia.

- Nie chcę tego robić - wymamrotałam.

Sylvia wybuchnęła śmiechem. Karuzela ruszyła, najpierw



powoli, ale stopniowo przyspieszała. Na dodatek każdy wagonik obracał się wokół własnej osi. Chciałam coś krzyknąć, ale policzki miałam spłaszczone oszalamiającą prędkością. Ziemia była kompletnie zamazanym obrazem, siła odśrodkowa wbijała mnie w siedzenie, żołądek wędrował w górę i w dół, włosy biły w twarz.

- O, kur... - jęknęłam.

- Krzycz! - rozkazała mi Sylvia do ucha. - Krzycz jak opętana!

Oparłam głowę na zagłówek i otworzyłam usta. Krzyczałam tak głośno, że mój głos przebijał się przez wrzaski pozostałych osób. Wykrzyczałam z siebie duszę.

## Rozdział 44

Stan techniczny mojego magnetofonu wywołał furję. Pod sceptycznym spojrzeniem detektywa-inspektora Guy Furtha i pod pełnym zażenowania wzrokiem Obana czułam się okropnie. Obydwaj, mając na głowie inne sprawy, kolejne dochodzenia, musieli stawić czoło szalonej kobiecie, która nie dawała im spokoju. Co gorsza, owa kobieta klęczała pod stołem w gabinecie Obana, usiłując włożyć wtyczkę niepasującą do kontaktu. Klęłam najpierw po cichu, potem już głośno. Pieprzona wtyczka! Wreszcie jakoś sobie z nią poradziłam i postawiłam magnetofon na biurku Obana.

- Musicie słuchać bardzo uważnie - ostrzegłam. - Nagranie nie jest najlepszej jakości. Miałam do dyspozycji tylko zużytą taśmę, którą znalazłam na dnie szuflady, sądzę, że jest dość stara.

Detektywi spojrzeli po sobie, gdy nacisnęłam klawisz odtwarzania. Było to nieco żenujące, bo nie ustawiłam taśmy we właściwym miejscu i najpierw rozległa się moja wyliczanka raz-dwa, raz-dwa, a potem dukanie liter alfabetu. Zerknęłam na Obana. Zauważyłam, że zagryzł wargi i z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu. Dalsza część nagrania nie zrobiła lepszego wrażenia. Rozmowa z Emily o jej zabawie w szkołę i o mojej bliźnie ciągnęła się w nieskończoność. Oban niecierpliwie kręcił się na fotelu.

- Czy w czasie nagrywania padał grad? - zapytał Furth z ironicznym uśmiechem.

- Owszem, są trzaski na taśmie - przyznałam. - Chcę jednak, byście wysłuchali całego nagrania, bo w ten sposób poznacie kontekst.

Mruknął coś pod nosem.

- Co takiego? - spytałam.

- Nic, nic.

Zatrzymałam taśmę i nieco ją cofnęłam.

- Na miłość boską! - krzyknął Furth. - Nie będziemy słuchać tego od początku.

- Chcę się tylko upewnić, że niczego nie uronicie.

Furth wydał z siebie jęk. Gdy jednak rozmowa zaczęła dotyczyć placu zabaw, na jego twarzy odmalowało się skupienie. Wtem Emily rzekła, że już się jej nudzi, rozległy się jakieś trzaski i zaraz potem zabrzmiała piosenka *Hotel California*, modny przebój lat osiemdziesiątych, grany na każdym party. Obaj detektywi popatrzyli po sobie.

- Podoba mi się ten kawałek - rzekł Furth. - 1 lepsza jakość nagrania.

- A więc co o tym myślicie? - spytałam z napięciem w głosie.

- Daj jeszcze raz posłuchać - zażądał Oban. - Ale tylko tego ostatniego fragmentu - dodał szybko.

Trochę na oślep ustawiłam taśmę i odtworzyłam opowieść Emily o kobiecie. Zanim mała skończyła, nachylił się nad kasetowcem i nacisnął klawisz stopu.

- No i? - Czekałam na jego reakcję.

Spojrzał przez okno, jakby zauważył na dworze coś frapującego, co przyciągnęło całą jego uwagę. Po chwili rozejrzał się ze zdziwieniem w oczach, jakby nie wierząc, że ciągle tu jestem.

- Przepraszam - rzekł. - Myślałem o tym, że parę tygodni wcześniej to my prosiliśmy, abyś posłuchała nagrania z taśmy. Zabawne, jakie los płata figle.

- Niezupełnie - bąknęłam.

- No więc co byś chciała, żebym powiedział? - zapytał.

Popatrzyłam na nich. Furth przybrał litościwą minę, co jeszcze bardziej wprowadziło mnie z równowagi.

- Czy nie słyszycie tego, co ja słyszę? Powinniśmy wziąć to pod uwagę wieki temu. Bandyci nie porywają matek, gdy one czuwają nad swoimi dziećmi, a wokół jest mnóstwo ludzi. W to wszystko wmieszana była jakaś kobieta, która zabawiała przez kilka minut Emily, gdy tymczasem Philipę pod jakimś pozorem wciągnięto do auta, w którym ją zamordowano.

- Ja niczego takiego nie słyszę - rzekł Oban.

- A więc co słyszysz?

Parsknął, dając mi do zrozumienia, że nie bierze nagrania poważnie.

- Słyszę naprowadzające pytania zadawane przez dorosłą kobietę niespełna czteroletniemu dziecku, które udziela niejasnych odpowiedzi.

Na przykład: „Ładna pani” - cóż to takiego? Mogłaby to być jakakolwiek kobieta, która w ciągu minionego roku kupiła małej lizaka.

- A zatem nie dowierzasz Emily.

- Od razu muszę cię uprzedzić, że taśma nie będzie żadnym materiałem dowodowym. A w moim mniemaniu jest gównem warta. Przepraszam cię, Kit, ale myślę, że cię poniosło i niepotrzebnie marnujesz mój czas.

- Czyli nie zamierzasz wziąć pod uwagę udziału kobiety w tej zbrodni?

- Masz kogoś konkretnego na myśli?

- Tak.

- Kogo?

- Bryony Teale.

- Co takiego?!

- Możesz mnie wyrzucić za pięć minut, ale najpierw wysłuchaj.

- I wysłuchał cię? - zapytała Julie, popijając drinka.

Siedziałyśmy w nowym barze w dzielnicy Soho, który nazywał się Bar Nic. Najwyraźniej moda na zimne wnętrza się skończyła. Ten lokal był urządzone jak salon - pastelowe so-

fy, poduchy na podłodze. Usiadłyśmy przy barze, który nie mógł być miękki jak reszta umeblowania, bo spadałyby z niego kieliszki. Ale i on miał zaokrąglone rogi. i Spotkałyśmy się z Julie wczesnym wieczorem w moim domu, gdzie dostałam ataku szału - krzyczałam, wściekałam się, niemal waliłam głową o ścianę. Wobec tego Julie postanowiła, że najlepiej będzie, jeśli się przeberzemy i wyjdziemy do jakiegoś lokalu. Włożyła moją kolejną suknię, czarną z szyfonowymi rękawami; wyglądała w niej uroczo. Ja miałam na sobie dość specyficzną sukienkę w kolorze różowym, przylegającą do figury. Czułam się w niej jak adresatka smutnej piosenki; jej wykonawca rozpacza nad kobietą o diabelskich cechach, która go skusiła, aby rzucił dom. Marzyło mi się, aby ktoś do nas podszedł i zakomunikował nam, że gwałcimy przepisy miejskie przeciw obyczajności. Myślę, że wprowadziłam Julie w zażenowanie, zamawiając od razu dwie margerity, koktajl modny raczej w latach osiemdziesiątych lub na początku dziewięćdziesiątych. Trudno jednak, musiałam szybko się czegoś napić.

- A wiesz, że bardzo ci w różowym do twarzy? - rzekła Julie. - Pasuje do zielonych oczu.

- I do blizny na policzku.

- Nie gadaj głupstw.

- Myślę, że już lepiej się z nią czuję - wyznałam. - Do niedawna uważałam się za straszdyło, prawda? Już się nie przejmuję spojrzeniami ludzi. Niech sobie myślą, że przeszłam niezbyt udaną operację kosmetyczną.

Julie się nie odezwała, natomiast lekko dotknęła mojej twarzy, delikatnie obracając ją ku światłu. Uważnie taksowała ją wzrokiem, jakby oglądała jakiś ornament w mieszkaniu. Przypomniałam sobie Emily, która przeciągnęła paluszkami po bliźnie. Zakończywszy inspekcję, Julie obwieściła:

- Wygląda jak coś, co ma swoją sławną historię.

- Ta blizna ma tylko jedno do powiedzenia: jej sprawca miał bardzo mało czasu.

Julie zarumieniła się, zaczęłam ją przeproszać. Zamówiłyśmy po następnym drinku, a ja skierowałam rozmowę na jej te-

mat. Opowiedziała mi o swoich podróżach, o okropnych facetach napotkanych po drodze, ale i o paru miłych. Wspomniała o planach na przyszłość i niespodziewanie zagadnęła, czy nie wybrałabym się z nią na wyprawę. Przez chwilę torturowałam się w myślach: dlaczegoż by nie? Mogłabym przecież rzucić wszystko i pojechać z nią? Pod koniec drugiego koktajlu byłam nawet gotowa wyruszyć od razu, tego samego wieczoru.

Doczekałyśmy się wreszcie stolika, zamówiłyśmy sałatki i butelkę wina, ale znienacka doszłam do wniosku, że to za mało. Miałam wilczy apetyt na czerwone mięso. Gdy przyniesiono mi danie, Julie pobladła z wrażenia. Były to cieniutkie płatki surowej wołowiny obsypanej świeżym parmezanem, polane oliwą i skropione cytryną.

- Owszem, jestem mięsożerna - rzekła na ten widok. - Wolę jednak, gdy mięso jest mocno przyrumienione.

Starałam się podtrzymać rozmowę nie o sobie, lecz o Julie - o jej przygodach i doświadczeniach, ale nie wychodziło mi to najlepiej.

Czułam się jak dymiący wulkan tuż przed erupcją. Gdy skubałyśmy swoje sałatki, wulkan nagle wybuchł. Zaczęłam opowiadać z szybkością karabinu maszynowego wypadki ostatnich paru dni.

- Tak, Oban mnie wysłuchał - odparłam, gdy znowu napełniono nam kieliszki. - To znaczy, słyszał, co mówiłam, tak by to należało ująć... Moja wypowiedź bez wątpienia dotarła do jego uszu. Ale zaraz potem zaczął się upierać, że śledztwo jest zamknięte, mam nie marnować im czasu, i nie wmawiać, że życie jest jeszcze bardziej skomplikowane, niż sądzą, i nie pouczać ich, jak mają wypełniać swoje obowiązki. - Zamilkłam i wybuchnęłam śmiechem. Tak się zaperzyłam, że mało co nie wydłubałam Julie oka, tak gestykulowałam. Biedna dziewczyna musiała uchylić głowę.

- Spokojnie. - Roześmiała się. - Mnie nie musisz przekonywać. Chociaż być może powinnaś. Bo, prawdę mówiąc, nie wiem, co masz na myśli. Czy twierdzisz, że ta miła fotografka pomagała Dollowi mordować inne kobiety?

- Nie, nie. Doli nie miał z tym nic wspólnego. Ona asystowała swojemu mężowi, Gabrielowi.

Julie napiła się czerwonego wina.

- Nie wiem, o czym mówisz - wymamrotała. - Powinnam zapytać o to trzy kieliszki temu. Ale zaraz, przecież to porządni ludzie. On pracuje w teatrze. Dlaczego mieliby zabić te kobiety?

- I na dodatek Dolla.

- O czym ty gadasz? To on nie został pobity na śmierć przez tych... samozwańców stróżów porządku?

- Nie.

- Sama mi mówiłaś, że zostawili na miejscu wiadomość wypisaną krwią.

- Tak, pamiętam. Z okropnymi błędami ortograficznymi. Pożałowania godne epitety. Byłam tak wstrząśnięta zbrodnią, że nawet o tym nie pomyślałam. Ale zastanów się: czy jest ktoś, kto nie umiejąc poprawnie napisać „skurwiel”, użyje słowa „morderczy”? Przypominasz sobie, co ci mówiłam o zwłokach Lianne i Philippy? Ich rany wyglądały tak, jakby zabójca udawał psychopatę. Gdybyś ujrzała, co prawdziwy psychopata potrafi zrobić z ciałem ofiary...

- Nie, dziękuję - odparła Julie. - Czyli tym razem mamy do czynienia z sympatycznymi mordercami, tak?

- Oni wcale nie popełnili zbrodni dla zabawy. Musieli to zrobić.

- Niby w jakim celu?

- Nie mam pojęcia. Ale to nie ma teraz znaczenia. Bo sama hipoteza jest słuszna. Przedtem nic do siebie nie pasowało. Teraz nareszcie się zgadza. Ta biedna dziewczyna, Daisy, jak się okazuje, miała jakieś powiązania z Gabe'em Teale'em. Wczoraj spotkałam się z jej koleżanką, która mi powiedziała, że Daisy pracowała jakiś czas w teatrze Sugarhouse. Lianne niepokoiła się o nią i została zamordowana. Na dodatek dowiedziałam się, że Philippa Burton była żywo zainteresowana Lianne.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Ale notatka, którą znalazłam w jej sypialni, dowodzi, że istniały jakieś związki między Lianne i Bryony. I Philippa została zabita. A teraz wykazałam, że Bryony była wmieszana w jej porwanie.

- Jesteś tego pewna? - zapytała Julie z odcieniem wątpliwości.
  - Absolutnie. Co to ja mówiłam?
  - Nic nie kapuję.
  - Aha. Michael Doli. Ta rzekoma napaść na Bryony Teale nie miała żadnego sensu. Hałas mediów wokół Dolla sprawił, że niemal wszyscy byli przekonani, iż to on zamordował Lianne. Natomiast dla Gabe'a i Bryony był niewygodnym świadkiem. Może coś zauważył tamtej nocy. Może nawet skontaktował się z nimi i groził Gabrielowi. Wobec tego próbowali go sprzątnąć - przyłożyć czymś ciężkim w głowę, potem wrzucić do kanału, żeby wyglądało to na atak „sprawiedliwych mężów”. Ale w parady wszedł im Terence Mack. Wobec tego Gabe niby to atakuje Bryony, następnie ucieka, Doli nie ma pojęcia, co się właściwie stało. Wszyscy sądzą, że to żona Gabriela była celem napaści. Nic dziwnego, że była taka roztrzęsiona, kiedy ją znaleziono.
  - No...
  - A zatem oboje, a raczej sam Gabe, bo Bryony, jako osoba narażona na powtórny atak, jest pod nadzorem policyjnym, idzie do mieszkania Dolla, by tym razem dokończyć dzieła. Bryony miała kubek Emily, dzięki niemu zwabiła Philippę do ich auta, pod pozorem pogawędki. Teraz kubek przydaje się jeszcze raz, bo gdy Gabe zabija Dolla, zostawia go na półce u niego w domu. Doli nie żyje, oskarżony o zbrodnie, a śledztwo zostaje zamknięte.
- Julie wlała resztkę wina do dwóch kieliszków.
- Zamawiamy następne? - spytała.
  - Nie - odparłam. - Trzeźwieję.
  - Nie odniosłam takiego wrażenia. Poczekaj, przecież nie chodziło tylko o kubek, lecz była jeszcze skórzana sakiewka, prawda? Myślisz, że zostawił ją tam celowo? Byłoby to dość ryzykowne.
  - Myślałam o tym - powiedziałam. - Ale nie sądzę, by zrobił to celowo. Gdybyś zobaczyła mieszkanie Dolla! Pokój był cały we krwi. Gabe musiał mieć na ubraniu mnóstwo krwi.



- Jeśli rzeczywiście tam był.

- Był, założył się. Więc jest splamiony krwią, w łazience ściąga z siebie koszulę i spodnie, zostawia woreczek. Policja go odnajduje, ale nie ma to większego znaczenia, ponieważ zakłada, że jest jeszcze jednym z trofeów Dolla.

Julie zamyśliła się na chwilę. Zupełnie jakby rozwiązywała w głowie jakieś skomplikowane zadanie matematyczne.

- Powiedziałaś, że wszystko wyłożyłaś Obanowi w pięć minut, tak?

- Przedstawiłam mu skróconą wersję.

- Nic dziwnego, że wyrzucił cię na zbity pysk.

- Nie jesteś przekonana do mojej hipotezy?

- Nie wiem. Muszę się nad nią zastanowić. Bez względu na to, co powiesz, zamawiam następnego drinka.

Zamówiła dwa koniaki. Zanurzyła usta w swoim kieliszku i zaraz potem spytała:

- To co teraz zamierzasz zrobić? Spróbujesz jeszcze raz przekonać Obana? Stuknęłam paznokciem w kieliszek. Wydał wibrujący dźwięk.

- Nie - odpowiedziałam po namyśle. - Myślę, że już zużyłam jego zapas dobrej woli w stosunku do mnie. Naprawdę nie wiem, co począć. Nie mogę przestać o tym myśleć. Pamiętasz, jak Paul McCartney opowiadał o pracy nad *Yesterday*? Całymi dniami zastanawiał się, w jakich okolicznościach usłyszał po raz pierwszy tę melodię. Nie mógł uwierzyć, że sam ją wymyślił. Ja też się zastanawiam, czy czasem nie wymyślałam czegoś, co w ogóle nie istnieje. - Uniosłam kieliszek i wypłam duży haust. Poczulałam palenie w przełyku. - Może powinnam pójść i porozmawiać z nimi.

- Z kim?

- Z Bryony i Gabe'em.

- To znaczy chcesz tam pójść i oświadczyć im, że są seryjnymi mordercami?

- Nie, trochę ich dźgnąć, nastraszyć. Może wtedy zrobią coś, co ich zdradzi.

Julie wychyliła koniak.

- Nie zrobią nic, jeśli są niewinni. Ale jeżeli są winni, to cię zamordują. Teraz ona wymierzyła we mnie palec, nieco drżący.
- Ile wypiałś? - spytała.
- Dwie margarity. Chyba butelkę wina. No i ten koniak. -Dopiłam resztkę.
- Właśnie - rzekła Julie. - Mam nadzieję, że to alkohol przemawia przez ciebie. Jestem absolutnie przekonana, że jutro rano żadna z nas nie będzie miała zielonego pojęcia, o czym gadałyśmy w tej knajpie. Zwłaszcza ja. Chcę jednak, żebyś mi przyrzekła, że nie zrobisz głupiego kroku. Obiecujesz?
- Jasne - odparłam z błogim uśmiechem.
- Nie wiem, czy należy ci wierzyć. - Położyła mi rękę na ramieniu i potrząsnęła mną, jakby chciała mnie obudzić. -Kit, posłuchaj, czy nie dostrzegasz, że to, co robisz, jest obłąkane? Ale to całkowicie?
- Nie, ja...
- Owszem, wystawić się na ryzyko z jakiegoś konkretnego powodu - to jeszcze pojmuję, choć nie doradzam. - Przerwała wskutek ataku gwałtownej czkawki. Po chwili ciągnęła: -Ale ty mówisz o podjęciu śmiertelnego ryzyka bez żadnego powodu. To tak, jakby życie tych dwóch zabitych kobiet było dla ciebie ważniejsze niż twoje własne. Dociera do ciebie, co mówię?
- Owszem, ale ja na to tak nie patrzę.
- Jasne, patrzysz na to od każdej strony. Starasz się ocalić nieżywych ludzi. Kit, nie przywrócisz im życia. Lepiej chodźmy do domu.

## Rozdział 45

Kiedy byłam nastolatką, ojciec przygotowywał mi dużą szklanę mleka, gdy szłam na party. Twierdził, że będzie to dobra wyściółka dla ścian żołądka. Powinnam była wczoraj wieczorem wypić dużo mleka - pomyślałam następnego dnia zaraz po przebudzeniu. Światło sączące się przez półzaciągnięte zasłony sprawiało ból oczom, mimo że jeszcze ich nie otworzyłam. W ustach czułam okropną suchość. Zerknęłam na budzik. Była szósta trzydzieści. Postanowiłam dać sobie jeszcze pięć minut. Pięć, nie więcej. Nigdy poduszka nie wydawała mi się taka miękka, kończyny takie ciężkie, a powieki tak ze sobą zlepione.

Z trudem je otworzyłam, gdy cyferka w zegarku przeskoczyła na piątkę. No, jeszcze parę minut. Pamiętam, że kiedy w dzieciństwie chorowałam, odwiedzała mnie ciotka, żeby ojciec mógł iść do pracy. Przez kilka dni udawałam przed sobą, że ciocia była moją mamą. Tak by wyglądało moje życie, gdyby mama nie odeszła i nie umarła. Leżałam w łóżku obłożona komiksami, a na stoliku obok stała szklanka wywaru z kaszy jęczmiennej z cytryną, zasłony były odsunięte do połowy, jak teraz, a na belkach stropu igrał kurz. Za każdym razem, gdy budziłam się ze snu spowodowanego gorączką, dobiegał mnie z dołu odgłos jej krzątania: otwieranie i zamykanie szafek, szum odkurzacza, warczenie pralki, brzęk szklanek, stukot butów w holu, ciche głosy przy drzwiach wejściowych.

Czułam się taka bezpieczna pod kołdrą, wiedząc, że ciotka jest nieomal na wyciągnięcie ręki. Jakżebym chciała przeżyć jeszcze takie dni. Nie ruszyłam się z łóżka do jutra rana, zapadając w drzemkę i budząc się, krążąc między niewyraźnymi snami a senną rzeczywistością. Od czasu do czasu zaglądałam w szlafroku do kuchni, żeby zrobić sobie świeżą filiżankę herbaty. Czekałam na dotyk chłodnej dłoni na czole.

Z pokoju Julie usłyszałam pochrapywanie. Otworzyłam jedno oko.

Szósta czterdzieści. Pora wstawać - rzekłam stanowczo i spuściłam nogi na podłogę. Ale wtedy zaczęło mi łomotać w głowie, jakby pracował w niej młot pneumatyczny. Po chwili ucichło do dręczącego cykania. No, nie było aż tak źle. Poszłam do łazienki i splukałam twarz zimną wodą. Następnie ubrałam się po cichu. Przed wyjściem wypłam trzy szklanki wody. Marzyłam o mocnej czarnej kawie, ale nie chciałam budzić Julie. Gdyby wiedziała, dokąd się wybieram, pewnie zamknęłaby przede mną drzwi i wyrzuciła klucz przez okno.

Był mglisty poranek. Sylwety domów na końcu ulicy ledwie wynurzały się z bieli, samochody jeździły z zapalonymi światłami. W ciągu dnia pewnie się ociepli, ale teraz panował przejmujący chłód. Powinnam była wziąć kurtkę, tymczasem miałam tylko sweter narzucony na cienką bluzkę. Ruch był już spory. Londyn nigdy nie jest ciemny i cichy. Ale udało mi się dojechać na siódmą trzydzieści. To mi wystarczało. W końcu dyrektorzy teatrów nie muszą się zrywać z samego rana.

W całym domu Teale'ów zasłony były zaciągnięte. Wewnątrz nie paliła się żadna lampa. To dobrze. Usadowiłam się wygodnie w fotelu. Nie miałam pojęcia, ile czasu zajmie mi oczekiwanie w aucie. Szkoda, że po drodze nie kupiłam kawy w plastikowym kubeczku. I powinnam była wziąć ze sobą coś do czytania. W samochodzie miałam tylko instrukcję obsługi i gazetę sprzed dziesięciu dni. Przejrzałam na nowo wszystkie notatki o modelkach, o wojnie, o zmarłym chłopcu i o internetowym milionerze. Było mi dotkliwie zimno, czułam sztywność mięśni i wędrujące po ciele bóle. Poczesalam wło-

sy i ściągnęłam je do tyłu. Spojrzałam na twarz w lusterku i aż zamrugałam oczami na widok porannej bladości. Nerwowo pokręciłam się na siedzeniu. Zasłony w oknach Teale'ów ani drgnęły. Mogłam pospać sobie dłużej.

Za kwadrans dziewiąta na piętrze zapaliła się lampa. W ustach mi zaschło, w głowie zaczęło pulsować: Co ja tu, na Boga, robię?

Za pięć dziewiąta ktoś rozchylił firanki i przez chwilę dostrzegłam zarys sylwetki Gabe'a. Opuściłam się na fotelu i obserwowałam dom piekącymi z niewyspania oczami. Chciało mi się siusiu.

Parę minut później odsłonięto story na parterze. Ukazały się dwie sylwetki. A więc oboje już wstali. Wyobraziłam ich sobie w ładnej kuchni, jak parzą kawę, robią tosty, rozmawiają o tym, czym się będą zajmować w ciągu dnia, a wreszcie, gdy się żegnają. Drzwi wejściowe nadal były zamknięte. Pomyślałam, że mogłabym pojechać do domu. Miałam największą ochotę pójść prosto do łóżka. Julie pewnie nadal chrapie, okryta po brodę kołdrą.

Wreszcie drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Gabriel. Stał przez parę sekund na schodkach, macając się po kieszeniach, jakby chciał się upewnić, czy zabrał ze sobą klucze. Potem rzucił jakąś uwagę przez ramię. Był ubrany w czarne dżinsy, szarą wełnianą kurtkę i wyglądał w tym stroju jak któryś z moich kolegów. Wszyscy moi znajomi lubią taki strój.

Musiałam przez chwilę odczekać. Gapiłam się w zegar na desce rozdzielczej. Odliczyłam dziesięć minut i dopiero potem wysiadłam. Ciągle mogłam zmienić zdanie, nawet teraz. Także w momencie, gdy zastukałam nieco zbyt głośno do drzwi. Usłyszałam jednak kroki, decyzja została podjęta.

- Tak?

Bryony otworzyła drzwi w szlafroku, przytrzymując kołnierz ręką. Znałam ten gest, bo sama tak robiłam. Patrzyła na mnie nieprzytomnymi oczami, jakbym zerwała ją z łóżka. Zauważyłam, że z trudem przełknęła ślinę.

- Bryony - rzekłam ciepłym głosem. - Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. Przechodziłam obok waszego domu, idąc

do pacjenta. Ponieważ wybrałam się za wcześnie, postanowiłam zajrzeć na chwilę.

- Kit? - wyszeptała.

- I, szczerze mówiąc, chętnie skorzystałabym z waszej toalety. Nie odmówiłabym też filiżanki kawy. Chyba cię nie obudziłam, prawda?

- Nie, nie. - Usiłowała się opanować. - Po prostu nikogo się nie spodziewałam. Ale wejdź, proszę, oczywiście. Zaraz nastawię czajnik. Ubikacja jest na dole, na końcu holu. - Wskazała ją ręką. Miała świeżo ogryzione paznokcie. Podobnie jak Lianne.

- Dzięki.

Kiedy wyszłam z toalety, sypała kawę do młynka.

- Robisz wrażenie zmęczonej.

Wyglądała na wykończoną. Wyraźnie schudła, więc jej ciało, dotychczas silne, wydawało się obwisłe. Obojczyki sterczały. Twarz miała zapuchniętą, a wspaniałe włosy przetłuszczone. Na lewym policzku dojrzałam jakąś czerwonawą wysypkę. Uniosła czajnik, żeby zalać kawę w dzbanku. Dostrzegłam obrączkę egzemy na nadgarstku.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam.

- Ostatnio jestem trochę przygnębiona.

- Tak, Gabriel mi wspominał. Czy mówił ci, że przedwczoraj byłam na spektaklu w Sugarhouse?

- Nie, nic mi nie powiedział.

- Może się martwi, że czujesz się nie najlepiej?

- Być może - odparła wolno. Napełniła dwie filiżanki i postawiła je na stole. - Czy chciałabyś coś zjeść, czy raczej spieszysz się na wizytę?

- Mam mnóstwo czasu - powiedziałam pogodnym tonem. - Ale nie mam ochoty na jedzenie. Wystarczy mi to. - Napiłam się trochę gorącej kawy. - Byłaś u lekarza?

- W jakim celu?

- Przecież nie czujesz się dobrze.

- Przejdzie mi. No, a poza tym wszystko się już teraz ułoży, prawda?

- Czyżby?

- To znaczy, sprawa jest zakończona. A zatem i moje troski. -  
Popatrzyłam, jak nachyla się nad kawą. - Tak nam powiedziała policja.  
- Wiem. Policja uwielbia kończyć dochodzenie. Zamykać sprawę. I pójść na popijawę do pubu. A potem zająć się następnym śledztwem.  
- Nic nie wiem na ten temat.  
- Ale odtąd życie jest inne i dla ciebie, i dla mnie, prawda?  
- Może pójde się przebrać. - Wstała, znowu przytrzymując szlafrok pod szyją. - Muszę załatwić różne sprawy.  
- Pozostałaś ze swoimi strapieniami, z tym, od czego nie możesz się uwolnić. - Popatrzyła na mnie półprzytomnie, jakby z najwyższym trudem broniąc się przed zaśnięciem. - Bo ja stale zadaję sobie najróżniejsze pytania. Wiem, że to głupie, ale nie mogę się powstrzymać. Dlaczego jedna z ofiar zapisuje przed śmiercią nazwisko innej ofiary? Jak zbrodniarz może porwać z parku kobietę na oczach jej dziecka, i na dodatek w biały dzień? Dlaczego godny zaufania świadek utrzymywał, że Michael Doli był niewinnym przechodniem?  
- Nie mogę ci pomóc... - Wargi Bryony stały się kredowo-białe. - Naprawdę nie wiem.  
- Dlaczego kobieta dała się uprowadzić z parku, nie wydając z siebie krzyku, dlaczego dziecko nie rozplakało się, kiedy matka zniknęła? - Zmusiłam się do uśmiechu. - Policja nie była zainteresowana tymi szczegółami. Zwłaszcza od czasu zamordowania Michaela Dolla. A ja nie umiem oderwać się od nurtujących mnie spraw. Znajomi zawsze mi to powtarzają. W każdym razie w tym wypadku rozmyślam nad fragmentami zdarzeń i próbuję ułożyć z nich sensowną całość. Czy pozwolisz, że ci je przedstawię? - Nie odpowiadała, więc ciągnęłam: - Była kiedyś dziewczyna imieniem Daisy, Daisy Gili. Miała czternaście lat, choć wyglądała na więcej. Nigdy jej nie poznałam. Widziałam tylko zdjęcie i rozmawiałam z jej kolegami. Wiem, że była nieszczęśliwym dzieckiem. Rodzice ją porzucili, opiekunowie pozbyli się jej, jeśli wręcz nie spotkało jej u nich coś gorszego. Ogromnie potrzebowała przyjaznej duszy. Pragnęła dorosłych, którym mogłaby zaufać i którzy

mogliby jej zapewnić odrobinę bezpieczeństwa. Ludziom takim jak ty i ja wręcz trudno sobie wyobrazić, jak wyglądało życie Daisy. Często rósł w niej gniew, była zawsze samotna, ciągle przerażona.

Usłyszałam zgrzyt nóżek od krzeselka. Bryony usiadła naprzeciwko mnie. Podparła głowę rękami i po raz pierwszy wpatrzyła się we mnie swoimi złotawymi oczami. Barwa jej tęczyków kontrastowała z bladością cery.

- Daisy miała tylko jedną koleżankę. Lianne. Nie znam jej prawdziwego imienia. Nie wiem, skąd pochodziła. Wiem natomiast, że i ona była opuszczonym dzieckiem. Rozpaczliwie samym. No, ale przynajmniej obie miały siebie. Niewiele prócz tego, lecz chociaż tę przyjaźń. Może to była ich lina ratownicza. Marzyły, że kiedy dorosną, zamieszkają razem i otworzą knajpkę, podając w niej makaron z serem. Tak opowiadali mi ich koledzy.

- A dlaczego ty mi to opowiadasz?

- Daisy popełniła samobójstwo. Powiesiła się w swoim ponurym pokoiku, w miejscu, które miała nazywać domem. A parę miesięcy później Lianne została zamordowana nad kanałem. Wkrótce potem ta sama osoba zabiła Philippę Burton. Philippa знаła Lianne - nie mamy pojęcia, jak się poznały i dlaczego. Interesujące, że Daisy przez jakiś czas współpracowała z teatrem Sugarhouse. A więc wszystko się ze sobą łączy.

- To nie ma sensu - rzekła Bryony. - To nieduża dzielnica. A poza tym ja też byłam ofiarą.

- Michael Doli. - Przez moment stanęły mi przed oczami sceny w jego mieszkaniu. Michael Doli żywy, Michael Doli martwy. - On się w tym wszystkim pojawił przez przypadek. To wszystko. Siedział nad kanałem, gdzie nikt nie zwracał na niego uwagi, i łowił te przeklęte ryby, które następnie wrzucał do wody.

- On zamordował te kobiety. - Wyprostowała się i położyła dłonie na stole.

- Strasznie było na niego popatrzeć - odparłam. - Wiesz, widziałam jego zmasakrowane zwłoki.

- Zawsze chciałam robić zdjęcia - powiedziała cichym głosem.



sem Bryony. - Odkąd skończyłam dziewięć lat i wujek dał mi na urodziny tani, prosty aparat. To dziwne, jak człowiek nagle coś w sobie odkrywa, ja odtąd zawsze sądziłam, że widzę świat lepiej przez obiektyw aparatu, jakby on nadawał mu sens. Nawet obrzydliwe rzeczy wydają się piękne, gdy patrzę na nie przez soczewki. Sprawy zupełnie bez znaczenia stają się znaczące. - Zerknęła na fotografię małej Cyganki. - I wiesz, jestem w tym dobra. Nie dlatego, że robię takie czy inne zdjęcie, ale z tego powodu, że wiem, czego szukam. Mogę chodzić z aparatem całymi tygodniami i nic się nie zdarza, aż któregoś dnia coś dostrzegam. Czyjaś twarz. Jakiś epizod na ulicy. Kąt padania światła. I nagle kliknięcie w mózgu. To sprawia, że czuję się trochę jak świadek. - Zwilżyła językiem pobladłe usta. - Że robię coś dla grupy ludzi, ale też dla samej siebie. Tak jak Gabe w swoim teatrze. Wiesz, że on jest bardzo dobry w tej pracy.

- Wiem - odparłam. - Widziałam przedstawienie. - W kuchni zapadła taka cisza, jakby świat stanął w miejscu.

- Myśmy też zostali wciągnięci w tę sprawę - odezwała się Bryony z westchnieniem. - Ale to już nie ma znaczenia, prawda? Nareszcie się skończyło. Policja mi przekazała, że śledztwo zostało zakończone, że nic mi nie grozi. I ty też tak mówiłaś. Niedługo poczuję się lepiej. Ale jestem taka wyczerpana... Czuję się tak zmęczona, że mogłabym spać sto godzin non stop.

Za nami rozległ się jakiś dźwięk i obie zamilkłyśmy. Każdy przedmiot w kuchni był bardzo wyraźny: doniczka stojącą na parapecie, kubki zawieszony na haczykach, pajęczynka na żarówce, promienie słońca na miedzianej patelni, które, odbijając się na ścianie, tworzyły geometryczny wzór, moje dłonie spoczywające na kolanach. Słyszałam tylko swój równomierny oddech i cykanie zegarka na ręce. Było dwadzieścia po dziesiątej. Bryony siedziała nieruchomo.

Wreszcie się odwróciłam. W drzwiach kuchni stał Gabriel. Zamknął je cicho za sobą i wpatrywał się to we mnie, to w żonę. Nikt się nie odezwał. Słońce świeciło przez okno.

Otworzyłam usta, ale równie szybko je zamknęłam, nie mó-

więc ani słowa. Po co? Nic więcej nie miałam do powiedzenia. Wodziłam palcem po swojej bliźnie - od linii włosów do szczęki. W jakiś sposób przynosiło mi to ulgę, przypominało, kim jestem.

- Zapomniałem torby - oznajmił Gabriel.

- Już pójdę - rzekłam, ale nie ruszyłam się z miejsca.

- Ona właśnie przechodziła obok naszego domu - powiedziała Bryony jakimś dziwnie płaskim tonem.

Gabriel skinął głową.

- Chcę się położyć - mruknęła. Wstała niepewnie. - Jestem chora.

- To tylko wizyta towarzyska - oświadczyłam. - Rozmawialiśmy o tym i owym, no wiesz.

- To znaczy o czym? - Spojrzał bacznie na żonę.

- Ona mi opowiadała o tym wszystkim - rzekła Bryony. - Wspomniała o dziewczynie. Jak jej było na imię?

- Daisy - odparłam. - Daisy Gili.

- Ona się zabiła. Była koleżanką Lianne. I pracowała w Su-garhouse.

- To takie głupie - rzekł Gabriel zmęczonym głosem. - Wszystko się miało zakończyć. Co policja mówi na ten temat?

- To tylko ona - szepnęła Bryony. - Ona sama się tym zajmuje.

Podszedł do mnie.

- Czego chcesz? - Pochylił się nade mną i najpierw dotknął mego ramienia, ale w chwilę potem złapał mnie za rękaw bluzki i zmusił do wstania.

- Gabe! - krzyknęła Bryony.

Spojrzałam na jego ściągniętą twarz, przekrwione oczy. Za nim stała porażona strachem Bryony. Drzwi do kuchni były zamknięte. Nie miałam jak uciec.

- Czy chcesz wszystkich wymordować? - wykrztusiłam. Poczułam jego rozpalone ręce na swojej szyi. Przed oczami

stała mi twarz matki z fotografii, którą zawsze miałam przy sobie, jak gdyby uciekając się pod jej obronę. Uśmiechała się łagodnie, a promienie słońca pieściły jej bladą skórę. Mama siedząca na trawie pod drzewem.

Głowa Gabriela była tuż przy

mnie, jak kochanka w miłosnym uścisku. Usłyszałam jego zduszony szept:

- Nie chcieliśmy tego.

Wykrzywił twarz w przerażającym grymasie. Oczy miał zamknięte, jakby sam nie mógł znieść tego widoku. Uderzyłam go z całych sił, ale jego ciało nie ustępowało, było twarde jak kamień. W obronie próbowałam więc omdleć, ale jego ręce tym mocniej ścisnęły mnie za gardło. Wbrew wszelkim instynktom dopuściłam, by kolana się pode mną ugięły. Świat stał się czarny, czerwony, nasycony bólem. Usłyszałam czyjś rozdzierający krzyk. I gdy moje członki niemal zupełnie sflaczały, kiedy wydawało się, że za chwilę stracę przytomność, gwałtownie napreżyłam mięśnie ręki i dwoma palcami rozwartymi w kształcie litery V dziabnęłam go prosto w oczy. Poczułam pod koniuszkami palców miękkość gałek ocznych i usłyszałam jęk. Gabriel przez moment zmniejszył uścisk, ale zaraz potem zacisnął ręce. Zdołałam jednak zaryć paznokcie w jego policzku, a następnie zwiniętą pięścią uderzyłam go wprost w otwarte z bólu usta. Jego wrzask wypełnił całą kuchnię. Przed oczami miałam tylko krew. W głowie huczało mi i waliło jak młotem. Biłam na oślep, czując pod palcami strużki krwi, śliskość ściekającej mu z ust śliny, galaretową masę gałek ocznych.

- Bryony, skończ z tym, do jasnej cholery! Bryony!

Coś czarnego przeleciało przez otaczającą mnie czerwoną mgłę.

Zamknęłam oczy. Rozległ się głośny trzask, jakby broń palna wystrzeliła kilkanaście centymetrów ode mnie. Nagle jego ręce przestały się zaciskać na mojej szyi. Upadłam na podłogę, czując, jak drzazgi z desek wbijają mi się w policzek. Powietrze przeszył drugi suchy trzask, i ujrzałam w powietrzu czarny metalowy trójnóg od aparatu. Przywarłam do podłogi, w tym momencie zważyło się na mnie ciało Gabriela. Jego krew spływała mi na twarz, pękało mi w uszach od jego ryku i wrzasku Bryony.

Zepchnęłam go z siebie i jakimś cudem stanęłam na nogi, choć kręciło mi się w głowie, a podłoga niebezpiecznie się ugiwała. Gabe leżał skrwawiony, z zamkniętymi oczami. Miał w głowie głęboką ranę, podrapane policzki i jedno

oko zalane krwią. Jednakże jego klatka piersiowa się poruszała. Odebrałam Bryony trójnog i opierając się na nim, żeby nie upaść, doprowadziłam ją do krzesła i posadziłam jak kukłę.

- Nie jestem złym człowiekiem - szlochała. - Nie jestem zła. Jestem dobrym człowiekiem. Dobrym. To wszystko było pomyłką. Straszna pomyłką.

## Rozdział 46

Sala dla odwiedzających w więzieniu Salton Hill przypominała tanią jadłodajnię w fatalnej okolicy. Był tam bufet, przy którym kobieta wyglądająca na aresztantkę nalewała chochlą herbatę do papierowych kubków, na ladzie stały plastikowe talerzyki z paroma herbatnikami i porcją dżemu pośrodku. Między stolikami biegały z krzykiem dzieci, nóżki od krzeseł zgrzytały na linoleum, wszędzie unosił się odór tanich papierosów. Śmierdziało tu nędzą.

Na oddziale męskim spotyka się wszelkie typy: chuliganów, psychopatów, gwałcicieli, oszustów, zawodowych wydrwigroszy, drobnych handlarzy narkotykami. Natomiast na oddziale kobiecym więźniarki w większości robią wrażenie obłąkanych, pogrążonych w rozpacz, beznadziejnie smutnych. Wśród kobiet nie zdarzają się uczestniczki napadów na bank czy gwałcicielki albo złoczyńcy, którzy rok odsiadki traktują jak zasłużony urlop. Przeważają nieszczęsne istoty, które ukradły coś w sklepie, bo zabrakło im pieniędzy na życie, albo chore matki, które słyszą głosy i na ich żądanie duszą niemowlęta poduszką. One właśnie siedziały przy stolikach, paląc papierosy i rozmawiając ze swoimi zmartwionymi rodzicami, sympatiami, ruchliwymi dziećmi.

Strażniczka, która sprawdziła moją przepustkę, poinformowała mnie przy drzwiach, że Bryony już idzie, więc kupiłam dwie herbaty, małe opakowanie kruchych ciasteczek i wzięłam

dwie torebki cukru oraz pałeczki z plastiku, jakby plastikowe łyżeczki były tu zbytnim luksusem. Postawiłam wszystko na papierowej tacce. Nie było tu żadnego przedmiotu, który mógłby posłużyć za broń; na oddziale kobiecym chodziło głównie o niedopuszczanie do samookaleczeń.

Usiadłam przy wyznaczonym mi stoliku, numer dwadzieścia dwa, i napiłam się trochę herbaty, która sparzyła mi wargi. Ledwo zaczęłam się zaśtanawiać nad treścią rozmowy, pojawiła się Bryony. Miała na sobie własne ubranie - brązowy sweter, granatowe spodnie, tenisówki bez skarpetek. Zauważyłam na jej kostce srebrny łańcuszek. Natomiast obrączkę chyba kazano jej oddać. Na palcu pozostał po niej białawy ślad. Wspaniałe włosy były gładko zaczesane i ściągnięte gumką. Nie wyglądała zbyt dobrze w tej fryzurze. Nie miała żadnego makijażu, więc uświadomiłam sobie, jak starannie się malowała, gdy poprzednio ją widywałam, nawet wtedy, gdy leżała na sofie dzień po napaści. Pod oczami dostrzegłam nowe zmarszczki i była tak blada, jakby wynurzyła się po miesiącach pobytu w jaskini.

- To herbata dla ciebie - rzekłam, przesuając kubek w jej stronę.

- Dzięki - odpowiedziała.

Pochyliła się, by sięgnąć po dwie torebki cukru. Oderwała rożki obu i wsypała, obserwując białą strużkę. Następnie zaczęła mieszać herbatę plastikową pałeczką. Dostrzegłam, że ma zabandażowane nadgarstki.

- Powiedziano mi o tym - szepnęłam. Spuściła głowę.

- Źle je podciąłam. Ktoś mi powiedział, jak to zrobić. Ludzie tną się w poprzek, bo widzieli, że tak postępują postaci w filmach pokazywanych w telewizji. Powinnam była ciąć wzdłuż. Wzdłuż ramienia. Ach, wszystko jedno. Pewnie przyszłaś, żeby mi podziękować.

Zaskoczyła mnie ta nagła zmiana tematu.

- Przyszłam, ponieważ Oban przekazał mi, że chciałaś się ze mną widzieć. Tak, myślę, że wypada, bym podziękowała. Uratowałaś mi życie.

- To chyba będzie się liczyło, prawda? Że ocaliłam cię od śmierci.
- Sądzę, że sąd weźmie to pod uwagę.
- Współpracowałam w śledztwie - rzekła. - Powiedziałam im wszystko.

Czy przyniosłaś papierosy?

Sięgnęłam do kieszeni kurtki i wyciągnęłam cztery paczki. Położyłam je na blacie i pchnęłam w jej kierunku.

- Te są w porządku?
- Póki mają nienaruszony celofan, jest OK. Oni tutaj obawiają się o przeschmuglowane rzeczy. - Wyjęła papierosa z własnej paczki, zapaliła. - Zesłam do jednego papierosa na tydzień. Ale tu pomyślałam: dlaczego nie palić? Nie mam nic lepszego do roboty.

- Wyobrażam sobie.

Popatrzyła wokoło i uśmiechnęła się.

- Pewna odmiana. Nie myślałaś o takim miejscu dla mnie, prawda? Spojrzałam na tę kobietę, która zabiła Lianne, Philippę i Michaela Dolla, a potem, idąc za jej wzrokiem, popatrzyłam na inne żalosne istoty, które przeszły załamania nerwowe, nie miały czym zapłacić rachunków, wpadły w panikę i stały się złodziejkami.

- Poznałam Gabe'a w college'u. Wszyscy go uwielbiali. Przed nim spotykałam się tylko z dwoma chłopakami. Zwariowałam na jego punkcie. Myślałam, że jestem najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem. Co za ironia, prawda? Gdybym nie podrywała Gabe'a Teale'a, tobym się tu nie znalazła.

- Sądzę, że tak można powiedzieć o większości spraw - odparłam. - Na tym polega życie, prawda? Jedna rzecz prowadzi do następnej.

- Nie mogę się z tym pogodzić. Czuję, że sama wpadłam w tę zasadzkę. Uważam, że z natury jestem dobrym człowiekiem. Kochałam Gabe'a i byłam w jego mocy, gdy podjęłam tę decyzję, to znaczy zostałam zmuszona do takiego czynu, a potem znowu zostałam zmuszona, aż wreszcie nie mogłam tego dłużej znieść. W końcu postanowiłam się odpłacić. Wtedy, kiedy do nas przyszłaś. A teraz jestem w więzieniu.

Zamilkła, czekając na jakąś reakcję z mojej strony, ale wstręt wręcz odebrał mi mowę. Wobec tego Bryony ciągnęła dalej:

- Wiesz, co w tym wszystkim jest najśmieszniejsze? Kiedy cię poznałam, nie w szpitalu, ale wtedy, gdy przyszedł do mnie, pomyślałam, że jesteś taką osobą, z którą bardzo bym się chciała zaprzyjaźnić. Chodziłybyśmy na wspólne lunchy i gadałybyśmy o różnych rzeczach.

Ciężar na piersi nie pozwalał nabrać mi tchu, prawie się dusiłam.

Musiałam jednak coś powiedzieć. Z najwyższym trudem rzekłam opanowanym tonem:

- Czy nie chciałaś się zaprzyjaźnić z Lianne? Czy z Philip-pą? One także mogły zostać twoimi koleżankami. Były takimi samymi istotami jak ty, miały podobne oczekiwania, podobne lęki. Patrzyły w przyszłość...

Zdusiła niedopałek w popielniczce z folii aluminiowej. To nie był przedmiot, którym można było zrobić komuś krzywdę.

- Chciałam się zobaczyć z tobą, ponieważ jesteś jedyną osobą, z którą miałam ochotę porozmawiać. Z kimś, kto nie będzie mnie osądzał.

Myślałam, że może mnie zrozumiesz. A propos, jak się miewa Gabe? Widziałaś go?

- Przykro mi - odparłam. - Pod żadnym pozorem nie wolno mi z tobą mówić o Gabrielu. To są kwestie natury prawnej. Mogę jedynie ci przekazać, że ma się lepiej. To znaczy, w sensie fizycznym.

- To dobrze - rzekła. - O czym to ja mówiłam? - Aha, o tobie. Ty się znasz na tych sprawach, prawda? Dużo się nad tym zastanawiałam. Ocalałam ci życie. To będzie argument przemawiający na moją korzyść, nie sądzisz?

- Przypuszczalnie - odpowiedziałam. - Ale ja nie jestem w tej sprawie bezstronna.

- Uważam, że to niesprawiedliwe, iż oboje jesteśmy sądzeni jako mordercy, jakbyśmy oboje byli w równym stopniu odpowiedzialni za to, co się zdarzyło. Jesteś kobietą, a na dodatek ekspertem. Miałam nadzieję, iż rozumiesz, że to były jego zbrodnie. W pewnym sensie byłam pod jego władzą. Sądziłam, że to można zrozumieć. Jeśli spojrzysz na to pod innym



kątem, to ja również jestem jedną z jego ofiar. W końcu się zbuntowałam i dlatego uratowałam ciebie. Odzyskałam władzę nad sobą, jeśli wolisz. To tak, jakbym nie była sobą, póki nie przysłałam ci z pomocą. Kończąc to zdanie, po raz pierwszy spojrzała mi prosto w oczy. Czy dawała mi do zrozumienia, że jestem jej coś winna? Chciała ocalić siebie, bo uratowała mnie?

- Powiedz mi, co się stało z Daisy? - spytałam.

- Nic - odparła. - Sama się zabiła. Przecież o tym wiesz.

- Miała romans z twoim mężem.

- Nie bardzo orientuję się w tym wszystkim. Wiele młodych dziewcząt rzucało się na Gabe'a. Nie zamierzam utrzymywać, że było inaczej. Nie będę udawała, że było mi to w smak. Z tego, co słyszałam, ona była bardzo niestabilna psychicznie. Nie zgłosiła skargi na policję, prawda?

- Nie.

- No, więc o co chodzi? To wszystko jest bezsensowne.

- Bryony, ona miała czternaście lat. Czternaście.

- Jak już mówiłam, nic na ten temat nie wiem. Faktem jest natomiast, że ta druga dziewczyna, Lianne, pojawiła się w zupełnej hysterii. Miała obłąkane pomysły na temat Daisy. Pewnie była naćpana.

- Znam wynik jej sekcji zwłok - rzekłam. - W jej krwi nie znaleziono śladu narkotyków.

- Chodziło mi o to, że nie panowała nad sobą. Szalała. Weszłam, gdy już u nas była. Nie mogłam pojąć, o co jej chodziło. To wrzeszczała na Gabe'a i mnie, obrzucając nas wyzwiskami, to rzucała się na podłogę. Musiała mocno uderzyć się w głowę. To było koszmarne. W każdym razie upadła i już nie wstała. Ogarnęło mnie przerażenie. Pewnie wiesz, że usiłowaliśmy zrobić jej sztuczne oddychanie.

- Spanikowałaś - rzekłam nadal opanowanym tonem. - A zatem oboje z Gabem znęcaliście się nad jej ciałem. Wbijaliście w nie nóż w okolice piersi i podbrzusza. A następnie podrzuciliście zwłoki nad brzeg kanału. To mógł być twój pomysł. Znałaś te okolice, ponieważ często chodziłaś tam na spacer.

- Nie - odparta nieswoim głosem. - To on. To wszystko wymyślił Gabe. Dostał ataku histerycznego. Krzyczał, że musimy upozorować jej śmierć tak, jakby to zrobił ktoś zupełnie inny, nie my. „My” - tak powiedział. Ostrzegł mnie, że jesteśmy w tej sprawie współnikami. Gdyby się wydało, cośmy zrobili - mówił - nasze życie byłoby zrujnowane, ale w ten sposób będziemy bezpieczni. Powiedział, że nigdy nie pozwoli mi odejść.

- A jednak nie byliście bezpieczni, prawda?

- Nie, nie byliśmy. Bo ta kobieta...

- Jak wiesz, nazywała się Philippa Burton. Nie była bezimienna.

- Tak, ona zdobyła nasz adres od tej drugiej dziewczyny, od Lianne. Przyszła do nas, bo jej szukała. Wiedziała, że ona u nas była.

- Skąd?

- Bo Lianne opowiedziała jej o Gabrielu. Tak przynajmniej twierdziła.

- Nie, pytam o to, w jakim celu Philippa szukała Lianne?

- A cóż to ma za znaczenie? Gabe był strasznie zdenerwowany. Nie wiedział, co zrobić. Próbuję wyjaśnić, dlaczego to tak okropnie wyglądało w całości, ale jak się rozłoży sprawę na czynniki pierwsze, to istnieje... wyjaśnienie.

- Czy miałaś zamiar powiedzieć, że to wyjaśnienie was uniewinnia?

Bryony zrobiła pauzę. Paliła już trzeciego papierosa.

- Owszem, ale to by zabrzmiało nieludzko. Nie chcę, abyś myślała o mnie źle. Kit, nie dbam, co większość ludzi sądzi o mnie, ale pragnę, byś ty mnie zrozumiała.

- No więc co się stało z Philippą?

- Gabe oświadczył, że ma pewien pomysł. Postanowił z nią porozmawiać, odwołać się do jej rozsądku. Zaaranżowaliśmy więc spotkanie z nią.

- W dzielnicy Hampstead Heath.

- Tak. Nie wiedziałam, jak się miało potoczyć. Gabe zdradził mi tylko tyle, że chce z nią pogadać, sprzedać jej jakąś wymyśloną historię, którą Philippa by kupiła. Ja zostałam na pla-

cu zabaw i zajęłam się jej córeczką. Nie miałam pojęcia, co Gabe zamierzał. Nie jestem nawet pewna, czy on sam coś konkretnego miał na myśli. Powiedział mi później, że wpadł w panikę i zaatakował ją.

- Dokładniej mówiąc, zatłukł ją młotkiem i podrzucił zwłoki w odludnym miejscu na przeciwległym krańcu dzielnicy. Przypuszczalnie z tego powodu wziął ze sobą młotek.

- Pewnie tak - rzekła Bryony. - Ten cholerny przedmiot bardzo go obciąża, prawda?

- Bez wątpienia. A ty w tym czasie zabawiałaś małą Emily, czekając, aż jej matka wróci?

- Po dłuższej chwili naprawdę się zlekłam. Gabe się nie pojawiał, ona też nie. Szybko stamtąd uciekłam. Zostawiłam małą wśród wielu ludzi, więc uważałam, że nic jej się nie stanie. Ale teraz czuję się najbardziej winna za to, że porzuciłam takie malutkie dziecko.

- Mogę to sobie wyobrazić. I kiedy przyszedł do domu, a Gabe opowiedział ci, co się wydarzyło, wpadłaś w panikę.

- Nie zastałam go w domu. Nie pokazał się przez cały dzień. Potem mi powiedział, że chciał się zabić.

- No i poza tym musiał umyć samochód.

- Nawet o tym nie pomyślałam. Chciałam wszystko wykrzyczeć.

Znalazłam się w piekle. Pragnęłam wszystko wyznać. Nawet gdy teraz opowiadam to tobie, czuję się odrobinę lepiej. Tak bardzo chciałam się przed kimś wypowiedzieć.

- A potem doszedł Michael Doli. On też miał pecha, co? To znaczy, tak jak wy oboje. Miejsce, jakie wybrałaś, żeby podrzucić zwłoki Lianne, znajdowało się dokładnie w tym punkcie, gdzie Doli przesiadywał całymi dniami, łowiąc ryby. Czytałaś o tym w gazetach.

- Tak.

- Co on miał przeciwko tobie? Widział cię?

- Nie sędzę. Nie wiem. To zrobił Gabe.

- Czy Gabe zgubił coś, co Doli znalazł?

- Nie.

- Więc co to było?

- Nic.
- Co przez to rozumiesz?
- Nie myślę, by Doli cokolwiek wiedział. Ale Gabe dostał na tym punkcie obsesji. Twierdził, że skoro ten facet tam był, z pewnością coś wywęszył. Oświadczył mi, że jeśli nas złapią, to tylko przez niego.
- Wobec tego wybrałaś się nad kanał. Nie możesz się tego wyprzeć.
- Nie, rzeczywiście tam poszłam, przyznaję. Zrobiłabym jednak wszystko, żeby wtedy pomóc Gabrielowi, by nas nie schwytano.
- Jaki więc był wasz plan? Ogłuszyć go uderzeniem w głowę i zepchnąć do wody?

Zaczęła płakać. Byłam na to przygotowana. Wręczyłam jej paczuszkę chusteczek jednorazowych. Osuszyła nimi oczy i wytarła nos.

- Nie wiem - wyjąkała w końcu.
- Ale zostałaś schwytana - rzekłam. - Choć byłaś wspaniała. Rysopis, jaki dostarczyłaś, był szczególnie popisowy. Tajemniczy napastnik, który różnił się wyglądem od opisów innych świadków, sprawił, że nie można było dojść, o co w tym wszystkim chodziło. Co za rola!
- Wcale nie grałam. Myślałam, że popadam w obłąd.
- Ale jednak dopadliście Doiła.
- To zrobił Gabriel. Powiedział, że jeśli Doli zginie, to cała wina spadnie na niego, i to nareszcie będzie koniec naszych problemów.
- A jak ty na to zareagowałaś?
- Nie miałam już żadnej woli. Chciałam tylko, żeby to wszystko się skończyło.
- Kiedy uciekłaś od Emily, byłaś tak przerażona, że przypadkowo wzięłaś ze sobą jej kubeczek. Okazał się potem przydatny. Gabriel podrzucił kubek do mieszkania Dolla. Zostawił tam też swoją sakiewkę na klucze. Ale to nie miało znaczenia. Kolejny cud. Niestety, tylko jeszcze bardziej pogroził biednego Mickeya Dolla. Bo przecież jaki morderca celowo pozostawiłby na miejscu zbrodni przedmiot, dzięki któremu

można go zidentyfikować? Dla Dolla skończyło się jednak fatalnie.  
Znowu wytarła nos.

- Wiem. Prześladowuje mnie to. Ale nie mam pojęcia, co mogłam zrobić.

- No i wreszcie pojawiłam się ja.

- Byłam już gotowa ci wszystko wyznać - odparła. - Przecież wiesz o tym. Pragnęłam ci się wypowiedzieć, ale wtedy wrócił Gabe. Nie wierzysz mi. Widzę to w twoich oczach. Nie jesteś pewna, czy można mi ufać. Ale nie dopuściłam, by cię zabił. Tego przynajmniej jesteś pewna.

- Tak, to racja. Nagle zbuntowałaś się przeciwko niemu. Dlaczego?  
Zapaliła kolejnego papierosa i zamyśliła się. Jej ładna twarzyczka skrzywiła się w grymasie.

- Doszłam do wniosku, że będziemy tak brnąć bez końca, bo nigdy nie poczujemy się bezpiecznie, zwłaszcza Gabe. Może byłam już tym udęczona.

Napiłam się odrobinę herbaty. Była zupełnie zimna i miała metaliczny posmak, a może tak mi się tylko wydawało. Bryony pochyliła się nad stolikiem.

- Przeczytałam coś - szepnęła. - Myślę, że jestem chora psychicznie. Jest taki syndrom zależności emocjonalnej. To ogólnie znana sprawa. Kobiety dostają się we władzę mężczyźni i stają się zupełnie bezsilne. Przez całe lata Gabe mnie tyranizował. To bardzo trudny charakter. Gwałtowny człowiek. A to nie była czarno-biała sytuacja. Pierwsza śmierć nastąpiła wskutek samobójstwa. Druga była tragicznym wypadkiem. Kiedy wpadliśmy w to wszystko, straciłam zupełnie poczucie własnego „ja”. - Zaciągnęła się i spojrzała na mnie zmrużonymi oczami. - Czy sądzisz, że ludzie w to uwierzą?

- Bardzo możliwe - odparłam. - Odkryłam, że ludzie wierzą w najdziwniejsze rzeczy. A ty jesteś ładna i pochodzisz z klasy średniej, co zawsze działa na plus.

- Jesteś ekspertem - rzekła błagalnym tonem. - Byłaś kluczową osobą w dochodzeniu. Policja ci ufa. Pomożesz mi?

Wzięłam głęboki wdech i wcisnęłam ręce do kieszeni, pewnie dlatego, żeby ukryć ich drzenie.

- Sądzę, że jestem zbyt zaangażowana w dochodzenie, bym mogła być powołana w charakterze biegłego.

Na jej twarzy odmalował się gniew.

- Kit! - krzyknęła. - Mogłam pozwolić, żebyś zginęła. Ocaliłam cię. Oboje z Gabrielem moglibyśmy teraz siedzieć w domu, a ty byłabyś w grobie.

Uratowałam ci życie.

Wstałam od stolika.

- Miło z twojej strony, że dałaś mi szansę - oświadczyłam. - Przepraszam, że nie rozplątam się w podziękowaniach. Myślę jednak ciągle o Emily i o waszych ofiarach. Nie mogę o nich zapomnieć. Ci ludzie żyli, a wy ich zabiliście. Wydaje mi się, że rozgrzeszyłaś się bez większych trudności. Zawsze zadziwia mnie w ludziach gotowość do usprawiedliwienia swoich postępów i brak poczucia winy.

- Czy nie słyszałaś, co do ciebie mówiłam? - przerwała Bryony. - Jestem tym tak przybita, jak wszyscy.

- Owszem, słyszałam, jak przekonywałaś mnie, że żadna z tych zbrodni nie obciąża ciebie. Wszystko to zrobił Gabe, a nie ty. Sądysz, że powinnam rozpamiętać nad tobą w równym stopniu, co nad Daisy, Lianne, Philippą i Michaelem.

- Pragnę pomocy - jęknęła Bryony. - Tego właśnie najbardziej potrzebuję. Oban czekał na mnie na parkingu. Gdy wyszłam, poczułam na twarzy gwałtowny podmuch jesiennej wichury. Instynktownie zamknęłam oczy. Chciałam, żeby wiatr zdmuchnął z mej pamięci ostatnią godzinę. Oban uśmiechnął się na mój widok.

- Czy wasza rozmowa przebiegła tak, jak się tego spodziewałaś? I Bryony rzeczywiście postanowiła się zaprezentować jako ofiara Gabriela Teale'a?

- Mniej więcej.

- Czy myślisz, że uda się jej odegrać tę rolę w sądzie?

- Nie, jeśli ja będę miała coś do powiedzenia.

Zapadał zmierzch, gdy Oban podwiózł mnie na moją ulicę. Nawet z daleka natychmiast poznałam, kto czeka pod moimi drzwiami. Miał na sobie długi płaszcz, ręce włożył do kieszeni, zgarbił się w ramionach. Wyglądał, jakby stał na posterunku w chłodzie i wietrze.

Zatrzymałam się jak wryta i zapragnęłam pobiec w przeciwnym kierunku. Albo znaleźć się przy nim i zarzucić mu ręce na szyję.

Oczywiście nie zrobiłam ani jednego, ani drugiego. Podeszłam zwyczajnie, a kiedy usłyszał moje kroki na chodniku i odwrócił się, zdobyłam się na uśmiech.

- Właśnie przyjechałam z Salton Hill - oznajmiłam.

- Och! Widziałaś się z nią.

- Tak.

Zaklął pod nosem i głębiej włożył ręce do kieszeni.

- Przynajmniej nie będzie więcej tych jego zasranych sztuk - rzekł z mściwą satysfakcją.

- Nie wiedziałam, że je oglądałeś.

- Nie musiałem - odparł. Zapadła cisza, a po chwili prychnął: - Pewnie się spodziewasz, że będę ci gratulował.

- No...

- Na pewno chcesz, żebym się rozwodził nad twoją nieomyślnością, gdy tymczasem reszta świata, włącznie ze mną, myliła się. Nieprawdaż?

Oczekujesz pieprzonego medalu czy czegoś w tym rodzaju.

Roześmiałam się.

- Serdeczne dzięki - odrzekłam.

Otworzyłam drzwi i pchnęłam nogą stos listów leżących na wycieracze.

- Chcesz wejść? - Zawahał się. - Kieliszek wina? Piwo? No chodź.

Ruszył za mną po schodach. W kuchni wręczyłam mu butelkę piwa z lodówki, a sama nalałam sobie czerwonego wina. Zaciągnęłam story, zapaliłam świeczkę i postawiłam ją między nami na stoliku. Wypiwszy trochę piwa, odezwał się:

- Jak twoja szyja? Lub cokolwiek innego, co ci uszkodził?

- W porządku - odparłam. Spojrzałam na jego twarz w przyćmionym, pełzającym świetle. Wiedziałam, że się nie

zmieni. I uświadomiłam sobie, jak by to było: ciągle bym liczyła na coś więcej, prosząc o uczucia, których nie mógłby mi ofiarować.

- Will - zaczęłam.

- Proszę cię - mruknął. Na chwilę zamknął oczy. - Proszę. -

Zastanawiałam się w duchu, do kogo właściwie się zwraca. Odniosłam wrażenie, że nie mówi do mnie, lecz do siebie.

Pochyliłam się nad stołem i położyłam mu rękę na ramieniu. Chciałam ująć jego twarz i całować w usta, aż by się rozgrzał. Pragnęłam, aby mnie objął, mocno przytulił. Gdyby to zrobił, poddałabym się bez wahania. Ale nie ruszył się, choć otworzył oczy.

- To nie fair z twojej strony - rzekłam w końcu.

- Chyba masz rację. - Wypił resztkę piwa i wstał; odstawione krzesło zazgrzytało o podłogę. Rozejrzał się. - Wynosisz się stąd?

- A to dlaczego?

- Nie wiem - odparł. - Złe skojarzenia? Traumatyczne przeżycia?

Pokręciłam głową.

- Jakie znowu skojarzenia? Zostaję.

- To dobrze - mruknął, ale zaraz się poprawił: - To znaczy, dzielnica jest interesująca. Na swój sposób.

- Właśnie tak sędzę.

- W porządku. - Nachylił się i pocałował mnie w policzek. Poczułam jego oddech, zarost. Przez moment zastygliśmy w tej pozie w blasku świecy.

Następnie Will szybko się wyprostował.

- Dobrze się spisałaś - rzekł. - Chyba ci to już powiedziałem, prawda?

- Nie tymi słowami.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że dokonałaś tego wszystkiego sama - dodał. - Powinnaś bardziej na siebie uważać.

I ruszył do wyjścia, szeleszcząc połamami płaszcza. A ja patrzyłam, jak odchodzi.



## Rozdział 47

Pomagałam Julie przy pakowaniu. To zajęcie wywołało we mnie mieszaninę sympatii i melancholii, także z powodu łagodnej jesiennej pogody za oknami. Buki i kasztanowce zabarwiły się na złoto i czerwono, gałęzie gładził ciepły wiatr, zrzucając z nich różnokolorowe liście wirujące w powietrzu. Na dziedzińcu leżały zmiecione kupki brązowego listowia, po których dzieci, obute w kalosze, brodziły z okrzykami radości. Przez lekkie obłoki prześwitywały promienie słońca. Lato, które właściwie nigdy nie nadeszło, odchodziło. Julie odjeżdżała, ja zostawałam.

- Hej, to twoje. - Rzuciła w moją stronę trykotową bluzkę lila, której bodaj nigdy nie miałam na sobie. - I to. - Pognieciony sweter poleciał w moim kierunku z rozpostartymi rękawami. - Boże, nie zdawałam sobie sprawy, ile ciuchów pożyczałam od ciebie w ciągu tych wspólnych miesięcy. Ale ze mnie sroka! - zachichotała. Oczy jej błyszczały, emanowała z nich energia i podniecenie.

Porządkowałyśmy mieszkanie przez cały ranek - na luzie, co pół godziny robiąc sobie przerwę na kolejną filiżankę herbaty. Rozdzielaliśmy jej rzeczy na stosy. Jeden miała wziąć ze sobą, drugi zostawić na przechowanie, trzeci oddać na cele charytatywne lub podarować mnie. I właśnie ta trzecia góra ciuchów była najwyższa. Julie z rozkoszą uwalniała się od zbytniego balastu, pozbywając się, czego się tylko da.

Rzuciła na stos do rozdania czarne sandały, które podzieliły los jaskrawożółtego płaszcza przeciwdeszczowego. Kupiła go za ledwie parę tygodni temu, gdy miała dość ulewy. Dodała beżowe bawełniane spodnie, orzekła bowiem, że jej tyłek wygląda w nich pokraccznie. Potem poszedł żakiet, w którym nigdy nie gustowała, trzy lub cztery grube koszule, wzorzyste rajstopy, torba wyszywana koralikami, czarna bluzka kupiona do planowanej pracy biurowej. Tę ostatnią rzecz ujęła dwoma palcami, odsuwając jak najdalej od siebie, jakby w obawie przed odorem nudy. Dołożyła seledynowy podkoszulek, fioletowy golf.

- Masz swoją czerwoną suknię! - krzyknęła do mnie, zdejmując ją z wieszaka i rzucając w moją stronę.

- Zatrzymaj ją sobie - rzekłam.

- Co? Nie bądź głupia. Jest twoja, a na dodatek ślicznie ci w niej.

- Chcę, żebyś ty ją miała.

- Nie jesteś zbyt praktyczna. - Widać było, że sukienka ją kusi. Poglaskała ją jak jakieś zwierzątko.

- Wrzuć ją na sam spód plecaka. Prawie nic nie waży.

- A co będzie, jak się zniszczy albo ją zgubię?

- Jest twoja, zrobisz z nią, co zechcesz. No, zabieraj ją. Wyrzucasz ciuchy, jakbyś nie przewidywała, że nastąpi jutro. Niech ja też zaszaleję.

- OK. - Pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. - Ilekroć ją włożę, pomyślę o tobie.

- Zrób to. - Zawstydziałam się łzami, które napłynęły mi do oczu i czym prędzej zajęłam się układaniem jakichś drobiazgów.

- Urocza z ciebie gospodyni.

- Wątpię. Przez większość czasu byłam nietowarzyska i zamknięta w sobie, a przez resztę neurotyczna.

- Skoro mówisz o zamknięciu się w sobie, co się dzieje z Willem?

- Nic.

- To znaczy, skończyliście ze sobą?

- Nie wiem. „Skończyć” to wielkie słowo. Na dobrą spr-

wę niczego w moim życiu nie zakończyłam, nawet jeśli chciałam to zrobić. Zapewne więc i tym razem jemu zostawiam finał, skoro się ze mną nie kontaktuje. Albo może pojawi się znowu i wtedy naprawdę nie wiem. Nie umiem przewidzieć, jak postąpię. Lecz on nie jest dla mnie dobrym partnerem. Jest zbyt szorstki - jak kamień, o który ciągle bym się kaleczyła.

- Chyba masz rację. Ale wiesz, twoje sińce na szyi ustępują. Teraz przybrały kolor żółty i brązowy, już nie są fioletowe. Czy ciągle cię boli?

- Nie za bardzo. Trochę jak obłożone gardło. - Dotknęłam śladów końcami palców. - Dziwne było to lato.

- Bardzo dziwne. Teraz wydaje mi się nierealne, jakby przytrafiło się komuś innemu.

- Czy odnosisz niekiedy wrażenie, że tylko udajesz dorosłą?

Siadłam na moich ciuchach i wyciągnęłam z nich szafirową kamizelkę.

- Powinnaś ją sobie wziąć.

- Bo ja w ogóle nie czuję się dorosła. Odbieram siebie ciągle jako wyrosnięte dziecko. Fruwam po świecie, nigdzie nie mogę zagrać miejsca, nie dbam o karierę zawodową i o solidne plany na przyszłość, a na dodatek ubieram się jak nastolatka. - Przerzuciła kamizelkę na stos rzeczy do zabrania w podróż. - Ty natomiast masz odpowiedzialny zawód i mieszkanie, które od lokum z czasów studenckich oddzielają lata świetlne. Mój Boże, nawet wygłaszasz referaty na konferencjach naukowych. Ale czy nie czujesz tego samego co ja?

- Nie. - Rzuciłam w nią parą jedwabnych spodenek, które ona skwapliwie wsunęła do plecaka. - Czasem odnoszę wrażenie, że całe moje życie jest szaradą, za którą się ukrywam. Ale myślę, że wszyscy tak to odczuwamy. Nawet na łożu śmierci będziemy czekać, że kiedyś osiągniemy dojrzałość.

- Może. Ale ja naprawdę jestem taka. Dlatego znowu uciekam. Nie lubię zwyczajnego życia.

- A któż powiedział, że ja je lubię?

Spojrzała na mnie zamyślona. W stroju koloru morza wyglądała jak syrena.

- Wobec tego powinnaś pojechać ze mną.
- Za późno.
- Nigdy nie jest za późno.
- Nie wierzę w to. Zadzwieczyła telefon.
- Odbiorę - rzekła Julie, podnosząc się z podłogi. - Ty nastaw czajnik. Jednakże telefon był do mnie.
- Policja - wyszeptała, podając mi słuchawkę.
- Czy to Kit Quinn?
- Przy aparacie.
- Pani numer podał mi inspektor Oban. Pani Dear chce się z panią skontaktować.
- Pani Dear? Nie znam takiej osoby.
- W związku ze swoją córką, Philippą Burton.
- Może Pam Veré?
- Pewnie tak. W każdym razie życzy sobie z panią porozmawiać.
- Dobrze, proszę mi podać jej telefon.
- Chyba chce ze mną pogadać o Teale'ach - powiedziałam do Julie, odkładając słuchawkę. - Dziwne, bo Oban natychmiast po tym wszystkim odwiedził Jeremy'ego Burtona. Nie mam nic więcej do dodania.
- Biedna kobieta.
- Pogrzeb Philippy wyznaczono na jutro. Była jedynaczką. No, ale teraz babcia musi zająć się Emily.
- Wybierasz się?
- Raczej tak, choć pewnie będzie straszny tłok.
- Ja już w tym czasie będę leciała, by wylądować daleko stąd.
- Jakże bym chciała się dowiedzieć, dlaczego Philippa musiała zginąć. Wszystko wydaje mi się nie mieć zakończenia. To mnie prześladowuje i będzie towarzyszyć przez całe lata. Jak mało o tym wiem.

Pam Veré była przez telefon lakoniczna i wyraźnie spięta. Chciała, byśmy się spotkały przed pogrzebem. Dzisiaj, jeśli to możliwe - podkreśliła. Była do dyspozycji o dowolnej porze. Powiedziałam, że zjawię się w jej domu za pół godziny.

- Wolałabym się spotkać gdzieś indziej. Na dworze.
  - W porządku. - Zerknęłam na zbierające się chmury. -Może na Heath - to niedaleko pani?
  - Chciałabym zobaczyć się z panią nad kanałem.
  - Nad kanałem? - powtórzyłam osłupiała.
  - Tam, gdzie znaleziono zwłoki tej dziewczyny.
  - Lianne - dodałam. Nie znosiłam, kiedy mówiono o niej, nie używając wybranego przez nią samą imienia. Nawet w gazetach pisano o niej „bezdomna dziewczyna”, albo jeszcze gorzej: „włóczęga”.
- Nienawidziłam dziennikarskich epitetów. Philippa była „tragiczną postacią”, podczas gdy Lianne określano jedynie jako „smutną”.
- Tak. Czy mogę tam się z panią spotkać? Nie ukrywałam zaskoczenia.
  - Jeśli pani sobie tego życzy...

Gdy dotarłam do schodków prowadzących do ścieżki nad kanałem, zaczynało padać. Duże krople rozpryskiwały się na wodzie. Zapowiadały coś groźnego, choć przecież najgorsze już się zdarzyło, należało teraz do przeszłości.

Pam Veré czekała na mnie, w apaszcze na głowie i w płaszczu z wielbłądziej wełny. Nie uśmiechała się, jedynie wyciągnęła rękę na przywitanie. Jej uścisk był mocny, zdecydowany. Oczy w kredowobiałej twarzy patrzyły na mnie śmiało. Niemniej dostrzegłam, że umalowała się niestarannie - miała smugę pudru na nosie i grudki tuszu do rzęs na pomarszczonych, spuchniętych powiekach.

- Dziękuję, że pani przyszła - oznajmiła formalnym tonem.
- Chciałam się z panią zobaczyć - odrzekłam.
- Przyjdzie pani na pogrzeb?
- Oczywiście.

- Pragnęłam coś pani przekazać, ale nie mogłam powiedzieć tego w domu.

Rozejrzała się bacznie wokół. Jej wzrok spoczął na kępie pokrzyw, rozmokłej ścieżce zaśmieconej odpadkami, na lustrze ciemnej, oleistej wody.

- Czy to było tutaj?

- Przy tamtym moście. - Wskazałam ręką.

- Czy ona cierpiała?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem, więc w milczeniu zbierałam myśli, żeby sensownie odpowiedzieć.

- Nie sądzę, pani Veré, to nie byli seryjni mordercy, jak Westowie. Nie rozkoszowali się zabijaniem. Mordowali jak najszybciej. Pewnie najbardziej pani córka cierpiała z powodu pozostawienia Emily bez opieki.

Chrząknęła.

- Mnie chodzi o tę dziewczynę. Wybałuszyłam oczy.

- O kogo? O Lianne?

- Tak. - Nie spuszczała ze mnie wzroku.

- Nie - odparłam. - Myślę, że śmierć nastąpiła bardzo szybko.

Pani Veré skinęła głową, po czym rzekła zachrypniętym głosem:

- Słyszałam, że ją dźgano nożem po całym ciele.

- Ale to nastąpiło już po jej zgonie.

- Biedaczka. - Kropla deszczu rozprysnęła się na jej policzku i spływała w kącik ust. Nie wytarła jej.

- Tak - mruknęłam. Zastanawiałam się, dlaczego Pam Ve-re pragnęła stać ze mną w ulewie w pobliżu kanału.

Odwróciła się do mnie tyłem i patrząc w wodę, zaczęła mówić:

- Philippa była dobrą dziewczynką. Może zbyt wiele od niej wymagaliśmy, bo - jak pani wie - była naszym jedynym dzieckiem.

Teraz, kiedy oglądam fotografie rodzinne i widzę nas troje, dostrzegam, jaka była krucha i samotna wśród nas. Dwoje dorosłych i małe dziecko.

Kiedy miała jedenaście lat, jej ojciec zmarł i zostaliśmy we dwie. I dalej pozostała dobrą

córeczką, która troszczyła się o innych ludzi, chętnie przychodziła im z pomocą. Może nawet do przesady. Nie była nielu-biana, ale w dzieciństwie nie miała zbyt wielu koleżanek. Wolała bawić się sama, ze swoją ukochaną lalką. Lubiła też być ze mną - razem piec ciastka, chodzić po zakupy, sprzątać dom. Nigdy nie sprawiła mi najmniejszych kłopotów. Tak samo było w szkole. Pilna uczennica, tak zawsze pisano na jej świadectwach. Nie była szczególnie uzdolniona, ale bardzo obowiązkowa, za czym nauczyciele przepadają. Gdy wracała do domu, zabierała się do odrabiania lekcji. Jakież z niej było dobre dziecko! Zasiadała przy stole kuchennym, najpierw brała sobie tosta z masłem i marmoladą, a potem wyciągała zeszyty i pisała ładnym charakterem pisma, używając niebieskiego atramentu. Jej igreki miały zawsze staranne ogonki. Widzę ją teraz, w granatowym mundurku, z piętami zaczepionymi o poprzeczkę krzesła, gdy ze zmarszczonym czołem pisze, susząc bibułą każdą linijkę. Albo koloruje mapy na lekcję geografii. Lubiła to robić, malować morza niebieską kredką, lasy zieloną, rysując granice.

Któregoś dnia wyciągnęłam z szuflady jej prace domowe i wszystkie obejrzałam. W górnym prawym rogu wypisywała tematy zadań, podkreślała je, a pod spodem pisała swoje nazwisko i klasę. Wydaje mi się jakby to było wczoraj. Bardzo szczegółowo pamiętam różne jej czynności, na przykład, jak rysowała siebie, gdy była malutka. Żółte rozwichrzone włosy i różowe półkole ust. Dzieci zawsze rysują siebie z uśmiechem, prawda? Ona też tak robiła, choć nie była radosnym dzieckiem. A później zaczęła szkicować ołówkiem rośliny - przekroje łądyg, nasiona. Potem przyszedł czas na planety, sześć żon Henryka VIII. Algebra. I inny zeszyt: *Je m'appelle Philippa Vere et j'ai onze ans.* - Akcent Pam Veré był nieskazitelny. - Natrafiłam też na jej pamiętniki z czasów szkolnych. Wpisy robiła w poniedziałki, głównie na temat tego, czym się zajmowała podczas weekendów. Pani wie, prawda? - Skinęłam głową. Nie chciałam się odezwać, żeby jej nie przerywać. - Przeczytałam wszystkie. I, proszę sobie wyobrazić, stale w nich występowałam. Philippa zawsze odnotowywała, co robiła wspól-

nie z mamą. Mamusia poszła ze mną do sklepu, razem wybrałyśmy się na plac zabaw, mama sprawiła mi kociaka, którego nazwałam Blackie, odwiedziłyśmy razem z mamusią muzeum. Nagle uprzytomniłam sobie, że o nikim innym nie pisała, tylko o sobie i o mnie. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo była samotna, póki nie przeczytałam pamiętników. Nigdy jednak nie narzekała.

Odwróciła się twarzą do mnie.

- Pewnie się pani zastanawia, po co, na miłość boską, opowiadam pani to wszystko.

- Potrzebuje pani komuś się zwierzyć.

- Jestem starą kobietą. To znaczy, nie jestem aż tak wiekowa, skończyłam sześćdziesiątkę i równie dobrze mogę jeszcze żyć ze trzydzieści lat. Ale teraz czuję się bardzo stara. Odnoszę wrażenie, jakbym dźwigała dwa razy więcej lat niż w zeszłym roku. Pani nie ma dzieci, prawda?

- Nie.

- A pani matka nadal żyje?

- Nie. Straciłam ją, kiedy byłam małą.

- Aha, to pewnie dlatego.

- Co takiego?

- Z tego powodu pragnęłam z panią porozmawiać. Philip-pa była dobra również jako nastolatka. Poznała nieco koleżanek i kolegów, niekiedy wychodziła pobawić się w soboty. Piła bardzo mało. Nie paliła, nie brała narkotyków. Była bardzo ładna, ale nie sądziła, że jest obdarzona niezwykłą urodą. Myślę nawet, że inni też jej nie zauważali. Bo nie popisywała się, nie była uwodzicielką. Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką widziałam, no ale matka jest stronnicza. A przynajmniej tak w duchu myślałam. A czternasto-, piętnasto-, szesnastoletni chłopcy rzadko kiedy bywają urodziwi, prawda? Byłam więc wdzięczna losowi, że się z nimi nie spotykała. Stale jej powtarzałam, żeby się nie przejmowała, co robią jej rówieśniczki, bo ma przed sobą dużo czasu. Czasu - powtórzyła z goryczą. - Nie miała go zbyt wiele, co? Jej życie gwałtownie się zakończyło.

- I co się stało potem? - spytałam cichym głosem.

- Spotkała kogoś. Chłopaka, nie - raczej mężczyznę, bo był



od niej starszy. Miała zaledwie czternaście lat. On dobrze się jej przyjrzał, odkrył urodę. I nagle Philippa się zmieniła. Z dorastającej dziewczyny stała się niemal kobietą. Myślałam, że po prostu dojrzeła. Trudno mi samej w to uwierzyć, ale wtedy nie miałam pojęcia, co się działo między nimi. Dowiedziałam się dopiero potem. Moja spokojna córeczka była taka niewinna. A on się w niej zakochał, zmierzał do czegoś. Gdybym się w porę zorientowała, ostrzegłabym ją. - Smutno się do mnie uśmiechnęła.

- Widzi pani, opowiadam to wszystko, bo muszę z kimś pomówić o Philippic Tajemnica to straszna rzecz. Przestaje być taka straszna, gdy się ją wyzna, ale tego właśnie nie sposób zrobić. On ją oczywiście porzucił, zaledwie po paru tygodniach. A ona była załamana, choć ja nadal nie domyślałam się niczego.

Znowu odwróciła twarz w stronę wody i odezwała się stłumionym głosem:

- Zostawił ją w ciąży.

Podeszłam do niej i stając obok, zapatrzyłam się w ciemną toń, w której pływały ryby Dolla.

- Urodziła dziecko?

- Odkryłam jej stan, gdy minęło dwadzieścia siedem tygodni. Tak, urodziła je. Wszystko odbyło się w absolutnej tajemnicy. Nikt o tym nie wiedział prócz Philippy i mnie.

- Dziewczynka?

- Tak. Kilka miesięcy temu skończyła osiemnaście lat.

- Lianne? - A więc była nieco starsza, niż przypuszczałam.

- Powiedziałam w szkole, że Philippa zachorowała na zapalenie węzłów chłonnych. Wyjechałyśmy do Francji, gdzie ona czekała na rozwiązanie. Była bardzo cicha, jakby w ciągłym szoku, ale robiła to, co jej kazałam. Przecież nie miałyśmy wyboru. Po porodzie natychmiast odebrano jej dziecko. Philippa pragnęła choć raz mieć je w ramionach. Płakała, szlochała, błagała. Robiła wrażenie, jakby postradała zmysły. Ale nie pozwoliłam na to. Nie chciałam, aby się przywiązała do noworodka. Nie mogła wychować dziecka, na miłość boską, sama była jeszcze dzieckiem. Chciałam dla niej normalnego życia -męża, domu, tego, co dla niej planowałam. Nie mogłam więc

dopuszczyć, by przytuliła do siebie to maleństwo. Płakała bez przerwy przez dwa dni. Nigdy nie widziałam tylu łez. Jakby coś w niej pękło. Wydawało się, że przepłacze resztę życia. Wreszcie wyglądało, że się pozbierała. Mleko w jej piersiach wyschło, brzuch znowu zrobił się płaski. Wróciła do szkoły, zdała wszystkie egzaminy i poszła do college'u. Nigdy o tym więcej nie rozmawialiśmy.

- Pani Veré...

- Ja jednak wzięłam dziecko na ręce. Mała, pomarszczona istotka z workowatą skórą i niebieskimi niewidzącymi oczkami. Chwyliła rączką mój palec i nie chciała go puścić, jakby wiedziała.

- Co mianowicie?

- Ze byłam jej babką. Jej rodziną. Jej domem. Jej ostatnią szansą. Po kolei odginałam chwytnie paluszki i oddałam ją położnej.

- I wtedy wzięto ją do adopcji?

- Tak sądzę. Nie chciałam, aby Philippa cokolwiek wiedziała. Uważałam, że będzie najlepiej, jeśli zamkniemy drzwi za tą okropną sprawą.

Dziewczyna mogła się dowiedzieć o swojej przeszłości pięć miesięcy temu, kiedy skończyła osiemnaście lat.

- I stąd te telefony.

- Najpierw nic o nich nie wiedziałam, aż któregoś razu usłyszałam o tej komunikacji między Philippą i... i nią. Ja nie ukrywałam tej sprawy, po prostu nic o niej nie mówiłam. Pewnie pani mi odpowie, że nie chciałam nic wiedzieć. Ale przez całe osiemnaście lat nie było tygodnia, bym nie myślała o tym maleństwie, które kurczowo trzymało się mojego palca. I zastanawiałam się, czy Philippa miała spokój sumienia choćby przez godzinę swego życia. Nigdy nie zamieniłyśmy słowa na ten temat. Nawet po narodzinach Emily nie wyznałyśmy sobie, co czujemy. - W końcu spojrzała mi prosto w oczy. - Dlatego chciałam się z panią zobaczyć i dowiedzieć się, czy moja wnuczka bardzo cierpiała.

A więc ta cała smutna historia była o córce poszukującej matki i o matce pragnącej poznać swoją córkę.

- Zastanawiam się, czy kiedykolwiek udało się im spotkać przed śmiercią  
- rzekłam wreszcie.

- Czasami pocieszam się myślą, że może się mimo wszystko spotkały. Że Philippa wreszcie mogła przytulić do siebie swoje dziecko. Ale tego nigdy się nie dowiemy, prawda?

- Nie, tego nie zdołamy ustalić.

Miałyśmy się już rozstać, gdy Pam Veré położyła rękę na rękawie mej kurtki.

- Chciałam zapytać, czy można pochować moją wnuczkę razem z moją córką. Sądzi pani, że to się da załatwić?

- Ciało Lianne spalono, a prochy zostały rozsypane.

- Ach tak - rzekła. - No cóż, za późno.

Wracałam pieszo do domu. Najpierw w górę schodkami znad kanału, potem wąskimi, zabiedzonymi uliczkami. W oknach widziałam ludzi zajętych swoim życiem: jakiś mężczyzna gotowy do gry trzymał skrzypce i smyczek; kobieta ze słuchawką przy uchu - ożywiona, z ręką wyciągniętą nad głową; mały nagi chłopczyk, ze smutną miną wyglądający przez okno w swoim pokoju. Obserwowałam mijających mnie przechodniów. Żadna twarz nie jest zwyczajna, wszystkie są piękne, jeśli patrzy się na nie w pewien sposób.

Julie czekała na mnie. Z kuchni dochodził zapach czosnku, a w wazonie na stole stał bukiet świeżych herbacianych róż. Jej plecak leżał przy drzwiach wejściowych - wypchany, już z nalepką linii lotniczej przytroczoną do szelek. Usiadłam przy stoliku i wzięłam do rąk fotografię mamy. Położyłam ją przed sobą. Uśmiechała się do mnie, a ja przez te wszystkie lata stale za nią tęskniłam. Jej szare oczy błyszczały ukrytą obietnicą. Promień słońca rozświetlił młodą, szczęśliwą twarz. Poczułam wielki spokój i smutek. Nigdy nie przywyknę do rozstań.